

**Zbigniew Domino**

**Tajga.**

**Tamtego lata w Kajenie...**



**Tamtego lata  
w Kajenie...**

A było to lato 1942 roku, trzecie lato naszego syberyjskiego zesłania. Rzecz działa się w Rajenie, nad wielką rzeką Birusą, w jednym z licznych w okolicznej tajdze Łagpunktów, czyli podobozów osławionego Tajszetłagu<sup>1</sup>. W Rajenie trzymano pod strażą kilkuset polskich zesłańców, tak zwanych spiecpieriesielencow.

Wczesną wiosną owego roku Gusiew, komendant Łagpunktu Kajen, który sam o sobie mawiał: „Ja wam tut Boh, car i woinskij naczalnik”, zarządził natychmiastowe opuszczenie jednego z baraków, a jego mieszkańców wtłoczył do pozostałych. I to dosłownie „wtłoczył”, bo w owych starych i zapluskwionych gułagowskich barakach z lat trzydziestych i tak już nie było gdzie szpilki wetknąć. Ludzie całymi rodzinami gnieździli się na pryzkach, stłoczeni jeden obok drugiego jak śledzie. Nic dziwnego, że w takich warunkach tylko przysłowiowy brud, smród, pluskwy, wszy i wszelka inna zaraza miały się w najlepsze. Komendantowi z tymi przenosinami musiało naprawdę się śpieszyć, bo osobiście je nadzorował.

- Bystrej, bystrej opuszczajcie barak, nie marudźcie i nie narzekajcie. Nic wam się nie stanie, jak przez jakiś czas ciaśniej pomieszkacie. Obiecuję, że jak tylko nowe baraki na Ogorodnym pobudujemy, to was do nich w pierwszej kolejności wprowadzę. A wtedy zobaczycie, urządzicie się tak, jak się wam nawet w tej waszej pańskiej Polsce nie śniło. No, ludzie, bystrej, bystrej!

Bystrej, to bystrej, bo niby co mieli ze sobą z baraku do baraku przenosić - lichą pościel, węzełek łańców, bo resztę odzienia nosili na sobie. No, może jeszcze jakiś stary garnek, wyszczerbioną miskę i łyżkę. Każe się przenosić, to się przenoszą, bo co mają zrobić, ale na to jego głupie gadanie o „pańskiej Polsce”, a o nich jako o „polskich panach”, machają ręką i puszczają te bzdury mimo uszu. Dość się już tego od Sowietów nasłuchali, i to od pierwszego dnia wywózki. Co który sowiecki naczelnik pierwszy raz się z Polakami stykał, nieodmiennie zaczynał od porównań: „Czto tam u was, w etoj panskoj Polsce, wot tolko u nas, w Sowieckom Sojuzie, raboczyj czelowiek żywiot po nastojaszczemu!”. Ciekawiło ich raczej, dlaczego taki pośpiech z tymi przenosinami, kto w opuszczonym baraku zamieszka. Ale ani komendant, ani jego podkomendni - żołdacy z ochrony, Wochrą<sup>2</sup> tu zwani, na takie pytania nie odpowiadali. „A po co wam to wiedzieć? Kogo trzeba, tego się i osiedli. Nie bądźcie za ciekawi”.

Opuszczony barak niczym od pozostałych się nie różnił. Tyle tylko, że stał nieco na uboczu, w bliskim sąsiedztwie komendantury. W tym rejonie Łagpunktu była też piekarnia, stołówka, i „bania” - wspólna łaźnia. No i coś, bez czego żaden Łagpunkt obejść się nie mógł,

---

<sup>1</sup> Tajszetłag - skrót nazwy: Tajszetskije Łagiera - Tajszeckie Obozy.

<sup>2</sup> Wochra (Woorużonnaja Ochrona) - strażnicy, konwojenci NKWD.

czyli podręczny areszt tymczasowy, po tutejszemu: katałażka. W Kajenie był to budynek z solidnych okrągłaków, wielkości chlewika, bez okien, z drzwiami zamykanymi na kłódkę. Komendant Gusiew mógł tam zamknąć każdego, i za co mu się spodobało. W katałażce przetrzymywano też podejrzanych o przestępstwa, dopóki specjalnie przybyły konwój NKWD nie zabrał ich do dalekiego Szytkino, albo do jeszcze dalszego Tajsztetu, gdzie rezydowało główne naczalstwo Tajsztetłagu.

Tak się Gusiewowi śpieszyło, a tymczasem barak stoi pusty, już prawie tydzień mija. Zesłańcy przestali się pustym barakiem interesować, nawet jego poprzedni mieszkańcy. Tylko chłopaki włóczący się samopas próbowali tam z ciekawości zaglądać. Zresztą nie bardzo im się to udawało, bo barak był zamknięty, do tego Wochra ich przeganiała.

Aż tu któregoś dnia, tak około południa, te właśnie chłopaczyska wypatrzyły, jak drogą przez Koczki od strony Starego Kajenu podjechało pod opuszczony barak kilkanaście furmanek. Na tych furmankach tobołki i małe dzieci, dorośli zaś, przeważnie same kobiety, utyłani błotnistą przeprawą przez zdradliwe Koczki, szli za wozami. Tajemniczą karawanę konwojowało trzech konnych wochrowców. Kryjąc się po krzakach, chłopcy podkradli się najbliżej, jak się dało. Widzieli, jak przybyszami zaczął dyrygować Gusiew i jego ludzie. Furmanki podjeżdżały pod baraki, dorośli zsadzali dzieci, zdejmowali tłumoki i wnosili je do wnętrza. Przyjezdni zachowywali się spokojnie, zbierali się w grupki, o czymś z ożywieniem rozmawiali. Chłopcy słyszeli tylko szmery tych rozmów, ale niczego nie mogli zrozumieć. A ciekawość zżerała ich coraz większa. Co to za ludzie?

- Same baby i dzieciaki, chłopów prawie nie ma.

- Jest paru, jest. Stare. O, tam z komendantem gadają, widzisz?

- Chłopaki, a może to nasi są, Polacy?

- Chyba tak, bo kto by tu inny... Może z Kaluczego? Trochę naszych tam jeszcze zostało.

- Atlasy i Musiały z naszego baraku w Kaluczem zostali.

- Madej i Grasela z naszego... I jeszcze ci, jak ich tam, z czwartego baraku.

- E tam, akurat z Kaluczego! Przecież by się już kogoś z naszych poznało.

- Tss... Cicho! Jakby trochę głośniejsze teraz... Posłuchajmy, co mówią.

Nadstawili uszu, ale już po chwili ze zdziwienia kręcili głowami.

- Słyszeliście? Oni chyba po rusku gadają, a ty mi tu, że to nasi, z Kaluczego.

- Ruskie, pewnie że Ruskie. Nawet po rusku ubrani: kufajki, czapy. Nie tak jak my, z Polski.

- Cicho, cicho! A tych dwóch dziadków, co leją pod sosną? Po jakiemu oni gadają?

- Rzeczywiście, ani to po rusku, ani to po polsku.

- To co oni w końcu za jedni?

Staszek Dolina nie wytrzymał. Wyczył moment, kiedy komendant wszedł do baraku, a nikogo z Wochry w pobliżu nie było, zerwał się i krzyknął po rosyjsku:

- Ej, ludi, a kto wy takije?

Usłyszeli go, popatrzyli w stronę krzaków. Nim któryś z wystraszonych chłopaków szarpnął Staszka za nogawkę, ten powtórzył:

- Kto wy takije? My Polaki, a wy kto?

Ktoś, też młodym głosem, odpowiedział:

- A my Niemcy. Germańcy my!

Zza węgła wyskoczył wochrowiec i zdejmując karabin, ruszył ku chłopakom. A ci, biorąc nogi za pas, zdążyli jeszcze usłyszeć powtórzone:

- My Niemcy! My ruskie Niemcy!

Tego wieczoru w polskich barakach o niczym innym nie mówiono, tylko o Niemcach. Nie tylko o tych z osobnego baraku, ale o Niemcach w ogóle. Bo też każdy z Polaków, nawet ten, który nigdy w życiu z Niemcem się nie zetknął, po wrześniowej wojnie 1939 roku miał o Niemcach własne zdanie. Nie mówiąc już o tych, którzy mieli z Niemcami jakieś rachunki do wyrównania. Odżyło odwieczne porzekadło, jakie każde polskie dziecko z mlekiem matki wysysa: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”. Łatwo tedy sobie wyobrazić, że deportowani do Kajenu Niemcy na życzliwsze spojrzenie Polaków nie bardzo mieli co liczyć. Ludzie gubili się w domysłach, co to za Niemcy, jeśli sami o sobie mówią „my ruskie Niemcy”. Co to za „ruskie” Niemcy, skąd i dlaczego ich właśnie tu, do Kajenu, zesłano? I to całymi rodzinami, od małego do starego, prawie tak samo jak Polaków.

W najlepszej sytuacji byli ci, którzy mieszkali w jednym baraku z panem Brzozowskim, emerytowanym gimnazjalnym nauczycielem z Czortkowa. Pan Brzozowski, wiadomo, profesor, kiedy trzeba, swojej wiedzy ludziom nie skąpił. Toteż autorytet w całym Kajenie miał bezsporny. A ugruntował go zeszłej jesieni, kiedy to nad Kajenem którejś nocy zajaśniała wielobarwna zorza polarna, co babka Szajnina za cud uznała i z modlitwą na kolana padła. A któryś z chłopów głośno się upierał, że to nic innego, tylko Japończycy jakieś znaki Polakom przesyłają. Dopiero pan Brzozowski ludzi uspokoił, wyjaśniając z tą polarną zorzą, co trzeba. Teraz też, kiedy o Niemcach opowiadał, słuchano go uważnie.

- Ruskie Niemcy?... Bo w Rosji się urodzili i od wieków tu mieszkają. Już car Piotr I sporo Niemców do Rosji, zwłaszcza do ówczesnego Petersburga, a dzisiejszego Leningradu, sprowadził. Specjaliści byli mu potrzebni. A już za osławionej carycy Katarzyny II, zresztą

rdzennej Niemki, która rosyjskiego cara poślubiła, w Rosji prawdziwy raj dla Niemców nastał. Od tamtej pory, za carskich czasów, aż do rewolucji, tysiące Niemców w Rosji na stałe korzenie zapuściło. Nawet niemiecki bauer, czyli chłop po naszymu, na rosyjską ziemię za chlebem wyruszył. Głównie na Powołże, na ukraińskie czarnoziemy, na które i Polacy od wieków ciągnęli, na Krym i na Taurydę. Tak się jakoś składało, że Niemcy zawsze na wschód ciągnęli, a i do dziś tego słynnego Drang nach Osten z głowy sobie wybić nie mogą. Może dopiero ta wojna ich czegoś nauczy... Stąd wzięli się ci ruscy Niemcy. A u nas, w Polsce, to co? Mało takich „polskich” Niemców było? Przypomnijcie sobie ze szkoły takiego pruskiego kanclerza Bismarcka, polskiego chłopca Drzymałę, z literatury *Placówkę* Prusa. Wielkopolska, Pomorze i prawie cały Śląsk - wszędzie tam od „polskich” Niemców aż się roilo. Nawet na naszym Podolu, nie mówiąc już o Wołyniu, też niemieckich kolonii nie brakowało.

- A jakże, a jakże! - Z pryczy zerwał się porywczy z natury Lewandowski. - Święte słowa, panie profesorze. Sam mogę to zaświadczyć. Spod Złoczowa pochodzę, a tam niemieckich kolonii pełno było. I czeskie też były. Ale Czesi to całkiem inna sprawa. Powodziło się Niemcom w Polsce jak złoto. W takich tylko Machlińcach całą spółdzielczością trzęśli: młyny mieli, mleczarnie. Nawet Żydzi ze swoimi kiepełami do interesu ani się do Niemców nie umywali. A jedną taką wielką kolonię to nawet z niemiecka Dornfeld sobie nazwali i nikt im złego słowa nie powiedział. A jaką szkołę tam mieli? Z całej okolicy szwabskie dzieci zjeżdżały się uczyć. Jak u mamy w Polsce przed wojną im było. A jak się nam te Szwaby we wrześniu trzydziestego dziewiątego odwdzięczyli? Lepiej nie wspominać, bo szlag człowieka może trafić. A kiedy Sowietci wkroczyli, to sztama z Niemcami taka, że niech się nawet Ukraińcy samostijnicy, czy te niektóre nasze biedne Żydki, co to krasnoarmiejców czerwonymi płachtami witali, schowają. To jak te ruskie Niemcy, co ich tu do nas dowieźli, byli w takiej samej sztamie z Sowietami jak tamci nasi, to ja im nasmater, i wcale ich nie żałuję.

Większość barakowych dyskutantów Lewandowskiego poparła. „A dobrze im tak, Szwabom ztraconym, to przez nich ten Hitler piekielnik i ta wojna cała”. „Gdyby Niemcy w trzydziestym dziewiątym na naszą Polskę nie napadły, to pewnie i Sowiety siedziałyby cicho, a my teraz nie musielibyśmy na tym Sybirze zdychać”. „A takie jeszcze do niedawna sojuszniki były, ten cały ichni Hitler ze Stalinem, a teraz, masz ci los, Niemcy, tak jak my, będą na Sybirze zdychać”. „A jeszcze jak na tej wojnie dobrze pójdzie i Sikorski nas do Polski wróci, to te Germańcy tak w dupę dostaną, że im się wojen na zawsze odechce”. „Chłopy, ale skoro ci Niemcy, co teraz u nas tu są, to nie takie Niemcy prawdziwe, spod Berlina czy tam z Hamburga jakiegoś, tylko takie, jak pan Brzozowski mówił, to może i oni

inaczej myślą?”. „No i co z tego, że ruskie. Ale Germańcy są? Germańcy. No to dla mnie Niemiec, ruski on, francuski czy polski, to Szwabem jest i Szwabem zostanie. Co, chłopcy, może nie mam racji?”. „Racja racją, a swoją drogą ciekawe byłoby tak po prawdzie się dowiedzieć, co to za jedni, ci Niemcy? I za co ich na Syberię zesłali”. „Do tego, zważcie, że to prawie same kobiety, starcy i dzieci”.

A pierwszym, który z zaspokojeniem owej ciekawości do Polaków pośpieszył, był nie kto inny, tylko osobiście komendant Gusiew. Jak na doświadczonego enkawudzistę przystało, łatwo przewidział, że choćby nie wiem jak się starał, to w Kajenie Niemców od Polaków nie odizoluje i przed wzajemnymi kontaktami nie ustrzeże. Spotykają się byle gdzie, choćby podczas wspólnej pracy w tajdze. W barakach ich nie pozamyka, strażnika przy każdym nie postawi. Od czasu umowy Sikorski - Stalin miał rozkaz Polakom nieco poluzować, no to im poluzował. Nawet ich za obręb Łagpunktu do Starego Kajenu, a nawet Czerczetu, wypuszczał. Natomiast Niemców, których dopiero co pod swoją komendę przyjął, miał rozkaz surowiej przypilnować. „Pamiętaj, Gusiew, że to nie byle jakie gagatki, tylko wraży naroda, sabotażyści, giemanskije szpiony albo ich rodziny. A to na jedno wychodzi”. Skoro tak, to wykombinował sobie Gusiew, że on tę polsko-niemiecką sprawę w Kajenie rozegra po swojemu. I nic tu lepszego nie wymyśli, jak spróbować Niemców z Polakami skłócić, obudzić w nich wzajemną nieufność, zniechęcić do zażyłości i bliższych kontaktów.

Zabrał się do dzieła osobiście. Nie wiecował, nie zwoływał Polaków do komendantury, tylko korzystał z każdej nadarzającej się okazji, żeby sobie z nimi ot tak, niby po przyjacielsku, pogadać. A kiedy chciał, Gusiew potrafił być jowialnie dobroduszny, poczęstować papierosem, prośby wysłuchać i nawet w tym czy w owym zesłańcowi pomóc. Przysiadł się do ogniska na tajgowej porębie, to znów wieczorkiem, niby przypadkiem, wstępował do baraku, zainteresować się, jak tam ludziom się żyje. Przysiadł na skraju pryczy, częstował papierosem i tak sobie niby to gwarzył. Ale prawie zawsze o tym samym. I kończył tak samo:

- Nu da, rzeczywiście, ciasnowato tu u was. Wybaczcie, ale musiałem was nieco zagęścić. Tych Niemców niespodzianie mi na łeb zwalili, nie było rady. Jeszcze trochę w tym tłoku pocierpie, a jak pod jesień na Ogorodnym te cztery nowe baraki wykończymy, to was w pierwszej kolejności tam przesiedlę. A teraz, jak to mówią, nie miała baba kłopotu, to jeszcze nam tu tych wrednych Germańców brakowało. Wrednieńki narodzik ci Germańcy, oj wrednieńki! Nic tylko od wieków im we łbie jakiś Drang nach Osten, a nas z wami, braci Słowian, na surowo by zjedli. Ale figa im z tego, nie wiedzą, z kim tę wojnę zaczęli. Takiego kota im wspólnie pogonimy, że się nawet w Berlinie nie opamiętają. Pamiętajcie, co

powiedział towarzysz Stalin? Powiedział, że „i na naszej ulicy budżet prazdnik”. A jak towarzysz Stalin coś powie, to żeby cały świat miał się zawalić, to tak właśnie będzie... A z tych Niemców, których nam tu przysłali, to nie myślcie sobie, też niezgorsze gagatki: rodziny szpionów, szkodników, sabotażyści, jednym słowem, to źlejszyje wraży sowieckowo naroda! Wraży naroda i zdrajcy! A tak, tak, zdrajcy! Bo musicie wiedzieć, a może już nawet wiecie, że to, tfuj, aż wstyd powiedzieć, że to są radzieccy Niemcy, nasi obywatele, którzy tu w Rosji się urodzili i ze wszelkich dobrodziejstw władzy radzieckiej pełnymi garściami czerpali. A jak się nam odwdzięczyli? Kiedy tylko Hitler na Związek Radziecki zdradziecko napadł, w tych rzekomo naszych Niemców jakby diabeł wstąpił: jeden tylko szpionaż, sabotaż i zdrada. Ale dopadła ich karząca ręka radzieckiej sprawiedliwości. Kogo należało - rozstrzelano, kogo do łagru o surowym reżimie, a tych tu - do naszego Łagpunktu. Takie to z tych naszych Niemców gagatki. Mam nadzieję, że teraz już wiecie, z kim nam tu przyjdzie mieć do czynienia. Trzeba na nich uważać, bo Germańcy to wróg podstępny i chytry jak rzadko. Uprzedzam was o tym z dobroci serca, i jako wojennych sojuszników, tak na wszelki wypadek. No i żeby potem nie było tłumaczeń, że nie wiedziałem, kto oni zasz, i takie tam jeszcze...

Słuchali go w milczeniu, ni tak, ni siak głowami kiwali, rzadko o coś pytali. „Co się z takim w politykę wdawać. Jeszcze coś nie tak zrozumie i na oko cię weźmie, a to i do katałazki wsadzi”. Dopiero kiedy komendant odchodził, między sobą pogadywali. I rzadko kto miał wątpliwość, że Gusiew podobne pogwarki z Niemcami sobie urządza, tyle że tam z kolei Polakom piórka obrabia... Ale, jak to w życiu bywa, komendant Gusiew swoje, a codzienność swoje. Zwłaszcza kiedy dzień i noc spędzasz w jednym niewielkim Łagpunkcie, gdzie już nie ma drutów kolczastych, wież strażniczych, zamykanych baraków i nikt w tym obrębie twoich ruchów nie krępuje. Nic nie było w stanie odgrodzić Niemców od Polaków, ustrzec ich przed wzajemną ciekawością i kontaktami.

Dzieciarnia była w tym pierwsza. I to ta najmłodsza, paroletnia. Gdzie takiemu małemu ludowi w głowie domyślać się, kto z nich Polak, Ruski, Żyd czy Niemiec. Stanie się to dopiero potem, kiedy podrosną i dorośli im te różnice podpowiedzą, a przy tym może i jeszcze czegoś gorszego na ten temat nauczą. A teraz, w Kajenie, może tylko przy pierwszym spotkaniu dzieciaki przyglądały się sobie z ciekawością, choć i z odrobiną nieufności; nie znali się przecież. A i to niedługą chwilę trwało. Bo naraz któreś tam podskoczyło, śmieszoną minę albo sztuczkę pokazało. Inne ją powtórzyło albo jeszcze coś nowego wymyśliło. Choć mali Niemcy znakomicie, a polskie dzieciaki gorzej, ale też już po rosyjsku umiały na tyle, żeby się w dziecięcych sprawach dogadać. Nie potraowało długo, jak się przemieszali. Chłopcy



przemądrzali się między sobą, popisywali, zabierali się do wspólnej zabawy. A dziewczynki, jak na dziewczynki przystało, zaczęły od lalek, tyle że te niemieckie lalki były jeszcze raczej takie normalne, kauczukowe, a te polskie - z wielkich cedrowych szyszek zmajstrowane, w różnokolorowe szmatki-łatki ubogo przystrojone. A potem skakanki przez sznurek i gra w klasy, na wydeptanej ścieżce między barakami. „A może w chowanego się pobawimy?”. „Dawaj, ja szcziataju: raz, dwa, tri...”. I może tylko wtedy, kiedy trzeba było się głośno nawoływać, czyjeś niezwykłe imię wywoływało uśmiech zdziwienia: „Jak ci, jak, Hilda?”. „Tadek?”. „Baldur?”. „Marcinek?”. „Roza?”.

Prawem GUŁAGU<sup>3</sup>, dzieci do lat czternastu przymusu pracy nie miały. Szkołą też im nikt głowy nie zawracał, bo jej najczęściej w Łagpunktach nie było. Dzieciakom musiało wystarczyć to, czego się w Polsce zdążyły nauczyć. I chleba raz na dobę dwieście gram, tak jak wszystkim niepracującym. I tyle. Nie dla nich już była raz na dzień wydawana zupa z robotniczego kotła, chyba że pracujący rodzic sam jej nie zjadł, tylko w jakiejś szczerupinie dzieciom do baraku przyniósł. Więc całe to podrastające i wiecznie wygłodniałe bractwo, nie licząc opieki nad zniedołężniałymi dziadkami czy młodszym rodzeństwem, całymi dniami przemyślało głównie nad tym, jak by tu czegoś do zjedzenia zdobyć. Od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, do pierwszego śniegu w tajdze i śryży na Birusie, kajeńskie podlotki, a szczególnie chłopaki, buszowały w tym celu po okolicy. Zwłaszcza po tajdze, bo co by o tajdze nie opowiadać, to właśnie tajga, mimo krótkiego lata i jeszcze krótszej jesieni, okazywała się dla nich jedyną składnicą żywności. W tajdze już od wczesnej wiosny można było nakopać saranki, czyli korzeni dzikiej lilii, narwać listków dzikiego czosnku - czeremszy. W lecie czarnych jagód nazbierać, a pod jesień, aż do pierwszego śniegu, czerwonej brusznicy. No i grzybów istne zatrzęsienie, poczynając od koźlaków, maślaków, rydzów czerwonych i białych - gruździ, na borowikach kończąc! Do tego na okolicznych bagnach - „koczkowatych”<sup>4</sup> topielach - kwaśnica i żurawina - „moroszka”. Do tego „smorodina”, czyli czarna porzeczka, dzika malina, a na łąkach - poziomki. Nieopodal Kajenu wielka rzeka Birusa, która ryby nie skąpiła; sęk tylko w tym, że nie było czym i jak tych ryb wyłowić.

Najtrudniej, najgłodniej bywało tu w zimie. A zima, wiadomo, na Sybirze najdłuższa pora roku: jak by nie liczyć, trwa od października do końca kwietnia prawie. Mrozy trzymają lute, w tajdze śniegu po pachy, Birusa grubym na metr lodem skuta. Spróbuj w takich warunkach znaleźć coś do zjedzenia. A jeszcze, jak się ubrać nie ma w co, na nogi wzuć coś

---

<sup>3</sup> Głównoje Uprawlenije Łagieriej - Główny Zarząd Łagrów.

<sup>4</sup> Koczkowate, od „koczki” - kępki splecionych trawiastych korzeni.

na zimę przygodnego. A tu mróz taki, że ledwie nieosłoniętą twarz z baraku wysuniesz, a już ci nos i uszy bieleją. Jak taką syberyjską zimę przetrzymać, jak wiosny, ciepłego słoneczka doczekać?

Ci, którym się poszczęściło - doczekali. A do tego tej wiosny dla barakowych chłopaków niespodziewana atrakcja: Niemcy w Kajenie!

Zresztą, jak już się rzekło, to właśnie chłopaki z drugiego baraku pierwsi tych Niemców wypatrzyli i tę niezwykłą nowinę po całym Łagpunkcie roznieśli. A teraz sami, w parę dni po przybyciu Niemców, korzystają z każdej okazji, żeby się czegoś więcej o tych przybyszach i w ogóle o Niemcach dowiedzieć. Przysłuchują się, co dorośli o Niemcach opowiadają, jak się na ich temat spierają i politykują. Słuchają, co komendant Gusiew o tych „ruskich Niemcach” Polakom po barakach opowiada.

Słuchają chłopaki i choć nie wszystko im się w łepetynach jak należy układa, nie wszystko rozumieją, to tym bardziej umacniają się w przekonaniu, że sami muszą się tym Niemcom dobrze przyjrzeć, najlepiej zaraz i z bliska. A zwłaszcza swoim rówieśnikom, niemieckim chłopakom i dziewczętom, których, jak już wypatrzeć zdążyli, spora gromadka się zbierze. A może pogadać się z nimi uda, no bo jak to „ruskie Niemcy”, to po rusku gadają. No, a jak się będą stawiali, to im się na początek takie manto spuści, żeby znali mores i więcej z Polakami nie zadzierali. Tu im nie wrzesień 1939 roku, niech sobie te Germańcy nie myślą...

Na takie właśnie zwiadowcze podchody do Niemców zmówiła się owa trójka koleżków, która ongiś ich jako pierwsza wypatrzyła: Kazik Gruba, Edek Ziemniak i Staszek Dolina. Kazik był najstarszy, najspokojniejszy i najostrożniejszy. Edek łagodził wszelkie spory i najchętniej zawsze zgodziłby się z każdym. Tylko ze Staszkiem, narwańcem, nigdy nie można było być pewnym, na co i jak zareaguje.

Podkradli się skrajem tajgi w pobliże niemieckiego baraku. Przysiedli na wzgórku blisko ścieżki - obserwowali, czekali. Spodziewali się, że ktoś z Niemców tędy pójdzie. Miało się pod południe, słoneczko przygrzewało, chłopakom się nie śpieszyło i byłoby im całkiem, całkiem, gdyby nie ta natrętna muszka, która z nadejściem wiosny całymi chmarami się kłębiła. Odmachiwali się od tego gadaństwa, wystawiali wyblakłe twarze do słońca, leniwie pogadywali, zerkając na ścieżkę. Ale ta wciąż była pusta. Popatrywali w stronę niemieckiego baraku. A tam, jak przed każdym barakiem, hasała rozwrzeszczana gromada maluchów. Jakaś kobieta wieszała na sznurze pranie. Stare babcie, niby kury grzędę, obsiadły grube sosnowe bale pod ścianą, a pośród nich pykał fajkę jakiś siwowłosy starowina.

- Też mi „szpiony”! - Staszek z rozmachem wypluł przeżutą trawkę.

- Same staruchy i dzieciaki. Reszta pewnie, tak jak nasi, w tajdze na robocie.

- Albo w Zatoce Koczetarskiej kloce do Birusy turlają. Tratwy na rzece zbierają, bo to i spław niedługo.

- Ech, chłopaki, na taki spław by popłynąć! - rozmarzył się Staszek. - A tam port. A w porcie statek, co aż na morze i obce kraje wypływa. Albo z tego portu do kolei. No, a potem...

- No i co potem?

- Jak to, co? Polska!... A jak już będę w Polsce...

Kazik wstał, otrzepał spodnie.

- Przestań takie bajki opowiadać, Polska, w Polsce... Chodźmy lepiej nad Birusę jakiegoś żarcia poszukać, na darmo czas tu tracimy. Niemcami się nie najemy.

- A co tam teraz nad Birusą znajdziesz? Wody z rozlewisk jeszcze nie spłynęły, ryby nie złapiesz, tylko się w błocie upaprasz.

- A właśnie o te rozlewiska mi chodzi. Mówią, że w nich pełno ryb zostało, nie zdążyły z wielką wodą do Birusy spłynąć.

- A dzikich kaczek ile!

- Akurat, ryby by ci zostały. Spłynęła Birusa, to i ryby spłynęły. A kaczkom to możesz nagwizdać. O, gdyby tak strzelbę się miało, to co innego.

- Nie wierzycie? Sam widziałem, jak wczoraj Tadek Kurylak o, takiego! szczupaka z tego rozlewiska przyniósł.

- A może takiego? - powątpiewał Staszek, rozkładając szeroko ramiona.

- Cichooo! - zasyczał Edek. - Idzie ktoś. Dziewczyny chyba.

- Dwie nawet. Wiaderko taszcza, po wodę pewnie były.

Dziewczęta zbliżały się od strumyka i niosły spodem wiaderko wody, a na ramieniu każda miała jakieś uprane fatalaszki. Nie śpieszyło im się, przystawały, pogadywały, śmiały się głośno. Spostrzegły chłopaków, zamilkły spłoszone i wyraźnie przyśpieszyły. Obydwie nastolatki, chyba rówieśne chłopakom. Odziane w podobne kwieciste sukienki. Na nogach przyzwoite trzewiki. Zawstydzony Staszek podwinął pod siebie bosc, podrapane i zakurzone stopy. Jedna z dziewcząt, ta nieco niższa, miała włosy koloru pszenicznej słomy. Druga była śniada na twarzy i czarnowłosa. Obydwie na „chłopczyce” podstrzyżone, z równo przyciętymi grzywkami na czole. Udając, że nie zwracają na chłopaków uwagi, predefilowały przed nimi z głowami do góry, nie zerknąwszy nawet w ich stronę. Dopiero jak odeszły kilkanaście kroków, przystanąły, odwróciły się jak na komendę i głośno się roześmiały. A Staszek gotów był przysiąc, że ta pszenicznowłosa język im pokazała. Ale zaraz pobiegły do baraku, nie żałując chlupiącej z wiaderka wody. Dopiero wtedy chłopakom

mowę przywróciło.

- A to głupie kozy, na śmiech im się zebrało. Myślą, że jak Niemki, to już wielkie mecyje.

Staszek wstał, spojrzął na swoje bose nogi, zerwał wiecheć suchej trawy i zaczął je z kurzu oczyszczać. Kazik głośno ziewał. Edek niepewnie drapał się po głowie.

- Z nas się śmiały. No bo my też, zamiast do nich jakoś zagadać, siedzimy i gapimy się na nie jak te dupy wołowe.

- To mogłeś zagadać, kto ci bronił?

- Ja? To ty się zawsze pierwszy rwiesz do gadania, trzeba czy nie trzeba. A teraz, proszę, proszę, takie dwie niemieckie siksy go speszyły.

- Mnie, speszyły? Pewnie, że bym zagadał, co mi tam, ale...

- Dobra, dobra, chłopaki, przestańcie się sprzeczać. Lepiej na siebie popatrzmy, jak my wyglądamy. Dziad częstochowski to przy nas burzuj prawdziwy, gdzie nam do zaczepiania dziewczyn. Może nawet i dobrze, że te Niemki nam się z bliska nie przypatrzyły, wtedy dopiero by się śmiały. A one widać miastowe, dobrze ubrane, jeszcze tu swoich łąchów nie wydarły. Ale poczekajmy trochę. Myśmy też na ludzi wyglądali, kiedy nas z Polski wywozili... No to co, chłopaki, idziemy nad Birusę czy nie?

Poszli. Tylko nie wiedzieć czemu, kiedy się tak nad tę Birusę leniwie wlekli, Staszekowi natrętnie płątała się przed oczami ta pszenicznowłosa Niemka. Tak mu się na pierwszy rzut oka spodobała? Tylko jak to może być, bo Ździśka też mu się podoba, i to najbardziej spośród wszystkich barakowych dziewczyn. E, ta Niemka to pewnie go tylko tak ciekawi. Niebrzydka. A jak te piersi sukienkę jej wypychały, jakby ze dwa jabłka tam sobie włożyła...

Kiedy wreszcie brzemienią wiosenną powodzią Birusa skruszy grubą lodową pokrywę, wyrwie się spod niej z nieprawdopodobną siłą i rozleje się szeroko poza swoje naturalne koryto, wtedy porywa i wlecze ze sobą wszystko, co jej na drodze stanie. Wśród spiętrzonych zwałów kruszącego lodu niesie wzburzona rzeka resztki pogruchotanych promowych i rybackich przystani, powyrywane z korzeniami nadbrzeżne drzewa, jakieś zapomniane na lodzie sanie, przybrzeżne szopy, szalasy, stare osmolone „banie”, a zdarza się, że jakąś nieostrożną chałupinę przycupniętą za blisko brzegu pogruchoce, zaleje i ze sobą powlecze. Czego tam jeszcze wśród tej powodziowej rwącej wody nie wypatrzysz! To płynie jakiś „sochatyj” - łoś nieostrożny, którego podczas przeprawy pękające lody uwięziły. To znów bezradny jeleni czy sarna. I nawet uchodzące za najbardziej sprytne i czujne tajgowe zwierzęta szare wilki i lisy Birusa porywa. Spływa to wszystko w dół rzeki. Ale w miarę jak

wiosenna powódź się kończy i rzeka powoli wraca w swoje stałe brzegi, z tego, co ze sobą wlokła, zawsze coś tam w rozlewiskach i na brzegu zostawi. Zostawia to, co nikomu nieprzydatne, gnije tylko i zaśmieca przybrzeżne łąki, ale i to, co się okolicznym ludziom przydaje. Czasami nawet bardzo. Tak choćby jak Staszкови z Edkiem, kiedy to tej wiosny, na takim powodziowym rozlewisku nad Birusą, znaleźli łódkę. A to ci dopiero było dla nich znalezisko! Z wyjątkiem paru łodzi, będących w wyłącznej dyspozycji komendanta Gusiewa, ludzie z baraków łódek nie mieli. A własna łódka na brzegu wielkiej rzeki to skarb prawdziwy. Bo czy to porybaczyć wypłynąć, czy do leżącego na drugim brzegu Czerczetu z czymś tam na wymianę do mieszkających tam Czuwaszy się przepawić.

Natrudzili się wtedy setnie, w mule po uszy utyłali, ale łódkę na suche miejsce wytaszczyli. Była to popularna w tych stronach dłubanka. Tutejsi wyciosywali ją i dosłownie wydłubywali w pniu potężnego kłosa, najczęściej cedru lub modrzewia. Wysuszona, nasmołowana dłubanka służyła ludziom długie lata. Znaleziona przez chłopaków łódka była w dobrym stanie. Nic tylko spuszczać ją na wodę, brać za wiosła i pływać. Ale chłopcy wiosła nie mieli. Nic to, wielka mi sztuka wiosła z deski wyciosać. Edek, spec od wszystkiego, nie takie rzeczy potrafił zmagistrować. Teraz najważniejsze to dłubankę dobrze schować; mogli oni ją tu znaleźć, to i ktoś inny też może. Przenieśli łódkę w pobliże ujścia niewielkiego potoku do Birusy i ukryli ją starannie pod wykrotem spróchniałej wierzby. Jeszcze tego wieczoru, kiedy plac budowy nowych baraków na Ogorodnom opustoszał, podkradli sposobną deskę. Nazajutrz Edek wyciosał z niej dwa wiosła, palce lizać. A wszystko to tylko w ich ścisłej tajemnicy. Teraz pozostało im cierpliwie czekać, żeby Birusa w stałe koryto wróciła i powodziową błotnistą wodę oczyściła.

Tak się złożyło, że w parę dni po tym niezbyt fortunnym spotkaniu z niemieckimi dziewczętami Edek ze Staszkiem uznali, że najwyższy czas ich dłubankę na Birusie wypróbować. Dzionek pogodny, na niebie ani chmurki, słońeczko przygrzewa, a i woda w Birusie już czystsza być nie może. No to, co bosa noga wyskoczy, do kryjówki po łódkę i na Birusę!

- Edek, a może tak na drugi brzeg, do Czerczetu, machniemy?

- Najpierw na tę wysepkę, wikliną porośniętą, co na środku. Dobrze miejsce na zastawienie kosza na ryby wybierzemy.

- A potem do Czerczetu... W zimie ścieżką po lodzie tam byłem. Tata do znajomej Czuwaszki po mleko dla chorego Tadka mnie wysłał. Takie kółko mleka zamrożonego mi dała. Mówię ci, że jak po drodze liznąłem, to mi od razu jęzor przymarzył.

- Jakoś ci nie odmarzył, bo mielesz nim i mielesz. Możemy i do Czerczetu, ale najpierw

na wyspę.

- A to dopiero Czuwaszki się zdziwią, jak nas zobaczą. No bo niby jakim cudem myśmy Birusę przepłynęli? W zimie to...

Staszka zatkało na półsłowie. Chłopcy własnym oczom nie wierzyli - pod wierzbowym wykrotem ich łódki nie było! A jeszcze wczoraj wieczorem sprawdzali. Nie trzeba było być Indianinem, by zauważyć, że wydeptane w namule świeże ślady wskazywały, że ktoś łódkę zabrał, zepchnął ją do potoku. I albo w niej do Birusy popłynął, albo, ot tak sobie, puścił ją z prądem. Tak czy tak, ich dłubanka musiała zmierzać ku Birusie. A jeśli ten ktoś puścił ją luzem, to po drodze mogła się przecież o coś zaczepić. Tak myśląc, wściekli i rozżaleni biegli brzegiem potoku, lustrując jego nurt, przybrzeżne szuwary i zakamarki. A może akurat, a może...

I nie pomylili się! U ujścia potoku do Birusy utworzyła się niewielka zaciszna zatoczka. I w tej zatoczce, niedaleko od brzegu, kołysze się na wodzie ich dłubanka, a w niej dwóch nieznanomych chłopaków. Staszek z Edkiem, przysłonięci krzakami, naradzali się, co robić.

- Ty, a może to ruskie chłopaki, ze Starego Kajenu? Łódka ich może...

- Ciszej! Zdurniałeś chyba, żeby akurat ich łódka była.

- Edek, poznaję ich, to Szwaby! Tego wyższego rudzielca wczoraj przed niemieckim barakiem widziałem.

- Szwaby!? A to skurczybyki, Hitlerzy jedne, żeby naszą łódkę... My wam tu zaraz...

I wywijając wiosłem Edek pomknął ku zatoczce, a Staszek za nim. Edek krzychał po polsku: „Stać, stać! Do brzegu, złodzieje, to nasza łódka”. Staszek też dał się, ile sił, mieszaniną słów, jakie mu tylko ślina na język przyniosła. „Stojat, job waszu... Halt, Fryce, Hande hoch!”. Z tym wrzaskiem wskoczyli do wody, płytkiej na szczęście przy brzegu, i w bryzgach przedzierali się ku łódce. Dopiero wtedy ci dwaj ich spostrzegli i z zaskoczenia nie wiedzieli, co robić. Zresztą i tak na wszystko było za późno, bo Edek już martwym chwytem uczeplił się dłubanki, a Staszek wałnął wiosłem tego rudego. Tamten odwinął w niego kijem. Dłubanka zachwiała się, wywaliła załogę do wody, a sama do góry dnem się wykopyrtnęła. No i zaczęła się w tej wodzie czupurna bijatyka i kotłowanina. Nie wiedzieć jak długo by trwała i czym by się skończyła, gdyby nie ten młodszy chłopak. „Łódka!” - krzyknął po rosyjsku i rzucił się w pogoń za dłubanką, która spokojnie odpływała z nurtem rzeki. To ich opamiętało. Dopadli dłubankę w ostatniej chwili, bo nie dość, że już na głębiny, to jeszcze wirujący prąd znosił ją na środek rzeki. Społem holowali ją na płyciznę. Nagle ten mały osłabł, a może pływał słabo, dość, że parę razy zanurzył się pod wodę i łomotał płochliwie

rękami. Dobrze, że Edek był obok, capnął małego za kołnierz i z pomocą rudego wytaszczyli go na brzeg. Staszek doholował dłubanę.

Mały leżał na brzuchu i rzygał wodą jak foka. Rudy klęczał nad nim okrakiem i naciskał mu plecy. Staszek z Edkiem, opici wodą jak bele, ciężko dyszeli. Cieszyli się, że ten mały się nie utopił. Pocieszali rudego:

- Nic mu nie będzie, wodę wypluje i w porządku.

Rudy spojrzał na nich ponuro i wciąż tego młodszego ugniatał. Tamten uniósł się, usiadł.

- Przestań mnie tak gnieść, bo wszystkie żebra mi połamiesz. Mają rację, nic mi nie jest, tylko wody się nachleptałem.

Rudy pierwszy raz się uśmiechnął.

- Wy Polaki, da? - ni to spytał, ni to się upewnił.

- Polaki... A wy Germańcy, da?

- Da... My Niemcy. To Rosjanie mówią na nas Germańcy... Z Łagpunkta my, tak jak i wy. Ja mam na imię Paul, z rosyjska Paszka na mnie wołają, a to mój młodszy brat, Ginter, po rusku wołają go Gienka... Nu kak tam, Giena?

Gienka, choć wciąż jeszcze zielony niby woda w Birusie, wyraźnie dochodził do siebie.

- W porządku, w porządku.

Edek kiwnął głową w jego stronę.

- Pływać pewnie nie umiesz?

- Kto, ja? Pływam. Tylko dzisiaj jakoś słabo mi się zrobiło.

- Pływa, pływa. Jak ma nie pływać, skoro nad Wołgą się urodził. Wołga! To jest dopiero rzeka. Jeszcze większa od tej tu...

- Birusy... Birusa się nazywa.

Gienka wstał, podszedł do Edka i klepnął go w ramię.

- Spasiba, bo gdyby nie ty... Osłabłem dzisiaj jakoś.

- E, co tam! - zachnął się Edek. - Byłeś akurat pod ręką, i tyle... Bóg cię pokarał, bo trzeba było naszej łódki nie kraść, ot co.

Edkowi wracała złość. Rudy Paszka też się najeżył.

- A czemu to zaraz „kraść”? I to akurat wam? Nie jesteśmy złodziejami. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to wasza, czy w ogóle czyjaś tam, łódka? Szliśmy sobie nad potokiem do Birusy, pierwszy raz zresztą. Idziemy, rozglądamy się, no i Gienka tę łódkę pod wykotem wypatrzył. Czyja, niczyja, a może wielka woda ją tu przywlokła? Postanowiliśmy ją

wypróbować. Ledwie spławiliśmy ją do Birusy. Wioseł nie było, no to znaleźliśmy jakieś kije, odepchnęliśmy się na pływaczę, a tu nagle wy. I nic, tylko od razu z wyzwiskami i do bicia.

- Dobra, dobra! A ty na naszym miejscu co byś zrobił, jakby ci tak ktoś twoją łódkę podiwanił?

Edek nie zamierzał ustępować. Rudy klarował dalej:

- W porządku, czort bierz tę bijatykę; wy nam, my wam, każdemu coś się tam oberwało... Pewnie pod wieczór wargę mi jeszcze bardziej spuchnie... Mniejsza o bijatykę, ale po co wy z tymi przezwiskami do nas? Joby, czy inną tam „matierszczyń” w złości, rozumiem. Ale żeby nas jakimiś tam „Frycami”, „Szwabami” wyzywać, „Hande hoch” do nas, jak do jakichś tam hitlerowców czy faszystów krzyczeć? Myślicie, że my gazet nie czytamy, filmów wojennych nie oglądamy i nie wiemy, co teraz wszyscy dookoła o nas, o Niemcach, myślą, i jak nas przezywają?

Staszek się odezwał, bo to on im od „Fryców” wymyślał i „Hande hoch!” krzyczał.

- Wkurzyłem się na was, to i przeklinałem. A tu w Łagpunkcie gazet sobie nie poczytasz... Jeden tylko wojenny film o tym waszym... no, o tym Hitlerze, komendant Gusiew nam niedawno pokazywał. Bo tak to ja niemieckiego ani w ząb. No, może jeszcze: „Hitler kaput!”, z tego filmu zapamiętałem.

- Co się będziesz przed nimi usprawiedliwiał. - Edek brał stronę przyjaciela. - A kto was tam, Niemców, wie, kim wy tak naprawdę jesteście. Jak tylko was do Kajenu przywieźli, to sam komendant Gusiew naszych ludzi ostrzegał, żeby na was uważać. „To wrogów naroda, mówił, wrednieli i gitlerowskije szpiony”.

- Kto? To niby my „gitlerowskije szpiony, wrednieli i wrogów naroda”? - Paszka aż poczerwieniał z oburzenia. - Człowieku, co ty wygadujesz? A czy ty wiesz, że nasz ojciec w boju z hitlerowskimi faszystami pod Moskwą poległ? Pośmiertnie medalem za odwagę odznaczony. Mamie razem z pochoronką medal przysłali. Mamy go tu w baraku, mogę ci pokazać. Ja komsomolec, Gienka pionier, a ty nam tu będziesz od jakichś szpionów i hitlerowców wymyślał? O nie!

Wyraźnie przejęty Paszka ze złości mało się nie rozplakał. Edek złagodniał.

- A skąd my możemy wiedzieć, jak tam z wami naprawdę... Powtarzamy, co mówił nam o was komendant, i tyle.

- A myślicie, że on w naszym baraku o was, o Polakach, nam nie opowiadał? Przed wami nas nie ostrzegał? „Wy, obywatele radzieccy, mówił, powinniście na tych Polaków uważać, bo to jeden w drugiego kułaki burzuje i polskie pany”. A zresztą, co będę powtarzał...



Niech komendant gada, co chce, a my i tak wiemy swoje o Niemcach, tak jak wy o Polakach.

Milczeli chwilę. Otrząsali się z resztek wody, siedzieli i suszyli się na ciepłym słoneczku. Staszka nękała ciekawość.

- A wytłumacz ty nam, Paszka, skoro jest tak, jak nam opowiadałeś, no, o waszym ojcu, że wy, radzieccy obywatele, ty komsomolec, wytłumacz, za co was w takim razie na Sybir zesłali? No bo nas, Polaków, wiadomo.

Paszka pogryzał trawkę. Wstał, trawę wypluł i szeroko, bezradnie rozłożył ramiona.

- A tego to ja ci też nie powiem. Nie powiem, bo nie wiem. Różni różnie na ten temat gadają. Choćby taki komendant Gusiew czy ci, którzy kazali nam się w pół godziny z naszego rodzinnego domu nad Wołgą wynosić. Najpewniej wszystkiemu ta wojna winna. Nie rozumiem tego, nie wiem...

Miało się pod południe, podeschli i uznali, że czas się zbierać. Edek ze Staszkiem trzymali fason do końca. Spuścili łódkę na wodę. Paszka z Gienkiem stali na brzegu. Któryś spytał.

- Dokąd wy teraz, na ryby?

- Gdzie tam! Na ryby wieczorem, teraz my aż na drugi brzeg, do Czerczetu.

- No, no. Dacie radę z jednym wiosłem?

- A bo to dla nas pierwszozna?

Łgali jak z nut. Paul powtórzył to swoje „no, no”, a Ginter pokiwał im ręką na pożegnanie. Staszek też mu pomachał. A że stał, zachwiał dłubanką i mało się nie wywrócili. Edek warknął.

- Uważaj! Chcesz się znowu wykapać? Też mi koleżków sobie znalazł, rączkami na pożegnanie im wymachuje.

- A jak niby miałem? Ty, kurcze, lepiej uważaj, bo zaraz za ten wykrot zaczepimy. A jak na środek nas zniesie?

- Nie zniesie, nie zniesie... O tak, wiosłem raz, dwa i już jesteśmy przy brzegu. Nie śledzą nas czasem te Szwaby? Bo znowu nam łódkę podiwanią.

Zręcznie ominął wykrot; łódka wpłynęła do zasłoniętej zatoczki i dobiła do wysokiego brzegu. Wynieśli ją na brzeg i skrzętnie w pobliskiej tajdze ukryli. Edek odetchnął z ulgą.

- No, tutaj to już nie tylko żaden Szwab, ale nawet sam czort jej nie znajdzie. A to ci Szwaby! Mało łódki przez nich nie straciliśmy. - Syknał, dotknąwszy naderwanego w bójce ucha. - A ten im jeszcze na pożegnanie rączkami wymachuje, koleżków sobie znalazł.

- Marudzisz jak babka Szajnina. A co niby, miałem ich jobami obrzucić? Wytłumaczyli ci, jak z łódką było, a ty wciąż... A zresztą... My się lepiej, kolego, pośpieszmy,

bo tam Zdziśka z Tadkiem czekają. Ładnie będziemy wyglądać, obiecaliśmy im ryb przynieść, a tu guzik z tego.

- Ja im tam niczego nie obiecywałem, a tym twoim Szwabom nie wierzę i już.

Wracali do baraków przez świeżo zieleniejące podmokłe łąki, żeby zamiast obiecanych ryb choć parę garści lebiody, pokrzywy czy dzikiego szczawiu na jakąś zalewajkę nazbierać.

„KTO NIE RABOTAJET - TOT NIE KUSZAJET” - sztandarowe hasło stalinowskiego Kraju Rad. W miastach, w fabrykach i kołchozowych świetlicach biło po oczach rozpisane czarnymi literami na czerwonych transparentach. To był nie tylko propagandowy slogan, to była powszechnie obowiązująca i rygorystycznie egzekwowana rzeczywistość. Przed wojną obowiązywała wszędzie. A teraz, wraz z wybuchem wojny w czerwcu 1941, pojawiło się dodatkowe hasło: „WSIO DLA FRONTA - WSIO DLA POBIEDY!”. „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa”. I za wszelką cenę. Za cenę ludzkiego życia też. Nie tylko żołnierzy na froncie, ale i ludzi na jego zapleczu. Egzekwowano je rygorystycznie. Za parominutowe spóźnienie do pracy - kara. Za markieranctwo albo celowe opuszczenie pracy „proguł” - pod sąd i do łagru na ciężkie przymusowe roboty. Zepsuła się tokarka, samochód, traktor, padł koń, krowa, zdechła świnia w kołchozie - śledztwo z podejrzeniem o szkodnictwo - „wreditielstwo”, a to i sabotaż. O karze za coś takiego... strach wspomnieć. Nie mówiąc o represjach i jeszcze surowszych karach za defetyzm i małą wiarę, za narzekanie na radziecką władzę.

„KTO NIE RABOTAJET...”, „WSIO DLA FRONTA...”. W Łagpunkcie Kajen takich hasła na czerwonych transparentach nie malowano chyba tylko dlatego, że komendant Gusiew farby ani płótna nie miał. Ale on i jego pomocnicy znali te hasła na pamięć. I bez marnowania płótna na transparenty gorliwie starali się je wbijać do łbów tych upartych, zarozumiałych „polskich panów” i je wyegzekwować. Jeśli nie groźbą, to karą. Od czego zresztą komendant miał do dyspozycji „katalażkę”, dodatkowy przydział kawałka chleba, torebki kaszy czy miski zupy. Jak każdy łagier czy Łagpunkt w katorżniczym państwie gułagu, tak i Kajen miał wyznaczony rodzaj pracy i ściśle obowiązującą normę do wykonania. W Kajenie, w Kaluczem nad Pojną, podobnie jak w całym Tajszetłagu, głównym zadaniem było pozyskiwanie drzewa w tajdze. Tajgę ścinano przede wszystkim w zimie. Siłą ludzkich mięśni zwłoczono ścięte drzewa z poręby i na wysokim brzegu rzeki układano je w wielkie sztable. Z wiosną, po zejściu lodów z syberyjskich rzek, okorowane kłocę turlano do wody i wiązano je w długie, wieloczlónowe tratwy. Z Kajenu tratwy płynęły Birusą do rzeki Czuny, Czuną do Angary, Angarą do Jeniseju, a Jenisejem do przystani w Lesosybirsku. A bywało,

że jeszcze dalej, aż do portu w Jenisejsku.

Łagpunkt Kajen miał więc wyznaczony rodzaj pracy i normę, ilość kubików drewna w tajdze do pozyskania. A komendant, oprócz nadzorowania zesłańców, musiał wykonanie tego planu wyegzekwować. Gonił więc Gusiew do roboty w tajdze żywego-krzywego. Nie było dla nikogo „zmiłuj się”, bez różnicy - Niemiec to czy Polak.

W tej sytuacji chytry plan komendanta Gusiewa, żeby skłócić Polaków z Niemcami, z dnia na dzień walił się w gruzy. Zresztą, jak tu ich skłócić, kiedy każdy z nich myśli przede wszystkim o tym, jak tu kolejny dzień przeżyć. Tu wszystko dla wszystkich jednakie. Nawet ta zesłańcza chandra i beznadzieja. I wspólna praca też. W pojedynkę potężnego drzewa w tajdze nie powalisz, a do piły trzeba stanąć w parze. I brali się za tę piłę Niemiec z Polakiem. Nikt też sam w śniegu po pas, przez chaszczki i wądoły, ściętej sosny na brzeg Birusy dowlec nie zdoła. Nawet sturlać jej do wody sam nie poradzi, a co dopiero tratwę na wodzie zmontować. Jak tu Niemców i Polaków upilnować, żeby się ze sobą nie kontaktowali, nie rozmawiali. A jeśli w takich warunkach człowiek z człowiekiem rozmawia, to nawet Niemiec z Polakiem, Bóg jeden raczy wiedzieć do czego się dogadają, jak się porozumieją. Choćby jak stary Giczoł z drugiego baraku. Wracają sobie kiedyś z roboty z panem Zarembą i tak sobie o tych ruskich Niemcach pogadują:

- Wiesz pan co, panie Zaremba? Niby te nasze Niemce to takie same zesłańce jak my, ale mnie się zdaje, że tak nie całkiem. No bo sam pan popatrz. Ledwie te Niemce w Kajenie nastali, a już niektórzy lepiej od naszych mają. I gdzie się tylko da, gdzie ino trochę lżej i lepiej, wszędzie się Niemce powpychali. A jeden Szwab to nawet naszym brygadzystą został. A jak się rządzi, jak komendantowi nadskakuje! Zaczyna nawet na Polaków pokrzykiwać. Pan sobie wyobrażasz, żeby Niemiec do mnie z pyskiem? Myślałem, że mu łeb siekierą rozwałę... A ten cały nasz komendant niby tak na tych Niemców wygadywał, a tu, patrz pan, samymi Szwabami się otoczył. Niemka coś mu tam na liczydłach liczy, Niemka w kasie dzieńgi nam wypłaca... Albo nawet ta nowa felczerka to niby kto? Też Niemka. A wszystkie te Szwaby po rusku chyba jeszcze lepiej niż po niemiecku szwargoczą. Bez mydła by komendantowi wleźli. Co, może nie mam racji?

- Masz i nie masz pan racji, panie Giczoł. Weź pan pod uwagę, że to są ruskie Niemcy, tutejsi. Sowieccy obywatele. W Rosji się urodzili, do tutejszych szkół chodzili. To z kim takiemu ruskiemu komendantowi łatwiej się dogadać, z nimi czy z nami? Jak my po rusku ledwie, ledwie, chyba tylko przekleństwa jakieś... Do tego Niemiec, panie Giczoł, od urodzenia porządek i dyscyplinę lubi, nie to co nasz brat, Polak. Może dlatego ten brygadzysta do pana się stawiał, bo mu się pan objął, a on nakazaną normę chciał wyrobić. A dla Niemca,

panie Giczoł, rozkaz i norma to święta rzecz. A ta felczerka, mówi pan, Niemka. No i co z tego? Sam pan przyzna, dobrze, że ona tu jest. Zawsze coś tam pomoże. Do tego, panie Giczoł, mówią, że to nie jakaś tam felczerka, tylko prawdziwa doktorka. Podobno nawet jakaś profesorka z Leningradu.

- Mówisz pan? Może być nawet... Sam u niej niedawno byłem, bo mnie okropny kaszel męczy, płuca ze mnie wydziera. Grzeczna, nie powiem. Opukała mnie, osłuchiwała. Pokiwała głową, przepisała mi jakiś proszek, żebym od razu u niej połknął. Szklanekę wody do popicia podała. I nawet trzy dni zwolnienia mi wypisała. Tylko że ten cholernik komendant tego i tak nie uwzględnił. „Niczewo, mówi - idzi robotaj”. A ta felczerka czy doktorka jeszcze do mnie mówi, żebym „kuszal charaszo” i nie kurzył. Żartuje sobie chyba! „Kuszac” to ja bym kuszal, tylko co. A tytoń kurzę od dziecka, tyle że teraz samo świństwo, machorkę z mchem mieszam. Może od tego mchu taki kaszel? Grzeczna ta Niemka była, nie powiem. Jeszcze na odchodne znowu z tym swoim, żebym nie kurzył. I co słowo, to ino u was, że niby u mnie, „czachotka”. „Czachotka”, jak ta papuga powtarza. A nie wiesz pan czasem, panie Zaremba, co to po rusku ta „czachotka” znaczy?

Niemka, „felczeryca”, bo tak potocznie ludzie o niej w Kajenie mówili, była rzeczywiście dyplomowaną lekarką. Deportowano ją z Leningradu. Z domu Hanisch, a po rosyjskim mężu Borisowa, na imię miała Maria. W Kajenie była z dwójką dzieci. O mężu nigdy nie wspominała. Polacy zgłaszali się do niej ze wszystkimi chorobami i bólami. Chciała i umiała pomóc, tylko nie miała czym leczyć: natrium bicarbonicum, jodyna, trochę chininy. I jakieś śmierdzące dziegiem maści na świerzb - to cała jej apteczka. Nawet zamiast bandaży stare, wygotowane w ługu szmaty. A czym tu leczyć nagminne w Kajenie przypadłości - czerwonkę, chroniczne biegunki, malarię, głodowe wyniszczenie organizmu, flegmonę, zapalenie płuc. I coraz częstszą gruźlicę - „czachotkę”, jaką zdiagnozowała właśnie u pana Giczoła.

Zesłańczy cmentarz na skraju tajgi wciąż się rozrastał. Do pogrzebanych na nim Polaków zaczęli dołączać Niemcy. Nie minął nawet tydzień od ich przybycia, jak zmarła staruszka Niemka. Niedługo po niej niemowlę przy piersi. I tak, w miarę upływu czasu, umierali na przemian i chowani tu byli Polacy i Niemcy.

Polskich grobów w Kajenie nie brakowało: Jan Byrski, czteroosobowa rodzina Mazurów, Marysia Malinowska, Gienek Niski, Janka Głuszek, Zosia Manterys, Mela Zontek, babcia z dziadkiem Czulakowie, stary Grasela, Zelek i nauczyciel Korczyński.

Na pierwsze pogrzeby w Kajenie, podobnie jak w Kaluczem, chodzono tłumnie. A ogólnie szanowanego Jana Byrskiego, gospodarza nad gospodarze z podolskiej Podśniatynki

pod Zaleszczykami, chowano z uroczystą procesją prawie, bo chyba tylko księdza i żałobnych chorągwi brakowało. Ale skąd tu chorągwie i ksiądz?

Ale, jak to w życiu, wszystko człowiekowi obojętnieje. Nawet śmierć i częste pogrzeby. Tylko wiekowe pobożne starowiny, dopóki ich jeszcze nogi jako tako nosiły, żadnego pogrzebu nie opuściły, nawet niemieckiego. Towarzyszyły zmarłym z chrześcijańskiego obowiązku, a pewnie i ze zwykłej ciekawości.

- ...A widziałaś pani, jaki krzyż tej starej Niemkini na mogiłce postawili? Całkiem jak nasz, katolicki. Nie taki wieloramienny, co sobie Ruskie i te nasze Ukraińcy na Podolu stawiają. Pewnie te Niemce to takie same katoliki jak my.

- Moja pani, a kto ich tam wie, katoliki oni czy nie.

- Ale żegnają się po naszymu, sama widziałam.

- No i co z tego? Niemcy, moja pani, to przeważnie lutry są, albo ewangeliki. Katolików wśród nich, moja pani, podobno na palcach policzysz. Wiem, co mówię, bom pod Złoczowem blisko takiej niemieckiej kolonii mieszkała. Heretyki to są, te Niemcy, raczej.

- Co też pani mówi! To niby takie, jak u nas ta „kocia wiara”?

- Coś chyba takiego... Ale i tak dobrze, bo choć w Boga wierzą. Lepiej popatrz pani na te inne niemieckie groby: niektóre całkiem bez krzyży, tylko jakieś słupki na nich postawili.

- A rzeczywiście!

- No, widzi pani? Znak to, że i bezbożników wśród tych Niemców nie brakuje. Nie darmo sami się „ruskie Niemcy” nazywają. Jakie tam te nasze Niemcy na Wołyniu były, to były, ale to były prawdziwe Niemcy. A te tu, pani... Jednemu to nawet na takim słupku czerwoną gwiazdę, niby bolszewikowi jakiemu, przybili.

- Co też pani powie! Nie wiedziałam. Pokaż pani, na którym, gdzie ta gwiazda?

- O, chyba na tamtym była... Ale mówią, że jak się o tej gwieździe komendant dowiedział, to zaraz kazał ją zedrzyć.

- Sowiet, i czerwoną gwiazdę kazał zedrzyć? A to niby dlaczego?

- Czego nie wiem, moja pani, tego nie wiem. O, widzisz pani, tylko goły słupek sterczy. Nawet tabliczki z nazwiskiem brakuje.

- A kto to mógł być, ten tu pochowany?

- Mówią, że taki jeden młody Niemiec, co to niby z wojny wrócił i dopiero tutaj w baraku od ran umarł. Nie powiem pani więcej, bo sama na jego pogrzebie nie byłam, wiem tyle, co mi Szajnina opowiadali.

Nie zmyślały babcie o tej gwieździe czerwonej na niemieckiej mogile, tylko że całej prawdy o tym zdarzeniu nie znały.

Późnym latem, kiedy żółknące liście brzoź jako pierwsze zwiastują zbliżającą się jesień, pod niemiecki barak podjechała płaskodenna furmanka ze Starego Kajenu i przywiozła człowieka w mundurze radzieckiego żołnierza. Ci, którzy to widzieli, opowiadali, że przyjezdny nie mógł o własnych siłach zwlec się z wozu i trzeba go było do baraku zanieść. Wkrótce też rozniosło się po baraku, że choć to Niemiec, ale prawdziwy frontowy żołnierz, który walczył z hitlerowcami pod Moskwą czy gdzieś tam jeszcze. Był ciężko ranny i stracił nogę. Pochodził znad Wołgi. Kiedy wojował, a potem beznogi tułał się po lazaretach, jego rodzinę jako „wrogów naroda” deportowano na Sybir. Jakimś cudem udało mu się dowiedzieć, gdzie są, no i po wielu perypetiach dotarł do Kajenu. Beznogi kaleka z niedoleczonymi ranami, jeśli pogoda sprzyjała, wygrzewał się przed barakiem na słoneczku. A właściwie to chyba liczył swoje ostatnie dni, dogorywał. Kiedy zmarł, Niemcy uznali, że jako frontowemu radziekiemu żołnierzowi należy mu się nagrobna czerwona gwiazda. Wycięli gwiazdę z deski, na czerwono pomalowali i zwieńczyli nią nagrobny słupek. Do tego na tabliczce oprócz imienia i nazwiska napisali, że pochowano tutaj frontowego żołnierza. Nie wiedzieć co bardziej komendanta Gusiewa rozwścieczyło - owa gwiazda czerwona, czy ten napis. Zaczął od gwiazdy. Krzyczał na Niemców: „A kto wam na to pozwolił? Radziecki herb, czerwoną gwiazdę, na niemieckim grobie hańbić? Frontownik? A kto go tam wie, co on na tym froncie robił. Tchórzowi i zdrajcy też może nogę urwać... U mnie w Łagpunkcie liczy się tak samo jak wszyscy: frontowiec nie frontowiec. A oni mi tu z czerwoną gwiazdą! Może jeszcze kompanię honorową miałem mu wystawić? Maślenkin, marsz mi, ale to migiem, na cmentarz, zdejmij tę gwiazdę, żeby się tam już ani sekundy dłużej nie hańbiła. A to jobanyje Fryce! Nasi tam Leningradu bronią, pod Stalingradem na śmierć stają, a ci mi tu jeszcze jakieś prowokacje z czerwoną gwiazdą urządzają”.

Wojna, front, ciężkie walki pod Stalingradem, okrążony Leningrad... Jakie to wszystko tamtego lata wydawało się od Kajenu dalekie, prawie nierealne. Zwłaszcza że o aktualnej sytuacji na froncie nawet komendant Gusiew wiedział tyle, co z gazety „Prawda”, docierającej do Kajenu ze znacznym opóźnieniem, i to nieregularnie. A bywało, że wcale, bo ktoś po drodze użył jej zamiast bibułek do machorkowego skręta. Nie było w Łagpunkcie radia, a przedpotopowy telegraf w komendanturze służył tylko do wystukiwania służbowych depesz do Tajszetłagu i milicji w rejonowym Szytkino.

Tymczasem, kto to wie, być może właśnie w lecie 1942 roku ważyły się losy tej wojny. Rok już prawie bronił się resztkami sił oblężony, wymierający z głodu Leningrad. Na południu potężna niemiecka ofensywa zalewa Kaukaz, zaciekle szturmując Stalingrad, zdobycie którego Hitler stawia sobie za punkt honoru. Zacięte walki trwają na pozostałych

frontach. Po obydwu stronach straty walczących armii zaczynają liczyć w setkach tysięcy, w milionach poległych. Strat wśród cywilnej ludności i wojennych ruin nikt już nawet nie liczy. Jak Związek Radziecki długi i szeroki, coraz częściej i częściej połowa poczta doręcza rodzinom frontowych żołnierzy tak zwane „pochoronki”, urzędowe powiadomienia o śmierci na wojnie ojca, syna, męża...

W najbliższej od Łagpunktu wiosce, w Starym Kajenie, tamtego lata nie było rodziny, żeby kogoś na wojnie nie miała. Tamtejsze kobiety oczekiwały na listy z frontu z nadzieją pomieszaną z trwogą; „Nie daj Boh, pochoronka...”. Rzeczywistości samą nadzieją zaczarować się nie da. Listy - trumny, „pochoronki” - do Starego Kajenu nadchodziły coraz częściej i częściej. Owładnięte rozpaczą kobiety, zwłaszcza Rosjanki, bo z natury stonowane Buriatki czy Czuwaszki inaczej taki sam ból okazywały, rwały włosy na głowie, ręce ku niebu unosiły i u całej wsi na widoku wyplakiwały - „gołosiły” swoją krzywdę i żal. W takim boleściwym amoku przeklinały wszystkich i wszystko, a zwłaszcza tę wojnę okrutną, która im najbliższych na zawsze zabrała. Pomstowały na tego czorta rogatego, Hitlera, bo inaczej go sobie wyobrazić nie potrafiły. I na tych Germańców, takie samo jak Hitler czarcie plemień. „Jeszcze nam ich tu w Kajenie brakowało, tych Germańców proklatych. Siedzą sobie u nas jak u pana Boga za piecem, chleb nasz żrą, a nasi gdzieś tam na froncie, przez takich jak oni swoje młode główki do zimnej mogiłki kładą. Ja bym ich wszystkich tych Germańców... Oj, trzymajcie mnie baby, bo ja sama nie wiem, co z nimi zrobię! Oj Mitia ty mój, Mitieńka, czemuś ty mnie młodą wdową, a dzieci swoje, nieboraczki bezwinne, sierotami na tym świecie zostawił...”

Nie lubili miejscowi Niemców, i już. I rzadko komu z nich chciało się wniknąć w skomplikowane losy zesłanych na Sybir „ruskich Niemców”. W rozpaczcy łatwiej o mściwą nienawiść niż o zdrowy rozsądek. Toteż sporo wody musi jeszcze w Birusie upłynąć, nim Niemcy z kajeńskiego Łagpunktu będą mogli w miarę bezpiecznie, bez narażania się na obelgi i wyzwiska, pojawiać się w Starym Kajenie i w okolicznych tajgowych osadach.

Z polskimi zesłańcami rzecz miała się zgoła odmiennie, i to od samego początku. Miejscowi, rdzenni Sybiracy, zawsze Polakom współczuli i jeśli tylko mogli, nigdy nie odmówili im pomocy. Tak też było w Kajenie i wszędzie nad Birusą, od Czerczetu i Pojmy, przez Tronino, Buzykatowo, aż hen do rejonowego Szytkina. Zresztą wszędzie, nawet w tajdze najdzikszej, dokąd zesłańcze losy Polaków rzuciły. Na Syberii, nie licząc prawowitych od wieków gospodarzy tej ziemi, Buriatów, Czukczów, Ewenków czy Jakutów, większość Sybiraków to rosyjska ludność napływowa. Jeśli nie z własnej woli tu ongiś przybyła i osiadła, to od pokoleń była na Sybir zsyłana. A zesłaniec, choćby z nie wiadomo jak dawnego

pokolenia, zawsze zesłańca zrozumie. Tym bardziej że na Syberii, kogo jak kogo, ale Polaków, wśród carskich zesłańców też od wiek wieków nie brakowało. Nawet tutaj, w Starym Kajenie... Mąż Stieszy, przewoźnicy na promie przez Birusę, który niestety na wojnie poległ, był Polakiem. „Władysław miał na imię, a po ojcu Kazimirowicz, po nazwisku Ostrowski. Jego ojca, tego Kazimierza, z samego miasta Warszawa, jeszcze car na Sybir zesłał. Byłeś ty kiedyś w tej Warszawie?” - pytała Stiesza. „Nigdy”. Staszek mówił prawdę, a w duchu żałował, że nie może Stieszy o Warszawie opowiedzieć... W Starym Kajenie jeszcze jeden dawny „syberyjski” Polak mieszkał, Smoliński. Ale ten, dziś samotny, zahukany i tracący pamięć starzec, choć polskość się nie wyrzekął, nie chciał albo już nie potrafił o swoim losie niczego opowiedzieć. Płakał jedynie na dźwięk polskiej mowy, bo sam już prawie polskiego zapomniał, tylko jeszcze przeżegnać się umiał. W Pojmie mieszkała zruszczona rodzina Sienkiewiczów, która o Polsce, a tym bardziej o sławnym Henryku, mglistego pojęcia nie miała. W Tronino też była zruszczona rodzina Wysockich, z której tylko dziadek do polskość, i to w tajemnicy przed wnukiem komsomolcem, się przyznawał. Mówili ludzie, że nawet w Czerczecie, rdzennej wiosce Czuwaszów, ongiś wzenił się jakiś Polak o historycznym nazwisku Kiliński. A ilu jeszcze z tutejszych bało się do polskość przyznać?

Wszystko to razem, do tego język podobny i słowiańska dusza, sprawiało, że Polak na Sybirze nie był dla miejscowych przybyszem z innej planety. A tym, że to „burżuj, pomieszczyk, kułak, polskij pan”, czy jak tam jeszcze władza radziecka polskich najnowszych zesłańców przedstawiała, tutejsi nie za bardzo się przejmowali. „Polak eto Polak, a Germaniec wsiegda Germańcom ostanietsa; czużak on i wsio”.

A jeszcze przychylniej zaczęto na Polaków spoglądać od czasu umowy generała Sikorskiego ze Stalinem w sierpniu 1941 roku i ogłoszeniu amnestii dla polskich zesłańców. Wtedy po całej Syberii rozeszła się wieść, że Polacy swoje wojsko na terytorium ZSRR tworzą i tylko patrzeć, „jak razem z naszymi bić Germańca na front ruszą”. „Polaki eto tiepier sojuźniki!” - tak mówili między sobą Rosjanie.

Również wśród polskich zesłańców od tamtej pory wrzało. „Podobno generał Sikorski ze Stalinem nie tylko amnestię nam załatwił, ale że nawet wojsko polskie w Rosji powstanie!”. „To ci dopiero wiadomość! No bo jak wojsko polskie, to i wolna Polska, a jak Polska, to i my po wojnie z tego Sybiru do swoich domów powrócimy”. „Tylko gdzie ten Sikorski, gdzie to nasze wojsko? Gdzie i jak ich szukać?”.

„Podobno, podobno”... Tyle tylko od sierpnia 1941 roku, od czasu tej amnestii, Polacy z Kajenu wiedzieli i słyszeli. Rok mija, jak jeszcze w Kaluczem, ze łzami w oczach *Jeszcze*



*Polska nie zginęła* śpiewali. A komisarza NKWD z Tajszetu, który im tę radosną nowinę ogłosił, do góry podrzucali. Tymczasem czas leci, większość ludzi z Kaluczego przeniesiono do Łagpunktu w Kajenie, a oni nadal niczego konkretnego o tym polskim wojsku nie wiedzą. Dopytują się w Szytkinie, ktoś, chyba Kolabiński, nawet do Wojenkomatu w Tajszecie dotarł, i wszędzie słyszą podobną niejasną odpowiedź:

- Powstaje to wasze polskie wojsko, powstaje. Ale dokładnie gdzie, nawet my jeszcze nie wiemy. Podobno gdzieś tam, za Uralem. Albo jeszcze dalej na południu, w Uzbekistanie może. Będzie rozkaz, to was do tego wojska weźmiemy. Czekaście spokojnie, pracujcie tam, gdzie pracujecie. Gdzie się tak śpieszycie? Nie martwcie się, wojna wam nie ucieknie.

Komendant Gusiew, któremu jak rzadko zależało, żeby Polaków się nie pozbywać, no bo niby jak bez nich nałożone na Łagpunkt normy wyrębu tajgi wykona, przekonywał ich podobnie.

- Przyjdzie pora, to was wezwą. A dla frontu to może nawet więcej możecie tu na zapleczu zrobić. Co, myślicie, że ja sam, czy moja Wochra, nie wolelibyśmy na front, piersi do medali wystawić? Ale pokornie spełniamy swój obowiązek i nie narzekamy. Tak i wy pracujcie tu i spokojnie czekajcie. Czy tam, czy tu, i tak „wsio dla fronta, wsio dla победы”.

Machali ręką na takie gadanie. No bo czy taki Gusiew zdaje sobie sprawę, co tutaj na Sybirze dla nich, dla Polaków, znaczą: Polska, wojsko polskie?

Rada w radę, i paru co bardziej niecierpliwych młodych mężczyzn z Kajenu zdecydowało się dłużej nie czekać, tylko na poszukiwanie tego polskiego wojska wyruszyć. Jak się zmówili, tak zrobili. W tajemnicy, żeby ich czasem komendant Gusiew przymusem w posiołku nie zatrzymał, poszli wtedy: Józek Byrski, Władek Żurek i Staszek Brzozowski. A już prawie w ostatniej chwili zaryzykowały i dołączyły do nich dwa młode, bezdzietne małżeństwa Gibałów i Kalabińskich. „Co im tam, kawalerom, albo tym, co małych dzieci nie mają, tacy mogą ryzykować...” - ni to usprawiedliwiali się, ale chyba bardziej zazdrościli śmiałkom, mężczyźni starsi, żonaci i dzieciaci. Choćby taki Dolina, Malinowski czy Stanisław, którym żony jeszcze w Kaluczem poumieraly i małe dzieci osierociły. Ale wszyscy dobrze życzyli zwiadowcom: „Niech ich tam Bóg prowadzi. A jak znajdą to nasze wojsko, dadzą znać, to i my wtedy za nimi wyruszymy. No bo jakże inaczej, chłopcy, jak?”.

Kiedy wyruszali ci pierwsi z Kajenu polskiego wojska szukać, dopiero wczesna wiosna w tajdze była. Czekają Polacy w Kajenie wieści o nich i od nich, martwią się, niecierpliwą, a tu nic, poszli, przepadli jak kamień w wodzie. A i o tym polskim wojsku żadna oficjalna wiadomość do Kajenu nie dociera. Ludzie nie wiedzą, co o tym wszystkim myśleć, z dnia na dzień zwątpienie zmienia się z nadzieją. Nie wytrzymało tego oczekiwania

trzech następnych śmiałków, dwóch braci Markowskich i Franek Suski. „Mamy czekać, aż wszyscy tu wyzdychamy? A może specjalnie komendant o naszym wojsku prawdy nam nie mówi, bo takich jak my do roboty w tajdze potrzebuje. Niech się dzieje, co chce, my też idziemy tego naszego wojska szukać. Co będzie, to będzie, idziemy? Idziemy!”. I przybili rękami na zgodę.

Tajemnica tajemnicą, ale i tak cały ich barak, co zamierzają, wiedział. Najważniejsze, żeby wieść o tym do komendanta Łagpunktu nie dotarła. Braciom Markowskim, kawalerom, nikt się tego ryzyka specjalnie nie dziwił. Co innego Suskiemu, chłopu żonatemu i dzieciatemu. Żona popłakiwała, prosiła, żeby nie szedł, ale ten uparty góral postawił na swoim. „Niech no tylko nasze wojsko znajdziemy, dam ci znać. Nie płacz, zobaczysz, że będzie dobrze. A ty tu przez ten czas wśród swoich nie zginiesz: Byrskie, Czulaki ci pomogą... poradzisz sobie, poradzisz...”.

Odczekali na wolną niedzielę, która raz w miesiącu ludziom w Łagpunkcie przysługiwała, i w sobotę w nocy poszli.

Komendanta Gusiewa zaalarmował brygadzysta w poniedziałek, kiedy owa trójka nie stawiała się do pracy. Kazał sprawdzić w baraku, może zachorowali. Wtedy sprawa się wydała. Gusiew mało apopleksji nie dostał, bo nie dość, że mu robota kulała, to jeszcze o samowolnym porzuceniu pracy i ucieczce z Łagpunktu musiał zawiadomić przełożonych z Tajszetłagu. A już tam go za to na pewno nie pochwalą. Zarządził dochodzenie, paru ludzi z tego baraku do „katałażki” zamknął, ale poza tym, że uciekinierzy wybrali się wojska polskiego szukać, niczego innego się nie dowiedział. Kolejny raz wszystkie polskie baraki obszedł.

- Opamiętajcie się, ludzie. Czy nie zdajecie sobie sprawy, że jak ich złapiemy, co im za to grozi? Zapomnieliście, jakie prawa w czasie wojny obowiązują? Za parominutowe spóźnienie się do roboty, za obijanie się, pod sąd się idzie, do kryminału. A co dopiero za ucieczkę i samowolne porzucenie pracy. Taż to jak dezercja na froncie! A co mnie tam jakieś wasze wojsko obchodzi. Sto razy wam tłumaczyłem, że jak będzie trzeba, to was do tego wojska wezwą. Co z was za ludzie, ja im swoje, a oni swoje. No, niech ich złapiemy, a że ich złapiemy, co, jakem Gusiew, wam obiecuję, to wtedy dopiero się przekonacie, co się z nimi stanie. Opamiętajcie się, ludzie, sami na siebie nieszczęścia nie sprowadzajcie.

I znów płynęły tygodnie, potem miesiące, a o tej trójce uciekinierów, tak zresztą jak i o pierwszej, słuchu nie było.

\*

Syberyjskie lato! Zazwyczaj słoneczne i suche. Żal tylko, że tak krótkotrwałe. I gdyby

nie ta istna zmora tajgi - chmary jak mak drobnej, ale niewyobrażalnie namolnej i żarłocznej muszki. I jeszcze jedna, nie mniej dokuczliwa plaga: równie mnogie, boleśnie żądłące, a do tego jeszcze roznoszące malarię komary. Aborygeni, Sybiracy od pokoleń, zwykli bronić się przed tym gadaństwem gęstymi, plecionymi z końskiego włosia siatkami. Nakładają je na głowę, do tego okapem z worka lub brezentu otulają szczelnie kark i szyję, bo taka muszka potrafi wcisnąć się w najmniejszą szczelinę. Mimo letniego upału opinają się od głów do stóp szczelnym ubiorem, na ręce wciągają rękawice albo smarują je dziegiem. Z doświadczenia wiedzą, że dziegieć odstrasza muszkę, a komar najbardziej dymu nie lubi.

Więźniowie łągrów i zesłańcy takich siatek nie mają. A do tego ich nietutejszy ubiór nie tylko że nie jest do bytowania w tajdze przystosowany, to już jest tak potargany i znoszony, że ledwie goliznę przysłania. Jedyne dla nich ratunek to smarowanie każdej odsłoniętej części ciała, nie wyłączając twarzy, dziegiem. Ryzykanci, którzy się przed potwornie śmierdzącym, czarnym jak smoła dziegiem wzbranieli, już po pierwszych dniach srogo płacili za to własnym zdrowiem: pocięte do krwi ciało, nieustannie piekące, obolałe, spuchnięta twarz, ręce i nogi jak banie. Na szczęście dziegiu im nie żałowano.

Syberyjskie lato! Mimo tych plag, to właśnie w lecie tajga obdarza ludzi najszczodrzej. W letniej tajdze obfitość jagód rozmaitych, od dzikiej poziomki i maliny po brusznicę i czarną borówkę. Grzybów do wyboru i koloru, od kozaków, czerwonych „ułanów”, przez maślaki, rude i białe rydze, „gruździami” tutaj zwane, po borowiki zdrowe i wielkie jak kapelusze. A jak ktoś odważył się nieco głębiej w tajgę zanurzyć i poradzić sobie umiał, to i cedrowymi orzechami z limby syberyjskiej się pożywił. A gdyby tak jeszcze zacząć liczyć tajgowe ptactwo, choćby tylko cietrzewie czy jarząbki, albo inną zwierzynę łowną, sarny, jelenie, ba! nawet łosie - „sochatyje”. Do tego jeszcze ryby w pobliskiej Birusie. Słowem, jeśli jesteś wolnym człowiekiem, masz czym i do czego te dary przyrody pozyskać, potrafisz je zakonserwować i na długą syberyjską zimę przechować, to korzystaj z ich obfitości, niech ci wyjdą na zdrowie. Niestety, zesłańcy wolni nie byli. Nie mieli czasu na wyprawy po leśne runo, nie mieli ich gdzie i w czym, choćby tylko grzybów czy jagód, na zimę przechować. A o polowaniu z bronią nikt z nich nawet marzyć nie śmiał. Broń w ręku zesłańców - „wsiakoj kontry i wrogów sowieckoj własti?”. Tyle z darów tajgi mieli, ile podczas pracy w tajdze im się trafiło, po co sięgnęli garścią i do ust włożyli. A to, co potem w barakach na nich czekało, prawie wszystko zawdzięczali swoim dzieciakom. To one, od najmniejszego, które jako tako z samodzielnością sobie radziło, nie mówiąc o podlotkach, całymi watahami wyprawiały się do pobliskiej tajgi, w poszukiwaniu wszystkiego, co się do zjedzenia nadawało. Niestraszne im były muszki i komary, nawet trafiające się jadowite żmije

- „gadiugi”, na które łatwo bosą stopą nadepnąć, kiedy wygrzewały się obok spróchniałego odziomka. Zbierały więc barakowe dzieciaki grzyby, jagody, którymi same też objadały się do wzdęcia brzucha i oskominy. A już bliżej jesieni starsze z nich, zwłaszcza chłopcy, wyprawiali się w głąb tajgi, na cedrowe orzechy. Znosiła dzieciarnia z tajgi, co się dało. W lecie nie było dnia, żeby każda barakowa rodzina choćby tylko grzybowej zupy sobie nie nagotowała. To nic, że postna, grzyby tylko i woda, ale posolona, z odrobiną pokruszonego chleba, smakuje, że palce lizać!

Staszek Dolina najczęściej z Edkiem Ziemniakiem do tajgi się wyprawiał. Jeszcze w Kaluczem skolegowali się na zabój, a w Kajenie w jednym baraku mieszkali. Staszkowa mama zmarła na tyfus w Kaluczem. Ojciec, tak jak wszyscy, od świtu do zmierzchu w tajdze na robocie. Na Staszka spadła opieka nad młodszym bratem, Tadkiem. Nie było rady, Tadek starszego brata nie odstępował ani na krok. Dobrze, jak rzecz się działa między barakami, nad Birusą czy na obrzeżach tajgi. Ale już na dłuższą wyprawę w głąb tajgi, czy na ryby dłubanką na Birusę popłynąć, z malcem nie dało rady. Wtedy ratowała Staszka Edkowa siostra, Zdzińska, która godziła się z Tadka oka nie spuszczać. Tajga i jej plony - to do południa. A tuż przed wieczorkiem, chyłkiem, chyłkiem przed innymi chłopakami, do swojej łódki-dłubanki i na Birusę! Edek, który w odróżnieniu od Staszka był majstrem na cztery ręce, wyplótł z wikliny specjalny kosz do łowienia ryb, taki sam, jakiego używali Czuwasze z pobliskiego Czerczetu. Zmyślność jego konstrukcji polegała na tym, że ryba mogła wpłynąć do kosza lejkowatym otworem, ale już z powrotem wydostać się nie potrafiła. Z takim koszem wypływali na Birusę i tam, umocowawszy go w wybranym miejscu, żeby im z prądem nie spłynął, zamaskowawszy szuwarami, zostawiali go na całą noc, a bywało, że i na dzień następny. Mogli być pewni, że bez łódki nikt się do kosza nie dostanie i ryby im nie podbierze. Chociaż z tymi ich połowami, a zwłaszcza rybami, różnie bywało. Zdarzało się bowiem, że nawet najlichsza płotka do kosza nie zbłądziła. Ale bywało też, że w wyciągniętym z wody koszu rybek trzepotało, aż miło. I nawet okoń czy spory szczupaczek rozpedzony za płotką się trafił. Wtedy było co do baraku zanieść, rybnej zupy ugotować i wreszcie pojeść do syta.

Zdawało im się, że tajga okoliczna, podobnie jak Birusa ze swoimi wysepkami i dopływami, nie mają już przed nimi tajemnic. A jednak...

Któregoś przedpołudnia wybrali się na Koczki dzikiej cebuli naskubać, kacze siedliska spenetrować, bo kaczek tam zatrzęsienie, a oni żadnego sposobu na ich upolowanie nie mogli dotąd znaleźć. No to choć trochę jajek im podkradną. Na grząskich mechatych topielach klukwa gęsto się krzewi, całe łany powoli dojrzewającej „moroszki” - żurawiny. „Dobrze

wiedzieć, na jesieni się tu wybierzemy”. Przedarli się przez stare, szerniałe na mokradłach brzozowo-olchowe wiatrołomy, by nareszcie stąpnąć na twardy grunt. I to na jaki! Ku ich zdumieniu pośród grząskich topieli i koczek ukazała się im rozległa łąka, porośnięta trawą po pas. A pośrodku tej łąki - polany ciemnozielone, błotne jeziorko. Meszki, a zwłaszcza komary, atakowały ich zaciekle, bo przecież to ich bagienne królestwo. Całe chmary zwiewnych kolorowych ważek i motyli fruwały nad wodą. Słońce świeci i deszcz pada? Po tafli jeziora pluskały soczyste krople deszczu, i to gęsto, gęsto. Złudzenie, bo to nie deszcz kropił, tylko w tym skrytym przed ludźmi błotnym jeziorku aż kotłowało się... od ryb! To one tak pluskały, wysuwając pyszczki, łapiąc muszki i powietrze ponad wodą. Niektóre, pewnie te śmielsze i mocniejsze, nie tylko pyszczki wystawiały, ale całe, śmig-mig, wyskakiwały, złościły się łuską centymetr-dwa nad wodą. Chłopcy nie mieli wątpliwości: karasie! Że też akurat nie mają ich czym i do czego odłowić. „To co robimy, do baraku?”. „W te pędy i z powrotem!”. Zziębnięci, zjawili się ponownie nad jeziorkiem. Przynieśli wędki, czerpak-podbierak i wiaderko. Spróbowali wędek. Karasie brały bez opamiętania, nawet na goły haczyk się rzucały. Wędki na bok, bo szkoda czasu na taką zabawę. Zanurzyli czerpak, poderwali, a w nim pluszczący się rój złotołuskich karasi, aż w oczy razi. Raz, dwa, trzy, pociągnęli czerpakiem bliżej szuwarów i wiaderko pełne karasi! „Ale nam się trafiło, co!?” - przychwalali się jeden drugiemu i żalowali, że jeszcze jednego wiaderka nie wzięli. Trudno, jutro znów tu wrócą. Dopiero w baraku, kiedy mama Edka, dobra pani Ziemiakowa, zabrała się za te karasie, okazało się, że na tej drobnicy same prawie łuski i ości. „Te wasze karasie to chyba jeszcze głodniejsze od was były. Ale skoro już nałowiliście, to zmarnować szkoda”. Łuskę zeskrobała, tuszki z ościami tłuczkiem na miazgę ubiła, posiekała młodej pokrzywy, łyżkę mąki, szczyptę soli dodała i były pulpety - palce lizać.

Nazajutrz rano wybrali się nad to swoje jeziorko jeszcze raz, tak ich te rybne pulpety rozochociły. I to z dwoma wiadrami naraz. Nad „swoje” jeziorko, bo jego istnienia nie zdradzili nikomu. Pech chciał, że już prawie na Koczkach spotkali tych dwóch niemieckich chłopaków, z którymi się o łódkę pobili, Paula z Ginterem. Sprawa z łódką i bójka poszły w zapomnienie. I nawet kiedy się między barakami spotykali, to „priwiet”, „priwiet!” sobie mówili. Okazało się, że bracia łazili po Koczkach, cybuchy dzikiej cebuli zrywali.

- O! i wy tutaj? Może też na cebulę? - zagadnął Paszka.

- Jaka tam cebula! - wypalił Staszek, dumnie potrząsając podbierakiem, i nim Edek zdążył go powstrzymać, dokończył: - Na ryby idziemy. Znalezliśmy wczoraj takie miejsce, że ryba tam na rybie. No nie, Edek?

- E tam, akurat, ryba na rybie. Wczoraj brały, a dzisiaj nie wiadomo. Nie wiecie, jak to

jest z rybami? - Edek najwyraźniej nie miał ochoty tajemnicą jeziora się chwalić. Za późno. Paula Staszkowa opowieść zaciekała.

- Ryba na rybie, mówisz? Chłopaki, możemy iść z wami, popatrzeć?

Edek ponuro zerknął na przyjaciela-chwalipiętę.

- Dalekowato stąd, i przez topiele. Ale jak chcecie się w błocie utylać, wasza sprawa. Tylko naszych śladów się trzymajcie, bo jak was topiel wciągnie, to kaput. Zeszłej wiosny tu na Koczkach topiel łosia-sochatego wciągnęła, tylko mu z błota łopaty sterczały...

I tym razem połów mieli szybki i obfity. Niemcom aż się oczy do ryby świeciły. Żal im się ich zrobiło, tym bardziej że też na sytych nie wyglądali.

- Dobra, damy wam tych karasi, a wiaderko potem odniesiecie. Wiecie, w którym baraku mieszkamy?

- Nie bardzo... Całe wiaderko ryby, chłopaki?!

- W trzecim baraku. Albo jutro rano, jak na ryby pójdziemy. Wiecie, gdzie jest ten stary modrzew, przy ścieżce na Koczki?

Wiedzieli. Więc tam się umówili. I jeszcze wszyscy sobie przyrzekli, że o jezioru nikomu nie powiedzą.

A jednak tajemnica jeziora się wydała. Pani Ziemniakowa zostawiła karasi, ile trzeba, resztę Żdziśka barakowym ludziom rozdała. „O rety, skąd macie tyle ryby!?” „Edek ze Staszkiem Doliną w jakimś jeziorze na Koczkach nałapali. I dzisiaj, i wczoraj wiaderkami znosili” - nieświadoma tajemnicy Żdziśka chwaliła chłopaków. Tymczasem oni już po tajdze buszowali. Kiedy wracali pod wieczór z szyszkami cedrowych orzechów, jeszcze do swojego baraku nie doszli, jak zorientowali się, że kilku chłopaków biegnie z wędkami ku Koczkom. Zaczepili jednego:

- Dokąd tak gonisz?

- Na Koczki! Podobno jezioro tam jakieś znaleźli. A ryby tam, mówią! To co, wy nic nie wiecie? Lecę, chłopaki. A wy też lepiej za wędki się weźcie.

- Edek! A może to o nasze jezioro chodzi?

- Czort ich wie... Lecimy za nimi zobaczyć.

Pobiegli. Ale już na ścieżce przez Koczki wyzbyli się złudzeń: to o ich jezioro chodziło. Ktoś zdradził, odkrył ich tajemnicę. Kiedy dobiegli na miejsce, mogli tylko przecierać oczy ze zdumienia i żalu. Czyste, niezmacone dotąd jezioro zamieniło się w mętną, błotnistą breję, po której tłumnie brodzili umorusani ludzie i czym kto mógł, wyławiał te nieszczęsne karasie.

- No widzisz, coś ty narobił? - nie wytrzymał Edek.

- Ja? A co ja niby takiego narobiłem?

- A kto się pierwszy przed Szwabami o jezioru wygadał? To masz teraz, popatrz... Ty im, a Szwaby też pewnie komuś wypapłali.

Staszek zamilczał i równie zmartwiony przypatrywał się, jak ludzie wiaderkami i czym się dało czerpali błotnistą maź z jeziora, wylewali ją na trawnik, jak wygrzebywali z niej zadychające się powietrzem, trzepoczące się złotołuskie karaski. Nagle trącił zamyślnego Edka w ramię.

- Mówisz, że to te nasze Szwaby się wygadały. Tak?

- A niby kto? Bo ja na pewno nie.

- To ja ci powiem, że Szwaby też nie. A wiesz, czemu nie? No to się lepiej przypatrz, kto się w tym bajorze babra. I pokaż mi tu choćby jednego Niemca. Sami nasi! Gdyby zrobili to Paska z bratem, to komu by najpierw opowiedzieli, swoim czy naszym? A tu ani jednego Niemca.

- A niech to jasny gwint! Masz rację, sami nasi. Tylko jak oni się o tym jezioru zowiedzieli, pojęcia nie mam.

\*

Grzybowy sezon w pełni. Staszek z Edkiem wybrali się do tajgi na borowiki. Ciepła pogoda trzyma, słońeczko grzeje, grzybów na łożę się ponawleka i schną. A w zimie jak znalazł. Staszek był w baraku tylko z Tadkiem, bo ich ojciec ze dwa tygodnie temu tratwami Birusą na spław popłynął. „Poradzisz sobie przez ten czas beze mnie?”. „Poradzę”. „Panią Ziemiakową i panią Korczyńską poprosiłem, żeby w razie czego... No bo ty, to ty, ale Tadek to jeszcze całkiem mały”. „Damy radę, tatusiu, nie martw się”.

Martwił się ojciec czy nie martwił, ale dostał „prikaz” płynąć na spław, to musiał. Zostawił Staszekowi kartki na chleb, i tyle. Kiedy wróci? A kto to wie, tratwy płynące po syberyjskich rzekach to nie kolej, żadnego rozkładu jazdy się nie trzymają. A do tego jeszcze piesza droga powrotna przez tajgę do Kajenu... „Ale się tatuś ucieszy, wraca ze spławu, patrzy, a tu tyle prawdziwków na zimę nasuszonych”.

Więc idą z Edkiem na te prawdziwki. Na ścieżce niedaleko niemieckiego baraku stoją Paul z Ginterem i rozmawiają z tą pszenicznowłosą Niemką, która tak się Staszekowi od pierwszego razu spodobała. Edek nie byłby Edkiem, trącił Staszka.

- Widzisz, kto z nimi stoi?

- E, co mi tam! - Staszekowi oczy się zaświeciły.

Paul pierwszy zagadał.

- A dokąd to? Może znów na ryby? Ale wtedy nas z tymi karasiami urządzili, no nie?

- Na grzyby - rzucił niedbale Edek, a Staszek tak się na tę pszenicznowłosą zapatrzył, że potknął się i dopiero śmiesznym podskokiem uratował się przed upadkiem.

- O kurcze, ale bym rąbnął! - Czuł, jak się rumieni, bo dziewczyna, patrząc na te jego podskoki, uśmiechała się. Chcąc jakoś z tego wybrnąć, wypalił: - A może i wy się z nami na grzyby wybieriecie? Znamy w tajdze takie grzybne miejsca, że ho, ho! Same prawdziwki. Grabiami można...

Pohamował się dopiero, kiedy z uśmiechniętej dziewczyny przeniósł wzrok na ponurą minę Edka.

Paszka skłonny był propozycję przyjąć.

- No to jak, Rita, idziemy z nimi na te grzyby?

Staszek dopiero teraz dowiedział się, jak ta dziewczyna ma na imię. „Rita? Rita... - zaklinał ją w duchu. - No zgódź się, zgódź!”. Widział wahanie na jej twarzy.

- Tak już, zaraz? Zresztą i tak bym dzisiaj nie mogła, chora babcia w baraku sama. Innym razem, to może...

- Szkoda - spontanicznie wyrwało się Staszekowi, na co Rita uśmiechnęła się tylko do niego.

- Ale może innym razem - powtórzyła. - No to na razie, chłopcy, bo ja już muszę lecieć. Babcia tam...

- To prawda, że babkę ma chorą - potwierdził Paszka. - Ale my z Gienką z wami idziemy, tylko poczekajcie chwileczkę, skoczmy do baraku po koszyk.

Przez tajgę prowadził Edek, jakby szedł po swoje. A jeśli na chwilę przystawali, to też z jego przyczyny, bo co i rusz to zwracał im uwagę to na jakieś ptaszysko, pasiastego burunduka czy śmigającego przez wysoki i gęsty paprotnik spłoszonego jelonka. Ginter z Pauliem, którzy tajgi jeszcze tak dobrze nie znali, na to wszystko dzioby rozdziawiali i nie bez obawy oglądali się za jakimś wilkiem albo niedźwiedziem. Nazmyślali im nieco i o wilkach, i o niedźwiedziach, ale grzybne miejsca i borowiki okazały się prawdziwe.

A kiedy koszyki mieli pełne, był czas, żeby czarnymi jagodami się pożywić, na słonecznej polance posiedzieć, o wszystkim i o niczym pogadać. Tym razem raczej nie „politykowali”. Nie znali się jeszcze bliżej, toteż każdy coś tam o sobie, o rodzinie opowiadał, ojczyste strony wspominał, jak im się tutaj w barakach żyje. Staszek nie wytrzymał.

- A ta Rita? - Edek chrząknął z uśmiechem bazyliuszka. - A ta Rita to skąd? Też z Nadwołża, tak jak wy?

Z opowieści braci wynikało, że Rita i jej rodzina pochodzą z Leningradu. W Kajenie jest razem z matką, młodszym bratem i tą chorą babką. Ma też ojca, tylko że jego w czasie



deportacji, tak jak innych Niemców, od rodziny odłączono i skierowano do łagru. Też w tajdze, gdzieś między Kańskiem a Tajszetem, ale Rita nie wie gdzie. Bracia słyszeli, że istnieją specjalne obozy pracy dla Niemców, którzy jakąś linię kolejową przez tajgę budują.

- Tyle wiem o Ricie, jeśli o to ci chodziło.

- Chodziło nie chodziło, zgadało się, no to spytałem.

- Chodziło, chodziło... O Ritę mu chodziło.

Edek zsunął z krzewu garść bruszniczy i nim Staszek zareagował, zatkał sobie nimi gębę. Paul też nie w ciemną bitę.

- Spodobała ci się? Niczego sobie. I kumpelka z niej fajna. Muszę jej to powiedzieć, że jest jeden taki Polak...

- A odchrząćcie wy się wszyscy ode mnie: Rita, Rita! Co wam się ubzdurało z tą Ritą? Drugi raz ją na oczy widzę. Miała iść z nami na grzyby. No to ja... a wy mi tu, Rita!

Zerwał się, mało kosza z grzybami nie przewrócił. Schylił się po szyszki i zaczął nimi do sosen celować.

Żarty żartami, ale „ta Rita”, podobnie jak kiedy pierwszy raz ją zobaczył, znowu jego myślami i wyobraźnią zawładnęła. Czas było w drogę powrotną się zbierać. Wracali do baraków, pogadywali. Edka zaciekało:

- A tak między sobą, w baraku, to jak rozmawiacie, po niemiecku czy po rosyjsku?

- Różnie. Starsi częściej po niemiecku, młodszy po rosyjsku. A niektóre dzieciaki to już wcale po niemiecku nie mówią.

Staszka znowu coś podkusiło.

- Ty, Paszka, a jak po niemiecku będzie... no, na przykład: „Dzień dobry”.

- Guten Morgen.

- Aaa... dziewczyna?

- Mädchen.

- A ładna dziewczyna?

- Schönes Mädchen. A jak ci się dziewczyna podoba, to możesz do niej tak właśnie powiedzieć: „Guten Morgen Schönes Mädchen”. Albo jeszcze lepiej, jak jej powiesz „Appetit machen du Schönes Mädchen.” Powiedz tak Ricie, to zobaczysz, jak się ucieszy.

- Znowu zaczynasz?

Tymczasem młodszy z braci powtarzając „Appetit machen, Appetit machen”, omal nie tarzał się ze śmiechu. Staszek się zaniepokoił.

- Ty, Paul, to chyba świństwo jakieś po niemiecku znaczy?

- Jakie tam znów świństwo. To znaczy, że ta dziewczyna ci się podoba i tyle... Zresztą,

po co masz się po niemiecku wysilać, powiedz jej to po rosyjsku: „Ty mnie nrawisz, Rita”.

Nie dokończył, bo Staszek złapał jakąś suchą gałąź i pogonił za Paszką przez paprotniki...

Mijały dni i noce, a Staszek naprawdę nie mógł natrętnych myśli o tej Ricie odgonić. A że wyobraźnię miał bujną i do tego takie myślenie sprawiało mu przyjemność, więc nie bardzo je odganiał. I jeśli o czymś w tajemnicy, nawet przed Edkiem, przemyślał, to jak tu się z Ritą spotkać, sam na sam, oczywiście. Wieczorami włóczył się między barakami wypatrując Rity. I wypatrzył. Codziennie o zmierzchu Rita chodziła do magazynu po chleb. Przeważnie sama, niekiedy z tą swoją czarniawą koleżanką. „Może dzisiaj wieczorem uda mi się do niej jakoś zagadać”. Staszek ogarnął się w co miał najlepszego, twarz przemył, nawet czuprynę na mokro przyliżał. Czatował na Ritę prawie w tym samym miejscu, gdzie pierwszy raz ją zobaczył. Idzie! Coś tam pod nosem nuci, chyba *Katiuszę*. Staszek wziął głęboki wdech i niby to przypadkiem zbliżał się z przeciwka. Dziewczyna widzi go, przestaje nucić, on udaje zdziwionego.

- Ooo! Guten Morgen, Rita! A skąd to się tak późno wraca?

Rita przystaje.

- A, to ty! Ciemnowo już, z daleka niedowidziałam, nie byłam pewna. Po chleb byłam. No to Guten Abend raczej niż Morgen. To ty znasz niemiecki?

- Gdzie tam. Tyle co mi czasem Paul z Ginterem tak, dla ciekawości, podpowiedzą. Szkoda, żeś wtedy z nami na grzyby nie poszła. Fajnie było, a grzybów ile!

- Chwalili się, jak wrócili, nawet mi trochę odsypali. Nie mogłam wtedy, babcia.

- A jutro byś się nie wybrała? Bo jak tylko masz ochotę, to ja...

- Bo ja wiem? A ty skąd wracasz?

- Ja? Ot, tak sobie idę... A może akurat ciebie chciałem spotkać?

- Akurat! Przecież my się prawie nie znamy.

- No to możemy się poznać. Chodźmy jutro razem na grzyby, ale tylko we dwoje...

Schönes Mädchen...

- Przestań się wygłupiać. Tego też Paul cię nauczył?

- Żeby tylko tego!

- Nie podejrzewałam, że z niego taki nauczyciel... A wiesz ty, jak po niemiecku będzie grzyb?

- Nie wiem. Akurat o grzybach po niemiecku się nie zgadało. Zresztą...

- Pilz! A chleb, który właśnie niosę, to brot. Tego powinien cię nauczyć, a nie jakieś tam głupoty.

- No to ty mnie teraz nauczyłaś, że brot to chleb, a pilz to grzyb. Myślisz, że nie zapamiętam? Zapamiętam, Schönes Mädchen, zapamiętam...

To mówiąc Staszek zbliżył się do niej niemal twarzą w twarz i ściszonego głosem wydusił:

- Appetit machen du, Rita, ja tiebia, ja...

Nie dokończył, bo dziewczyna odwinęła się z nagłą i trzepnęła go po gębie, odepchnęła i zaczęła uciekać. Po paru krokach przystanąła, w jej drżącym głosie rozżalenie mieszało się ze złością.

- Dummkopf! Durak! Cham! I ty, i ten twój duracki Paul. A ja myślałam, że ty, że ty... a ty prosto Vollidiot, cham prosto... Wot ty kto!

I pobiegła, zniknęła w szarówce. Staszek nie próbował jej doganiać, usprawiedliwiać się, przeproszać. Stał oszołomiony, pocierając policzek. A potem zwyczajnie się zawstydził. „Alem głupi! Niemieckiego mi się zachciało...”. Gdyby mógł, to sam by siebie po tyłku skopał, a tego czortowego Paula, gdyby tak teraz dorwał...

No i stało się, Rita się obraziła, a Staszekowi było głupio i wstyd. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Na wszelki wypadek unikał dziewczyny. Ale jak długo można, kiedy tutaj wszyscy, chcąc nie chcąc, prawie codziennie mijają się na tych samych paru ścieżkach między barakami. Zdarzały się więc nieuniknione spotkania Staszka z Ritą. Dziewczyna, demonstracyjnie unosząc głowę wysoko i odwracając się, mijała go bez słowa. Staszek odwrotnie, za każdym razem głowę opuszczał, wzrok na dół, jakby czegoś pod nogami szukał. Choć po każdym takim spotkaniu postanawiał sobie, że niech się dzieje co chce, ale następnym razem do Rity zagada. Nie zagadał...

Tymczasem ojciec Staszka wciąż ze spławu nie wracał. Chłopcy już dawno spałaszowali wszystko, co im z żywności na ten czas zostawił. Teraz z dnia na dzień w „jadłospisie” pozostawało im tylko to, co sami do jedzenia zdobyli: grzyby, jagody i czasami jakaś rybka z Birusy. Nawet aktualnych kartek na chleb komendant Gusiew im nie wydał, kazał do powrotu ojca czekać. Czasami miską gorącej zalewajki, szczególnie małego Tadeka, bo Staszek najedzonego udawał, dobra pani Ziemiakowa poczęstowała. Albo pani Korczyńska, czy mają co jeść, po sąsiedzku spytała. Na to Staszek honorem się unosił i niezmiennie odpowiadał, że głodni nie są i dają sobie radę.

Honor honorem, ale na dojmujący głód ani mądrego, ani pana nie ma. A chłopcom głód doskwierał coraz bardziej. Zwłaszcza mały Tadek już prawie puchł i kwękał z tego głodu. Trzeba było temu jakoś zaradzić, zwłaszcza że na tak samo głodnych jak oni barakowych ludzi nie było co liczyć. Staszek przypominał sobie, jak niedawno w Starym

Kajenie Stiesza, przewoźniczka na promie przez Birusę, która za męża Polaka miała, wspomniała coś, że zna jakąś samotną babcię, która zawsze kogoś do roboty przy swojej chałupinie potrzebuje: „I pokarmi, i parę rubli da zarobić. Powiedz tam ojcu, że jakby co...”.

Pocieszony tą myślą, że może on zamiast ojca u tej babuszki się nada i coś do jedzenia zarobi, wybrał się Staszek do Starego Kajenu. A tam do Stieszy, na prom. Nawet się ucieszyła i znowu o mu tym swoim mężu Polaku opowiadać zaczęła. Staszek cierpliwie słuchał, że dwa razy na promie przez Birusę się przeprawił i w końcu zwierzył się jej z celu swoich odwiedzin. „To może ja się u tej baby do roboty nadam? Wszystko na ogrodzie i koło domu zrobić potrafię, nawet drzewa narąbać czy tam co...”. Stiesza dobrotliwie poczochnała mu czuprynę. „Oj, duraczok ty Staś, duraczok. To czemu mi od razu nie powiedziałeś, tylko na darmo czas tracisz, na promie bąki zbijasz. Pewnie, że się u babki nadasz. Robota koło chałupy to nie tajgę piłować, a z ciebie już kawał chłopca”. Poczęstowała go pieczonym pierogiem z kapustą, pokazała, gdzie babuszka mieszka i jak się nazywa. „Na mnie się powołaj, powiedz, że Stiesza cię przysyła. Mów do niej głośno, bo babcia głuchawa. I jeszcze lubi, jak się do niej przez otczestwo zwraca: Wasilisa Pietrowna! Zapamiętasz? No to biegnij tam, synku, czasu nie trać. I o mnie tu, na promie, nie zapominaj...”.

Było tak, jak Stiesza mówiła. Jeszcze tego samego dnia babuszka Staszka do roboty w swoim obejściu zagoniła, kazała mu drzewo rąbać. „Dużo mi tego na zimę potrzeba. Nie skończysz dzisiaj, drugi raz przyjdiesz, starej pomożesz. Bo gdyby nie Stiesza, daj jej Boże zdrowie, to by tu już nikt o mnie nie pomyślał”.

Wygłodniały Staszek tego dnia za mocny nie był, to prawda, ale za to starał się za dwóch. Babuszka chyba to doceniła, bo pod wieczór nie dość, że parę rubli mu do garści wsunęła, to jeszcze tłustym, gorącym kapuśniakiem do przesytu nakarmiła. A już całkiem na odchodne kazała mu jeszcze do worka pół koszyka ziemniaków odsypać. „Worek mi oddasz, kiedy znów do roboty u mnie przyjdiesz. Popatrz, ile jeszcze tego drzewa zostało, a sama nijak nie poradzę. Tylko przyjdź, synku, nie zapomnij czasem”. „Na pewno przyjdę, Wasiliso Pietrowna, na pewno. A może nawet już jutro”.

„Pewnie, że przyjdę. Jeszcze bym nie przyszedł, kiedy mi się taka okazja nadarzyła, żeby nie tylko jakiś grosz zarobić, ale jeszcze i najeść się do syta. A jutro to chyba i Tadka ze sobą wezmę, ja będę drzewo rąbał, on polana do przybudówki będzie znosił. Poradzi. To pewnie i jego babka pokarmi”. Tak rozmyślając, syty jak rzadko i uradowany Staszek zbliżał się do osławionych Koczek, oddzielających Stary Kajen od Łagpunktu. A najbardziej cieszył się z ziemniaków. „Zaraz w baraku kilka ugotuję i Tadek nareszcie sobie podje. A głodny tam pewnie, aż mi go szkoda. Dzień w dzień nic tylko te grzyby, jagody, lebioda i woda, brzuch

mu już jak balon puchnie, a on stale kwęka, że głodny”.

Koczki. Ponura, błotna, porosła spletanymi chaszczami dolina, trudna do przebycia w dzień, a co dopiero wieczorem czy w nocy. Przeprawa przez Koczki to nie droga, tylko byle jak poukładane, przegniłe sosnowe dyle, gdzieniegdzie gałeczkami. I od wiosny do zimy zalane błotną mazią po kostki, a to i do kolan. Po bokach tej drogi moczary, uginające się dywany siwych mchów i porostów, a pod nimi grząskie topiele. W lecie trudno tędy przejść, a co dopiero przejechać. Chyba że w zimie, kiedy mrozy błota lodem skują. Od wiosny jazdę przez Koczki rzadko kto ryzykował, bo wozy zapadały się w błoto, konie się nadrywały i łamały pięciny. Do tego tutejsi cuda-dziwy o tych Koczkach bajali, ale przy jednej prawdzie wszyscy się zaklinali, że sporo ludzi na Koczkach się potopiło.

Choć przeprawa przez Koczki Staszce nie pierwsza, nigdy pewnie się tu nie czuł, zwłaszcza kiedy szedł tędy sam. A teraz do tego był wieczór i nad błotami siadała gęsta, wilgotna mgła. Widział nie dalej jak na parę kroków, więc tym ostrożniej stapał po oślizłych dylach, przeskakiwał z koczki na koczkę. Czasami przystawał, nim następny krok postawił, a wtedy słyszał, jak ten dookolny bagieny świat do nocnego życia się szykuje. Kwiliły jakieś nieznane mu nocne ptaszyska, przejmująco pohukiwały sowy. A w tle ten nieustanny poszum tajgi na pobliskich wzgórzach. Już miał przeskoczyć z koczki na koczkę, kiedy zdało mu się, że jeszcze coś innego niż te bagienne odgłosy słyszy. Odczekał chwilę. Cisza. „Zdawało mi się”. Ale nie, znów coś słyszy. Teraz wyraźniej. Jakby coś, albo ktoś, taplał się w błocie; zwierz jakiś, łoś może? Człowiek! Bo to „coś” pomrukuje pod nosem i jakby popłakuje nawet. I to chyba całkiem blisko. Ciemno, mgła, nic nie widać. Odważył się. Krzyknął po rosyjsku:

- Ej, kto tam?

- Zabłądziłam! Pomóżcie mi, radi Boga. Pomóżcie, proszę.

Głos kobiecy, płaczliwy.

- Idę, idę! Spokojnie. I z miejsca proszę się nie ruszać, bo topiele tam dookoła.

Staszek śpiesznie przedzierał się w kierunku zasłyszanego głosu, bo jeśli go słuch nie mylił...

Nie mylił! To była Rita. Siedziała na wysokiej kępie skołtunionej suchej trawy, z nogami zanurzonymi w błocie. Patrzyła w stronę, z której się zbliżał.

- Rita! A co ty tutaj robisz? Na Koczkach, o tej porze?

- O Boże! To ty, Polak!? Pomóż mi, tak się boję.

Próbowała wstać, ale natychmiast grzęzła w błocie.

- Nie ruszaj się! Trzymaj się koczki! Zaraz do ciebie podejść. Nie ruszaj się, nie

ruszaj... O tak, dobrze. A teraz podaj mi rękę. Ostrożnie, wolniutko, bo tu topiel dookoła... Spokojnie, zaraz się na drogę wydostaniemy.

Dopiero kiedy Rita, podając mu rękę, zaczęła jakby po omacku szukać jego wyciągniętej dłoni, zorientował się, że dziewczyna chyba niedowidzi. Stanęli na wymoszczonej balami drodze.

- No, tutaj już bezpiecznie.

Drżąca ze strachu, a pewnie i z zimna, Rita odruchowo poprawiała włosy, ścierała błoto nogą o nogę.

- Po głosie cię poznałam... Boże, gdyby nie ty, to chyba byłby ze mną koniec. Ciemno, nic nie widzę, a gdzie nogą nie stąpnę, tonę... To chyba cud jakiś. A ty skąd tu się wziąłeś?

- Ja to ja, ze Starego Kajenu idę, z roboty wracam, ale skąd ty się tu o tej porze wzięłaś?

- Co za dura ze mnie... Jeszcze za dnia na te nieszczęsne Koczki się wybrałam, moroszki-żurawiny nazbierać. I jagód oblepichy<sup>5</sup> na lekarstwo dla babci szukałam, bo słyszałam, że tu rośnie. Oblepichy nie znalazłam, ale moroszki trochę nazbierałam. Czekaaj, a gdzie ja ją miałam? Zgubiłam chyba z tego wszystkiego.

Schylona macała wokół siebie, choć woreczek z jagodami leżał tuż obok.

- Nie zgubiłaś, tu jest. - Podał, dotknął zawiniątkiem jej dłoni. Teraz miał już pewność, że Rita nie widzi.

- Dziękuję. Boże, co się ze mną dzieje, ja nic a nic nie widzę. Ciemno już, to prawda, ale ja nawet ciebie, własnej ręki...

- Od kiedy to masz?

- Niedawno. Jak tylko słońce zachodzi, niedowidzę. Do dziś myślałam, że może okularów potrzebuję, ale teraz...

- Kurza ślepotą. Nie martw się, to mija. Rano znowu będzie wszystko w porządku. Kurza ślepotą. W naszych barakach rzadko kogo omija. Z głodu to jest podobno. Minie. Tylko pamiętaj, żebyś więcej po zachodzie słońca nawet nosa z baraku nie wysuwała. No, chyba że się ze mną umówisz i tak jak teraz za rękę cię poprowadzę.

Rita pierwszy raz się uśmiechnęła.

- Polak, znowu zaczynasz? A może od tamtej pory jeszcze czegoś po niemiecku się nauczyłaś?

- O co to, to nie! Gdybym nawet umiał, to po niemiecku nie odezwę się już do ciebie

---

<sup>5</sup> Oblepicha - owoce rokitnika.

ani słowem. Ani słowem, du liebe kleine Mädchen.

Roześmiała się i mocniej uściśnęła mu rękę.

Ciemno, mglisto, kurza ślepotą i błotnista droga przez Koczki. Cały czas, aż do Łagpunktu, prowadzili się za ręce. Szli wolno i półgłosem pogadywali. Przystanęli przed niemieckim barakiem.

- Tu już nie zabłądzisz. W twoim baraku ciemno, pewnie już wszyscy śpią.

- Coś ty! Babcia z mamą tam pewnie ze strachu umierają, że tak długo mnie nie ma. Twoja pewnie też nie śpi i na ciebie czeka.

- Nie czeka. Nie mam już mamy.

- Nie wiedziałam... Przepraszam. A w ogóle, to ja nawet nie wiem, jak ty masz na imię? Polak, Polak, i tyle właściwie.

- Stanisław. A normalnie to Staszek na mnie wołają.

- Stanisław, Staszek... Po niemiecku to będzie Stanislaus. Stanisław. A jak zdrobniale? Bo Rosjanie to powiedzą Stas... Nie, to ja już wolę wołać na ciebie po polsku: Staszek! Tak będę na ciebie wołać, dobra?... No to ja już sobie pójdę. I jeszcze raz dzięki ci, dzięki, dzięki.

- E, co tam! Poczekaj, już lepiej do samych drzwi cię podprowadzę.

- O, klamka! - ucieszyła się. - No to...

- Rita, jeszcze sekundę.

Pospiesznie rozsypał worek, wyjął kilka ziemniaków i poupychał je dziewczynie do kieszeni kufajki.

- Ziemniaki! Coś ty, Staszek, po co to, ty sam przecież... - protestowała niepewnie.

- Drobiazg, babcię podkarmisz, niech sobie przypomni, jak ziemniak smakuje. I pamiętaj, żebyś sama z baraku wieczorem nie wychodziła.

- Dobra, dobra... Ale z ciebie...

Czekał, dopóki Rita nie wejdzie do baraku. Wyczuła to pewnie, bo cicho go przywołała.

- Staszek, jesteś? Podejdz do mnie na chwilę... Blżej, jeszcze bliżej, nie bój się mnie...

Był już tak blisko, że czuł jej ciepły oddech. Rita oburącz dotknęła jego ramion, przesunęła po szyi, ujęła dłońmi jego twarz, wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta. Pierwszy raz w życiu coś takiego mu się zdarzyło. Nawet warg nie rozchylił, smaku pocałunku nie poczuł. Nie umiał, nie wiedział, bo co innego z chłopakami gadać o dziewczynach, zmyślać, a co innego poczuć coś takiego, tak jak teraz... Stał oszołomiony, z miejsca się nie ruszał. Trąciła go w ramię.

- No idź już, idź, bo jeszcze nas tu kto... - I zażartowała: - A żebyś wiedział, jak się całus po niemiecku nazywa, to ci powiem: Küssen, Küssen, mein liber Junge! I nie myśl sobie czasem, że w ten sposób ci za te ziemniaki dziękowałam.

Nacisnęła klamkę i zniknęła za drzwiami baraku...

\*

Pod koniec lata do Kajenu zaczęli wracać ludzie ze spławu. Wcześniej wrócili ci, którzy spławiali tratwy do Lesosybirsk, nieco później ci, co płynęli dalej, aż do portu w Jenisejsku. Wracali różnie i różnymi drogami, jak komu się poszczęściło. Niektórzy do Tajsztetu dopływali Birusą na rzeczonym kutrze przygodnym, a z Tajsztetu albo im się jakaś okazyjna podwoda nadarzyła, albo szli pieszo przez tajgę do Kajenu.

Wrócił też Jan Dolina. Ze szczęśliwego powrotu ojca radowali się jego synowie. A chłopaki jeszcze i tym, że ojciec im sporo jadła z tego spławu przyniósł. I to jakiego! Aż ślepia im na wierzch wylażyły, ślina w gardle przysychała, kiedy ojciec wyłożył z podróznego worka wielką soloną rybę, bryłę twardego cukru i aż dwa, dwa bochenki białego chleba!

Powracający ze spławu nie tylko dla czekających na nich rodzin, ale i dla wszystkich tutejszych Polaków byli nie lada atrakcją. Długo ich przecież nie było, a do tego wracali z dalekiego świata: Lesosybirsk, Jenisejsk, Szytkino, nie mówiąc już o Tajszecie, gdzie o jedyną drogę do Polski - o transsyberyjską kolej - musieli się otrzeć. Ilu ludzi w Kaluczem i Kajenie marzyło, żeby chociaż tych szyn prowadzących do Polski dotknąć, usłyszeć charakterystyczny gwizd parowozu. Niech opowiedzą, co tam w świecie widzieli, czego nowego się dowiedzieli. Może o Polsce, która tam teraz pod Niemcami, a oni tu o jej losach tak naprawdę nic pewnego nie wiedzą. Może o tym sławnym generale Sikorskim, który ze Stalinem o tym naszym polskim wojsku, co w Rosji powstaje, się dogadał. Gdzie jest to wojsko, jak i gdzie go szukać, może się dowiedzieli. Bo co z tego, że paru chłopów z Kajenu wybrało się tego wojska szukać, skoro dotąd nic, kamień w wodę.

Najwięcej do opowiedzenia mieli ci, którzy wracali przez Tajsztet: Dolina, Krupa, Czulak i jeden z braci Kurylaków. Razem z nimi popłynął na spław jeszcze Józek Bar, szwagier wspomnianego Krupy, ale Józek do Kajenu ze spławu nie wrócił. I to właśnie, że Józek Bar nie wrócił, ludzi z baraków najbardziej zaskoczyło. A jeszcze bardziej, kiedy dowiedzieli się - dlaczego.

Mieli szczęście. Grupa Doliny, Bara i pozostałych, zamiast z Jenisejska na piechotę do Kajenu drałować, do Tajsztetu przygodnym kutrem dopłynęła. W Tajszecie brygadzysta, Rosjanin, nie pozwolił wszystkim z przystani po mieście się rozłazić, bo za jakąś podwodą do Kajenu się rozglądał. Dolina z Barem uprosili, żeby ich puścił na godzinkę. Dolina nie palił i



chciał przydziałową machorkę na jakąś żywność dla dzieciaków na bazarze wymienić. Bar też miał coś sobie i szwagrowi pozalać. „Ale najpierw skoczę na stację, może czegoś się dowiem. Nie czekaj na mnie, spotkamy się na przystani”. Dolina poszedł na bazar. Wrócił. Po nim na miasto jeszcze poszli Krupa z Czulakiem i też szybko wrócili, tylko Józka Bara wciąż jeszcze nie było. Brygadzysta Milutin kłął piętrowo. Józek wrócił dopiero pod wieczór, wyraźnie podniecony, rozradowany jakiś. „Pewnie sobie coś golnął przy okazji” - pomyśleli. Tym bardziej że Józek Bar flaszkę siwuchy zza pazuchy wyciągnął, wręczył brygadziście, czym udobruchał go do reszty „Rebiata, przyjdzie nam na przystani przenocować, a rankiem popłyniemy kutrem aż do Szytkina. Ot, co dla was załatwiłem!” - pochwalił się brygadzysta i zadowolony z prezentu poszedł do budki zarządzającego przystanią na Birusie.

Wtedy dopiero, kiedy zostali sami, Józek wyjął drugą flaszkę wódki, łyknął z gwinta i puścił ją w obieg. „No to, panowie, po łyku, na pożegnanie!”. I nie czekając, aż zdziwienie zmusi ich do pytania, sam intencje pożegnalnego toastu wyjawiał. I to z taką radością, że telepiąc za ramiona siedzącego obok Kurylaka mało do Birusy nie zepchnął. „Do wojska idę, chłopcy, do naszego wojska! Wiem już, gdzie ono, to wojsko polskie jest, i jak do niego trafić. Wiem, wiem, wiem! Na stacji w Tajszezie się dowiedziałem”.

Polak Polaka by nie wyczuł? Włócząc się w tłumie koczujących na dworcu w Tajszezie podróżnych, Józek Bar zaobserwował trójkę młodych ludzi, którzy już na pierwszy rzut oka wyróżniali się w tym dworcowym rozgardiaszu. Podszedł bliżej i nie musiał podsłuchiwać - rozmawiali po polsku. To od nich dowiedział się, że jadą zaciągnąć się do polskiego wojska, które, co wiedzą na pewno, stacjonuje w Buzułuku, gdzieś tam, za Uralem. Już drugi dzień koczują tu na stacji, w Tajszezie, bo nie mogą dostać się do pociągu jadącego na zachód. Nie mają przepustek, a bez tego kasjer biletów im nie sprzeda. „Ale od czego, bracie Polaku, ma się kiepełę i trochę rubli w kieszeni? Złożymy się na parę flaszek. To co, może zabierzesz się z nami?”. Józek nie wahał się ani chwili. „Ze spławu wracam, grosz się znajdzie, jadę!”. Umówił się, że tylko skoczy na przystań ze szwagrem i kolegami się pożegnać. „A jakby tak który z nich chciał?”. „To go przyprowadź, jeden mniej, jeden więcej. Jak nam się poszczęści, to wszystkim jednakowo”.

Flaszka z samogonem zaświeciła dnem. „No to co, panowie, idzie który ze mną?”.

Ostatnim łykiem zakrzuszył się Dolina. Odkasłał, wytarł wargi rękawem, butelkę rzucił daleko w nurt Birusy. „Nie, chłopcy, ja nie idę. Nie mogę. Dzieci matki nie mają, jak je same na pastwę losu zostawię?”. Tak samo albo podobnie tłumaczyli się przed Józkiem pozostali. Nawet najbliższy Barowi, ze względu na siostrę rodzoną, szwagier Krupa. „Nie możemy, Józik, tak od razu nie możemy. Choć sam wiesz, jak my do tego wojska... Co innego ty,

kawaler”. „A co to ja wam sumienie czy ksiądz jaki, żebyście się przede mną tłumaczyli? Wola wasza”. I pierwszemu na pożegnanie rzucił się w ramiona szwagrowi Krupie, z nakazem, żeby siostrę z dziećmi ucałował. „I powiedz tam Karolci, żeby się o mnie nie zamartwiała, bo tym razem to już na pewno nie będzie ze mną tak jak wtedy w Kaluczem. Pamiętasz?”.

Nie tylko Krupa pamiętał Józkową „przygodę” z Kaluczego, wszyscy ją pamiętali, a z czasem prawdziwe legendy na ten temat opowiadano.

O Kaluczem nad rzeką Pojmą bywali łągiernicy mawiali, że tam nawet sam diabeł „dobranoc” nie mówi, bo nie wytrzymał i stamtąd uciekł. Bo Kalucze to ani wieś, ani nawet leśna osada, tylko kilka starych zapluskwionych baraków pośród dzikiej tajgi. Z Kaluczego, w którą stronę tajgi byś się nie ruszył, do najbliższego ludzkiego siedziska co najmniej kilkadziesiąt kilometrów musisz odmachać.

Do Łagpunktu Kalucze, podlegającemu leśnemu Tajszetłagowi, polskich zesłańców dowieziono sannym konwojem na początku marca 1940 roku. Aby znaleźć miejsce dla Polaków, dotychczasowych „mieszkańców” Kaluczego, sowieckich łągierników, pogoniono w jeszcze dziksze tajgowe ostępy. W Kaluczem Polacy, ci, co przeżyli, bo epidemia duru brzuszego, jaka tam wybuchła pierwszej zesłańczej wiosny, zdziesiątkowała ich bez litości, trzymani byli do późnego lata 1941 roku.

Przygnębiona zesłańcza beznadzieja nawet najmocniejszych duchem mogła załamać. Najwięksi optymiści tracili widoki na jakąkolwiek zmianę. Polska stąd dalej niż daleko, bezradna krwawi pod wojennymi rozbiorami. A jeszcze dalszy i obcy Polsce dookolny świat dosyć ma swoich problemów, żeby sobie jakimiś tam polskimi zesłańcami, w syberyjskiej tajdze zagubionymi, głowę zawracać. Pozostawała im walka o przeżycie z dnia na dzień i rozrywająca serce tęsknota. Nie było wśród zesłańców takiego, który by nie tęsknił do Polski, do znajomej okolicy, do rodzinnego domu. Kto by wbrew wszelkim przeciwnościom losu nie śnił, nie marzył o powrocie. Tylko że różnie sobie ludzie ten powrót wyobrażali. „Wcześniej czy później Polska się o nas upomni! To nic, że teraz znów pod rozbiorami. Mało to w naszej historii było rozbiorów, wywózek? Ale zawsze, nawet po stu latach, niby z martwych powstawała Polska i swoje dzieci z całego świata do domu zwoływała. Da Bóg, my też wcześniej czy później szczęśliwego powrotu się doczekamy”. Ale nie wszystkim starczało cierpliwości czekać na przyszłą i niepewną sprawiedliwość losu. Zwłaszcza młodym.

Olek Zimorowicz, przezywany w Kaluczem „Tajojką”, pochodził ze Lwowa i był synem kolejarza z Lewandówki. Wkrótce po wkroczeniu do Lwowa Sowieców jego ojca zabrało NKWD i za polską konspirację wtrąciło do kryminału na Brygitkach. Od tamtego

czasu słuch po nim zaginął. Olka z matką i młodszą siostrzyczką Reginą w lutym czterdziestego roku wywieziono na Sybir. Zeszłej wiosny matka z Reginą zmarły w Kaluczem na tyfus i Olek Zimorowicz został sam.

Józek Bar, rówieśnik Olka - obaj tej wiosny dopiero dwudziestki dobiegali - był chłopskim synem z podolskiego Czerwonego Jaru. Jemu też się z rodziną nie poszczęściło: matkę i ojca nad Pojną pochował. Została mu w Kaluczem starsza siostra, Karolina, od dawna za Krupą zamężna i dzieciata.

Zimorowicz z Barem zaprzyjaźnili się, pracując w tej samej brygadzie, ciągnąc tę samą piłę na porębie. Dość mieli czasu i okazji poznać się bliżej, zaufać sobie na dobre i na złe. Nawet charaktery dopasować, bo różnili się prawie wszystkim. Olek - szczupły ruchliwy blondynek, raptus, ale i skory do żartów, typowy lwowski batiar. Józek - wiejski chłopak o cygańskiej urodzie, raczej powolny, ważący ruchy i słowa. Ale tęsknota do Polski pożerała ich jednakowo. Gadali chłopcy, dumali na wszelkie sposoby, aż pewnego razu zdecydowali: żeby nie wiedzieć co, z nastaniem wiosny uciekają do Polski! Zwłaszcza że Józkowi Barowi z głowy nie wychodziła udana ucieczka jego kolegi z Czerwonego Jaru, Jaśka Kalinowskiego. Co prawda Jasiek uciekł w drodze transportu na Sybir, ale uciekł! Gdyby tak teraz jemu, Józkowi, aż z Sybiru ucieczka się udała, to by dopiero w Czerwonym Jarze było o czym gadać. W tajemnicy zaczęli przygotowania do ucieczki. Wytoczyli ostre noże. Skradzione siekiery w tajdze ukryli. Z trudem bo z trudem, ale nawet trochę sucharów nachomikowali. Do tego zapałki, garść soli i parę rubli w kieszeni. Niecierpliwie czekali, kiedy wreszcie wrócą do Pojmy rozlane szeroko wiosenne wody i okoliczne topiele podeschną. Kiedy uznali, że czas, w sobotnie popołudnie niepostrzeżenie odłączyli się od powracającej po pracy brygady. Z doświadczenia wiedzieli, że do poniedziałkowego ranka nikt z obozowej Wochry nimi się nie zainteresuje. Jeszcze wtedy niedziele były wolne. Przeprawili się przez Pojną i trzymając się jej prawego brzegu, ruszyli w górę rzeki. Wiedzieli, że Górna Pojma przecina tory transsyberyjskiej kolei gdzieś tam pomiędzy Tajszetem na wschodzie a Kańskiem na zachodzie.

- Klawo byłoby do kulei najprędzej si nam dokałapućkać! - Gorączkował się Olek. - Ta ty wiesz, Józku, co to będzie za cymes? Na kulei to ja już gościu! To tak, jakby my z tobu już we Lwowie byli. A ze Lwowa do tej twojej tam derewni to już całkiem ganc pomada.

- Dobra, dobra, nim o mojej derewni, to ty lepiej pomyśl, czy my na pewno w dobrą stronę idziemy.

- Za kogo ty mnie uważasz? Ta ty, frair pompka, zapomniał już, co ja ci gadał? To ja si niby za durno dla czubaryków na tabak wykosztował i z tutejszymi jamszczykami bałak

rozwodził? Ta ja nawet jeszcze wczoraj na mapę zdążył łypnąć.

- Na mapę. A skąd niby mapa?

- Pamiętasz, jak mnie brygadier z drogi zawrócił i po metrówkę posłał? A u nich tam w pomieszczeniu lespromchoza mapa wisi. To ja łyp na niu, i teraz wszystko wim! Trzymajmy się Pojmy, a ta nas, jak w pysk strzelił, do samej kulei doprowadzi. A na kulei to ja pan, nie bój si nic. To jak si ta twoja podolska derewnia nazywa, boja...

- A odczep się ty z tą „derewnią”, po polsku zapomniałeś? Czerwony Jar moja wieś się nazywa, pod Zaleszczykami leży.

Ewentualnego pościgu spodziewali się dopiero za dwa-trzy dni, najpewniej we wtorek. Ten czas musieli wykorzystać, żeby możliwie najdalej odskoczyć od Kaluczego. Dzień był długi. Wytrwale przedzierali się przez tajgę, aż do późnego zmroku. Przez cały dzień lepiał się do nich gęsty rój muszek, a pod wieczór komarów. Nie zdecydowali się rozpaścić nocnego ogniska. Zgryźli po sucharze, wodą z Pojmy popili i zagrzebali się na noc w gęstym sosnowym młodniku. Pierwszy zmarznięty i zdrętwiały przebudził się Józek. Leżał na wznak, gapił się na korony wysokich sosen i myślał sobie, jak to dobrze być na wolności. Długo marzył o takiej właśnie chwili, kiedy się zacznie jego powrotna droga do Polski. Przysiadł, przetarł oczy i otrzepał się z sosnowych szpilek. Olek się obudził.

- A ty wiesz, Jóźku, ja si już na samo tylko pomyśleni cieszym, że my z tobu są na wolności! Ot my z tobu teraz, choć jeszcze w tajdze, ale już jak ci ptaszkowi na wysokim niebi, dokąd sobi zechcem, tam i polecim.

- Dziwne, bo przed chwilą o tym samym myślałem. Ptaszki to sobie lecą, a my zbierajmy się w drogę, dopóki ta francowata muszka się nie obudziła.

Tajga wczesnym rankiem rosista, wschodzące słońce mruga przez osnutą wśród gałęzi pajęczynę, niepłochliwy dziki zwierz jeszcze na wypasie. Wśród wysokich sosen, po twardym poszyciu, idzie im się sporo. Ale w miarę jak słońeczko wznosiło się wyżej, wędrowało się coraz ciężej. I te nieprawdopodobne chmary zajadłych muszek. A oni bez siatek ochronnych i bez dziegciu nawet. Bojąc się zbłądzić, nakładali sporo drogi, klucząc z zakolami rzeki. Przedzierali się przez spróchniałe leśne zawały, przybrzeżne moczary, forsowali wpadające do Pojmy potoki. Słońce wskazywało południe, kiedy przysiedli odpocząć. Z wysokiego brzegu Pojmy, dokąd wzrok sięgnie, nic tylko tajga bezbrzeżna. Na wzgórzu było sucho, ciepło i leniwie. Ostro pachniało żywicą i świeżo kielkującą grzybnią. A do tego łagodny wietrzyk odganiał natrętną muszkę. Nic, tylko walnąć się i odespać zimną noc i zmęczenie. Z ociąganiem ruszyli dalej.

Nagle Józek wypatrzył wśród starych sosen coś, co na pierwszy rzut oka

przypominało spiczasty szałas. Ostrożnie podeszli bliżej. Na pagórkowatym szutrowym osypisku zobaczyli wklonowaną między dwie stare brzozy ni to łódź-dłubankę, ni to skrzynię z nieheblowanych, poczerniałych dranic. Olek podskoczył, uczepił się konara, żeby lepiej popatrzeć. Ale zaraz go puścił. W skrzyni był ludzki kościotrup. Leżał tu zapewne od dawna, bo muszka i mrówki do białości wyczyściły mu każdą kosteczkę. Czaszka straszyla pustymi oczodołami, żółte wielkie zęby mocno zaciśnięte. Obok kościotrupa leżała fajka z długim cybuchem, łuk, skrawki wyleniałych skór i zardzewiały nóż.

- A to ci heca! Z truposza tylko gnaty zostali. Alim się spietrał... Ty wiesz, Józku, to te Buriaty podobno tak swoich chowają. Widać z drzewa do ichniego nieba im bliżej, nie to, kulego, co nam spod trawnika. Do tego na drogę różne rzeczy mu do trumny kładą. A może złoto nawet? Bo tu, braci...

Olek już chciał patykiem w trumnie pogrzebać, ale Józek złapał go za rękę.

- Zwariowałeś? Wiejmy lepiej stąd, bo jeszcze jakiejś biedy sobie napytamy.

Trapieni dziwnym niepokojem, jeszcze długo się oglądali.

- Trup trupem, gorzej byłoby z żywymi. Miał ty braci racje. Jakby taki Buriat uwidział, że ja ich umrzykowi w trumnie gineram, to byś mnie potem do kupy nie pozbierał. Buriaty jak te duchy po tajdze łażą. Może i teraz nas widzą. Kitramy się, Józku, od tych umrzyków, byle dalej...

Miało się pod wieczór, kiedy usłyszeli dalekie poszczekiwanie psów. Omal nie wpadli w popłoch, bo pomyśleli o idącej ich śladem pogoni. Ale nie, to nie mogła być pogoń, bo psy z całą pewnością ujadały gdzieś tam przed nimi. Albo jacyś myśliwi po tajdze brodzą, albo jakaś osada w pobliżu. Szczekanie ucichło. Uszli jeszcze kawałek i wtedy na drugim brzegu Pojmy wypatrzyli wysoki sztachetowy płot i znane im z Kaluczego strażnicze wieże. Wiedzieli, że mają przed oczami jeden z tajgowych łagrów - Gułagu. Wczołgali się na pobliski wzgórek i obserwowali zza krzaków.

Chyba z dziesięć baraków. Za ogrodzeniem krzatali się więźniowie. Pokrzykiwania Wochry.

- Wypisz wymaluj nasze Kalucze, tylko że tu same chłopcy. Pewnie dopiero z roboty ich przygonili. Chyba do stołówki się tłoczą.

- Byle nas tylko jakaś sobaka nie wyniuchała. Klawo, że my tu na drugim brzegu. Hulamy stąd, Józku, byle dalej od licha!

Szli, dopóki nie ściemniało. Byle jak najdalej od napotkanego łagru. Tej nocy tym bardziej nie odważyli się rozpaścić ogniska. Noc ciemna jak sadza. Olka pogoniło za potrzebą. „A ja ci kręcę!”. Obudził Józka i pokazał mu na dalekim czarnym nieboskłonie

płomiennorudą, pulsującą łunę pożaru. Tajga się pali! Ale nie bardzo tym się przejęli. Tajga płonęła gdzieś hen, hen daleko, po drugiej stronie Pojmy. Przedświt dopiero, no to jeszcze trochę pospali. Mieli szczęście do pogody, bo i ten ranek wstał słoneczny. Tam, gdzie w nocy dojrzeliby gorejącą łunę, wisiała nad horyzontem chmura dymu. Stamtąd swądziło czadem. Ledwie widoczna zamglona słoneczna tarcza poczerwieniała, okolona tęczowymi obręczami. Nad ich głowami pojawiły się coraz liczniejsze przelatujące ptaki. Trochę się temu wszystkiemu dziwili, ale wytrwale wlekli się dalej. Gdzieś tak pod południem niespodzianie dotarli do jakiegoś leśnego chutoru. Niespodzianie, bo dym tak zgęstniał, że omal natknęli się na płot z sosnowych żerdzi, dochodzący aż do samej rzeki. Takimi płotami odgradzają się od tajgi wszystkie syberyjskie osady. Drewniane grodzie nie pozwalają, żeby się bydło pogubiło i choć odrobinę chronią liche, wydarte tajdze uprawne zagony przed leśną zwierzyną. Chutor nie był duży, zaledwie kilka drewnianych chałup, z gospodarskimi przybudówkami. Każda chałupa dodatkowo ogrodzona palisadnym, wysokim płotem z desek. Wyglodniałych chłopaków aż kusilo, żeby wstąpić na chutor i coś do jedzenia zdobyć. Ale nie, lepiej nie ryzykować.

Skradali się wzdłuż ogrodzenia, byle chutor ominąć. Coraz niżej snują się nad tajgą gęstniejące chmury dymu i przelatuje coraz więcej gałgoczącego ptactwa. Dopiero jednak kiedy z drugiego brzegu Pojmy ruszyła wprawdzie dzika zwierzyna i w pobliżu nich bez odrobiny strachu przetruchtało w głąb tajgi kilka lisów, wilków i łosi, zdali sobie sprawę, że pożar tajgi, w nocy tak odległy, jest tuż, tuż! W spokojnej i dotąd jakby bezludnej i sennej osadzie zaczął się ruch. Widzieli, jak mieszkańcy w pośpiechu krzątają się wokół domów. Wyganiaли z zagród krowy, pętali postronkami kwiczące prosiaki, chwyтали gdakające kury. Wynosili, co się dało, z chałup. Spodziewali się nadchodzącego pożaru. Na drugim brzegu pożar głucho dudnił, słyhać było trzask ognia, widać płomienie buszujące w konarach sosen. Silny wiatr unosił wysoko, miotał na wioskę iskrzące głownie. Pożar forsował rzekę. Od tych płonących przerzutów zajmowała się sucha trawa, buchał ogniem sosnowy młodnik, pożar wślizgiwał się na chutor. Zapłonął gontowy dach chaty stojącej najbliżej rzeki.

Ryczało bydło, wyły psy, nawoływali się zaskoczeni żywiołem ludzie.

- O ja ci krence! Ale ten ogień hajcuj! Rzeką przeskoczył. Dymamy stąd, Jóźku, bo si tu i my na spalony naleśnik usmażymy.

- Wieś się pali, nie widzisz?

To mówiąc Józek Bar susem przeskoczył ogrodzenie i pobiegł do pożaru. Olek szpetnie zaklął i pośpieszył za przyjacielem. Dobiegli do płonącej chaty i zabrali się do gaszenia. Szarpali palący się dach bosakami, wiaderka z wodą z rąk do rąk podawali. Kto wie,

jak by z tym pożarem w leśnej osadzie się skończyło, gdyby nie Pojma, przez którą pożar tajgi całą ogniową lawą się nie przedarł i gdyby nie nagła, szkwalna ulewa. Ogień przygasł, wioska ocalała.

Pośród czarnego parującego pogorzeliska sterczały zwęglone kikuty płotów, przybudówek, osmolone drzewa. Pożar strawił dwie chaty i sporo drobniejszej domowej żywności spiekł albo dymem wydusił. Na szczęście nikogo nie zabił, nie licząc paru poparzonych.

Olek z Józkiem ledwie zwlekli się nad rzekę, żeby jako tako doprowadzić się do porządku. Czarni jak kominiarze, oglądali swoje powypalane, poszarpane odzienie. Olkowi puchła boleśnie poparzona ręka.

Chutor nie był ludny. Przeważały kobiety i małe dzieci. Mężczyzn jak na lekarstwo. Pośród nich wyróżniał się starzec, brodaty i rudy jak marchewka. Widać było, że jest tu najważniejszy i słuchają go tu bez szemrania. Odnieśli wrażenie, że wszyscy na chutorze stanowią jakby jedną wielką rodzinę. Upodobał ich nawet wygląd - prawie wszyscy mieli niebieskie oczy i lekko rudawy, słomiany kolor włosów.

W rzeczy samej owa zagubiona w tajdze osada nazywała się Spaskaja Zaimka i od dawnych jeszcze carskich czasów zamieszkiwały ją dwie wielopokoleniowe rodziny Pankratowych i Pietrowych.

I wszyscy oni z dziada pradziada byli religijnymi staroobrzędowcami. Wiek temu uciekli z głębi Rosji, aż z rizańskiej guberni, na Sybir, przed prześladowającymi ich prawowiernymi popami i carem. A kiedy carów po bolszewickiej rewolucji nie stało, nadal taili swoją starą wiarę przed radziecką, tym razem bezbożną władzą. Tajga matuszka ich chroniła, karmiła i odziewała. Liche poletka uprawiali trójpolówkę; polowali, łowili w Pojmie ryby i zajmowali się pszczelarstwem. Władzy słuchali, no bo jakże inaczej, przecież każda od Boga, ale, na ile się dało, pustelniczo unikali zewnętrznego świata i ludzi.

Rudobrody starzec nazywał się Pankratow. Pojawił się obok nich na brzegu i w milczeniu przyglądał się, jak Józek kawałkiem oberwanej koszuli bandażował Olkowi oparzoną rękę. Po chwili odszedł bez słowa. Olek syknął z bólu i dmuchnął na oparzenie.

- Szlag go, na cholery! A to rudy piernik, nawet dziękuj ci człowiekowi nie powi, nie zapyta, czy nam kiszki marsza nie graju! Ręka mnie boli, kałdun z głodu do żebrów przysycha. To ja, braci, w dupi mam taką zabawę. A wszystko przez ciebie. „Pożar, pożar!”. I leci gasić, jak ten wariatuccio z Kulparkowa. Co ja, sikawkowy jaki czy co? Ta ty sobi wyobrażasz, ile my tu czasu za durno zmitrężyli? A taki stary wiewiórek nawet za to pocałuj mnie w dupę ci nie powi.

- Daj mu spokój. Miałbyś ty głowę do czego innego, jakby ci cały dobytek z dymem poszedł? Czekaj, nie szarp tak tą łapą, zawiążę ci i idziemy...

Nie zdążyli więcej ponarzekać, bo stary pojawił się znowu. Nie sam. Towarzyszyła mu młoda niewiasta, trzymała w ręku wiklinową kobiałkę.

- Pokaż rękę - skomenderował starzec. Obejrzał oparzenie, pomacał palcami opuchliznę. Młoda, rudawa blondynka z kobiałką mogła być jego córką albo synową. Stary wyjął z koszyka kurze jajo, białko z żółtkiem zmieszał na wielkiej jak łopata dłoni i wklepał to Olkowi w ramię. Pokroił w plastry tłuste, pożółkłe ze starości sadło i obłożył nim oparzelinę. - Niedźwiedzie sadło - wyjaśnił zdumionemu Olkowi. Skinął na młódkę. - Owiń, Anfisa.

Młoda, nie podnosząc wzroku na Olka, bandażowała mu rękę czystym lnianym ręcznikiem. Choć go to nie bolało, syknął specjalnie. Spłoszona, zerknęła mu w oczy i niemal jednocześnie splonęła delikatnym rumieńcem.

- Bolno?

- Ta co pani, niby motylek łaskocze - zaprzeczył galantnie, tyle że po polsku. Nie rozumiała, zdumiona. - Niczewo, charaszo, pani, charaszo... - poprawił po rosyjsku.

- Przepraszam, ja ostrożno... - I znowu niebieskie oczy w dół, ale rumieniec jeszcze wyraźniejszy. Skończyła i stanęła z boku.

Stary coś do niej mruknął. Skłoniła się nisko, postawiła kobiałkę i odeszła. Ale nim skryła się na ścieżce, dyskretnie na Olka się obejrzała.

Stary tymczasem przysiadł na pniu i zaczął wyjmować z kobiałki jedzenie.

- Pożywcie się, dobrzy ludzie, tym, co się w pośpiechu zabrać udało. Bóg wam zapłacić za pomoc. Widać za nasze grzechy Bóg pokarał nas tym pożarem. A skoro jego wola była taka, pocierpimy. Poznają, że wy obydwa nie tutejsi, że nie z ruskiego jesteście plemienia. W tajdze nie ma zwyczaju nagabywać wędrowca, kim jest, skąd i dokąd zmierza. Więc i ja o nic nie będę was pytał. I wy nas też o nic nie pytajcie. Wy podążycie swoją drogą. My tutaj zostaniemy. Myśmy was nie widzieli. Wy zapomnijcie o nas. Częstoście się, dobrzy ludzie, częstoście. Przed dalszą wędrówką pomożemy wam, czym chata bogata. A jeśli wam nie bardzo się śpieszy, to i banię dla was rozpalimy, przenocujemy.

Aż korciło ich, żeby tu przenocować i chwilę odpocząć, ale zagrożeni pogonią przemogli się i nie ulegli pokusie. Odeszli. Kiedy na noc mościli się w gąszczu mokrego paprotnika, Olkowi ta młódka nie wychodziła z głowy.

- Ta ty wiesz, Jóźku, jakby my tam mogli dziś lulać? Pierzyna, dziewczyna... Ty widział, jak ta dziunia, no jak jej tam było, na mnie popatrywała?



- Anfisa chyba.

- Co to za imię dla dziewczyny, jakby ludzkiego kalendarza nie mieli.

- A może i nie mają. Żyją sobie po swojemu, i tyle.

- Nu i niech se żyju. Ale ty widział Józku, jak ta dziunia...

- Anfisa.

- Niech ci będzie Anfisa. Jak ona mi się przypatrywała? Mówię ci, Józku, a na babach to ja si trochę znam, gdyby my tam na noc zostali, to ja by sobi z nią pogruchał, oj pogruchał!

- Albo by ci stary łeb siekierą za tę Anfisę rozwalił, albo komendant z Kaluczego by ciebie za gołą dupę spod pierzyny wywłókł.

- Gadaj sobi zdrów, co by było, to by było, ale szac kobitka z niej była i już. A ty człowieku leż tu teraz jak borsuk w mokrej trawie i nie dość, że ci się ślimak w uchi wślizga, to jeszcze zamiast babskiej pieszczoty jakieś francowate mrówki cię w kroku poszczypują...

Jeszcze z tydzień Bar z Zimorowiczem przez tajgę wędrowali. Natrętna muszka ich nie zamęczyła, bury Miszka ani zły warnak<sup>6</sup> im nie zagroził. Nie potopili się, forsując zdradliwe bagniska i rzeczne przeprawy. Nie dali się upolować łowcom katorżniczych głów. Nie dościgała ich pogoń Wochry z Kaluczego. Dzięki darom tajgi i dobrym ludziom ze Spaskiej Zaimki nie padli z głodu i wycieńczenia. Dopiero kiedy pewnego wieczoru usłyszeli niespodzianie, i to całkiem blisko, charakterystyczny ryk rosyjskiej lokomotywy, z wrażenia ugięły się pod nimi nogi, uszły z nich resztki sił i zamiast w te pędy pośpieszyć ku torom, padli jak podcięci biczem tam, gdzie stali. I w martwy sen zapadli. Dopiero następnego dnia o zmroku, wypatrzywszy uprzednio na kolejowym szlaku bezpieczne i dogodne miejsce, gdzie pociągi zwalniały bieg, wlokąc się pod górę, wskoczyli na zderzaki i wdrapali się na platformę towarowego wagonu.

Platforma załadowana była ciężkimi skrzyniami z jakimś żelastwem i przykryta brezentową płachtą. Transport rzadko przystawał, nikt go nie kontrolował. Pociągi towarowe rządzą się swoimi prawami: to pędzą bez opamiętania i postoju, to znów całymi dniami stoją na byle stacyjce. Na postojach siedzieli pod brezentem jak mysz pod miotłą. Żywili się tym, co im jeszcze od starowierów z Zaimki zostało. Popijali deszczówką albo rosą, zbierającą się w nocy na brezencie. Tak dojechali do Kańska, gdzie transport stanął w nocy na towarowej bocznicy. Stał długo. Wiedzieli, gdzie są, tym bardziej nosa spod brezentu nie wysuwali. I nagle tam, w Kańsku, z ryczącego stacyjnego głośnika usłyszeli o wybuchu wojny. Wysłuchali się raz jeszcze i jeszcze: „Wierołomnoje napadienije faszistkoj Giermanii na mirolubiwij

---

<sup>6</sup> Warnak - zbiegły katorżnik, włóczęga.

Sowieckij Sojuz”. Niemożliwe! Nie umieli sobie tego wytłumaczyć, czyżby naprawdę Sowieci z Niemcami wojowali? Parowóz odłączony. Olek zaryzykował i żeby się czegoś konkretnego dowiedzieć, chyłkiem przemknął na osobowe perony. Nie tylko zdobył niezwykle wiadomości, ale kupił u handlarek parę podplomyków i gotowanych jajek.

- A to ci, braci, heca! Na zicher Stalin z Hitlerem wojuji. A co dopiero taki oba cwaj kulegi byli, że hej. Moskali na wojnę idu, wódkę piju, śpiewaju, a ichnie baby płaczu. Znowu, braci, na tym świecie wszystko si pokićkało.

- No dobra, ale co my teraz zrobimy? Jak z Niemcami wojna, to tam na zachodzie front. Jak się przez front do Polski przedostaniemy?

- A niby co mamy robić? Zaiwaniamy dalej. Nie ma co durnego bałaku nad tu wojnu za bardzo rozwodzić. Co to my z tobu wojny nie widzieli? Dla nas wojna, nie wojna, to jedna ganc pomada. Nie kitraj si, braci, zasuwamy, dopokąd si da, a tam si uwidzi. Przez front też si jakoś prześlizniemy. Gorzej niż w Kaluczem nigdzie nam nie będzie. A jak si do Lwowa dostaniemy, to tam ja już pan!

Nieszczęście wydarzyło się na zachód od Kańska, na stacji Solianka. Było upalnie. Męczyło ich pragnienie. Olek porozglądał się, dookoła pusto, wodociągowy kran blisko. Zeskoczył z platformy do flaszki wody zaczerpnąć. Niespodzianie pociąg ruszył. Olek puścił się w pogoń, ale wagony już śmigały z coraz większą szybkością. Józek nie wiedział, jak mu pomóc. Przechylił się, wyciągnął ku niemu ręce. Olek skoczył! Celował na schodki hamulcowej przybudówki. Nie trafił... Zniknął pod wagonem, jednym, drugim, trzecim... Józek zeskoczył z platformy, na łeb na szyję sturlał się z wysokiego nasypu.

Pociąg oddalał się porykując, cichły charakterystyczne postukiwania kół po szynach. Kiedy wygramoliwszy się na tory Józek dobiegł do przyjaciela, ten, krwawo pogruchotany, dogorywał. Ale patrzył przytomnie. Coś chciał powiedzieć, z kącików ust ściekały stróżki krwi. Dławił się nimi. Józek przykląkł, ujął w dłonie jego głowę.

- Spokojnie, Oluś, spokojnie... - mówił, byle mówić, choć wściekły żal rozrywał mu serce. Dosłyszał jeszcze szept:

- Ni udało si nam, Jóźku, ni udało...

Zmasakrowane ciało Aleksandra Zimorowicza zabrała miejscowa milicja. Józefa Bara przekazano kańskiemu NKWD i osadzono go w więzieniu w Rieszotach. Tam, za ucieczkę z Łagpunktu Kaluczoje, Osoboje Sowieszczanije NKWD<sup>7</sup> skazało go na 10 lat ciężkich robót na Kołymie. Ale przed transportem na Kołymę jeszcze raz specjalnie odkonwojowano go do

---

<sup>7</sup> Osoboje Sowieszczanije - organ NKWD zastępujący sąd, wydający doraźne wyroki.

Kaluczego, żeby komendant Sawin mógł zbiega Polakom pokazać na dowód, że z tajgi uciec się nie da.

Lecz w tym całym nieszczęściu Józek Bar miał odrobinę szczęścia. Kiedy siedział w tamtejszej katalażce, a komendant Sawin szukał okazji, jak i kiedy klęskę Józkowej i Olkowej ucieczki ogłosić, do Kaluczego nadeszła pilna wiadomość o amnestii, którą w wyniku porozumienia Sikorskiego ze Stalinem ogłoszono dla wszystkich Polaków. Rad nie rad komendant musiał Bara zwolnić. Tak Józek Bar znalazł się na powrót w Kaluczem. Tyle że bez Olka Zimorowicza. No, a potem był Kajen. A teraz Tajszet i ta nagła Józkowa decyzja, żeby na poszukiwanie polskiego wojska wyruszyć...

\*

Lato w pełni. Odkąd co sprawniejsi i młodszy mężczyźni popłynęli Birusą tratwy spławiać, Łagpunkt Kajen opustoszał. Komendantowi Gusiewowi brakowało na porębie robotników, a naczalstwo z Tajszetu nie chciało słuchać żadnych usprawiedliwień. „Ty, Gusiew, wykrętów nie szukaj. Norma wyrębu tajgi ma być wykonana, bo to sprawa państwowa. A jak, to już twoja w tym głowa. I nie zapomnij, że stan wojenny mamy; albo norma, albo trybunał, co wolisz?”.

Gusiew klął w duchu swoje naczalstwo w Boga, matkę i prababkę, ale tym gorliwiej gonił do roboty w tajdze żywego, krzywego. Całe szczęście, że mu trochę zdatnych do piły i topora Niemców zostało, bo tych, w odróżnieniu od Polaków, na spław nie wolno było puszczać. Polak - wiadomo, nie ucieknie, bo niby dokąd? A do tego każdy z miejscowych od razu go rozpozna, jeśli nie po wyglądzie, to po tym, jak rosyjską mowę kaleczy. A taki ruski Niemiec, tu urodzony i wychowany, niczym od Rosjan się nie różni. Takiemu zawsze łatwiej gdzieś tam wśród ruskich ludzi się zawieruszyć.

Stanisław Stanisław, któremu Bozia w dzieciach nie poskąpiła, a teraz po śmierci żony sam musiał się trzódką opiekować, uprosił komendanta, żeby mu robotę raczej w pobliżu przydzielał, skąd na noc do baraku mógłby wrócić i dzieciarni doglądać. I Gusiew czasami potrafił być człowiekiem. Toteż Stanisław z najstarszym synem Julkiem trochę piłą tarczował na budowie nowych baraków, to znowu w pobliskiej tajdze z synami, bo doszedł jeszcze młodszy Staszek, dziegieć wypalał. Wracali do baraków usmoleni jak kominiarze, na kilometr śmierdzący dziegiem, ale żartowali, że ich przynajmniej muszka i komary nie gryzą. Lecz tego lata obydwu starszych chłopaków Gusiew na spław wyznaczył, a Stanisława pogonił do ścinania tajgi. Stanisław próbował się bronić tym, że to daleko od baraków i te jego małe dzieciaki...

- I współnika do piły nie mam. Zawsze przecież z synem Julkiem...

- Nie zawracaj mi Staniszu głowy. Dzieci, współnik! Poręba niedaleko, na noc do baraku wrócisz, a współnika, ot, choćby jakiegoś Germańca brygadzista ci przydzielą.

Nie było rady i nazajutrz skoro świt, z piłą na ramieniu i siekierą za pasem, powlókł się Staniszu na porębę.

Przyszedł wcześniej, bo nawet jeszcze brygadiera nie było. Przysiadł na pieńku i zabrał się za ostrzenie piły, bo ostra piła to połowa siły. Gładził każdy ząbek pilnikiem, patrzył, czy wygięty jak trzeba. Przy tym zajęciu zastał go brygadzista, stary Czuwasz z Czerczetu. Na wojnę się nie nadawał, ale na tajdze znał się jak rzadko, więc z woli komendanta on rządził na porębie. Małomówny do niemoty, cedził pojedyncze słowa. Może dlatego, że po rosyjsku mówił źle.

- Ona toboj rabotać - wychrypiał brygadzista i pokazał na stojącą obok kobietę.

Stanisz ze zdziwienia aż kapelusz znad czoła odsunął.

- To chyba jakaś pomyłka! - zaczął po polsku, bo zaskoczony rosyjskich słów nie mógł znaleźć. - Oszybka, chłop... muzyk, mnie nada, do piły. Piła, piła, rozumiesz?

- Rozumiesz, rozumiesz - z kamienną twarzą ni to powtórzył, ni to przedrzeźnił go Czuwasz i dotknął ramienia kobiety.

- Ona... piła... rabotać. Rozumiesz?

I poszedł. Ale po paru krokach przystanął, bo przypomniał sobie, że musi im robotę wyznaczyć. Szedł wolno od sosny do sosny, dotykał każdej i głośno powtarzał:

- Eta, eta, eta... Dziesięć! - Rozczapierzył palce i dwa razy machnął dłonią. - Dziesięć... Norma!... Poniał?

- Poniał, pioniał... Norma, akurat! - Staniszu ze złością wyrwał i ponownie wbił siekierę w pieńki. I dopiero wtedy przyjrzał się milczącej kobiecie.

Odziana była tak jak wszystkie tutejsze kobiety: kufajka, spodnie, na głowie chusta, a może szal jakiś, zawiązana pod brodą. Średniego wzrostu, krzepkiej budowy, choć grube odzienie wyraźnie ją zniekształcało. Ranek chłodny, szron się srebrzy, więc pewnie dlatego chowała zmarznięte dłonie w przydługich rękawach. Na oko dał jej trzydziestkę, nie więcej. Twarz miała nie tyle ładną, co łagodną i wcale miłą. Spod chusty wymykały się nieposłuszne kosmyki czarnych włosów. Oczy? Nie doszukał się ich koloru, bo zderzywszy się z jej poważnym, jakby nieco płochliwym spojrzeniem, Staniszu pierwszy wzrok opuścił. Schylił się i wziął do ręki piłę. Zapytał:

- Niemka?

W milczeniu przytaknęła głową.

- A ja Polak.

- Wiem.

Stanisz brzdąknął palcami o piłę.

- Piła.

- Znaju.

- Rabotałaś? - Znowu piła brzdąknęła.

- Nigdy.

- A dasz rady?

- Nie wiem. Co mi tu każą, to robię.

- A ten Czuwasz o normie mi gada! Nie, to nie do ciebie. Nie stój tak, usiądź gdzieś, piłę ostrzyć dokończę.

Usiadła na powalonym kłocu i przypatrywała się, jak tę piłę ostrzy.

Zainteresowała się głośno pobliskimi sosnami.

- Jakie wielgachne! To jak my ich... tą piłą?

- Normalnie. Najpierw się sosnę z odpowiedniej strony siekierą podrabie, a dopiero potem piłuje i zwali: bach! Tylko trzeba uważać, bo jak taka sosna zacznie trzeszczeć, przechylać się i spadać, a człowiek na czas nie odskoczy, to koniec z nim, kaput. Rozumiesz? Kiedy krzyknę „Uwaga!”, to ty rzucaj wszystko i w nogi. I tylko w tę stronę uciekaj, gdzie ci ręką pokażę. Jasne?

- Jasne, to jasne, tylko że ja jeszcze w życiu czegoś takiego nie robiłam.

- Już to mówiłaś! Ja też się w tajdze nie urodziłem... No, piła gotowa, spróbujemy. Tylko uważaj, bo inaczej...

- „Kaput”. Nie strasz, bo i tak się boję.

Stanisz, choć po sobie tego nie pokazywał, był zły jak ognisty piorun. No bo jakże tu się nie wściekać, kiedy dają ci za współnika nie dość, że babę, to jeszcze taką, która w życiu piły czy siekiery w ręku nie trzymała. A ty musisz z taką ofiarą losu nakazaną normę wyrobić. Bo jak nie wyrobisz, nie tylko że mniej ci zapłacą, to jeszcze komendant dodatkowych produktów z magazynu ci nie wypisze, torebki kaszy albo makaronu. I co ty po robocie głodnym dzieciakom zanieziesz? „Niemiec, nie Niemiec, myślałem, że to chłop jakiś będzie, a tu masz ci los, baba! Niańcz tu się z nią teraz. O jakiej normie tu gadać, kiedy ta nie potrafi nawet za piłę złapać”.

Roboczy dzień się kończył, a Stanisław i bez brygadzysty wiedział, że nawet do połowy wyznaczonej normy się nie zbliżyli. Czuwasz z wyraźną przyganą kręcił głową.

- Ne charaszo... Norma net... Dzieńga net... Produkta net... Ne charaszo Polak, ne charaszo... - Ślinił co chwila kopiowy ołówek i coś tam sobie w wyszmelcowanym zeszyście

gryzmolił.

Stanisz aż kipiał, żeby mu z grubej rury wypalić, i jeśli się powstrzymał, to dlatego, że nagle żal mu się tej Niemki zrobiło. Widział, jak stała obok, bez reszty strudzona, smutna, jak ukradkiem oglądała swoje bąble na dłoniach. „Starala się kobita, nie powiem”. Brygadzysta spytał Niemkę o nazwisko. Nie zrozumiał, czy nie zdążył nazwiska w zeszytce nagryzmolić.

- Familia... Kak... twój?

- Krzyżanowska. Jekatierina Krzyżanowska - powtórzyła dobitnie, wyraźnie i bez cienia rosyjskiego akcentu.

Ki diabeł? Stanisz nadstawił uszu.

- Krzy... Kriż... - mozolił się Czuwasz. - Ne ponimaju. Kak, kak?

- Dawajcie, ja sama wam zapiszę.

Bez sprzeciwu podał jej zeszyt i ołówek. Zapisała. Oddała, wycierając pobrudzone fioletem palce. Czuwasz zasunął zeszyt za pazuchę.

- A norma net. Denga net. Produkta net. - I odszedł.

Stanisz milczał.

- Wot i tak, dopracowałam się. - Zdjęła chustkę z głowy, jakby jej się nagle gorąco zrobiło. Włosy miała związane w kok. I nie pytana wyjaśniła: - Z domu jestem Kern. A Krzyżanowska mam po mężu... Polakiem był, tak jak ty.

- To pewnie i po polsku umiesz?

- Nie bardzo. Coś tam rozumiem, ale mówić raczej się nie odważę... Mój mąż był ruskim Polakiem z Leningradu, tak jak ja jestem ruską Niemką. Między sobą rozmawialiśmy po rosyjsku. Czasami tylko przy wspominkach, albo dla żartu, jakieś tam polskie czy niemieckie słowo się wtrąciło.

- A no niby tak... - filozoficznie skwitował Stanisz, ale o nic więcej nie zapytał. Zebrali narzędzia i wracali do baraków. Prawie przez całą drogę milczeli, każde było się ze swoimi myślami. Zatrzymali się, bo Niemka skręcała na ścieżkę do swojego baraku. Oddała Staniszowi siekiere, którą niosła.

- Masz, nie będzie mi już potrzebna. Napilołam się, starczy. Drwała ze mnie nie będzie. Przepraszam... Normy przeze mnie nie wyrobiłeś, same tylko kłopoty...

- E, jakie tam znów kłopoty. - Stanisz lekceważąco machnął ręką. - Jak na pierwszy raz, to jakoś ci szło.

- Ja tam wiem swoje. Rano pójde do komendanta, powiem, że się do tej roboty nie nadaję i niech robi ze mną, co chce.

- Zastanów się, podumaj... Do komendanta pójdziesz, i jeszcze większych kłopotów

sobie napytasz. A kto tu do czego się nadaje? Sama mówiłaś, że musimy robić to, co nam każą. Masz, bierz siekierę z powrotem i jutro rano przychodź na porębę. No bierz, bierz. - Wzięła siekierę niby z oporami, ale po jej minie widział, że się ucieszyła. - Norma, norma! Nie martw się, jak nie dziś, to jutro nadrobimy. Do wszystkiego tu człowiek musi się przyzwyczać, a co dopiero do piły. Wiesz przecież, jak tu mówią: „Przywykniesz, przywykniesz...”.

- A nie przywykniesz, to zdochniesz! - dokończyła. - No, może aż tak źle nie będzie.

- Daj Boże, daj Boże - zgodził się Stanisław. Lekki uśmiech pierwszy raz rozjaśnił im twarz. - No to do jutra, Katarzyno. Dobrze zapamiętałem?

- Dobrze, dobrze. No to do jutra. Dziękuję ci... Przepraszam, a właściwie to jak ty masz na imię?

- Stanisław, Stanisław Stanisław się nazywam.

- Stanisław... Mojemu Bolesław było. A po ojcu Stanisławowicz. Bolesław Stanisławowicz Krzyżanowski. Z tego widać, że Stanisław to częste u Polaków imię.

- Jeszcze jak! Prawie co drugi to Stanisław. Syna mam Staszka.

- A Katarzyna? Bo mój tak właśnie z polską czasami na mnie wołał: Katarzyna. I tak jeszcze miękko jakoś: Kasu, Kasu...

- Kasiu, Kasiu, tak to się wymawia... Moja babka też miała na imię Katarzyna. Katarzyn też w Polsce sporo. Rozgadaliśmy się, a ja muszę lecieć, bo dzieciaki mnie wyglądają. No to do jutra, Katarzyno.

- Do jutra, Stanisław, do jutra. I jeszcze raz ci za wszystko dziękuję.

Tak to się między Stanisławem a Katarzyną Kern-Krzyżanowską wszystko zaczęło. Nazajutrz, pojutrze, a potem długo jeszcze pracowali razem na porębie. Pozostali współnikami nawet wtedy, kiedy najstarsi synowie Stanisława ze spławu powrócili. Katarzyna szybko nauczyła się ciężkiej pracy drwała, toteż wkrótce i z wyrabianiem normy nie mieli większych kłopotów. Aż się stary Czuwasz brygadzysta dziwił i po kilka razy kubametry drzewa mierzył, ale wszystko zgadzało się co do joty. Żartowali wtedy, pierwszy wspólny dzień wspominając: „Przywykniesz, przywykniesz, a nie przywykniesz...” - nie pozwalała mu kończyć i dopowiadała swoje: „O nie! Nam w tajdze podychać? O, niedoczekanie ich”.

Przyzwyczała się Katarzyna do pracy w parze ze Stanisławem. I chyba nie tylko do pracy, do niego coraz bardziej się przyzwyczajała. Bo choć sama przed sobą się do tego nie przyznawała, w jego obecności coraz częściej czuła się kobietą. A i w nim mężczyznę dostrzegała. I to „coś” coraz częściej, a zwłaszcza w nocy, błąkało się w jej myślach i niepokoilo.

A co na to Stanisz? Na początku też widział ją tylko jako partnerkę do piły. Nadziwić się nie mógł jej solidnej pracowitości i zamięłowania do porządku. Wszystko, za co Katarzyna się brała, musiało być jak pod miotłę i pod linijkę. Nawet obciętych gałęzi byle gdzie i byle jak nie rzuciła, tylko układała je tak, aby koniec do końca pasował. „A to ci Niemka dopiero! Nie darmo się u nas mówi, że Niemcy porządek lubią”. Cieszył się, że normy wypracowują, dobry grosz razem zarabiają i jego dzieci na tym nie cierpią. A czy Katarzyna jako kobieta w ogóle go nie interesowała? Wdowcem przecież Stanisz był, a do tego jeszcze nie starym, ledwie mu czterdziestka przewaliła. Owszem, czasami, kiedy rozgrzana pracą Katarzyna zrzucała kufajkę, szarpała chustkę z głowy, kiedy przy tym wionęła na niego ostrym babskim potem, wtedy w nim też coś instynktownie się budziło, zerkał na nią pożądliwie i z trudem ślinę suchym gardłem przetykał. Ale właściwie na tym się kończyło...

Tylko wczesną jesienią bywają w tajdze takie dni - nasłonecznione, ciepłutkie i ciche. A do tego wolne od tej wiosenno-letniej plagi, od muszek i komarów. Ku uldze ludzi i zwierzyń ich czas w jesieni się kończy.

Takiego ładnego dnia Stanisz z Katarzyną pracowali na porębie, dość blisko baraków. Powalili kolejną sosnę. Stanisz ostrzył piłę. Katarzyna obcinała gałęzie, przygotowując je do spalania. Ona też pierwsza zauważyła gromadkę małych dzieci przedzierających się przez tajgę w ich stronę. Aż przystanęła ze zdziwienia, pomyślała, że pewnie zabłądziły, bo chyba nie na brusznicę czy grzyby takie maluchy się wybrały. A dzieciaki, mozolnie gramoląc się przez spróchniałe zależe, to znikwały jej z oczu w wysokich paprotnikach i trawach, to znów się pojawiały na widoku i były coraz bliżej. Nie zdążyła nawet Stanisza na ten widok uczulić, jak dzieciarnia z radosnym pokrzykiwaniem „Tato! Tatusiu!” ku niemu się rzuciła i oblepiła go zwartym rojem. Sześcioro ich naliczyła, nie wiadomo które chłopak czy dziewczynka, bo wszystkie w jednakowe łachy byle jak przyodziane i bose. „Bose, bose po tajdze łążą, a tu źmije przecież. Że też ich matka samych do tajgi wypuściła. Staniszowe dzieci. To aż tyle ich mają?”.

Tymczasem Stanisz, wyraźnie tym najściem zaskoczony, obściskał dzieciaki, przez ramię usprawiedliwiająco popatrywał na Katarzynę i karciał je dobrotliwie:

- Jak wyście mnie tu znalazły? Zabłądzić mogłyście przecież. A co wam tatuś mówił? Mówił, żebyście od baraku na krok nie odchodziły? Mówił. A wy co żeście najlepszego narobiły? I nie bałyście się? Tajga, wilki, niedźwiedzie... Oj, dzieci. Nawet Danusię żeście wyciągnęły. No chodź tu maleńka do tatusia, chodź. Nóżkę sobie do krwi zadrapałaś. Poczekaj, tatuś zaraz chusteczkę pošlini, nóżkę owinie. Jak wyście mnie tu znalazły?

- To Marcin nas do ciebie przyprowadził. Nie zabłądzimy, tatusiu, nie bój się, Marcin



całą tajgę zna. Prawda, Marcin? - przekrzykiwało się jedno przez drugie.

- Oj Marcin, Marcin! - Stanisław wstał z pieńka, Danusię z kolan zszadził i z uśmiechem zwichrzył płowowłosą czuprynę trzymającego się nieco na uboczu chłopczyny. - Poczekajcie chwileczkę, zaraz coś my tu... - Widziała, jak podszedł do powieszanej na konarze kufajki i wyjął z kieszeni małe szmaciane zawiniątko, jak wysuwał zeń kromkę chleba. Wrócił do dzieci wpatrzonych w niego jak sroka w kość, odłamywał z tej kromki po kawałeczku i każdemu do ust wkładał, dbając, żeby się najdrobniejsza okruszyna nie zmarnowała. Patrzyła na dziecięce, płonące głodem oczy i po ptasiemu rozdziawione dzioby. Nie wytrzymała. Poszła po swój śniadaniowy kawałek chleba i bez słowa podała go Stanisławowi. Wzbraniał się w milczeniu, odsuwał jej rękę, ale wziął. Odprowadził dzieci aż na skraj tajgi.

- Trafia? - spytała.

- Trafia. Baraki widać. Co też najlepszego wpadło im do głowy?

- Dzieci, jak to dzieci. To widzę, że sporą gromadkę ich macie - ni to spytała, ni to stwierdziła.

- A no sporo... Tyle że to jeszcze i tak nie wszystkie tu były: dwóch synów najstarszych na spławie, czwórka średnich w baraku, tak że razem jest nas jedenaścioro!

- A twoja żona gdzie pracuje?

- Moja żona? - Brzdąknął palcami o piłę i głośno westchnął. - Biermy się do roboty, Katarzyna, tyle czasu przez te moje dzieciaki się zmitrężyło.

Podszedł do sosny, otaksował ją od odziomka do wierzchołka i z rozmachu zaciął siekierą. A potem wrąbywał się w sosnę z taką zaciętością, jakby chciał ją za jednym razem powalić. Zmęczył się. Odrzucił siekierę i otarł pot z czoła. Raczej ponuro popatrzył na Katarzynę.

- A ich matka nie żyje. Dwa lata minęło, jak mi żona w Kaluczem na tyfus umarła. A rychło za nią jeszcze dwoje naszych dzieci poszło...

Goni człowieka w tajdze dzień za dniem, każdy taki sam kłopotliwy i głodny. Gdzie tu jeszcze czas na wspominki? A zwłaszcza takie, po których serce jeszcze bardziej się kraje. Broni się człowiek przed nimi, jak może. Ale czasami nie może, zwłaszcza wtedy, kiedy ktoś ci tę czułą wspomnieniową strunę, choćby niechcący, potrafi. Tak jak dzisiaj Stanisławowi - Katarzyna. „To widzę, że sporą gromadkę ich macie... A twoja żona gdzie pracuje?”. „Nie żyje moja żona. Maria na imię jej było. A dzieci, które prawie razem z nią w Kaluczem umarły, miały na imię Wandzia i Marian...”.

Przed wywózką na Sybir Maria i Stanisław Stanisławowie mieszkali na koloni Poniatowa w zaleszczyckim powiecie. Nowy dom, solidna gospodarcza zabudowa, konie,

krowy, świnie, gęsi, kury, wszystko, co u porządnego gospodarza być powinno. Czarnoziem podolski urodzajny nad podziw: pszenica, kukurydza, słoneczniki, arbuzy, nie mówiąc już o sadach i plantacjach winorośli. Staniszwowie zapracowywali się od świtu do nocy, bo też i mieli dla kogo. Bo czego jak czego, ale dzieci im Bozia nie poskaąpiła, prawie „co rok to prorok!” albo i dwójka naraz. „Jak ta Staniszka z taką gromadką dzieciaków sobie radzi? A do tego jeszcze gospodarka taka”. Sąsiedzi nie mogli się nadziwić. A Maria sobie radziła, choć urodziła tych dzieci trzynaścioro.

Najstarszy, pierworodny Józek, we wrześniu 1939 roku poszedł na wojnę z Niemcami i słuch po nim zaginął. Pamiętnego 10 lutego 1940 roku, w dniu wywózki na Sybir, wraz z rodzicami załadowano do oszronionego mrozem wagonu siedemnastoletniego Julka, piętnastoletnie bliźniaczki Wandę ze Staszkiem, drugą bliźniaczą parę Władzię i Władka, trzecią parę, tym razem bliźniaczek jedenastoletnich, Adelę z Walerką, i czwartą, dziesięcioletnich Cześka z Marianem. Do nich doliczymy jeszcze siedmioletniego Zbyszka, pięcioletnią Danusię i ledwie dwuletnią Marysię.

Jak ta dzieciarnia zimową drogę na Sybir wytrzymała? Wytrzymała. Tajga. Kalucze. Baraki. Głód. I już pierwszej syberyjskiej wiosny śmiertelna epidemia tyfusu. Pierwsza z rodziny Staniszków umiera... matka. A następnego dnia po niej, wyrwani przez śmierć ze swoich par bliźniaczych, Wandzia i Marian. Stanisz ze starszymi synami zbija trumny, z czego się da, i chowa całą trojkę w tajgowej wiecznej zmarzlinie.

I tak Stanisław Stanisz został wdowcem z dziesięciorgiem dzieci na głowie, z których prawie każde wymagało jeszcze rodzicielskiej opieki i było od mniejszego mniejsze. A najmłodsza, dwuletnia Marysia, ledwie co matczyną pierś ssać przestała.

W lecie 1941 roku Stanisza z jego gromadką przerzucono z Kaluczego do Kajenu nad Birusą. Takie same baraki, taka sama przymusowa robota przy wyrębie tajgi, takie same głodowe warunki bytowania, tyle tylko, że w Kajenie tyfusu nie było i ludzie już tak masowo nie umierali. Ojciec z dwoma starszymi synami, Julkiem i Staszkiem, skoro świt szedł na cały dzień do roboty. Pozostałe dzieci zostawały samopas w baraku, najczęściej o chłodzie, bo to ani odzienia godnego, co to jeszcze z Polski, więc już w strzępy się zmieniło, i o głodzie, bo co ojciec do jedzenia mógł im zostawić? Przydział na skromne porcje chleba przynosił im dopiero wracając z pracy, wieczorem. Nie było mowy, żeby tak oczekiwany chlebuś, choć czarny, kwaśny i lepki jak rozbełtana glina, doczekał dnia następnego. Ale jeszcze wiosnę, lato i jesień dawało się jakoś przeżyć, tajga swoimi płodami ludziom pomagała. Szła zima 1941 roku, a w zimie wszystkim ludziom w Łagpunkcie było najtrudniej, co dopiero tak licznej rodzinie Staniszków.

Mógł być październik, listopad może, w każdym razie w tajdze już dawno sypnęło śniegiem, a i mrozy tężały z każdą nocą. Stanisław z Julkiem i Staszkiem dopiero co wrócili z roboty i chleb ze sobą przynieśli. A że normę wyrębu wykonali wzorowo, komendant Gusiew wydzielił im w nagrodę kilogram jęczmiennej kaszy. Rzadka to była okazja, więc ojciec zarządził, że z połowy tej kaszy jeszcze dzisiaj zupy sobie na kolację nagotują, odrobiną chleba dogryzą. Najstarsza Władzia wody do garnka nalała, na rozpalonej do czerwoności burzujce ustawiła, będzie się kasza gotować. W baraku za przepierzeniem wydzielonym Stanisławowi ciemnowo, bo tyle tu światła, ile żar i płomień od piecyka odbije. Dzieciarnia wpatrzona w garnek na piecyku czeka, doczekać się nie może tej obiecanej zupy. Niecierpliwie nadśluchoje bulgotania wody, wciąga w nozdrza praśny zapach rozgotowanej kaszy. Władka krząta się przy tym gotowaniu, miesza, żeby się zupa nie przypaliła, dmucha w łyżkę, próbuje, czy posoliła, jak należy... „Gotowa, tatusiu”. „No to, wiara, łapać mi się za łyżki, miski i siadać do stołu. A ty, córuś, nalewaj. Tylko spokojnie, spokojnie, bo jeszcze stół wywrócicie. I nie szturchać mi się, nie kłócić, każdy dostanie sprawiedliwie. No to nalewaj, córuś, nalewaj”. Ponalewała. U dzieciarni łyżki w pogotowiu, ale grzecznie czekają, patrzą na ojca, bo wiedzą, że kiedy on się przed jedzeniem przeżegna, dopiero wtedy mogą zaczynać. Stanisław chrząknął, złożone palce unosił do czoła, kiedy nagle do barakowych oszronionych drzwi ktoś ni to zadrapał, ni to zapukał. Siedzący najbliżej drzwi Staszek: „Tato, chyba ktoś puka...”. Ucichli, wsłuchali się wszyscy. Szmerzy za drzwiami się powtórzyły. „Rzeczywiście. Kogo tu znowu niesie? Puka! Co, otworzyć drzwi nie umie? Zerknij tam”. Staszek otworzył drzwi. A wtedy wraz ze smugą mrozu wgramolił się, przeturlał się przez próg jakiś dzieciak. W długachnej, postrzępionej kufajce, w czapie uszance, nogi w szmaty omotane, cały jak te barakowe drzwi oszroniony. Trudno było poznać, kto to. Dopiero Zbyszek i Czesiek wrzasnęli w jeden głos: „To jest Marcin!”. A na zdumione spojrzenie ojca odpowiedzieli: „No ten, tatusiu, Marcin, Marcinek od Mazurów, co to mu wszyscy umarli, a on tylko sam został”. Stanisław odłożył łyżkę, powoli wstał od stołu i zaczął rozpatulać zeszywniałego na mrozie dzieciaka.

Rodzina Mazurów... Niewielka podolska wioska osiadła na skłonie łagodnego jaru, skąd do brzegów Dniestru kamieniem rzucić. Wiosna tumani, odurza zapachem bzu i jaśminu, oszałamia kwitnącymi sadami, lato otula się łanami dorodnej pszenicy, złocistymi kaczanami kukurydzy, wabi i syci dzielanką, tylko w tym zakątku kresowej Polski dojrzewającej winorośli, wielgachnymi dyniami, soczystymi melonami i arbusami. Można też wyobrazić sobie tę podolską wioskę płodną złocistą jesienią, a potem w zimie, kiedy drzemie zawiana po dachy obfitym w tych stronach kopnym śniegiem, kiedy gałęzie przydomowych drzew

uginają się pod ciężarem strojnej srebrzystej szreni...

W takiej to wiosce Żurawce nad Dniestrem stał całkiem nowo pobudowany dom rodziny Mazurów. Mazurowie, małżonkowie młodzi, wciąż jeszcze na dorobku. Ale mają się już dla kogo starać. Bo oto hasa im po obejściu trójka dorodnych dzieciaków: pierworodny czternastoletni Julek, jedenastoletnia Marysia, no i ten najmłodszy, pięcioletni Marcinek.

Słowem, żyło się było Mazurom na tym Podolu jak u pana Boga za piecem, aż do tej nieszczęsnej wojny, we wrześniu 1939 roku. A potem to już z każdą nocą i dniem tylko niepewność losu i wojenna trwoga. W takim stanie ducha zastał ich przedświt dnia 10 lutego 1940 roku. Do uspiętego domu wdzierają się uzbrojeni żołdaci NKWD, dają im pół godziny, żeby odziać rozespiane dzieci i co pod rękę wpadnie zabrać do tobołka na łapu capu. Pod konwojem na stację, do bydłowego wagonu, i hajda na Sybir. Za co, na jak długo?

W Kaluczem, w czas epidemii tyfusu, zmarł Jan Mazur, głowa rodziny. Mazurowa tyfus przeżyła i pozostała w tajdze sama z trójką sierot. Tak jak wielu, i ona trafiła z Kaluczego do Kajenu. Dzieci zostawały w baraku, a matka dzień w dzień chodziła do tajgi na robotę. Wkrótce razem z matką musiał pracować piętnastoletni Julek. Ale jak się zaczęła nieszczęścia sypać... W Kaluczem osierocił ich ojciec, a tu, w Kajenie, zmarła im Marysia. Na co? Obolała matka wiedziała swoje: wyniszczona malarią Marysia zgasła z niedożywienia i głodu. Niedługo potem zachorował najstarszy Julek. Matka podejrzewała, że harując w mroźnej tajdze ponad siły, chłopak przeziębził zapalenie płuc. Nie dość, że brakowało mu lekarskiej opieki, musiała zostawić go w baraku gorączkującego i głodnego. A sama do roboty. Z Julkiem zostawał Marcinek, ale co ten mały chłopczyna mógł bratu poradzić, sam ledwie żywy z głodu. Bezradna Mazurowa widziała, jak z każdym dniem Julka ubywało z tego świata: coraz bardziej podpuchnięty, świecące gorączką oczy wpadające w czarne, głębokie oczodoły. Całowała go na odchodne w rozpalone czoło i błagała: „Wytrzymaj, synku, jeszcze trochę wytrzymaj. Do komendanta pójde, o lekarstwo się postaram”. „Głodny jestem, mamó”. Nie miała siły tego słuchać, zostawiała mu wszystkie przydziałowy chleb i garnuszek niesłodzonego wywaru z malinowych łodyg do picia. Niczego więcej nie miała. Każdego wieczoru, po pracy, pędziła do baraku ze strachem: żyje Julek, nie żyje... A kiedy któregoś dnia czatował na nią przed barakiem splakany Marcinek, Mazurowa bez słowa domyśliła się najgorszego. Wzięła Marcinka w ramiona i długo, długo tuliła, bo z całej rodziny już tylko on jeden jej pozostał.

Malaria, choroba zdradliwa, uparcie powracająca, nęka człowieka nagłymi atakami trudnej do zniesienia zimnicy na przemian z pulsującym żarem i wysoką gorączką. Mazurowa zachorowała na malarię. Ledwie świtającym rankiem schorowana, obolała i żółta jak cytryna

zwleka się z pryczy. Rozpala w żeliwnym piecyku i czym może przysposabia na cały dzień śpiącego jeszcze Marcinka. Nie budzi go, tylko kreśli nad nim znak krzyża, bo w istocie tylko opiece Anioła Stróża może go polecić, wychodząc do roboty.

Marcinek wiedział, że przez cały dzień musi sam sobie radzić. Nieodmiennie też, ledwie przetarł zaspane oczy, a zdarzało się, że udawał śpiącego, byle tylko mama wyszła, zrywał się z pryczy i biegł do piecyka, bo tam w garnku mama zostawiała mu coś do jedzenia. A na stole kawałek chleba. „Pamiętaj, Marcinku, żebyś wszystkiego naraz nie zjadł, bo to na cały dzień musi ci wystarczyć”. „Dobrze, mamusiu”, grzecznie przytakiwał, by każdego ranka łapczywie pochłonąć wszystko naraz.

Ubierał się Marcinek nieodmiennie w te same poniszczone łachy, które mama wieczorem prała i łątała, byle mu jeszcze trochę posłużyły, i jeśli była dobra pogoda, opuszczał barak na cały dzień. Całymi dniami, w gromadzie podobnych mu dzieciaków, włóczył się Marcin pomiędzy barakami, choć bywało, że w poszukiwaniu czegoś do jedzenia zapuszczał się nad Birusę i obrzeża okolicznej tajgi. W lecie ciepło, i boso można chodzić, to zawsze do jedzenia coś uda się znaleźć. Nie dość, że sam się najadł, to jeszcze dla mamy różności do baraku znosił.

Malaria wracała coraz częściej i nękała Mazurową coraz mocniejszymi, długimi atakami. Bywało, że po takim nocnym ataku opuszczała pracę, bo rano z pryczy zwlec się nie mogła. Marcinek pomagał mamie, jak potrafił. A kiedy przynosił jej nazbieranych w tajdze jagód, cieszył się, że jadła je chętnie i nachwalić się go nie mogła”. „Tylko pamiętaj, synku, bardzo cię proszę, nie chodź za daleko do tajgi, bo jeszcze, nie daj Boże, zabłądzisz mi tam kiedyś”. „Nie bój się, mamusiu, nie zabłądzą. Razem z innymi chłopakami chodzimy, a co tam taka tajga, dwa kroki od baraków”.

Mijało krótkie syberyjskie lato, a ze zdrowiem Mazurowej było coraz gorzej i gorzej. Kiedy parę dni pod rząd nie stawiała się do roboty, w baraku zjawił się komendant Gusiew. Popatrzył, posłuchał usprawiedliwień Mazurowej i pokiwał głową, a może i ze współczuciem, rozłożył ręce.

- Rozumieć to ja was, obywatelko, rozumiem, ale wojenne prawo jest prawem, wszyscy musimy je respektować. Widzę, żeście naprawdę chora, malaria was całkiem na żółto wymalowała. Trudno, wezmę to na siebie. Do katałazki za opuszczenie pracy was nie zamknę, pod sąd nie oddam... Ale karteczki na chleb z robotniczych na niepracujące, niestety, muszę wam zmniejszyć. Od dzisiaj zamiast pół kilograma chleba będziecie otrzymywać tylko dwieście pięćdziesiąt dekagramów. Taka jest norma dla dzieci i niepracujących. Jak do roboty wrócicie, to chleba wam dodam. No to poprawiajcie się, poprawiajcie. - Skrzyknął drzwiami i

poszedł.

Mazurowa nie tylko że do pracy nie chodziła, ale prawie już z pryczy nie wstawała. Oprócz gotowanej wody i tej zmniejszonej porcji chleba nie mieli z Marcinkiem nic do jedzenia. Bezsilna, nie mogła sama przez Birusę do Czerczetu się przeprawić, więc przez barakowe sąsiadki ostatnią sukienkę, jaka jej jeszcze z Polski została, za wiaderko ziemniaków u Czuwaszek wymieniła. I tym kartofelek po kartofelku gospodarzyła, żeby choć raz na dzień czegoś gorącego o smaku zupy Marcinkowi ugotować. Wyniszczająca malaria i głód nie kazały długo na siebie czekać. Ludzkie ciało, obciążone malarycznie poźółkłą skórą, zaczęło puchnąć. Chorobliwa wodnista opuchlizna sięgała Mazurowej od nóg, które pierwsze spuchły jak kłody, a potem z każdym dniem coraz wyżej i wyżej.

Marcinek przebudził się, ziewnął, przetarł oczy i już zsuwał nogi z pryczy, by swoim zwyczajem pobiec do piecyka i zjeść, co mu tam mama zostawiła. W ostatniej chwili się powstrzymał, bo zerknął na mamę. „Mama śpi jeszcze”. I już całkiem przegoniwszy senność, przytomnie pomyślał, że przecież mama już od dawna do pracy nie chodzi i do jedzenia prawie nic nie mają, oprócz tego codziennego kawałka chleba, po który zresztą on sam do magazynu biega. Ale po ten dzisiejszy chleb mama pośle go dopiero wieczorem, bo wtedy chleb wydają. „Dopiero wieczorem”. Trudno. Nie ma po co wstawać. Ciemnowo, chłopaków przed barakiem też pewnie jeszcze nie ma, to co tam sam będzie robił. Położył się i naciągnął koc na głowę. Ocknął się, kiedy do baraku zaglądał biały dzień. Mama wciąż spała. Dłużyło się to Marcinkowi, wstał i cichutko zaczął rozpalać w piecyku. „Nim mamusia wstanie, malinowej herbaty jej ugotuję”. Ucieszony pomysłem, wstawił garnuszek wody na rozżarzone fajerki. Woda zabulgotała, wrzucił do niej drobno pokruszone malinowe lodygi. Widział wiele razy, jak mama to robiła. Taka herbata, choć gorzka, miała różowy kolor i pachniała świeżymi malinami.

A mama wciąż spała i spała. Budzić ją czy nie budzić? Podszedł do pryczy. Przykrytej z głową mamie spod starego koca wystawały spuchnięte bosc stopy. Żeby jej zimno nie było, Marcinek zaczął ściągać koc na nogi. Przestraszył się, że za mocno i mama się zbudzi, bo ściągnął koc z jej głowy. I dopiero wtedy przeraził się naprawdę. Mama nie spała. Mama nie żyła! Leżała na wznak, jej szeroko otwarte oczy, tonące w czarnych oczodołach potwornie opuchniętej twarzy, nieruchomo patrzyły w sufit. Marcinek pamiętał, że tak samo po śmierci, i to na tej samej pryczy, wyglądała Marysia. Tak samo wyglądał niedawno zmarły jego starszy brat, Julek.

„Mamusiu! Mamoo...”. Marcinek wybiegł przed barak, dopadł pierwszej napotkanej kobiety i kurczowo uczepiwszy się jej rękawa, ciągnął ją do baraku. „Mama tam, mama...”.

Śmierć i matczyne pochówki Marcinek przeżył niby w półśnie jakimś, a potem niewiele z tego pamiętał. Kobieta, którą przed barakiem zaczepił, powiadomiła, kogo trzeba. Komendant Gusiew kazał stolarzom zrobić trumnę. Dobrzy ludzie z baraków trumnę z Mazurową na cmentarz zanieśli i na jej grobie krzyż postawili. Żałobników było niewielu. Babcie, pod wodzą Szajniny, Mazurowej nad grobem *Wieczne odpoczywanie* drżącymi głosami odśpiewały. A jedna z nich, chyba też babka Szajnina, nawet Marcinkowi czapkę zdjąć kazała i przeżegnać się, jak Bóg przykazał, i grudkę ziemi na maminią trumnę rzucić. Zrobił, co mu kazano, choć nie bardzo rozumiał, czemu to on ma mamusią trumnę zmarzłymi grudami obrzucać. A potem słyszał jeszcze półuchem, jak rozchodzące się babcie nad nim się użalały. „Moja pani, moja pani, no i co teraz z tą sierotą będzie?”.

I na tym użalaniu zainteresowanie babulek, ale nie tylko ich, nad Marcinkiem się skończyło. A chłopak nie wiedział, co począć. Do baraku bał się wracać. Włączył się bez celu po przycmentarnej tajdze, to znów wracał na cmentarz, przystawał nad grobem mamy, Julki, Marysi. Dopiero pod wieczór, splakany i przemarznięty do kości, wrócił do barakowej klitki, tak jak stał rzucił się na pryczę i zasnął kamiennym snem.

Od dnia pogrzebu Mazurowej nikt się losem Marcinka nie zainteresował. Barakowi ludzie dość mieli swoich kłopotów, głodu, chłodu i chorób. A zresztą, czy to jeden taki „bezprizornyj” sierota po Kajenie się włóczył? Tyle tylko, że Marcinek był z nich wszystkich najmłodszy. Owszem, bywało, że jak się Marcinek jakiejś litościwej kobiecie pod rękę nawinął, a ta akurat sama miała co do gęby włożyć, to i sierocie łyżki strawy nie poskapiła. Ale to wszystko.

Marcinek musiał radzić sobie sam. Z barakowej klitki nikt go na razie nie wyganiał, miał się gdzie przespać. Zdarzało się na początku, że nawet wszystko wiedzący komendant Gusiew o Marcinku zapomniał. Dopóki kartki ważności nie straciły, szedł Marcinek wieczorem po chleb do sklepiku i miał czym pierwszy głód zaspokoić. Ale miesiąc minął i kartka na chleb się skończyła. A prosić o nową Marcinka do komendanta Gusiewa nie poszedł. Bał się komendanta, bo gdzieś posłyszał, że komendant takich „bezprizornych” wyłapuje i dokądś tam daleko, do jakiegoś sierocińca ich odsyła. A tam, w tym sierocińcu, to dopiero... O, co to, to nie! Jak mu tu jest, tak jest, ale w Kajenie Marcinek wszystkich chłopaków, nawet tych starszych, zna, i wśród Polaków jest, wśród swoich. Dlatego więcej po kartkę na chleb do komendantury nie poszedł, a komendanta szerokim łukiem omijał. Nawet w baraku na noc drzwi kołkiem od wewnątrz podpierał, żeby w razie czego zwać komendantowi przez to małe barakowe okienko. A skoro świt, już Marcinka w baraku nie było. Przymierał głodem. A tu z każdym dniem z pożywieniem coraz trudniej. Nocne przymrozki, szron na drzewcach. Dotąd

zywiąca go tajga bielila się przyprószona pierwszym śniegiem. I ubierać się cieplej trzeba, bosy już nie pobiegasz. Znalazł stare wutowane portki i kufajkę po Julku. To nic, że za wielkie na niego. Najważniejsze, że jak się nimi otulisz, to ci cieplej. I jeszcze te stare walonki po mamie, co je w zeszłym roku u Czuwaszki za swoją kolorową bluzkę z Polski wymieniła. No i czapka uszanka, też po Julku; klapy opuścisz, pod brodą zawiązesz i uszy nie odmarzną. Łaził tedy Marcinek po tej tajdze coraz bardziej zimowej, zbierał, co się jeszcze dało, do zjedzenia, najczęściej jakąś ściętą mrozem jagodę. Niekiedy, chciał czy nie chciał, ale jakby sam głód nim kierował, zapuszczał się Marcinek na porębę, bliżej ludzi. Tam, nic nie mówiąc, o nic nikogo nie prosząc, zabierał się do roboty. Pomagał drwalom ściągać obcięte gałęzie i do ogniska dokładać. I prawie zawsze przy takiej okazji ktoś go tam skórką chleba poczęstował i kubkiem gorącego malinowego wywaru napoił.

Zima zapadła z dnia na dzień, od razu śnieżna i mroźna. Marcinek przebudził się drżący z zimna. Gruby szron zamurował barakowe okno. Mróz wdzierał się nieszczelnymi drzwiami. Z głodu kręciło mu się w głowie. Do jedzenia nic nie miał. Rozpali w piecyku i malinowej herbaty sobie ugotuje. Przestraszył się, czy mu się uda ogień rozniecić, bo tylko parę zapalek jeszcze po mamie mu zostało. Ale suche sosnowe igły szybko zabłysły płomieniem, potem kilka szczap, i w piecyku buzowało. Ciepłej. Marcinek wziął garnuszek, żeby wody z wiaderka zaczerpnąć. Woda zamarzła. Nadłubał lodu nożem. Siorbał gorzki malinowy wywar, grzał ręce, ściskając garnuszek. Dokąd by tu się dzisiaj wybrać, żeby coś do zjedzenia znaleźć? Wychuchał szparkę w zamarzniętym okienku. Na dworze biało, lekkim śniegiem prószy. Nie, między barakami włóczyć się nie będzie, znowu ktoś zacznie się nad nim litować, a jemu płakać się będzie chciało. Teraz też mu się płakać chce, ale dlatego, że spojrzał na pustą pryczę i mamę sobie przypomniał. Może na porębę do tajgi by skoczyć? Ale ta nowa poręba od baraków podobno strasznie daleko, a on jeszcze tam nie był i nie wiadomo, czy trafi. O! Na Koczki pójdzie. Na Koczki bliżej i choć je śniegiem przyprószyło, trochę jagód na pewno tam znajdzie. Był tam w zeszłym tygodniu i granatowej, wielkiej jak fasola „klukwy” nie tylko najadł się do oskominy, ale jeszcze na potem sobie zebrał. To nic, że kwaśna. Na Roczkach oprócz klukwy i różową „moroszkę”-żurawinę można znaleźć. I nawet jeszcze słodką „oblepichę”, głóg z dzikiej róży, miękki z przymrozka, tyle że kłujących, drobnutkich pestek w nim dużo. Ale co tam pestki, uważa się i wypluje. Były tam jeszcze czerwone jagody jarzębiny i cierpkie czeremchy, ale te już pewnie głodne ptaszyska wydziobały. A zlatuje się tam tych ptaków tyle, chyba z całej tajgi. Głodne są, to lecą na te Roczki.

A więc na Roczki! Mroźno, lekki śnieżek prószy. Nim tam doszedł, rozgrzał się



nawet. Najważniejsze, że pomysł był dobry. I choć śnieg wszystko na błotach zasypał, dość łatwo mu to poszukiwanie jagód szło. A i ptaki mu ślad do nich niechętnie wskazywały. Raz czy dwa nawet zająca bielaka wypłoszył. Ale co mu z tego. O, gdyby takiego złapać się dało! Nie śpieszyło się Marcinkowi z tych Roczek do baraku. No bo i po co? Łaził, od krzaka do krzaka, pojadał podmarznęte jagody i coś sobie myślał. Na przykład o tym, że jak już Birusa na fest zamarznie, to on po lodzie przejdzie do Czereczetu, tam, gdzie tacy ludzie mieszkają, inni niż w Kajenie, bo Czuwasze na nich mówią. Dlaczego się tak nazywają, to tego Marcinek nie wie, ale pamięta, jak mama o nich mówiła: „Porządne te Czuwaszki, przy wymianie nie oszukują”. Pamięta, bo wtedy był z mamą w Czerczecie u takiej starej Czuwaszki i mama wymieniła u niej coś ze swojego ubrania na ziemniaki i mleko. Mleko! Wtedy ostatni raz mleko pił... I do dziś pamięta, gdzie ta stara Czuwaszka mieszka. Jak wróci dzisiaj z Roczek do baraku, to jeszcze raz wszystko, co po mamie, po Julku i Marysi zostało, przeszuka, może coś na wymianę z Czuwaszką znajdzie. I jak Birusa zamarznie, to on do tej Czuwaszki pójdzie. I może, jak wtedy, Czuwaszka mlekiem go poczęstuje, ziemniaków da parę...

Czasu na Roczkach Marcinek nie liczył. Kiedy się ocknął i uznał, że najwyższy czas do baraku wracać, szarówka się zrobiła. A do tego, jak na złość, śnieg sypnął gęsty, gęsty. Jak to wieczorem, mróz zaczął mocniej dokuczać. Mrok zapada tu nagle. Ciemno. I choć dla Marcinka wyprawa na Koczki nie pierwszyna, tym razem zaskoczony ciemnością chłopczyzna zbił się z tropu, zabłądził, jak długo ten „błąd” Marcinka po Roczkach wodził? Wystraszony i przemarznęty, raczej narzekał, niż cicho pochlipywał, pocierał marznący nos i ledwie włókł nogę za nogą. Jak tu trafić, dobrnąć do baraków, kiedy dookoła ciemność i śnieżycą się wzmaga. Którędy, w którą stronę się podać? Opadł z sił, przysiadł, senność go ogarniała. Ale instynktownie wstawał i włókł się dalej. I nagle, chyba cud jakiś, barak! Barak, barak, barak! Jakby sił mu przybyło. Dowlókł się do barakowych drzwi, dobijał się pięściami, drapał, a może nawet wołał, byle go ktoś usłyszał i otworzył.

„To jest Marcinek, tatusiu, ten od Mazurów, co mu mama niedawno umarła”. Stanisław wstał od stołu. „Musimy go najpierw do porządku doprowadzić. A no ruszcie się chłopaki, rozbierać go, zobaczyć, czy sobie czegoś nie odmroził”. Na szczęście wszystko było w porządku, nawet pobielaly nos, natarty śniegiem, szybko się Marcinkowi zarumienił.

Stanisław odetchnął z ulgą. A ponieważ zupa w miskach stygła, zarządził.

- O, tu sobie ten Marcin siądzie, między Zbyszkiem a Cześkiem. Chłopaki, weźcie go między siebie. Siadaj, Marcin. A ty, Władziu, znajdź tam dla niego jakąś miskę albo coś tam, daj mu łyżkę i nalej mu zupy.

Władzia, która zupą gospodarzyła, wyraźnie posmutniała.

- Tatusiu, ale ja już wszystką zupę, do ostatniej kropelki, podzieliłam. Nie ma więcej zupy.

- Tak mówisz? No to trudno. Ale nie martw się, córuś, dawaj Marcinkowi łyżkę, a z tą jego miską do mnie podejź.

Zrobiła, co ojciec kazał. Stanisław po raz kolejny tego wieczoru uniósł się zza stołu.

- Potrzyмай miskę trochę wyżej, żeby mi się nie rozlało - to mówiąc ze swojej przelał do pustej miski nieco zupy. - Słuchajcie, dzieci. Teraz Władzia podejź do każdego z was i każde, tak jak ja, dla Marcina swojej zupy łyżkę, dwie odżałuje. W taki sposób, jak to mówią, i wilk będzie syty, i owca cała. I Marcinek kolację zje razem z nami, a my, bez tej jednej łyżki, też bardziej nie zgłodniejemy. Tak robimy?

I tak zrobili. Stanisław jeszcze odczekał, aż Władzia postawi przed Marcinkiem napełnioną miskę.

- Wszyscy gotowi? Poczekaście, niech nas policzę... Razem z Marcinem jest nas od dzisiejszego wieczora dwanaścioro. Jak, nie przymierzając, dwunastu apostołów. No to, dzieci, W imię Ojca i Syna, zaczynamy. - Stanisław uśmiechnął się pod wąsem, chrząknął i pierwszy zanurzył łyżkę w stygnącej zupie.

\*

Recepty na udane życie nikt człowiekowi nie wypisze. Cyganka szczęścia nie wywróży, najpewniej będzie tak, jak ślepy los sprawi... Katharina Kern, z rosyjską Katią zwaną, miała szczęśliwe dzieciństwo. Kochający, troskliwi rodzice, miłe rodzeństwo, przytulny i w miarę dostatni dom. Beztraskie szkolne lata, bo nauka szła jej jak z płatka, potem wymarzone studia pedagogiczne, bo „od zawsze” nauczycielką być chciała. A wszystko to działo się w wielkim i pięknym mieście nad Newą, w Leningradzie. I ta rozkwitająca młodość, z nigdy niezapomnianym czarem pierwszej miłości. Tyle tylko, że Kati się ta pierwsza miłość trafiła nie jakaś tam płochą, egzaltowaną dziewczęcą, ale miłość prawdziwa, o jakiej się mawia, że to miłość na śmierć i życie. I taka od pierwszego wejrzenia. A przecież i dotąd Katia, dziewczyna ładna i wesoła, nie unikała potańcówek, romantycznych spacerów w leningradzkie Białe Noce. Nie brakowało jej kawalerów z zalotami, a przecież nigdy dotąd na widok żadnego z nich serce jej nie drgnęło, nie odezwało się tak jak wtedy... Był ciepły, polarną zorzą rozświetlony i jak na pierwszą miłość przystało, majowy wieczór. Katia wracała z potańcówki w Pałacu Pionierów, dawniej Aniczkina. Nie wiedząc czemu chciała być sama i wykreśliła się jakimś pretekstem koledze, który chciał ją odprowadzić. Przystanąła na moście przez Newę i oparta o balustradę wgapiała się w wodę, której falami bawiły się różnokolorowe promyki prawie niezachodzącego w Białe Noce słońca. Tuż obok

niej ktoś przystanął. Pomyślała, że to pewnie ów natrętny kolega. Zerknęła gniewnie, ale w momencie, kiedy jej wzrok zderzył się ze spojrzeniem stojącego obok młodego mężczyzny, stało się z nią coś niepojętego, czego w swoim dziewczęcym życiu dotąd nie zaznała: dosłownie w głowie jej się zakręciło, dłonie mocno zacisnęła na balustradzie. Przez chwilę widziała tylko te oczy koloru polnych bławatków. Nie słyszała, a i potem nie mogła sobie przypomnieć, pod jakim pretekstem, jakimi słowy do niej zagadał. Obok niej stał młody oficer Marynarki Wojennej; granatowy mundur, złoty sznur, biała koszula, przystojny i wyższy od niej o głowę. Uśmiechał się miło, a nad tymi jego niesamowicie chabrowymi oczami - czarne gęste brwi, i te długie rzęsy na powiekach... „Niesamowite, niech pani spojrzy, iloma kolorami i jak to słońce z Newą się bawi”. To były jego pierwsze słowa, które wtedy na Aniczkowski moście zapamiętała. Nawet głos miał melodyjny i miły. Odpowiedziała: „Właśnie stoję, i też się na to zapatrzyłam. Ma pan rację, jakby wszystkie barwy tęczy...”. Nie bronila się, kiedy zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Wewnętrznie rozradowana, chętnie umówiła się z nim na spotkanie w następną niedzielę. „Bo w inny dzień, wie pani, jak to na okrętach, służba nie drużba”. Nie mogła się tej obiecanej niedzieli doczekać...

Pobrali się parę miesięcy później. Ona dwudziestoletnia, on o pięć lat od niej starszy. Ona - Katharina Kern, Niemka. On - Bolesław Krzyżanowski, Polak. Obydwoje ze zniszczonych już prawie rodzin, od dawien dawna w Rosji zakorzenionych. Dla obojga Leningrad był rodzinnym miastem, a Rosja i Związek Radziecki jedyną ojczyzną, jaką znali. Podobnie jak rosyjska mowa, którą niemal od pieluszki słyszeli i posługiwali się nią na co dzień. Rodową, pokoleniową polskość czy niemieckość poznawali i pielęgowali na tyle, na ile im je w rodzinnych domach zaszczerpiono. A chyba skutecznie, bo w licznych ankietach, w rubryce „narodowość”, on wpisywał - „polska”, ona - „niemiecka”. Obydwoje od dziecka w czerwonych pionierskich krawatach, obydwójce w Komsomole. A on do tego, jako oficer Armii Czerwonej, od niedawna był członkiem partii komunistycznej.

Lato 1937 roku w Leningradzie było wyjątkowo duszne i upalne, nawet Newa i bliskość morza nie pomagały. Do tego Katarzyna źle znosiła ostateczne miesiące ciąży. W dzień męczył ją upał, w duszne noce też nie mogła zasnąć. Tęskniła do męża, który już drugi miesiąc nie wracał z dalekiego morskiego rejsu. Nie miała z nim kontaktu i zamartwiała się, czy zdąży wrócić przed porodem...

Którejś nocy, a właściwie już nad ranem, kiedy nawet trapiąca bezsennością Katarzyna przysnęła, do mieszkania Kernów zakolała NKWD. Dla postronnego Leningradczyka taki nocny nalot tajnej policji nie był czymś nadzwyczajnym. Od zabójstwa

Sergiusza Kirowa, nie tylko tutejszego stalinowskiego wielkorządcy, ale i członka Politbiura, cały Leningrad przesycony był lepką atmosferą podejrzeń, nękany nocnymi rewizjami i najściami NKWD. Aresztowani znikali bez śladu, a do tego ponura wieść gminna głosiła nie tylko o aresztowaniach, ale i procesach i masowych egzekucjach.

Tak było czy inaczej, lecz lojalni, we wszystkim przestrzegający radzieckiego porządku i prawa Kernowie żadnych represji się nie spodziewali. A tym bardziej teraz, kiedy ich córka, po stokroć uprzednio sprawdzona, została żoną oficera radzieckiej Marynarki Wojennej. Ale stało się inaczej.

Enkawudowcy zachowywali się spokojnie. Dowodzący nimi komisarz oznajmił krótko, że przeprowadzą rewizję, kazał domownikom zgromadzić się w kuchni i postawił przy nich wartownika. Niczego więcej nie tłumaczył, wydania niczego nie żądał i o nic nie pytał. Rewidujący zajrzeli do wszystkich zakamarków, przekartkowali każdą książkę, słowem, wywrócili mieszkanie do góry nogami. Przerażeni, zszokowani Kernowie, rodzice Katarzyny, obserwowali to wszystko w milczeniu, nie śmiać też o nic zapytać. Dopiero kiedy enkawudowcy zbierali się do odejścia, Katarzyna zdobyła się na odwagę i spytała tego najważniejszego, czy on zdaje sobie sprawę, że w tym mieszkaniu oprócz jej rodziców, Kernów, mieszka także jej mąż, oficer radzieckiej Marynarki Wojennej. I już z płaczem wydusiła z siebie, że ona, że ona... o tym wszystkim, co tu się dzisiaj działo, mężowi, kiedy ten lada dzień z ćwiczeń wróci, opowie. Komisarz, może tylko z ledwie dostrzegalnym ironicznym uśmiechem, wysłuchał jej spokojnie. Stała przed nim bosa, w długiej nocnej koszuli, napęczniała ciążą aż po wielkie, nabrzmiałe już piersi. „No cóż, muszę was zapewnić, obywatelko Kriżanowskaja. My nie tylko o obywatelach Kernach, o was, ale i o waszym mężu wiemy wszystko, co trzeba, a może nawet więcej. A zalić się na nas macie prawo. Nawet waszemu mężowi, jeśli... kiedy go zobaczycie”. Nawet jej grzecznie zasalutował. I wyszedł. Przez nią zaś w tym momencie jakiś zimny dreszcz przeleciał, a wraz z tym irracjonalny strach o męża ją ogarnął. Wybuchnęła spazmatycznym szlochem i rodzice długo nie mogli jej uspokoić.

Jeszcze tego samego przedpołudnia, choć splakana i słaba, wybrała się do komendy wojennego portu, żeby tam jakiejś rady zasięgnąć i dowiedzieć się, kiedy mąż z tego rejsu wróci. Nieudana to była wyprawa. Najpierw nikt z dowództwa nie chciał jej przyjąć. A potem, kiedy w zaciętym uporze siedziała w biurze przepustek i powiedziała, że stąd nie odejdzie, wyszedł do niej jakiś oficer i nawet nie wysłuchawszy jej do końca, sucho oznajmił, że dowództwo marynarki nigdy nikogo nie informuje, kiedy okręty z rejsów powracają, o czym ona, jako żona oficera, powinna wiedzieć i spokojnie czekać. „A nie tak jak wy

histeryzować”. Rozgoryczona wracała do domu. Za bramą wojennego portu, już na ruchliwej ulicy, poczuła nagle, jak ktoś bierze ją lekko pod ramię - był to bliski kolega męża, oficer z tego samego okrętu, Wasia Dubnow. „Widziałem, jak siedziałaś na poczekalni, wybaczone, ale nie mogłem podejść”. Przystanęli w podcieniu najbliższej bramy. „Musisz być mężna, Katusza, błagam cię. Już parę dni temu wróciliśmy z rejsu. A twój mąż zaraz po zejściu z trapu aresztowali. Nie mam pojęcia za co. Tchórz ze mnie, jeszcze raz wybaczone, nie przyszedłem do ciebie, nie powiedziałem. Sama rozumiesz. Teraz też, ty mnie nie widziałaś, a ja ciebie. Trzymaj się, Katusza. Bądźmy dobrej myśli, że to jakieś nieporozumienie i lada dzień...”. Cmoknął, ukłął ją węsami w policzek i tyle go widziała.

Nie pamiętała, kiedy i gdzie straciła przytomność, jeszcze tam w bramie czy na ulicy. Ocknęła się w szpitalu. Poroniła... A dodatkowo zdruzgotała ją jednoznaczna diagnoza - wyrok, bo dla niej to było dożywocie - starego ginekologa, który przez cały ten szpitalny czas troszczył się o nią jak o własną córkę. Dopiero na odchodne przytulił ją i powiedział: „Niestety, gołąbko ty moja, już więcej dzieciątka nie urodzisz. Musiałem ci tę gorzką prawdę powiedzieć. Boli to, wiem, jak to boli, ale wierz mi, że lepsza najgorsza prawda niż złudna nadzieja”.

O losach męża nadal niczego konkretnego nie wiedziała. Ledwie jako tako okrzepla po szpitalu, nogi po wszelkich leningradzkich instancjach i instytucjach zdeptała, pytała, błagała. I wszędzie stawała przed ścianą tchórzliwej obojętności - nikt nic nie wie, albo: „Czekajcie, obywatelko, spokojnie, czekajcie...”. Tymczasem jej wrażliwe ucho coraz wyraźniej wylawia pełzające po Leningradzie słuchy, że ostatnimi czasy właśnie sporo Polaków aresztowano, bo „szpiegowali na rzecz pańskiej, burżuazyjnej Polski i byli tajnymi wrogami narodu i radzieckiej władzy”. A jej mąż Bolesław Krzyżanowski był przecież Polakiem...

Zdobyła się na ostateczność i poszła do NKWD. Dyżurnemu podała swoje nazwisko: Krzyżanowska, i że przyszła w sprawie swojego męża. Nawet długo nie czekała. Wyszedł po nią jakiś żołnierz, w milczeniu zaprowadził ją na piętro i otworzył przed nią drzwi do pokoju. Nie bez zdziwienia ujrzała siedzącego za biurkiem tego samego komisarza, który był w ich domu na rewizji. Uniósł się, skinieniem ręki odesłał żołnierza, a Katarzynie wskazał krzesło. „Proszę usiąść”. „Ja w sprawie męża”. „Domyślam się. Ale dlaczego przyszła pani akurat do nas, do NKWD? Pani mąż był wojskowym, tam trzeba pytać”. „Przyszłam do NKWD, bo byłam już wszędzie. W dowództwie marynarki też, ale nikt mi prawdy nie chce powiedzieć”. Zabębnił lekko palcami, raczej machinalnie odsunął jakieś papiery na biurku. Wstał, chyba ważył odpowiedź, taksował ją wzrokiem”. „Przepraszam, o ile pamiętam, była pani w

cięży?”. „Byłam”. „Tak z ciekawości, co się urodziło?”. „Poroniłam”. Zamilkł, wyraźnie zaskoczony i chyba nieco speszony. „Przepraszam”. Odwrócił się i podszedł do okratowanego okna. Stał tak chwilę, jakby czemuś ciekawemu za oknem się przyglądał. Czekwała, nerwowo ugniatając dłonie. Nie odwracając się, odchrząknął, jakby w gardle mu zaschło, i ochryplym półgłosem powiedział: „A prawda jest taka: mąż już do pani nie wróci. Nigdy”. Chuchnął na szybę i przetarł to miejsce rękawem. „To wszystko. Może pani iść. Wartownik panią wypuści”. Chyba odruchowo wyszeptała: „Dziękuję”. Komisarz nie odwracał się od okna. Wyszła...

Co było dalej? Katarzynę czekał taki sam los, jaki czekał wszystkie żony, dzieci i krewnych aresztowanych i skazywanych „wragów naroda”. Wyrzucona ze studiów, za jakąś protekcją pracowała jako robotnica w małej peryferyjnej fabryczce. Tak dotrwała aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 roku. A wraz z jej wybuchem, po „polskiej sprawie” rozstrzelanego męża, dotknęła Katarzynę, podobnie jak prawie wszystkich radzieckich Niemców, „sprawa niemiecka”. Deportowana z Leningradu z podwójnym piętnem żony polskiego szpiega i „wraga naroda” na Syberię, trafiła ostatecznie do Łagpunktu Kajen.

A to poronione, nienarodzone dziecko pozostało dodatkową bolesną obsesją Katarzyny. I chyba już na całe życie. Dzieci! Im mniejsze, tym mocniejsze wzbudzało w niej macierzyńskie uczucie. Obok dziecka Katarzyna nie mogła przejść obojętnie. Toteż kiedy pojawiły się wokół niej Staniszowe sieroty, a do tego jedno od drugiego mniejsze, bezradnie opuszczone i zaniedbane, zaabsorbowały ją bez reszty. Dziecko, podobnie jak szczenię, choć jeszcze ślepe i nieporadne, a już instynktownie czuje, kto mu wróg, a kto przyjaciel, kto kopnie, a kto go pogłaszcze. Staniszowe dzieciaki odpowiedziały Katarzynie wzajemnością. Na nic się zdały Staniszowe zakazy, żeby dzieci więcej na porębę nie przychodziły - pod byle pretekstem zjawiały się prawie codziennie. A kiedy już przyszły, trafiały od razu pod opiekuńcze skrzydła Katarzyny. Ta, radując się nimi prawdziwie, czuła się w swoim żywiole. Podkarmiła je, czym mogła, zasmarkane nosy i umorusane buzie powycierała, dziewczynkom włosy rozczesala. A swojej ulubienicy Danusi to nawet z jakiejś kolorowej wstążki zmyślną kokardę do włosów przyszpiliła. Dzieciaki nie odstępowały jej na krok: „Ciocia Katia to, ciocia Katia tamto, teraz ja, teraz mnie, a ja?”. Oczy wyraźnie jej zwilgotniały, kiedy Danusia nie tylko pozwoliła się wziąć na ręce, ale objąwszy Katarzynę chudziutkimi rączkami za szyję, mocno, mocno się do niej przytuliła.

W Kajenie już późne lato, przedjesień. Widać to po tajdze zmieniającej ubarwienie listowia, po wędrownym ptactwie i leśnej zwierzynie, po coraz to czystszych i

spokojniejszych wodach Birusy, kiedy to wielką rybę gołym okiem na samym dnie dojrzysz, po chłodniejszych wieczorach i szronnych porankach.

A robota w tajdze zawsze taka sama: pozyskiwanie drewna. O tej porze w Kajenie może tylko mniej niż zwykle brygad drwali na porębę wychodzi, bo jeszcze wielu Polaków z dalekiego spławu nie wróciło. Stary Stanisz też swoich najstarszych synów, Julka i Staszka, z tego spławu wygląda i już nawet trochę zaczyna się o nich niepokoić. Żeby tylko im się tam nic nie stało, bo mało to na tych spławach naszych się potopiło czy kalekami zostało? Julek to jeszcze chłopak krzepki jak tur, ale Staszek? Ten nie dość, że młodszy, to i od dziecka chorowity raczej. A może im do łba strzeliło, tak jak Józkowi Barowi, żeby do Kajenu nie wracać, tylko tego polskiego wojska szukać. A tu jeszcze komendant Gusiew wezwał Stanisza i kazał mu się pilnie do nowego baraku na Ogorodnym przeprowadzić. „Przenoś się, Staniszu, z tym całym swoim dziecińcem do kajuty w nowym baraku. Należy ci się. No i dla innych w starym miejsce zwolnisz, bo prawie pół baraku zajmujesz”. Gusiew potrafił być praktyczny, a zdarzało się, że i sprawiedliwy. Tak jak z tymi nowymi barakami, kiedy to obiecane wiosną słowa dotrzymał i na Ogorodnym stanęło ich kilka. Luzował Polakom, prznosił całe rodziny do nowych baraków. Niemców z miejsca nie ruszał, w starym baraku ich pozostawił.

Z przenosin do nowych baraków ludzie cieszyli się choćby dlatego, że pierwszy raz na zesłaniu, zamiast gnieździć się jak dotychczas we wspólnym baraku, na wspólnej pryczy od ściany do ściany, bez jakiegokolwiek przepierzenia czy choćby zasłony, każda rodzina otrzymywała osobne pomieszczenie, oddzielone od sąsiada przepierzeniem z desek. Klitka bo klitka, ale w niej własne okno, własny żeliwny piecyk, własna prycza, własny stół. I nawet własne drzwi na korytarz możesz zamknąć. „Ciasno tu nam będzie jak jasny pieron - Staniszu drapał się po głowie, zastanawiając się, jak w takiej klitce swoją gromadkę rozmieścić - ale zawsze to lepiej, niż ze wszystkim u wszystkich na widoku. No i może tych cholernych pluskiew przynajmniej na razie tu nie będzie, bo tam już człowiekowi żyć nie dawały”.

W tajdze wciąż pracował w parze z Katarzyną. I tak zlatywał im dzień po dniu, jeden nieróżniący się od drugiego. Ale, jak to mówią: „nieszczęścia nie chodzą po lesie”. Stanisza ciężka choroba dopadła. Dotąd chłop był zdrow jak rydz, omijały go wszelkie zarazy, tyfusy, malarie. A teraz zdarzyło się tak, że położył się spać zdrowy, a rano przerażone dzieci nie mogły się nieprzytomnego dobudzić. Co go tak raptownie z nóg zważyło? Sprowadzona przez Katarzynę lekarka, Niemka, podejrzewała przeziębioną grypę i gwałtowne zapalenie płuc. Staniszu tłukł się w malignie, majaczył, trawiony niewiarygodnie wysoką gorączką. Złany potem miotał się po pryczy, coś tam niezrozumiałego mrucał, wykrzykiwał, wołał

nieboszczkę żonę i Julka ze Staszkiem. Nie sposób było go nakarmić, a nawet napoić. Dzieciaki, niby spłoszone stadko piskląt, nie odchodziły od jego pryczy.

Stanisz się nie dał! Ocknął się, oprzytomniał któregoś ranka, nie zdając sobie sprawy, co się z nim działo i jak długo ta niemoc go trzymała. Domyślił się, że chyba musiało być z nim naprawdę źle, skoro nawet teraz ręką i nogą ruszyć nie może, ani bez bólu w kościach przekreślić się na pryczy. Wczesny ranek. Bezmyślnie błędził wzrokiem po suficie, obliznął spalone gorączką wargi i poczuł pragnienie. „Pić, pić” - usłyszało szept któreś z dzieciaków. No i wtedy się zaczęło! „Tatusiu, tata się obudził! Pić mu się chce. Gdzie jest garnuszek? Zaraz, tatusiu, zaraz...”. Najstarsza Władzia, bo ona podczas choroby ojca była tu najważniejsza, z trudem opanowała usłużną gorliwość maluchów i z garnuszką malinowego wywaru podeszła do ojca. Ułożony wysoko, dochodził do siebie, oswajał się z tym, co widział i słyszał. Dzieciaki. Wszystkie obok niego, uśmiechnięte i zdrowe. „Julek ze Staszkiem?”. „Nie wrócili jeszcze, tatusiu”. „No to jak wy tu, przez ten czas... same? Głodne pewnie jesteście. Zaraz wstanę”. Spróbował, w głowie mu się zakręciło. Dzieci znowu go zakrzywały - zagadywały, opowiadały jedno przez drugie: „Nie martw się, gdzie my tam głodne!”. „Władzia chleb na kartki co dzień pobierała”. „I różne zupy myśmy sobie gotowały”. „A ciocia Katia to codziennie do nas wpadała, a czasem to i do późnej nocy z nami siedziała”. „A jak ciocia Katia przychodzi, to zawsze nam coś do jedzenia przyniesie: chleba, kaszy, a raz to nawet kawałek cukru, żeby tobie herbatę posłodzić, boś chory był”. „Ale tatuś to nawet słodkiej pić nie chciał, to maluchy ją wypily i aż cmokały, że dobra była, słodka...”. „Prac mi ciocia Katia pomogła, maluchom łachy pocerowała - relacjonowała Władzia. - A do ciebie to parę razy tę Niemkę felczerycę sprowadziła. Doktorka taką słuchawką ciebie obsłuchiwała, palcami opukiwała, a że z ciocią Katią po niemiecku rozmawiały, to nie rozumiałam, o czym. Potem ta doktorka mnie po rusku pocieszała, to zrozumiałam: „Nie martw się doczeńka, z twoim tatą wsio budiet charaszo”. Zostawiła jakieś proszki i kazała ci dawać. Cośmy się z ciocią Katią namęczyły, żebyś choć to lekarstwo wypił, bo ty ani jeść, ani pić nie chciałeś”. I tak wszystkie trajkoczą - „ciocia Katia to, ciocia Katia tamto, Katharina, Katarzyna, Katia, Kasia”. Stanisłowi znowu zakręciło się w głowie, przymknął powieki, ale nie miał siły ręki unieść i w kącikach oczu potrzeb, choć go tam swędzi i mokro mu się robi...

Kończy się lato. Tymczasem komendantowi Gusiewowi daleko jeszcze do wykonania normy wyznaczonej przez „naczalstwo.” A z naczalstwem, wiadomo, żartów nie ma. Gonił Gusiew do pracy w tajdze każdego, kto mu się tylko pod rękę nawinał. Bywało, że nie patrzył nawet na wiek zgrzybiały czy smarki pod nosem maślak. Jeśli nie przymusem, to mamił do roboty dodatkowym przydziałem czegoś tam do jedzenia. I już dawno zapomniał o



zamyślonej intrydze izolowania Polaków od Niemców. Było mu „wsio rawno”, Niemiec czy Polak, byle norma była wykonana.

Ten sam brygadzysta Czuwasz, który ongiś skojarzył na porębie Katarzynę ze Staniszem, dobrał do pary dwóch wiekowych już panów, Polaka Brzozowskiego i Niemca Fischera. A już tylko czysty przypadek sprawił, że obydwaj panowie „w cywilu” byli z zawodu pedagogami, do tego gimnazjalnymi nauczycielami.

Pan Izydor Brzozowski, w barakach powszechnie „profesorem” zwany, pochodził z Czortkowa. Żona zmarła mu w Kaluczem, a jedyny syn, Staszek, był wśród pierwszych, którzy wiosną tego roku wyruszyli z Kajenu polskiego wojska szukać. Odtąd pan Izydor został w Kajenie sam.

Herr Ludwig Fischer był Niemcem z Leningradu. Tam długie lata uczył w gimnazjum, a przez jakiś czas był jego dyrektorem. W Kajenie był razem z żoną. Zamezną ich córkę z dwójką dzieci też z Leningradu wysiedlono, tylko że Fischerowie nie wiedzieli dokąd.

Obydwaj starsi panowie poznawali się na porębie. Czuwasz brygadzysta, słusznie oceniwszy, że „stariki” ze ścinaniem sosen nijak sobie nie poradzą, babską robotę im wyznaczył. Mieli z powalonych drzew wierzchołki odpiłowywać i gałęzie obcinać. „Poniatno?” - spytał na odchodnym. Panowie zgodnie przytaknęli głowami. Brygadzysta odszedł, a oni, jak przystało na ludzi dobrze wychowanych, skłonili głowy i przedstawili się z imienia i nazwiska: Ludwig Fischer, Izydor Brzozowski. Może nawet ręce sobie podali, a może i nie, bo muszki i komary atakowały ich wtedy okrutnie i trzeba się było od nich nieustannie oganiać. Do tego obydwaj panowie siatek przeciwko tej pladze nie mieli, no bo... nie mieli. A do smarowania twarzy śmierzdzącym dziegciem przekonali się dopiero po kilku dniach pracy w tajdze, kiedy nieosłonięte twarze i ręce spuchły im boleśnie i nieprawdopodobnie.

I tak sobie pan Brzozowski z Herr Fischerem w tej tajdze pracowali. Niemowami nie byli, więc do siebie zagadywali. Naprzód, jak to w robocie, z której strony do drzewa podejść, żeby wygodniej było, to znów, że piła się stępiła czy gdzie gałęzie odnosić. Porozumiewali się po rosyjsku. Fischer władał tym językiem perfekt, Brzozowski raczej ukraińskim, bo rosyjski niemiłosiernie kaleczył. Tak sobie razem pracując i coraz częściej pogadując, powoli się ze sobą oswajali. A kiedy któregoś dnia pan Brzozowski zagadał do Herr Fischera jego ojczystą germańską mową, z lekkim tylko austriackim nalotem, zaskoczony Fischer aż piłę z ręki wypuścił i „O mein Gott!” bez udawanego zdziwienia wykrzyknął.

- O mein Gott - powtórzył. - Herr Brzozowski, to pan mówi po niemiecku?

- Marna ta moja niemczyzna, taka, wie pan, raczej galicyjsko-austriacka, jeszcze z

czasów cesarza Franciszka Józefa.

- Ależ co też pan profesor mówi, świetną niemczyzną pan włada! Jaka szkoda, że nie mogę się panu po polsku zrewanżować. Przykro mi, ale niestety...

Odtąd obydwaj panowie często-gęsto ucinali sobie jakąś rozmówkę po niemiecku. I w czasie pracy, i po drodze do baraków. Brzozowski rad był, że przy tej okazji swój prawie już zapomniany niemiecki sobie podszlifuje, a Fischerowi sprawiało osobną przyjemność, że właśnie z Polakiem może sobie w ojczystym języku porozmawiać.

Brygadzystę Czuwasza, jeśli nadszedł i posłyszał, jak „stariki” w jakimś nieruskim języku gaworzą, niewiele to obchodziło. Z nim, kiedy trzeba, rozmawiali po rosyjsku. Najważniejsze, że pracowali porządnie i w normie. Co innego kobiety razem z nimi pracujące, bądź te, które w krótkich przerwach na „kipiatok” do wspólnego ogniska się przysiadły. Niemki rozumiały, o czym mowa, przysłuchiwały się z ciekawością, czasami próbowały się wtrącić i dodać coś od siebie. Polki po niemiecku nie rozumiały. Niektóre kręciły z podziwu głowami, a potem w barakach opowiadały, jak to „nasz pan profesor z Niemcami po niemiecku gada”. Czasami tylko co śmielsza i ciekawsza zagadywała pana Brzozowskiego, i to w obecności Fischera, o czym to obydwaj panowie z takim ożywieniem po niemiecku rozmawiają. Pan Brzozowski uśmiechał się wyrozumiale.

- A o czymże tu, łaskawa pani, i to obojętnie w jakim języku, rozmawiać, jeśli nie o życiu? A przy tej okazji i ja skorzystam, bo język niemiecki sobie podszlifuję. Na naukę, łaskawa pani, nigdy nie za późno. Język niemiecki, łaskawa pani, też to język Heinego, Schillera, Goethego...

Zazwyczaj ciekawsza kobiecina nie czekała do końca, aż profesor z belferskiego transu wypadnie, tylko usuwała się na bok albo zabierała do roboty. Może nawet nie zauważyła i nie dosłyszała, jak na dźwięk nazwisk klasyków niemieckiej literatury Herr Fischer potakująco kiwał głową i potwierdzał to trójjęzycznie: „Ja, da, da, ja, tak, tak”. A że z każdym dniem panowie coraz bliżej się poznawali, nabierali do siebie zaufania, toteż i ich niezobowiązujące pogaduszki żadnego tematu nie omijały. Opowiadali o swoich zesłańczych losach, jak to się stało, że im, Bogu ducha winnym nauczycielom, przyszło w syberyjskiej tajdze drwali zastępować. Herr Fischer, radziecki człowiek z krwi i kości, mało co wiedział o polskiej wojnie wrześniowej, kiedy to Hitler w sojuszu ze Stalinem Polskę napadli i pomiędzy sobą podzielili. Jak potem, poczynając od lutego 1940 roku, zaczęły się masowe zsyłki Polaków na Sybir, całymi rodzinami, od niemowląt do starców zgrzybiałych.

- Hitler, Hitler, Herr Brzozowski, niech go piekło pochłonie. Na Polskę napadł, prawie całą Europę, a teraz z nami, ze Związkiem Radzieckim, wojuje. Mówię panu, panie

Brzozowski, że ten przeklęty faszysta jak marnie zaczął, tak jeszcze marniej skończy. Żal tylko, że tyle nieszczęść na ludzi sprowadził. Owszem, wiedziałem, nasza prasa pisała, radio mówiło, że we wrześniu 1939 roku Armia Czerwona pośpieszyła na pomoc zachodnim Ukraińcom i Białorusinom, żeby po upadku „pańskiej Polski”, bo tak się mówiło, do macierzystej radzieckiej Ukrainy i Białorusi ich włączyć. Ale żeby to wyglądało tak, jak pan opowiada, Herr Brzozowski, to normalnemu człowiekowi w głowie nie bardzo się mieści. To mówi pan, że was tu, Polaków, na ten Sybir, tak jakby za nic?

- No wie pan, tak całkiem za nic to może i nie. Bo tak szczerze panu powiem, że nam, Polakom, radzieckie porządki, jakie w Rosji po rewolucji nastąpiły, choćby kolchozy na ten przykład czy walka z religią, nie bardzo się podobały. A kto nas razem z Hitlerem w trzydziestym dziewiątym roku napadł? Widać, że i my, Polacy, władzy rosyjskiej nie bardzo żeśmy się spodobali, skoro nas ciupasem na Sybir. W naszej historii to nie pierwszyna zresztą...

Herr Fischer kiwnął głową. Tu pan Brzozowski, choć nieśmiało, ale zdecydował się pana Fischera zapytać:

- A pana, panie Fischer, i pana rodaków, z całymi rodzinami, jak tu w Kajenie widzimy, za co na ten Sybir? Przepraszam, jeśli to nie tajemnica, i żeby broń Boże pana nie urazić...

- Jaka tam tajemnica! Jedno na samym początku panu powiem: Ich nicht verstehe, nicht verstehe<sup>8</sup>.

I tu potoczyła się dłuższa opowieść pana Fischera nie tylko o jego niemieckim rodowodzie, ale i o historycznych losach rosyjsko - radzieckich Niemców. Praprzodek Fischera trafił do Rosji jeszcze w czasach Katarzyny. W Sankt-Petersburgu uczył Rosjan statki budować. Z czasem rodzina Fischerów, choć nigdy nie zapomniała swoich niemieckich korzeni, zruszczyła się, tak jak większość mieszkających tu Niemców. I zawsze, jak na porządnym Niemców przystało, byli wobec swojej nowej ojczyzny lojalni. Tak było za cara, tak było i za nowej radzieckiej władzy. „Ordnung muss sein!”<sup>9</sup>. Tę świadomość Niemiec ma we krwi. A solidności w pracy też nie trzeba go uczyć. W radzieckim państwie, które głosiło internacjonalistyczne hasła „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” i równość klasową, rosyjscy Niemcy pracowali wszędzie, zajmując niekiedy wysokie stanowiska w przemyśle, w administracji, a nawet w komunistycznej partii. A tam, gdzie - tak jak nad Wołgą - osiedlili się masowo, utworzono dla nich nawet autonomiczną Republikę Niemców Powołża.

---

<sup>8</sup> Nie rozumiem.

<sup>9</sup> Porządek musi być.

Pierwsza fala podejrzeń i represji dotknęła rosyjskich Niemców w latach 1937-1939. Podejrzewano i oskarżano ich o szpiegostwo na rzecz Hitlera i Trzeciej Rzeszy. Zarzucano im „wrogie kontakty” z niemieckimi specjalistami, którzy przyjeżdżali z Niemiec do ZSRR na kontrakty. Druga fala represji, tym razem już na masową skalę, bo objęła wszystkich prawie bez wyjątku radzieckich Niemców i rozlała się po całym Związku Radzieckim, rozpoczęła się wraz z wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, w czerwcu 1941 roku. Specjalnym rządowym dekretem uznano radzieckich Niemców za „element niepewny czasu wojny” i rozpoczęło się ich przymusowe przesiedlanie poza strefę przyfrontową, a praktycznie za Ural i na Syberię. Niewiele czasu na opuszczenie dotychczasowego miejsca zamieszkania, konwój NKWD i transport w nieznane. Dotyczyło to zwłaszcza kobiet, starców i dzieci. Przesiedlonych Niemców lokowano głównie na Zachodniej Syberii, w rejonach Omska i Tomska. A tam na północy - dzika bezludna tundra, na południu zaś słotno - bagnista bezkresna kraina dorzecza Irtysza i Obi. Mężczyzn w sile wieku odłączano od rodzin, wcielano ich do tak zwanych „kolumn roboczych”, które niczym nie różniły się od kolumn więziennych, miały identyczny łagrowy regulamin i we wszystkim podlegały Gułagowi.

- Ich nicht verstehen, nicht verstehen, Herr Brzozowski. Ale widać człowiek ma to do siebie, że jak się dowie, że mogło go spotkać większe nieszczęście, to on z tego mniejszego się cieszy. Tak i ja się cieszę i nasi ludzie z baraku, że akurat trafiliśmy tu, do Kajenu, a nie gdzieś tam na Słony Step albo nie daj Boże na te martwe Wasiuginskije Bołota, nad którymi nawet wędrowny ptak boi się przelecieć. A w tamte strony właśnie większość moich ziomków deportowano. Całe rodziny, kobiety, dzieci... A wiem to, Herr Brzozowski, z pierwszych ust niejako. Słyszał pan, być może, że niedawno do naszego baraku Niemiec, frontowy żołnierz, dotarł? Rosyjski Niemiec, do tego mój krajan z Leningradu. Nic to, że od pierwszego dnia wojny jako radziecki oficer przeciwko faszystom na froncie walczył i został ciężko ranny. Nic to. Nie tylko że go w spokoju nie zostawiono, ale tego niedoleczonego kalekę jako politycznie niepewnego też na Sybir deportowano. Zmarł już zresztą i tu, na kajęńskim cmentarzu leży. Otóż ten młody człowiek, Johann na imię mu było, mnie osobiście opowiadał, że nim szczęśliwym trafem swoją rodzinę w Kajenie odnalazł, szmat Sybiru po wojennych lazaretach i przy różnych okazjach przewędrował. Nie miał przecież na czole wypisane, że jest Niemcem. A że to frontowy oficer i do tego ranny, wszyscy widzieli albo wiedzieli. Z frontowcem się u nas, zwłaszcza wśród zwykłego rosyjskiego ludu, inaczej gada. Tak czy inaczej, dowiedział się ten nasz Johann, jaki los spotkał Niemców deportowanych na wspomniane Wasiuginskije Bołota. Ilu ich tam niemal na pniu wyginęło, Herr Brzozowski, to aż strach mówić. I dziwić się tu ludziom z naszego baraku, że posłuchawszy jego opowieści o

losach tamtych Niemców, cieszyli się, że są tutaj, gdzie są. Bo tak to z człowiekiem jest... A kiedy ten biedny chłopak od tych frontowych ran zmarł, pomyśleliśmy w naszym baraku, że jako frontowcowi i radzieckiemu oficerowi wyróżniająca go nagrobna czerwona gwiazda mu się należy. Jak pomyśleliśmy, tak zrobiliśmy. Czerwona gwiazda! Na deszczulce, oprócz imienia i nazwiska, wypaliliśmy, że tu frontowy żołnierz pochowany. I uwierzy mi pan, Herr Brzozowski, że komendant Gusiew nas za to nie tylko straszliwie zbeształ, ale kazał gwiazdę z napisem natychmiast usunąć? I nawet sądem nas straszyl. „No i co z tego, że frontowiec? Dla mnie on deportowany wróg naroda, tak jak wy tu wszyscy. Już ja was, Niemców, znam, wiem, co wy tak naprawdę myślicie!”, krzyczał. No i gadaj tu z takim. Trudno. Władzy trzeba się podporządkować, no to i czerwoną gwiazdę zdjęliśmy. „Już ja was, Niemców, znam!”. A co ten biedny chłopak, czy choćby ja, faszystami jesteśmy czy co, żeby nas tu tak? My tu w Rosji od wieków, Herr Brzozowski, Russen Deutsche jesteśmy. A ten komendant nas tak! I w ogóle. Ich nicht verstehen, Herr Brzozowski, nich verstehen...

\*

Pomału kończy się syberyjskie lato. W Łagpunkcie Kajen dzień jak co dzień. Od świtu do nocy nieposilna praca w tajdze, niedojadanie i choroby. Zesłańcza wegetacja i nie mniej zabójcza psychiczna mordęga, beznadzieja. Jak długo to wszystko potrwa, jak długo człowiek w takich warunkach wytrzyma?

Właśnie pod koniec lata pewnego wieczoru Gusiew pilnie zwołał do komendantury wszystkich „starostów” z polskich baraków. Szli, gubiąc się w domysłach, skąd dziś taki pośpiech, bo na ogół komendant wszelkie odprawy celebrował rano, przed wyjściem do roboty. W ciasnym pomieszczeniu komendantury siedział za stołem nieznany im mundurowy komisarz NKWD, palił papierosa i kołysał się na taborecie. Ta nonszalancka poza nie przeszkadzała mu bacznie przyglądać się wchodzącym. Stanęli w ciszy. Komisarz przestał się huścić, zdusił niedopałek w popielniczce, wstał i obciągnął mundurową bluzę za pasem. Komisarz był młody, postawny, o przyjemnym na oko wyglądzie. Stanowił rażący kontrast z brzuchatym, krótkonogim i niechlujnie umundurowanym Gusiewem.

- Wszyscy już są? - spytał komisarz Gusiewa.

- Tak toczno, towarzyszc komisar, wszyscy!

- No to zacniemy, żeby czasu nie tracić. - Komisarz wyszedł zza stołu. - Otóż tak p a n o w e Poliaki, nim powiem wam o najważniejszym, co sądzę zaciekawi was najbardziej, to przedtem muszę zwrócić waszą uwagę na kilka spraw, które tutaj w Łagpunkcie Kajen wśród Polaków się dzieją. A są to sprawy niedobre. I powiedzmy sobie od razu, że my z komendantem Gusiewem wiemy o was, p a n o w e Poliaki, więcej, niż się

wam zdaje. A te niedobre sprawy to choćby samowolne opuszczanie pracy. I żeby tylko, Łagpunktu nawet. Nie zaprzeczycie chyba, że kilku waszych stąd uciekło? Myśleli, że im się to uda. Nie udało się, o czym sami będziecie mogli przekonać się, i to niebawem. A tego lata? Jeden z waszych ze spławu nie wrócił, a kilku innych do dziś bumeluje i po tajdze się włóczy, zamiast tutaj dla frontu pracować. I jeszcze, może nawet najgorsze, bo to już jawna wroga działalność. Niektórzy Polacy z tymi faszystowskimi poplecznikami, z tutejszymi Niemcami się kumają i razem antyradziecką propagandę rozsiewają. Czy wy, p a n o w e Poliaki, naprawdę nie zdajecie sobie z tego wszystkiego sprawy? Nie rozumiecie, że z Niemcami trwa wojna na śmierć i życie, i jakie w czasie wojny obowiązują surowe prawa? I że władza radziecka ani na sekundę się przed karą nie zawaha? Pomyślcie sobie o tym. A teraz, p a n o w e Poliaki, ta najważniejsza sprawa. I smutna. Zresztą nie tylko dla was. Dla nas, dla władzy, dla ludzi radzieckich też. Brzydka, wredna sprawa. Sprawa, jaka wynikła z winy waszego generała Sikorskiego i jego tak zwanego londyńskiego rządu, który rok temu zawarł sojusz wojenny ze Związkiem Radzieckim. Ba!, z towarzyszem Stalinem osobiście! A co teraz, p a n o w e Poliaki, ten wasz pan generał Sikorski zrobił? Zdradził Związek Radziecki. I was przy okazji. Tak, tak, nie oburzajcie się, wiem, co mówię: zdradził! I to teraz, w decydującej fazie wojny, kiedy pod wodzą genialnego towarzysza Stalina nasza bohaterska Armia Czerwona broni Leningradu, stoi na śmierć pod Stalingradem. W takim momencie ten wasz generał Sikorski, zamiast ze swoim wojskiem pójść razem z nami na front, wycofał je z terytorium ZSRR do jakiegoś tam Iranu czy Iraku! To była brzydka, wredna sprawa, p a n o w e Poliaki. Nie chce pan Sikorski i jego gienierały razem z nami przeciwko Hitlerowi walczyć, trudno, krest im na drogę, sami sobie z Hitlerem poradzimy. Stało się. Tylko was mi żal, p a n o w e Poliaki. Bo rozumiecie chyba, że w związku z tym i wasza sytuacja się zmienia. Na pewno nie na lepszą. Już nie jesteście naszymi sojusznikami, tylko znowu zwykłymi zesłańcami - „spiecpieriesielencami”. A jak sami z doświadczenia wiecie, takich traktuje się inaczej. Od dziś i was ten status obowiązuje. I wybijcie sobie z głowy dotychczasowe mrzonki o Polsce czy wojsku polskim. Jesteście obywatelami ZSRR narodowości polskiej, tyle że za wasze winy zesłanymi „spiecpieriesielencami”. Im szybciej sobie to uświadomicie, tym dla was lepiej. Jedyne, co mogę wam, panowe Poliaki, w tej sytuacji poradzić, to żebyście solidnie pracowali i nie dawali posłuchu żadnym plotkom i wrogiej propagandzie. Bo ze swoimi wrogami władza radziecka zawsze sobie poradzi. To wszystko, co miałem wam, p a n o w e Poliaki, do powiedzenia. Pytań nie ma? No i dobrze. To znaczy, żeśmy się zrozumieli. Jesteście wolni.

Komisarz wrócił za biurko. Gusiew pokazał ręką na drzwi.

Czuli się jak po uderzeniu obuchem. Wlekli się do baraków w ponurym milczeniu, nie chciało im się nawet między sobą gadać.

Pierwszy skręcał do swojego baraku Manterys. Bez słowa podał rękę jednemu, drugiemu, by nagle rzucić na odchodne:

- No to piździec z nami, chłopcy. Znikąd żadnego ratunku. Koniec. Przyjdzie nam na tym cholernym Sybirze kopyta wyciągnąć. Sikorski, wojsko polskie! Okazuje się, że nie ma co sobie głowy zawracać jakimś tam naszym wojskiem, Sikorskim i tymi naszymi sanacyjnymi pankami, co siedzą sobie w jakimś Londynie, a na nas znowu dupę wypięli, tak jak to było we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Co, może nie pamiętacie, jak zaleszczycką szosą do Rumunii spieprzali? A niech ich tam najjaśniejszy pieron! - Manterys z taką wściekłością kopnął w przydrożną skarpe, aż zafurkotało.

Jan Dolina próbował go mitygować.

- Poczekaj, chłopie, nie wściekaj się tak, buta szkoda. Spokojnie, spokojnie. A może nie całkiem z naszymi tak jest, jak nam ten komisarz ogłosił? Co, Sowietów nie znasz? Wycofali się nasi z Rosji, a jeśli się nawet wycofali, to chyba był jakiś powód. Dla mnie, chłopcy, najważniejsze, że w ogóle gdzieś tam ci nasi są. Jest polski rząd w Londynie, jest wojsko polskie, jest generał Sikorski. Ja tam Sikorskiemu wierzę. Pamiętał o nas z tą amnestią, to i teraz nie zapomni. Wiedzą przecież, że my tu jesteśmy, i wcześniej czy później Polska się o nas upomni. Najważniejsze, żeby tu jakoś wytrzymać. A to, o czym nam ten komisarz mówił, to jakaś wielka polityka, o której nikt z nas zielonego pojęcia nie ma. Co my tu, na tym zadupiu w tajdze, wiemy o tym, co się tak naprawdę na tym świecie dzieje. Pożyjemy, zobaczymy, a nie żeby tak od razu wszelką nadzieję tracić...

- A gównu wiemy! - Manterys splunął niedopałkiem. - Tu masz rację, Dolina, gównu wiemy. I do końca naszych dni gównu wiedzieć będziemy. Nie pleć mi bajek o wielkiej polityce, o tym, że ktoś tam w Londynie, czy gdzieś tam, o takich paru biedaków jak my się upomni. Czekaj tatka latka... Nie, chłopcy, wy, jak tam sobie chcecie, ale ja już w nic nie wierzę. - I poszedł. Ale po paru krokach się odwrócił. - I wiecie, co wam jeszcze powiem? Że od dzisiaj obchodzi mnie tylko, żeby moje dzieci z głodu nie pozdychały. I tyle. Bo jak sami o siebie nie zadbamy, to nie tylko żaden Sikorski czy inny panek, ale nawet święty Boże nie pomoże.

Zdezorientowani i rozgoryczeni podobnie jak on, co mu jeszcze mogli powiedzieć? Postali jeszcze chwilę w milczeniu, dokończyli papierosa, pokiwali, pokręcili głowami, co mogło znaczyć „tak”, a mogło i „nie”, podali sobie ręce i rozeszli się po barakach.

Ponurych wieści nie trzeba umyślnymi rozsyłać. Nazajutrz od rana wszyscy Polacy w

Kajenie o niczym innym nie myśleli i nie rozmawiali, tylko o tym, co nowo przybyły komisarz NKWD barakowym starostom przekazał. I co tu kryć, źle, ponuro Polakom w duszach się zrobiło, bo nie ma gorszej rzeczy, niż kiedy człowiek nadzieję zaczyna tracić. Ale do roboty trzeba było pójść skoro świt i męczyć się w tajdze nad wyrobieniem zadanej normy, bo „kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”. A z tym „kuszaniem” było w Kajenie coraz gorzej. Raz na dzień pół kilograma chleba dla pracującego i ćwierć kilograma dla tych, którzy do pracy się nie nadawali, dla obłożnie chorych, starców i dzieci. Magazyn komendanta opustoszał, brakowało kaszy i ziemniaków, nie mówiąc już o mięsie czy cukrze, którego już od dawna nie pamiętano. Tamtego lata w Kajenie panował wyniszczający głód. A teraz jeszcze ta rozgłoszona przez komisarza NKWD wiadomość. Beznadzieja, to mało powiedziane...

Zajcew, bo tak się komisarz NKWD nazywał, przebywał w Kajenie jeszcze dni parę. Nie było nocy, żeby goszczony przez komendanta nie pił gorzały i z łatwymi dziewczkami nie hulał. Ale już skoro świt widywano go rześkiego jak skowronek na polowaniu albo wędkującego z łódki w cichej zatoczce na Birusie. W ciągu dnia gładko wygolony i umundurowany komisarz dosiadał konia i w asyście kogoś z wochrowców objeżdżał w tajdze robocze dzielanki. Tam, częstując palaczy, łaknących choćby tylko zapachu tytoniowego dymu, papierosami „Kazbek”, wdawał się z Polakami w pogaduszki. Polskim nie władał, choć sporo rozumiał, natomiast to swoje, nie wiadomo skąd wzięte przeciągłe „p a n o w e”, wtrącał co drugie zdanie. Bywało, że i do polskich baraków wstępował niespodziewanie, a wtedy pogadywał o wszystkim i o niczym ze starszkami i dzieciarnią. Słowem, komisarz NKWD Zajcew przez te parę dni w Łagpunkcie Kajen był wszędzie, chciał wiedzieć i widzieć wszystko.

Być może był to zwykły zbieg okoliczności, ale przynajmniej dwa zdarzenia łączono w Kajenie bezpośrednio z działaniem komisarza Zajcewa. A w każdym razie już dawno się w Łagpunkcie tyle intrygującego nie wydarzyło, co w czasie jego tutaj bytności. Nie mówiąc już o hiobowej dla Polaków wieści, jaką im pierwszego wieczoru ogłosił, że wojsko generała Sikorskiego wycofało się z Rosji do Iranu, Iraku czy dokądś tam jeszcze. A przecież Polacy całą nadzieję w nim pokładali.

Następnie kogoś popołudnia, deszczowego zresztą i paskudnego, Wochra przywiozła do Łagpunktu Suskiego. Tego samego Franka Suskiego, który razem z dwoma braćmi Markowskimi jako jeden z pierwszych, nie czekając na pozwolenie komendanta, uciekł z Kajenu polskiego wojska szukać. Bracia Markowscy to były młode chłopaki na schwał, ale i Suskiemu nic nie brakowało. A tego popołudnia dwóch wochrowców wniosło do



baraku jakiegoś kościotrupa w śmierzących łachmanach i o Suską się dopytywali. Zgłosiła się. „Wy Suskaja? No i charaszo. Prynimajte muża, on swobodnyj”. I rzucili tego kościotrupa na pryczę. „Chryste Panie!”. Suska nie wiedziała, czy radować się z powrotu Franka, czy gorzko nad jego stanem zapłakać. Rzuciła się mężowi na ratunek. Na wieść o powrocie Franka Suskiego zlecieli się ludzie ze wszystkich baraków. Kościotrup, „dochodiaga” z niego, to fakt, ale da Bóg, to może się chłop jakoś wylize. Bardziej ich ciekawiło, co tam z braćmi Markowskimi słyhać. Niemocnemu Frankowi zamiast odpowiedzi łyzy w zapadnięte czarne oczodoły spływały, nim z siebie wydusił:

- Markowskie?... Najpierw młodszy... Po nim starszy... Złapali nas. Pod Kańskiem w łagrze rudę my kopali... Najpierw umarł ten młodszy. Nie wytrzymali... Zginęli... A mnie jakoś Pan Bóg... - Suski zamilkł, przymknął powieki.

Suska ludzi od pryczy przegoniła.

- Miejcie litość, widzicie, że chłop ledwie żywy...

Komisarz Zajcew na ten temat milczał. Natomiast Gusiew, gdzie tylko mógł, tym się przechwalał.

- A co ja wam mówiłem? Mówiłem, że wcześniej czy później wszystkich uciekinierów z Kajenu wyłapiemy. Dzisiaj Suski, a pozostałych też niedługo zobaczycie. Chyba że, tak jak Markowscy, tej ucieczki nie przeżyją. Sami widzicie, jakie nieszczęście przez swoją głupotę nie tylko na siebie, ale i na swoje rodziny sprowadzili. Z władzą radziecką żartów nie ma.

Ludzie milczeli, no bo co mu mieli odpowiedzieć. Parę dni potem wśród ludzi śpieszących rankiem do roboty w tajdze aż wrzało od domysłów i plotek. A ich powodem była nocna strzelanina donosząca się z okolic komendantury i niemieckiego baraku. „Podobno komendant z komisarzem tak się spili, że mało się nie pozabijali”. „E, gdzie tam, pijani byli, bo co noc piją, ale tylko tak na wiwat strzelali”. „Nieprawda to wszystko, nieprawda! Domicela dziś rano w tajemnicy mi opowiadała, że kiedy tam się w komendanturze bawili...”. „Akurat, Domicela i się bawiła! Kurwiła się tam z nimi ta twoja Domicela. Że też taka lafirynda żadnego wstydu nie ma. Bawiła się, akurat!”. „Czy ty, Danka, dasz mi dokończyć czy nie? Jak chcesz wiedzieć, to Domicela pod słowem mi mówiła, że jak tam u komendanta była tej nocy, to nagle wpadł jakiś żołdat i coś temu przyjezdnemu komisarzowi do ucha powiedział. Ten zerwał się od stołu, łap za rewolwer i biegiem na pole. Gusiew też chciał lecieć, ale był bardzo pijany. Domicelę i tę Niemkę, nie wiem, jak jej na imię, co tam też była, wygonili. Ale jak wyszły z komendantury, to obydwie na własne oczy widziały, jak od strony niemieckiego baraku jakiegoś rannego człowieka Wochra przywlekła i

do katałażki go zamknęła. Widziały jeszcze, jak ta felczeryca Niemka też z jednym wochrowcem do katałażki leciała. Tak to było. A ten złapany i ranny to był podobno jakiś obcy Niemiec, nie z tych tutejszych. A co do Domiceli, to ci powiem jedno: przynajmniej ona i jej dzieci przez to jej, jak mówisz, «kurestwo», z głodu nie zdychają. Ja tam jej nie sędzia”.

O tej nocnej strzelaninie w całym Łagpunkcie głośno się zrobiło, ale niczego konkretnego nikt z Polaków nie wiedział. Staszek Dolina też chciał wiedzieć i pobiegł od samego rana pod niemiecki barak. Rity nigdzie nie spotkał, więc przez jakiegoś malca wywołał któregoś z braci. Wyszedł Peter, smutny i poważny jakiś. „Ty, co to za strzelanina tutaj w nocy była?”. Z relacji Petera wynikało, że w środku nocy zjawił się w ich baraku jakiś nieznany mężczyzna, Niemiec. Okazało się, że to ojciec Rity. Staszek ze zdziwienia aż gębę otworzył. „Ojciec Rity?”. „Tak, tak, ojciec twojej Rity...”. „Ale, ale przecież ona mi mówiła, że nie wie, co się z jej ojcem dzieje, gdzie on jest”. „I prawdę ci mówiła, bo do dzisiejszej nocy ani ona, ani jej matka nic o nim konkretnego nie wiedziały. Tak samo jak on jeszcze do niedawna nie wiedział, gdzie się jego rodzina podziała i że jest tutaj w Kajenie. No, a jak się dowiedział, to chciał się z nami zobaczyć i tej nocy w naszym baraku się zjawił”.

Ojciec Rity, inżynier budowlany z zawodu, jeszcze w Leningradzie podczas internowania został od rodziny odłączony. Wcielony do specjalnej łagrowej niemieckiej roboczej kolumny, pracował przy budowie prowadzonej przez tajgę nowej linii kolejowej w pobliżu Tajszetu. Tam jakimś cudem dowiedział się, że jego żona z dwójką dzieci przebywa w pobliskim Łagpunkcie Kajen. Zaryzykował dezercję, żeby choć na chwileczkę z nimi się zobaczyć. No i stało się.

Peter opowiadał dalej: „Nie wiesz, jak to jest w baraku? Jak się tylko ojciec Rity w naszym baraku zjawił, nim się po ciemku wywiedział, gdzie śpi jego rodzina, to już prawie wszyscy się pobudzili. A oni, no ten ojciec Rity i cała rodzina, ściskają się, płaczą, no wiesz, jak to jest. A w baraku szum coraz większy. Ktoś tam szczapą podświeca i takie tam... Widocznie Wochra to zauważyła, bo nagle do baraku wpada i „ruki wwierch!” od samego progu wrzeszczy. A w tym momencie ojciec Rity mach, i susa dał przez okno. Wochra do drzwi i w pogoń. Może by im nawet uciekł, ale już się rozwidniało. Postrzelili go, dopadli przed Koczkami. Zaciągnęli go do katałażki i tam go teraz trzymają. „A Rita?”. „Co, Rita? Normalnie, cały czas tylko ryczy. Jakby tak twojego ojca, to co byś robił?”.

Kiedy pod koniec tego feralnego dla zesłańców tygodnia komisarz NKWD Zajcew, postawnie trzymając się w siodle, opuszczał Łagpunkt Kajen, towarzyszyła mu aresztancka podwoda, na której, pod konwojem Wochry, oprócz pojmanego i rannego Niemca, ojca Rity, siedziało jeszcze dwóch innych aresztantów: Polak, pan Izydor Brzozowski, i Niemiec, Herr

Ludwig Fischer.

Aresztowanie Brzozowskiego i Fischera było dla wszystkich, i dla Niemców, i dla Polaków, kompletnym zaskoczeniem. Za co? Wszyscy ich tu już poznać zdążyli, a niektórzy nawet pokpiwali z nich dobroliwie, jak to się ci dwaj starsi panowie, Niemiec z Polakiem, dobrali i chyba nawet zaprzyjaźnili. „Belfry, profesorkowie, wiadomo!”.

- Ale żeby ich NKWD aresztowało?

- Czemu ich aresztowano, obywatelu komendancie?

Nagabywany komendant Gusiew, już po wyjeździe komisarza Zajcewa, nie odpowiadał albo gniewnie odburkiwał.

- Za co? Już oni tam sami dobrze wiedzą, za co. Nie mnie, ale ich trzeba było spytać, co takiego przeciw władzy radzieckiej nabroili. Niby tacy z nich profesorowie, a zwykłymi durniami się okazali. Bo kto im kazał, kto im dał prawo przeciwko władzy radzieckiej jęzory strzępić, wrogą propagandę uprawiać? No, kto? Co, może myśleli, a może i wy też tak sobie myślicie, że my o takich tam ich i waszych antyradzieckich pogaduszkach się nie dowiemy? Dowiemy się, dowiemy! Tak jak o tych dwóch wrogach władzy radzieckiej wszystko wiedzieliśmy i mieliśmy ich na oku. Was też wszystkich po dobroci ostrzegam, żebyście języki za zębami trzymali i posłuchu wrogiej propagandzie nie dawali. Nie myślcie sobie, że ten wasz komendant Gusiew to jakiś tam kiep. Gusiew wie wszystko, co się wśród was, w waszych barakach i w Kajenie dzieje. Gusiew ma na to swoje sposoby, żeby wszystko wiedzieć. Jak będzie trzeba, to nawet sosny w tajdze będą Gusiewowi o wszystkim donosić, ot co!

\*

Koniec, kropka! Spodziewanego dalszego ciągu tej opowieści nie będzie. Nie będzie, choć Autor zdaje sobie sprawę z tego, że każda ciekawie pomyślana opowieść powinna nie tylko intrygująco się zacząć, ale równie intrygująco, a może jeszcze bardziej zaskakująco, się zakończyć.

Tym razem jednak tak nie będzie. A nie będzie dlatego, że ta oparta w większości na prawdziwych zdarzeniach syberyjska opowieść równie nagle i niespodziewanie z końcem tamtego lata w Kajenie się zakończyła. Jak to w życiu... Bo czy w życiu każdego z nas nie zdarza się tak, że coś ważnego z nami albo wokół nas się dzieje i nagle, dosłownie z dnia na dzień, nasze dotychczasowe życie zmienia się raptownie? Nie trzeba na to żadnego kataklizmu czy nagłej śmierci. I jak to w życiu, nie wszystko, co się sensownie zaczyna, musi się sensownie kończyć. Tak zdarzyło się w życiu bohaterów tej opowieści. Podejrzewam też, że Autor urywa wątek tak nagle, bo nie zna dalszych życiowych losów ludzi z Kajenu. No,

może z wyjątkiem losów Staszka Doliny, jego ojca i młodszego brata Tacka. Któryś z Czytelników w tym miejscu uśmiechnie się domyślnie: „Jeszcze tego by brakowało, żeby Autor o losach Staszka Doliny nie wiedział!”. I chyba będzie miał rację.

Mimo „końca i kropki”, wróćmy jeszcze na moment do Łagpunktu Kajen. Kończy się lato. Krótka jesień, i zaraz zacznie się długa, trudna do przetrwania syberyjska zima. Powiedzieć, że zesłańcy boją się tej pory roku, to mało. Nikt nie jest pewien jej przeżycia. A na to wszystko nakładają się dodatkowo ponure, kruszące nadzieję wieści o tym, że nie ma już w Rosji polskiego wojska. A jak nie ma polskiego wojska, nie ma zgody między Stalinem a Sikorskim, to co z polskimi zesłańcami, co z ich powrotem do Polski?

Po odjeździe z Kajenu komisarza NKWD Zajcewa komendant Gusiew zaostrzył łagrowy reżim i gonił do roboty w tajdze nawet podrostków. Każdy z nich, który, tak jak Staszek, skończył czternaście lat, musiał odtąd, pod wszelkimi rygorami wojennej dyscypliny, iść do roboty w tajdze. Staszek, jak to Staszek, ucieszył się nawet z tego przymusu, bo od tej pory nikt go już jak smarkacza nie potraktuje, no i, tak jak ojciec, codziennie na roboczą kartkę całe pół kilo chleba, a nie dwadzieścia deko jak dotychczas, przyniesie. „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet!”. Wszyscy nie tylko znają to na pamięć, ale własnym głodnym żołądkiem czują. A tak po cichu, to Staszek cieszył się jeszcze z tego, że do roboty w tajdze razem z Ritą będzie chodził. A może w parze pracować im się uda? Tu Staszek, któremu nigdy na fantazji nie zbywało, zaczął sobie takie o Ricie snuć marzenia, że mu aż... a może też nieco i z chłopięcego wstydu, uszy czerwieniały. Tymczasem...

Tymczasem, dosłownie z dnia na dzień, jak to w zwyczaju gułagowskiego naczalstwa bywało, kilkanaście polskich rodzin, a wśród nich Dolinę z synami, załadowano na podwozy i przetransportowano do innego, znacznie odległego od Kajenu Łagpunktu. Dlaczego? Nikt im niczego nie tłumaczył. Nawet komendant Gusiew, który zresztą był wyraźnie z tego niezadowolony, bo mu roboczej siły ubywało. „Prikaz jest prikaz. Naczalstwo wie lepiej. Znaczy, że jesteście tam bardziej potrzebni”. Wszystko odbywało się tak szybko, że Staszek nie zdążył się nawet ze wszystkimi swoimi koleżkami przyzwoicie pożegnać. Ritę dopadł w ostatniej chwili, kiedy dziewczyna wychodziła rano do pracy.

- Wyjeżdżam, Rita.

- Jak to? Kiedy? Dokąd?

- Dzisiaj wyjeżdżamy. Przed obiadem mamy być pod komendanturą, podwozy podjadą. A dokąd nas powiozą, nie wiem... Przybiegłem się, no wiesz, pożegnać.

Stali chwilę w milczeniu, chyba obydwójce nie bardzo wiedzieli, co sobie powiedzieć i jak się zachować. Naraz, podobnie jak wtedy, kiedy Staszek chorą na kurzą ślepotę Ritę pod

jej barak odprowadził, dziewczyna bez słowa ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta. Tyle że tym razem dłużej i mocniej.

- Praszczaj, Staś, pewnie już nigdy się nie zobaczymy. - I odeszła. A Staszek chwilę jeszcze stał przed niemieckim barakiem, smutno i niemo...

Tego, co się później, w następnych miesiącach i latach w Kajenie działo, Autor nie wie, choć jakieś słuchy do niego dochodziły. Ale, jak to zwykle z niepotwierdzonymi słuchami bywa, prawie wszystkie należałoby zaczynać od słowa „podobno”. Tak więc podobno babka i matka Rity zmarły w Kajenie. Ritę z młodszym bratem, i jeszcze kilkoro polskich i niemieckich sierot, komendant Gusiew odtransportował do jakiegoś sierocińca. Katarzyna Kern-Krzyżanowska zeszła się na stałe, a po ludzku mówiąc, wyszła za mąż, za Stanisława Stanisza i troskliwie matkowała jego wielodzietnej trzódce. Profesor Izydor Brzozowski, skazany za „antyradziecką agitację” na 10 lat ciężkich robót, zmarł na Kołymie. Podobnie tragiczny los miał spotkać jego współtowarzysza niedoli, Niemca, starego Ludwiga Fischera. Jeszcze o losach paru ludzi z Kajenu można by tak opowiadać, że podobno, podobno... ale pewnie nie miałyby to większego sensu. Autor wychodzi bowiem z założenia, że los każdego człowieka to całkiem osobna, niepowtarzalna księga i nie wolno jej byle jak streszczać. A jeszcze nie „podobno”, tylko na pewno, Staszek Dolina wraz z ojcem i młodszym bratem Tadkiem został przesiedlony z Kajenu jeszcze dalej w głąb tajgi, do leśnego sowchozu Borowinka, leżącego nad równie wielką jak Birusa, a chyba jeszcze dzikszą, syberyjską rzeką Iją.

# Tajga

*Tajga, tajga, krugom tajga,  
końca i kraja nie widać!*  
Rosyjskie, ludowe.

Tamtego ranka Staszek Dolina nigdy nie zapomni.

Mrocznym świtem długa kolumna sań z polskimi zesłańcami wysliznęła się poza opłotki Kańska i sunęła pustą podmiejską okolicą. Dookolny świat tonął w mglistej i mroźnej zawieszynie. Chłopak miał wrażenie, że niebo zlało się z ziemią, bo gdzie nie spojrzeł - nieprzejrzysta mroźna i mglista biel. Teżał nadbranny mróz. Trzęsący się z zimna chłopak, jak mógł, bronił się przed zamarznięciem.

Kolumna sunęła w milczeniu. Nawet niemowlęta przycichły, tulone w matczynych objęciach. Czasami tylko ktoś z dorosłych zaniósł się głośnym, ochrypłym kaszlem, albo parsknął znarowiony koń, wydmuchujący oszronionymi nozdrzami mroźne powietrze.

Zesłańcy, w większości całe chłopskie rodziny z okolic Zaleszczyk i Czortkowa na Podolu, mieli za sobą ponadmiesięczną podróż w bydłowych wagonach, do których - 10 lutego 1940 roku - zapędziło ich sowieckie NKWD i pod konwojem dowiozło aż tutaj, do Kańska na Wschodniej Syberii.

Po wyładowaniu w Kańsku, który był ostatnim kolejowym etapem, zesłańcy nie wiedzieli, dokąd ich teraz powiozą. „Wochra” na takie pytania nie odpowiadała, co najwyżej karcąco zbywała natręta: „Kuda nada, tuda was powieziom”. Furmani, pozbierani na podwozy z okolicznych kolchozów i sowchozów, też do rozmownych nie należeli. Łatwo było się domyślić, że mieli surowy zakaz nawiązywania bliższych kontaktów z zesłańcami. A być może co odważniejsi i ludzcy z nich po prostu nie umieli się z Polakami dogadać.

W miarę jak konwój oddalał się od Kańska, budzący się dzień wstępował w swoje prawa. Szara, mglista otulina rzedła, ale za to poranny mróz doskwierał jeszcze mocniej. Głośniejsz skrzypiały zmrożone sanne płozy, kłębiły się parne końskie i ludzkie oddechy, odkasływana plwocina zamarzała w locie.

I wtedy to nastąpiło Staszkowe zdziwienie pierwsze. Bo oto nagle, bez jakichkolwiek zwiastunów, z tej gęstej mroźnej mgławicy zaczęło wyłaniać się słońce. I to jak! I to jakie! Chłopak osłupiał, bo to słońce, zamiast pojawić się na niebie, zdawało się wyłazić spod ziemi. Najpierw wyłonił się zgięty w pałąk jego skrawek, do tego w mocnych, krwistobordowych kolorach. Po chwili ten skrawek słońca był już półkolem, a niedługo potem rozrósł się do niespotykanych rozmiarów bordowej kuli, niemal przesłaniając zamglony horyzont. Zdawało się Staszкови, że ta olbrzymia bordowa kula toczy się w jego kierunku i lada moment stanie na drodze sannego konwoju, zmiążdży go albo w tej czerwoności pochłonie. „Słońce wschodzi! Ludzie, słońce wschodzi!”, pewnie ktoś tak na pobliskich saniach wołał, a może nawet, podobnie jak Staszek, niespotykanej barwie i ogromowi wschodzącego słońca się dziwił. Chłopak chyba nawet tego nie słyszał, bo wciąż wpatrywał się w tę ogromniejącą

słoneczną kulę jak zahipnotyzowany.

Dopiero głos i dotyk ojca przywrócił go rzeczywistości.

- No jak tam, synu, nie zamarzłeś mi czasem?

Zamiast odpowiedzi, Staszek pokazał na wschodzące słońce.

- Jakie ogromne, tatusiu, jakie ogromne! Nie takie jak u nas na Podolu. I całe jak burak czerwone...

- Rzeczywiście, czerwone. Mówią, że jak słońce czerwono wschodzi, to wiatr za dnia zwiastuje. Tego by nam jeszcze na tym mrozie brakowało.

- Ale ogromne jakie, całe niebo zasłania... Nie takie jak u nas, tam...

- Ogromne, mówisz. To tak ci się tylko na tej bieli wydaje. Ale za chwilę wzniesie się wyżej na niebie i znormalnieje. A może nawet nam trochę poświeci i pogrzeje, bo ziąb nie do wytrzymania.

- Ogromne! Jeszcze takiego nigdy nie widziałem. Inne to słońce chyba niż tam u nas, w domu. Inne.

- Oj synu, synu, coś się z tym słońcem uparł. Złaż lepiej z sań, podrepczemy trochę, nogi i krew rozruszamy. O tak! No, podskakuj, nogami potuptaj, palcami w trzewikach ruszaj. To nic, że bolą, to znaczy, że nieodmrożone. I ręce zabijaj, o, tak jak ja. A słońce, synu, na całym naszym świecie jest tylko jedno. I wszędzie takie samo, czy u nas tam, na Podolu, czy tutaj na Sybirze. Słońce, synu, i tu takie samo, tyle że wszystko oprócz niego tu inne, całkiem inne... I dla nas obce, niezwykajne.

Staszkowe zdziwienie drugie, może nawet jeszcze większe niż to wschodzące słońce. Słońce, które mimo ojcowskiej perswazji wciąż jeszcze nie wychodziło mu z głowy. Choć teraz, kiedy nań od czasu do czasu popatrywał, wyraźnie „znormalniało” i spokojnie wdrapywało się coraz wyżej po nieboskłonie, a nawet już nieco złudnego ciepłka posyłało. Ale Staszek i tak porównywał je ze słoneczkiem, które mu na Podolu przyświecało. Zamyślił się o słońcu. To jawiło mu się kielnarowskie słoneczko, wschodzące zza klasztornej góry i złocące krzyże borkowskiego klasztoru. A to znów mrużył oczy na wspomnienie palącego słońca, falującego migotliwą tęczą nad pszenicznymi łanami podolskich Worwoliniec. Albo przypomniał sobie, jak dumny Hawryło biegał po rynku w Tłustem i pokazując na słońce, głośno lamentował: „Ludy, ludy, sonce na mene padę”. Na tym tłusteckim rynku w pierwszym dniu wrześniowej wojny zgromadzeni ludzie, a pośród nich Staszek, słysząc charakterystyczne buczenie samolotów, wpatrywali się w niebo, zgadując - nasze to czy niemieckie? Rychło też przekonali się, czyje, bo jeden obniżył lot i walnął bombą w Tłuste, a reszta poleciała bombardować Zaleszczyki i most na Dniestrze, na rumuńskiej granicy.



- Stój, maleńka, stój! Tprry!...

Idący za saniami Staszek, w tym swoim słonecznym zamyśleniu, omal czołem w oparciu sań nie bodnął.

- Tprry, maleńka, tprry!

Oszroniona, buchająca parą z oblodzonych nozdrzy mongolskiej rasy gniada kobyłka posłusznie przystanąła. Woźnica zboczył parę kroków od sań, zapadł się w kopny śnieg po kolana. Patrzył gdzieś hen przed siebie i śmigłym pejczem kreślił przed sobą półkole. Zesłańcy zrozumieli, że coś tam chyba zobaczył i chce im to pokazać. A że sanie stały na wzgórku, widać było daleko.

- Smotritie ludi, wot ona tam, tajga, matuszka nasza. Tajga!

Mówił to z takim nabożeństwem w głosie, że zdawało się, iż lada chwila zdejmie z głowy olbrzymią lisią papachę. Ludzie patrzą.

I Staszek patrzy. Tylko że on niczego tam specjalnego wypatrzeć nie może. Z górki widać lekko przymgloną śnieżną dal, a za tą dalą... Chyba tam las jakiś. Co on tam widzi, czego tam wypatruje? „Tajga tam, tajga”, powtarza woźnica. Staszek nie rozumie, nie zna znaczenia tego słowa. Co to może być ta tajga? Może tutejszy zwierz jakiś? Chłopak przysłania oczy, żeby wyraźnie widzieć. I znowu nic, tylko ta oślepiająca śnieżna dal i ten las na horyzoncie. Ale jaki las! Dopiero w tym momencie Staszek zaczyna sobie uświadamiać, że takiego lasu jeszcze w życiu nie widział! Ten las widoczny w oddali ciągnie się od horyzontu po horyzont. Z górki widać, że ich droga do tego właśnie lasu prowadzi i że ominąć go niepodobna.

- Wot ona, nasza tajga kakaja! - W głosie woźnicy słychać zachwyt, ale i trwożny podziw. - Przypatrzcie się tajdze, ludzie dobrzy, potęga w niej jaka! Pożegnajcie się z równiną, bo zaraz w tajgę wjedziemy. A jak się sami przekonacie, to tajga nasza ogromniasta, ogromna, ani jej początku, ani końca nie szukaj.

Nadbiegł komendant konwoju, zaniepokojony nieprzewidzianym przystankiem.

- Co ty mi tu, Afanasji, jakieś wiece urządzasz i ludziom bajdy opowiadasz. Rozum postradałeś? A nu, nie zatrzymywać mi dłużej konwoju. Ruszać, ruszać w drogę. Bystreje, bystreje.

Staszek znowu z pytaniem do ojca.

- Tato, a ta tajga to co to właściwie takiego?

- Tajga? - Ojciec potarł sobie bielejące na mrozie uszy, kolejny raz obił rękami boki, wyraźnie zbierał myśli. - Tajga? Mówią, że tu, na Sybirze, las tak nazywają. Zamiast lasu, jak u nas, „tajga” mówią.

- Las!? A ja sobie pomyślałem, że tajga to może tutejszy dziki zwierz jakiś... Tajga! To po rosyjsku pewnie?

- A po jakimu by jeszcze, przecież nie po polsku. Pan Korczyński jeszcze w wagonie opowiadał, że takiego lasu jak ta ich tajga to podobno na całym świecie nie ma, taki on ci ogromny. I taki las, czyli ta ich tajga, to tylko tu na Sybirze jest. Tajga, dziki zwierz jakiś... Co też ci dzisiaj od rana za pomysły do głowy przychodzą?

Tymczasem tajga tuż-tuż. Ciemna leśna ściana wysokich świerków i sosen, otulonych na wierzchołkach śnieżnymi nawisami. Z jasnej śnieżnej bieli w tajemniczą tajgę wślizguje się wąską drogą zesłańczy konwój i znika w jej otchłani.

- Tajga! Tajga! Tajga - od sań do sań, ktoś w myślach, inny głośno, powtarza to obco brzmiące dla polskiego ucha, tajemnicze słowo. I Staszek powtarza je sobie, spozierając lękliwie dookoła.

- Tajga! Tajga! Tajga - powtarzają ludzie, ale coraz rzadziej i ciszej. Milkną. I tylko patrzą, podobnie jak Staszek, ze wzrastającym zdziwieniem.

Kolumna porusza się wolno wąską sanna tropą, torowaną przez pierwszy konny zaprzęg. Zasy, nawisy śnieżne tym większe, im droga dalej przez tajgę wije się wąwozami, korytami zamarzniętych potoków, wspina się pod górę i opada w doliny. Po bokach drogi tylko ręką sięgnąć potężnych drzew, wiekowych sosen, świerków, modrzewi i cedrów. A wszystkie one w ogromnych śnieżnych czapach przesłaniających niebo. W tym tajgowym ponurym mroku mróz jakby się jeszcze nasilił. Jadą tak przez tajgę godzinę, drugą, pół dnia już mija. Czy ten las nigdy się nie skończy? Któryś z woźniców zrozumiał, może nawet ten sam Afanasji. Uśmiechnął się, bo - jako tutejszy - zdziwiony był naiwną niewiedzą pytającego. - To nie jest las, dobry człowieku, to jest tajga. Tajga! Rozumiesz? A tajga nasza sybirska, jak to się mówi, nie ma początku ani końca.

Tajga, tajga, tajga!

Nie dzień, nie miesiąc, nawet nie dłuży się niemiłosiernie pierwszy rok, ale aż ponad sześć lat przyszło Polakom, jadącym owego marcowego dnia tymi saniami, w syberyjskiej tajdze przeżyć. Przeżyć, jeśli dobry Bóg i szczęśliwy los im na to pozwolił. Bo nie wszystkim. Staszek Dolina przeżył.

Na wysokim brzegu tajgowej rzeki Pojmy rozciąga się rozległa polana. A na tej polanie, uszeregowane w niewielkiej odległości jeden obok drugiego, stoi kilka starych, drewnianych, mchem uszczelnionych baraków. Nie oznaczono tego miejsca na żadnej mapie, ale dla świadomych rzeczy nazywa się ta osada Kaluczoje. Od dawna mieściła się tutaj jedna z karnych kolonii sławionego Tajszetłagu. Jego pierwsi więźniowie wykarczowali tutaj tajgę i

zbudowali te baraki. Całkiem niedawno pośpiesznie rosyjskich więźniów stąd ewakuowano i pogoniono ich dalej w głąb tajgi. W Kaluczem trzeba było zrobić miejsce dla zesłanych na Sybir Polaków. Zgodnie z planem rozmieszczenia polskich zesłańców, sporządzonym przez Tajszetłag, transport Polaków spod Zaleszczyk miał trafić właśnie do Kaluczego.

Po prawie dwóch tygodniach przedzierania się przez zimową tajgę do Kaluczego dowieziono ich w nocy ledwie żywych. Na łapu capu zapchano nimi baraki. Pierwszej nocy zmorzył ich taki martwy sen, że nawet ataku wygłodzonych pluskiew nie poczuli. Dopiero rano...

Dopiero rano wszyscy wszystkiemu się tutaj z narastającym przerażeniem dziwili.

Większość zesłańców w Kaluczem to chłopci z dziada pradziada. Ich wiejskie dzieci dziwiły się tu zastanemu w dwójnasób. No bo tam, gdzie był ich dom, była Polska, a tu Polski nie ma. W Polsce była szkoła, a tu szkoły nie ma. Tutejsi ludzie nie rozumieją po polsku, a dzieci po rosyjsku nie umieją. W Polsce był las, jak to las, a tu jakaś tam „tajga”. I tak dalej, i tak ze wszystkim, na co w Kaluczem nie spojrzysz i czego nie dotkniesz.

Kalucze! Wieś to - nie wieś? Co to za wieś, tych kilka starych zapluskwionych baraków pośród tajgi? Co to za wieś, jeśli nie uświadczysz tu żadnej gospodarskiej żywiny: krowa ci tu nie zaryczy, świnia nie zakwyczy, koza czy owieczka nie zabeczy, kura nie zagdacze, kogut nie zapieje, kot nie zamiauczy, koń nie zarzy i nawet pies nie zaszczeka. Tym zachłanniej, z nieukrywaną tęsknotą za czymś, co było dla nich naturalne prawie od kołyski, rzucały się polskie dzieciaki na trzy tutejsze mongolskie koniki i jednego jedyne psa! Mongolskiej porody koniki, niskie i krępe, gruboszerstne, z długachnymi ogonami, grzywami i czółkami przysłaniającymi im ślepia, były własnością komendatury Łagpunktu. Jeden chodził pod siodłem i woził komendanta Sawina, kiedy temu zachciało się ruszyć w tajgę ponadzorować konwojentów i popatrzeć, jak tam te jego „polskije pany, pieriesieleńcy” wykonują normę i z robotą sobie radzą. Dwa pozostałe „mongoły” przeznaczone były do czarnej roboty w Kaluczem i co tam trzeba było, woziły. Powoził nimi stary Karolak z synem, którym roboty przy koniach wszyscy ludzie z baraków zazdrościli. Nie tylko dlatego, że robota przy koniach każdemu chłopu zwyczajna, już nawet nie mówiąc o tym, że lżejsza niż piłowanie sosen w tajdze, ale przede wszystkim dlatego, że „mongołom” codzienny przydział owsa się należał! A z owsa, jeśli go przesuszyc i wyłuskać, owsianka - palce lizać! Tym bardziej, że w Kaluczem coraz głodniej robiło się z dnia na dzień.

Karolak dzieciakom się nie dziwił i głaskać spokojne „mongoły” pozwalał. Ale do czasu. Bo na wiosnę któryś z chłopaków wypraktykował, że włosie z długich końskich ogonów nadaje do plecienia z nich sznurków do wędziska, bo niczego innego, żeby haczyk

powiesić, nie było, nawet dratwy.

Oprócz „mongołów” był w Kaluczem jeden jedyny pies. Dzieciaki nigdy jeszcze takiego psa nie widziały. Mocne to było psisko, choć niepodobne ani do owczarka, ani do wilczura. Pysk miał raczej lisi, ostre, wysoko sterczące uszy i zakręcony ogon. Choć puszystym futrem okryty, sierść miał przydługą i sztywną. Umaszczony na czarno, upstrzony srebrnobiałymi łatami. Wabił się Buran i był służbowym psem komendanta Sawina. Z nim też „służbowo” przemieszczał się z łagru do łagru, gdzie razem ze swoim panem pilnował więźniów, i był do tego celu przeszkolony.

Jak przystało na służbowego psa, Buran miał swoją budę za ogrodzonym wysokim płotem budynkiem komendantury. Na zewnątrz bez uwięzi i kagańca wychodził tylko w towarzystwie komendanta Sawina, trzymał się karnie jego lewej nogi i tylko na jego polecenia reagował. Buran był psem w sile wieku, a tak mu się jego pieskie życie złożyło, że poza więziennymi barakami i kolumnami zabiedzonych, zahukanych więźniów normalnego ludzkiego życia nie widział. Szkolono go, żeby tych więźniów niby stado baranów zaganiać do kolumny albo na rozkaz dopaść takiego, obalić na ziemię, wbić mu kły w ramię i trzymać, czekając następnego rozkazu. Niekiedy nie trzeba było rzucać się na więźnia, wystarczyło tylko na niego warknąć i groźnie wyszczerzyć zęby, by taki „dochodiaga” z przerażeniem wciskał się do kolumny. Nudne to wszystko było, a nic innego Buran do roboty w Kaluczem nie miał. Jedyna rozrywka to kiedy jego pan wieszał strzelbę na ramię i wybierał się w głąb tajgi na polowanie. Obojętnie, zima to czy lato, w tajdze zawsze jest na co zapolować. Ale taka uciecha zdarzała się Buranowi coraz rzadziej, bo komendant Sawin zamiast polowań wolał szklanekę śmierzdzącej siwuchy, a tego smrodu, jak każdy porządny pies, Buran nie znosił. Ale cóż ma pies do szczekania - pan każe leżeć, to pies słuchać musi.

Aż tu któregoś dnia, ku zdumieniu Burana, Kalucze opustoszało. Komendant Sawin stał na drewnianym apelowym pomoście, Buran jak zwykle przywarował u jego lewej nogi i przypatrywał się, jak szara kolumna więźniów opuszcza Łagpunkt Kalucze i powoli zagłębia się w tajgę. I w miarę, jak się oddala, a potem znika im z oczu, Buran traci z powonieniem ten znany mu od zawsze charakterystyczny więzienny odór, smród niedomytych, schorowanych ciał, głodu i strachu. „No, psie, wracamy do komendantury, czas na obiad. A od jutra nowa robota nas tu czeka”. I Buran chęptał obiadowe zlewki, zgryzał rzucone mu kości, a jego pan zajadał swoje ulubione „szczy”, czyli - mówiąc po ludzku - tłusty, kwaśny kapuśniak.

Zaledwie parę dni minęło, jak nagle całe Kalucze zaroilo się kolorowym tłumem, niezwykajnym dla psiego wzroku i powonienia. Buran dziwił się temu niepomierne, bo czegoś takiego, jak to nowo przybyłe ludzkie stado, w swoim sobaczym życiu jeszcze nie

widział. No bo kiedy miał widzieć? Od szczeniaka wokół niego tylko tajga, baraki, więźniowie i strażnicy.

Aż tu nagle taka zmiana. Nie tylko, że przyjezdni ludzie inaczej wyglądają, a zwłaszcza kobiety i dzieci, to do tego jeszcze zupełnie inaczej się ich wacha i czuje. Jak sobie z nimi radzić, Buran nie miał pojęcia. Zwłaszcza że jego pan, komendant Sawin, też się jakby wraz z przybyciem tych ludzi do Kaluczego nieco zmienił. Ot choćby w tym, że nie szczuł na nich Burana, tak jak na tamtych łagierników, których dokądś tam w głąb tajgi pogoniono. Ba!, nawet komendant nie miał nic przeciwko temu, że polskie dzieciaki śmiało do Burana podchodziły i próbowały go głaskać. Nienawykły do takiej poufałości Buran początkowo jeżył sierść, skalił zęby i niepewnie zerkał na swojego pana. Ale skoro ten nie wydawał mu żadnych rozkazów, to i on nie odstraszał malców od siebie. A z czasem nawet te dziecięce pieszczoty sobie upodobał i poddawał im się przymilnie.

A dzieciaki, jak to dzieciaki. Nie tylko Burana głaskały, ale na wszelkie sposoby zachęcały go do wspólnej zabawy - to patyk mu do aportu rzucą, to się mu za krzaki i baraki chowają. Bardzo mu się to spodobało. To nic, że te dzieciaki wydawały mu komendy słowami, których brzmienia nie rozumiał, bo ich mowa miała inną melodię niż mowa jego pana czy łagrowych strażników. Rzucił na dzieciaka okiem i domyślał się, o co mu chodzi. I nawet się nie obrażał, kiedy polskie dzieciaki przechrzcily go z obco dla nich brzmiącego Burana na miłego ich polskiemu uchu Burka. „Burek, do nogi! Burek, podaj patyk! Goń mnie, Burek, goń! Szukaj, Burek!”. I Buran-Burek zapominał się w zabawie, wesoło merdając ogonem. Zaczynało się to komendantowi Sawinowi nie podobać, bo ten jego służbowy pies rozpuścił się przez te zabawy z polskimi dzieciakami jak dziadowski bicz. Doszło do tego, że rankiem, jak tylko Buran usłyszał hasające wokół baraków dzieci, zaczynał niecierpliwie poszczekiwać, drapać w zamkniętą bramę komendantury i dopominać się wypuszczenia na zewnątrz. Rozzłoszczony Sawin nakazywał wiązać Burana przy budzie. Wtedy pies nie tylko szczekał, ale wył jak tajgowe wilki do księżyca. W końcu zrezygnowany komendant machnął ręką na te psie fanaberie i dał Buranowi spokój.

Dzieci, jak to dzieci, pies, zabawa i psoty. I byle mama z tatą byli w pobliżu. Ale jak tu dorosłym, mamie i tacie, do niewoli się przyzwyczaić... Pierwsza syberyjska zima i zmiana klimatu zrobiły swoje. Nieposilna praca przy wycięciu tajgi. Nędza zatłoczonych, zapluskwionych i zawszonych baraków. Gdzie w tych warunkach o jakiejś higienie może być mowa? A do tego coraz bardziej dokuczliwy głód.

Pierwsza zesłańcza wiosna 1940 roku w Kaluczem i wielka śmiertelna epidemia tyfusu. Nie było dnia bez pogrzebu. W tajdze, na wysokim brzegu dzikiej Pojmy, mogiła przy

mogile, znaczone brzozowymi krzyżami.

Staszкови Dolinie umarła mama - Antonina, Tosia, jak mówił do niej ojciec. Tyfusowa śmierć kosiła w Kaluczem bez litości. Nie wszystkich, którzy wtedy umarli, Staszek spamiętał. Ale choćby tylko z baraku, w którym się gnieździł, i z tych sąsiednich baraków, wiedział, że zmarły niemowlaki Czulaków i Kolabińskich. Następnie Staszкови rówieśnicy: Anielka Piznal, Weronka Zontek, Władek Kliś, Hela Głuszek, Wanda i Marian od Staniszków. Zmarła też ich mama, pani Staniszkowa. Wymarła, aż strach pomyśleć, cała sześciuosobowa rodzina Szajny Władysława. Chyba też sześcioro ze spowinowaconej rodziny Ziębów i Graselów, prawie cała rodzina Kamizelów, czworo z rodziny Musiałów, trzech braci Niziołów, którym ojciec, z zawodu stolarz, po kolei klecił sosnowe trumny i brzozowe krzyże stawiał. Zapamiętał jeszcze Staszek śmierć pani Anny Król z córeczką, śmierć pani Dudkowej, bo to była mama jego koleżanki Heli, i śmierć pani Balikowej, z tego samego baraku. Pamiętał śmierć starego Zelka, Mazura, Klisia, Majdaka, Dudy i Atlasa. A ilu, ilu jeszcze zmarłych w Kaluczem Staszek nie spamiętał...

W lecie epidemia tyfusu przygasła. Lżej było nieco zesłańcom, bo to ciepło i tajga ich nieco ze swojej leśnej spiżarni pożywiła - zbierali grzyby, jagody. Pojma, która po wiosennych roztopach wróciła do starego koryta, nie skąpiła ryby, jeśli ktoś miał czas i potrafił ją złowić.

Najgorszą z najgorszych syberyjskich pór roku była dla zesłańców zima. Siarczyste syberyjskie mrozy, baraki śniegiem po dachy zasypane. A do tego brak ciepłego odzienia, tych wszystkich watowanych kufajek, spodni, walonek i kudłatych czapek. Co mieli z Polski, to na sobie nosili. No i ten głód, z dnia na dzień głodniejszy, zwłaszcza że w zimie nie ma go czym dodatkowo zaspokoić.

Czas leci. Przyszła do Kaluczego zima. Druga od czasu wywózki zima z czterdziestego na czterdziesty pierwszy rok. Najsurowsza i najgłodniejsza...

Do tego czasu Buran-Burek i polskie dzieciaki z Kaluczego zaprzyjaźniły się na dobre. Wiosną, latem, aż do późnej jesieni, nic im nie stało na przeszkodzie we wspólnym hasaniu i zabawach. Buran towarzyszył dzieciakom obrzeżami tajgi na jagody i grzyby. Bywało, że na jakieś ptasie gniazdo ich naprowadził. A niektóre się przechwalały, jak to Buran wielkiego niby domowy kogut głuszcza w tajdze dopadł, kiedy ten - zakochany, głuchy i ślepy na wszystko - zatokował się bez pamięci. Woda w Pojmie nawet w lecie zimna, aż dreszcze telepią, ale to dzieciaków przed kąpielą nie odstraszy. No to i Buran-Burek, choć za wodą z natury nie przepadał, przywoływany pluskał się razem z nimi.

W zimie wszystkim było gorzej. Dzieciaki całymi dniami musiały tłamsić się w

brakach, choćby dlatego, że na czterdziestostopniowy mróz odziać się w co nie miały. Buran-Burek stęskniony, bo już nawykły do dziecięcego towarzystwa, smętnie biegał samopas wydeptanymi ścieżkami wśród baraków, wypatrując towarzyszy letnich zabaw. I zdarzało mu się coraz częściej, że nieproszony wkradał się do któregoś z baraków. Ludzie tego, wciąż jedyne, psa w Kaluczem znali. Nikt się go nie bał, nikt go z baraku nie wyganiał, tym bardziej że dzieciaki na jego widok aż piałły z uciechy. A i starszym to psisko przypominało z niedawnej przeszłości, co zdawało się już na zawsze utracili, własny dom, gospodarstwo i ich wiernego psa przy budzie.

Wiosna! Zazieleniła się trawa i delikatne listki na brzożach, zazłociły kaczeńce na rozlewiskach Pojmy. Dni dłuższe, słoneczne, ciepłutko. Z radością witały wiosnę barakowe dzieciaki.

A gdzie jest Buran-Burek? Od dawna jakoś nie było go widać. Dzieciaki rozesłały wici po wszystkich barakach. Nie ma nigdzie Burana, żadne z dzieci go nie widziało i nie wiedziało, co się z nim dzieje. Zaczęły dopytywać się dorosłych. Odmachiwali się od nich jak od tych natrętnych komarów i muszek, które im w tajdze żyć nie dawały. Dorośli ważniejsze sprawy mieli na głowie. „A może go w tajdze wilki dopadły? Co, nie słyszeliście, jak wilki wyły w zimie i prawie pod nasze baraki podchodziły? A wilk, choć do psa podobny, wróg mu najgorszy. A co dopiero, kiedy takich głodnych wilków cała sfera się wałęsa. Mogły wilki tego waszego Burka schrupać jak nic...”.

Dzieciaki nie chciały w to wierzyć i z poszukiwań Burana nie rezygnowały. Pytały nawet starego Karolaka, którego „mongoły” zimę przetrwały i na wiosnę mochnatą sierść zrzucały całymi kępami.

- Panie Karolak, ja z ogonów pana koni włosia nie wrywałem. Naprawdę. A nie wie pan czasem, gdzie się ten pies komendanta, no ten, wie pan, Buran, podział? - Staszek miał większą śmiałość do Karolaka, bo znał go jeszcze z Czerwonego Jaru.

Karolak pooglądał końskie ogony, jakby chciał się upewnić, czy chłopak ich w tej chwili nie oskubał.

- A kto go tam wie. Nawet sam komendant Sawin nie wie, co się z jego psem stało i wścieka się na swoich żołdatów, że mu go nie upilnowali.

- Panie Karolak, a ludzie mówią, że wilki go mogły tej zimy rozszarpać.

- A mogły, pewnie że mogły. Nawet do moich „mongolów” wilki pod zadaszenie podchodziły, a to konie przecież. Co tam dla wilków jakiś tam pies...

W rozlewisku Pojmy była wysepka porośla wikliną. Tam w cichej zatoczce, gdzie ciemna głębia męła wirami, Staszek ze swoimi kolegami Edkiem Ziemiakiem i Bolkiem

Madejem zasadzali się czasami na szczupaka. Tej wiosny na powiązanej brzoźowymi witkami prymitywnej tratwie przepłynęli na tę wysepkę po raz pierwszy. I tam, pod starą zmurszałą wierzbą, natknęli się na psią skórę, łeb i cztery łapy. Skóra była zdarta jak z przydomowego królika. Nie mieli wątpliwości, że to było wszystko, co zostało z zaginionego Burana.

Chłopcom odechciało się szczupaków. Wrócili z tą smutną wieścią o marnym losie Burana. I choć na tę prawdę trudno przysięgać, byli w Kaluczem tacy, którzy sumitowali się, że ufnego Burana-Burka minionej głodowej zimy dopadło dwóch takich z szóstego baraku, zabili go i... zjedli.

„Tajga, tajga, krugom tajga, końca i kraja nie widać”. W Kaluczem Staszek Dolina nie znał jeszcze tego rosyjskiego porzekadła, zresztą wtedy i z rosyjskim słabo sobie radził. Ale już z praktyki wiedział, co znaczy to tajemnicze ongiś dla niego słowo. W Kaluczem miał tajgę na co dzień, o parę kroków za ścianą baraku. I już wtedy chłopak zdawał sobie sprawę z tego, że z Sybiru i tajgi do jego rodzinnego domu, do Polski, są tysiące kilometrów. Ba!, co tam do Polski, kiedy z Kaluczego do najbliższego ludzkiego osiedla, do osady byle jakiej, trzeba się przedzierać dziesiątkami kilometrów tajgowego bezdroża.

„Tajga, tajga, krugom tajga...”.

Rozumiał też Staszek, i to dobrze rozumiał, co to znaczy, kiedy Sawin, komendant Łagpunktu Kalucze, przy lada okazji natarczywie wmawiał Polakom: „Zdzieś, w tajgie, wy nawsiegda! Tutaj będziecie żyć i tutaj umierać. Tajga matuszka - bolszaja, dla wszystkich miejsca starczy. Nawet dla takich wrogów władzy radzieckiej jak wy. Pracujcie, urządźcie się tu, a tę waszą burżuazyjną, pańską Polskę raz na zawsze wybijcie sobie z głowy”.

Komendantowi nikt nie wierzył. Niech sobie ten Sowiet gada, co chce, a Polska była, jest i będzie. A i my z tej tajgi, wcześniej czy później, do Polski wrócimy. Wiara w powrót do Polski wiarą, ale tajga i łagrowy dzień jak co dzień powolutku tę wiarę nadgryzają i kruszą. Polska jest i będzie, to prawda, ale czy ktoś z nas tego powrotu doczeka? Z każdym dniem coraz większa rozpacz i czarna, ponura beznadzieja. Zwłaszcza że mija już drugi rok ich katorżniczej doli. Nieposilna praca. Chłód, głód, tyfus, świerzb, wszy, karaluchy i pluskwy. Zatechły, wilgotny smród baraków. W tajdze niewyobrażalne chmary kąśliwych meszek i malarycznych komarów. Nieustająca tęsknota za polskim rajem utraconym. Ludzie niewzruszonej wiary wznoszą modły do nieba.

*Śłuchaj, Jezu, jak cię błaga lud,*

*Usłysz, Panie, uczynź z nami cud...*



Inni, zdesperowani i małowierni, klną na cały świat i wszystkim świętościom złorzeczą.

Aż tu nagle, po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, w lecie 1941 roku prawdziwy cud się staje! Tym cudem są dla wszystkich polskich zesłańców, nie tylko dla tych z Kaluczego, sierpniowe porozumienia generała Władysława Sikorskiego z Józefem Stalinem. Amnestia! W ZSRR powstaje wojsko polskie. Jak syberyjska tajga długa i szeroka, radosna, niosąca nadzieję wieść się rozchodzi. Jak będzie wojsko polskie, to i wolna Polska będzie, to i oni, zesłańcy, z Sybiru do Polski wrócą! *Jeszcze Polska nie zginęła!* - jak najgorętsza i tryumfalna modlitwa ku niebu polski hymn niesie się po tajdze.

Na mocy tej amnestii, choć wciąż jeszcze pod nadzorem i za pozwoleniem NKWD, Polakom wolno przemieszczać się po tajdze. Kieruje ich się tam, gdzie Gułagowi siła robocza jest najbardziej potrzebna. Mogą też po Rosji wędrować i tego polskiego wojska szukać. Tylko gdzie ono, to wyśnione wojsko? To wtedy właśnie, pod jesień 1941 roku, liczną grupę Polaków z Łagpunktu Kalucze przesiedlono do Łagpunktu Kajen nad rzeką Birusą. Wśród nich znalazł się też owdowiały Jan Dolina i jego dwaj synowie - starszy Staszek i zaledwie czteroletni Tadek.

Łagpunkt Kajen, zresztą też w samym sercu tajgi położony, warunkami zesłańczego bytu niewiele różnił się od Kaluczego. Może tylko tym, że baraki były tam nowsze, rzeka Birusa większa i spławna, no i, co ważne, kilka z dawna osiadłych rosyjskich wiosek było w pobliżu.

Kalucze, Kajen... A potem na zesłańczym szlaku okaleczonej brakiem matki rodziny Dolinów był jeszcze Szytkin, Tajszet, Tułun i Borowinka. Stamtąd, z Borowinki nad Iją, w maju 1943 roku Jan Dolina zabrał się z wojskiem polskim generała Berlinga na front. A na wojnie, jak to na wojnie, po bitwie pod Lenino słuch o Janie Dolinie zaginął. Staszek z Tadkiem zostali na zesłaniu sami...

Tymczasem Staszekowi po paru latach syberyjskiej tułaczki chłopięca naiwność wietrzała z głowy jak para z kipiącego czajnika. I tego, co teraz wiedział o Sybirze i tajdze, w książkach by nie wyczytał i w szkole by się nie nauczył. Zresztą o nauce w szkole chłopak nie miał co marzyć. Najważniejsze, żeby z dnia na dzień jakoś przeżyć. No to *Szyroka strana moja rodnaja!* A Sybir i tajga na pewno.

Niewyobrażalnie ogromna to kraina - Syberia. Nawet na mapie jej obszar zadziwia, a co dopiero w rzeczywistości. Syberia sięga od gór Uralu na zachodzie i ciągnie się tysiącami kilometrów aż po Ocean Spokojny na wschodzie. Od Oceanu Lodowatego na północy, po słone i pustyne kazachstańskie stepy, Mongolię i Chiny na południu. Spływają po tej krainie

setki, tysiące rzek, w tym Ob, jedna z największych i pełnowodnych rzek świata. Niewiele mniejsze są Lena, Jenisej z Angarą, Irtysz czy dalekowschodni Amur. A gdzie tu jeszcze różne Irkuty, Daurie, Ilimy, Witimy, Bije, Katunie, Tunguzki, Wiluje, Jany, Toboły, Tury, nie licząc pomniejszych, choćby takich jak Birusa, Ona, Ija czy Pojma. A do tego największe i najgłębsze słodkowodne jezioro świata - Bajkał. Bajkał opiewany przez Rosjan *Славное морie, свiaszczенный Байкал*. A dla Buriatów', odwiecznych mieszkańców tych okolic, to nie tylko „Bajkał dałaj” - wielka i święta Woda, ale też nieprzemijające miejsce najważniejszego z ich kultów, bo kultu przodków. Zresztą i „Sybir” i „tajga” to też przecież nazwy aborygeńskie, tutejsze i stare jak świat. Takich nazw, w tym prawie wszystkich syberyjskich rzek, używały rdzenne ludy i plemiona, nim zniewoliło ich władztwo moskiewskich carów.

Najdawniejsze z tych ludów i plemion zawieruszyły się gdzieś w pomroce dziejów, jak choćby legendarne sajańsko-ałtajskie plemię Szybirów, wchodzące w skład imperium Czyngiz-Chana. Ale po dziś dzień bytują na Syberii Buriaci, Jakuci, Ewenkowie-Tunguzi, Nieńcy-Samojedzi, Chantowie-Ostiacy, Kamczadałowie-Itelmeni, Ajnowde, Czukcze, Nichwowie, Jukagirzy, Nanaje, Oroczeni, Goldowie, Koriacy, Aleuci, Mansowie, Dajgurzy, Karagasi, Ulcze, Chakasi, Giliacy, Kirgizi, a nawet Tatarzy i Czuwasze.

Staszek już wiedział, że w pojęciu większości wymienionych aborygenów Rosjanin to „Lucza”, czyli „Biały Człowiek”. A oni, czyli tutejsi, zwą się między sobą jako „Leśni Ludzie” albo „Ludzie Tajgi”. Choć Jakut woli, żeby nazywać go po prostu „Sacha”, co znaczy „Człowiek”. Ewenk zaś obrazi się za nazwanie go Tunguzem, bo to tak, jakbyś przezwał go świnią. Z pokolenia na pokolenie, po dziś dzień pamiętają, że ten obcy biały człowiek „Lucza” najechał Syberię, przemocą wtargnął w ich odwieczny świat, wyśmiał ich wierzenia i naruszył plemienne obyczaje. Doświadczenie ich nauczyło, że od tego zadufanego w sobie „Luczy” mogą się spodziewać więcej złego niż dobrego. Włóczęc się po tajdze z „biezprizorną” mieszaniną różnych plemion i narodowości, nasłuchał się Staszek, jak na przykład jego rosyjski koleżka, Wańka, wrzeszczał na szerokolicego Kolkę-Nanajca: „Wot i durak, nierusskaja morda, nosa niet u wsia lica”. Albo docinał mu popularną, knajacką przyśpiewką: „U Wołodii w ogorodzie pojмали Nanajca, położyli na pieniok, otrubili jajca”.

Bo też rosyjski „Lucza” nigdy nie patyczkował się z syberyjskimi aborygenami, podobnie jak westernowe „Blade twarze” z plemionami amerykańskich Indian. Nawet miejscowe odwieczne nazwy „Lucza” sobie przyswajał albo zmieniać próbował. „Bajkał dałaj” - Bajkał! Podobnie było z nazwą Syberii i tajgi. Z „tajgą” było najłatwiej, bo „tajga” to rdzenna buriacka nazwa syberyjskich nieprzebytych borów i błotnistych grzędzawisk. A i dla Ewenków „tajga” to po prostu „wielki las”. A Sybir, Syberia? Może ta nazwa wywodzi się od

wspomnianego już legendarnego plemienia Szybirów? Mongołowie Czyngiz-Chana nazywali te tajgowe obszary „Syberi”. Czyli „Kraina Wielkich Lasów”. Ale za chrzestnych ojców Syberii uchodzą przede wszystkim Buriaci. „Sibr”, „Sibur” - to rdzenne buriackie nazwy. A może to ewenkijski „Szubar”? „Sabir”? A może chanto-mansyjskie „Seber”?

Jakże daleko już był Staszek od naiwnego, baśniowego kojarzenia sobie tajgi z jakimś mitycznym dzikim zwierzem. A jednak, kiedy czasami, najczęściej przy ognisku, słuchał bają i klechd tajgowego ludu, oglądał się niepewnie, czy w poszumie nocnej tajgi nie usłyszy i nie wypatrzy czegoś dziwnego i tajemniczego. Może z zamglonej tajgi, albo spod chmur ciemnych z ledwie migocącym sierpem księżyca, wyłoni się nagle ów „Siber” - potężny i wszechmocny „Szary Wilk”, a który według buriackich wierzeń wszelkie nieszczęścia „Leśnym Ludziom”, a „Luczy” to już na pewno, zwiastuje. Słuchał też, jak Chakasi sprzecali się z Buriatami, że taką samą czarodziejską mocą, a może nawet większą, włada nie tylko „Szary Wilk”, ale jeszcze od niego potężniejsza, trudna ludzkim okiem do ogarnięcia wilcza wadera „Sibur” - „Szara Wilczyca”. Chociaż dla Chakasa i w ogóle „Leśnego Człowieka” pojawienie się „Sibur” nie zawsze zwiastuje nieszczęście, ale zgadzali się co do tego, że „Lucza” lepiej żeby „Sibur” nie oglądał.

Nasłuchał się Staszek różnych syberyjskich bają, nawłóczył się po tajdze i Sybirze, ale widać miał szczęście, bo ani buriacki „Siber”, ani chakaska „Sibur” nigdy go nie postraszyły i na jego drodze nie stanęły. Natomiast wilki, zwyczajne tajgowe basiory, które często spotykał, niestety były prawdziwe.

Tajga! Wilki, niedźwiedzie, ryby, gady i płazy - wszystko to w syberyjskiej tajdze się wodziło. Ale najważniejsi byli ludzie, miejscowi Sybiracy. To pośród nich przyszło Staszekowi żyć przez to ponad sześćdziesiąt syberyjskie zesłanie. I on też najlepiej wie, ile dobrego niektórym z nich zawdzięcza.

Na pewno jednym z takich był dziadek Mitricz. „Dieduszka Mitricz”, albo tylko „Mitricz”, tak potocznie na niego wołano. A w pełnym brzmieniu nazywał się Jefim Pankratow, syn Dymitra. Ale Rosjanie mają po dziś dzień panujący zwyczaj, że co starszą, a już na pewno szanowaną osobę, mianują dodatkowo, czyli „wieliczają”, ojcowskim imieniem. Jeśli Stefan miał ojca Iwana, to na Stefana przez szacunek wołają - Iwanowicz. Tak było i w tym przypadku: Jefim Pankratow miał ojca Dymitra, więc wołano nań Jefim Dymitricz. A w jeszcze większym skrócie, zamiast Dymitra, był po prostu „Mitricz”.

„Świat nie bez dobrych ludzi...”, mawiał dziadek Mitricz, i nie zważając na obowiązujące za sowieckiej władzy bezbożne nakazy i okoliczności, trzykrotnie kreślił od prawego ramienia znak krzyża.

Z wyglądu raczej niepozorny był ten dziadek Mitricz. Bo to i wzrostu raczej mikrego, szczuplutki, suchy jak wiórko, ale żyłasty i krzepki jak cedrowy korzeń. I milczek z niego był raczej. Bywały dni, że zaledwie parę niezbędnych zdań z siebie wydusił. Ale miał też chwile, kiedy snuł ciekawe opowieści, najczęściej o tajdze i o tym, co dawniej w długim życiu mu się przydarzyło. Ale o tajdze najchętniej. Bo też dziadek Mitricz był prawdziwym człowiekiem tajgi, „czaldonem”, jak tutaj o takich mówiono, czyli Sybirak z dziada, pradziada. Nosił się też, jak na człowieka tajgi przystało, z nieodłączną starą strzelbą-berdanką na ramieniu. I z równie nieodłączną jak strzelba, towarzyszącą mu wiernie u nogi pstrokatą, czarno-białą wymaszczoneą łajką, wabiącą się, ku zgorszeniu niektórych tutejszych bab, Mańką. Mieszkał na Wołczym Chutorze z żoną Anfisą, a ich jedyny syn Piotr, zdrobniale zwany Piętka, od pierwszych dni wojny był na froncie. Pietka listy pisywał rzadko, co wprawiało w nieustanny niepokój starą Anfisę. Na biadolonia żony dziadek Mitricz w milczeniu przygryzał wąsa albo prychał gniewną wymówką: „Wojna przecież, babo! Gdzie mu tam do listów”. Strzelbę na ramię, trzaskał drzwiami i ginął w tajdze. Dziadek w Boga wierzył, bo nieraz Staszкови zdarzało się widzieć, jak Mitricz, zwłaszcza rankiem albo przed snem, prawosławnym zwyczajem zęgnął się trzykrotnie i coś tam mruczał pod nosem. Raz w tygodniu, zima czy lato, Mitricz zażywał „bani”, dymnej łaźni, którą sobie nad rzeką pobudował. Spieszył się do tej „bani”, a przy okazji do domu, zawsze w sobotę wieczorem. Wracał w niedzielę rano, żeby stado sowchozowych krów na czas z zagrody na pastwisko wygonić, odświeżony i jakby młodszy. I prawie zawsze przynosił Staszкови zawiniątko blinów. „Zimne, ale zjesz. Moja starucha kazała ci podać”. Nigdy inaczej jak „starucha” o swojej Anfisie nie mawiał.

Staszek dziękował grzecznie, odchodził na bok i pochłaniał bliny łapczywie. I tylko siłą woli chował ze dwa dla Tadka.

Prawdę mówiąc, z roli pastucha Staszek nie był zadowolony, tym bardziej że przez całe ubiegłoroczne lato razem z Wańką Woroninem pracowali pod wodzą Stieszy na promie. To dopiero była robota, a nie jakieś tam krowie ogony. Dobrze im tam razem było. Ale tragiczna śmierć Stieszy zrujnowała wszystko, a zwłaszcza ich plany na następny sezon. Odtąd chłopcy pracowali tam, gdzie ich posłano. Kazali paść krowy, no to paśli.

Wraz z jesienią dojne krowy wracały na długą zimę do sowchozowych obór. Natomiast przeznaczone na ubój opasy trzeba było przegonić aż do odległego Tułunu i tam zdać je do rzeźni. Jesienny spęd opasów był corocznym zmartwieniem bab, a zwłaszcza zarządzającej oborami Głaszy. Przed wojną była to sprawa mężczyzn, ale teraz kobiety musiały radzić sobie same. Bo też przegonić rozbrykane stado opasów przez tajgę, i to na

niebagatelną odległość, to sztuka nie lada. I żeby tylko przegonić. Tajga to przecież, a w niej niebezpieczeństw niemało, choćby nieustanne podchody i towarzyszenie stada przez wilki, czy zdarzające się na postoju nocne odwiedziny brunatnego niedźwiedzia, ciekawskiego jak rzadko Miszki „Szatuna”. Nic tedy dziwnego, że Głasza, baba dzielna i fizycznie mocniejsza od niejednego chłopca, wyruszyła na tę wyprawę osobiście. Starannie też dobierała sobie pomocników. Dziadek Mitricz, choćby tylko z tej racji, że był myśliwym nad myśliwymi, był dla Głaszy niezastąpiony. Wańka też chłopak krzepki i z tajgą obyty. A Staszek? A Staszek zdał zeszłego roku egzamin u Stieszy na promie. „Możesz ich brać, Głasza. Sprawią się chłopaki, a do tego jeszcze bydłące narowy przez to lato poznali” - zarekomendował dziadek Mitricz.

Wyruszyli w drogę wczesnym, lekko przymglonym i oszronionym rankiem. Bydłeta, podobnie jak ludzie, czują daleką drogę przed sobą. Nic dziwnego, że nim znajdą swoje miejsce w stadzie, denerwują się, rozpychają, bodą i porykują. Spore stado tłoczy się na wyprzódki na wąskiej, ledwie przetartej, wijącej się przez tajgę drodze. Na przedzie, lekkim wozem wyładowanym wszystkim, co w takiej dalekiej wyprawie niezbędne, jadą brygadzistka Głasza z Mitriczem. Uspokojone stado drecze za wozem jak za panią matką. Wańka i Staszek wierzchem na swoich „mongołach” pilnują, żeby jakaś sztuka nie odbiła od stada, nie zgubiła się w coraz to gęściejszej i mrocznej tajdze. Dziadkowa Mańka pomaga im gorliwie, co chwila obszczekując spłoszonych „zboceńców” i maruderów. A płoszyć się w tajdze jest kogo i czego, bo oto nagle zbudzony puszczyk huknie i trzaśnie głośno skrzydłami, nerwowe sarny z gęstwiny wysokich traw na starym pogorzeliśku wyskoczą, rudy lis przebiegnie i długą kitą drogę zamiecie. Nie wspominając już o wilkach, towarzyszących stadu z oddali, które bydło nawet na kilometr wyczuje. Ale jak dotąd wilki, z lata dostatecznie syte, trzymały się od nich z daleka. Chociaż dziadek Mitricz wilków nie lekcewał. „Wilk na to i jest wilkiem, żeby żyć po wilczemu. Teraz są syte i leniwe, w dzień nie napadną. Ale niech się tylko jakaś sztuka nieco dalej od stada odłączy! Albo zgłodniałe w nocy się podkradną. Bo wilk to jest wilk i tyle”.

Nie tylko ze względu na wilki czy na wizytę zbłąkanego niedźwiedzia dziadek Mitricz starannie wybierał miejsca na nocleg. Przez całą noc podsycali ognisko i dyżurowali po kolei. Najlepiej, jeśli trafiła się im nadrzeczna polana. Rzeka chroniła obozowisko z jednej strony, a od tajgi odgradzali się powrozami rozciągniętymi od drzewa do drzewa. Grodzili tak na wypadek, gdyby stado w nocy się spłoszyło i w panice rozbiegło po tajdze.

Pogoda im sprzyjała. Co prawda wrześniejsza tajga sposobiała się już ku zimie, rzeźwiła nocnymi przymrozkami i porannym srebrzystym szronem, ale kiedy wstawało słońce i

zaczynało wędrówkę po bezchmurnym niebie, robiło się całkiem przyjemnie. Zwłaszcza że o tej jesiennej porze znikła plaga syberyjskiej tajgi - muszka, komary, gzów nie wspominając, od których było cierpieć najbardziej. We wrześniu jeszcze nie przyschły nieskoszone i niespasione nadrzeczne łąki. Tam za dnia przystawali na popas, żeby stado nieco wypoczęło i wody się napiło. Ludziom też taki odpoczynek się przydawał, bo te kilka dni w drodze i niedospane noce dawały im się we znaki.

Jesienna tajga bywa dla człowieka szczodra, ma czym go pożywić. Lekko już przymrozkiem zwarzona czarna jagoda. Błotna kwaśna borówka, którą tutejsi nazywają „klukwą”. Albo wśród prześwieconych słońcem wysokich sosen całe łąki czerwieniejącej bruszniczy. Pochyl się i ładuj garściami do pustego żołądka.

Trudy wędrówki zaczynały powoli odbijać się na zwierzętach i na ludziach. A tymczasem byli dopiero w połowie drogi. Głasza zarządziła dłuższy wypoczynek, tym potrzebniejszy, że kilka sztuk bydła okulało. Na obozowisko wybrali rozległą nadrzeczną polanę, gdzie zachowało się sporo soczystej trawy, a łagodny dostęp do rzeki umożliwiał bezpieczny wodopój. Na górzystym obrzeżu polany królowała tajga. Dzikość prawie odwieczna, miejsca ludzką stopą nietknięte. Co prawda, sprawdzając najbliższą okolicę, chłopcy natknęli się na stareńką myśliwską izbuszkę, lecz nie nadawała się do użytku. Trzeba było pomyśleć o innym schronieniu. Miejsce dla stada wybrali w rogu polany. Z jednej strony płynęła wielka rzeka Ija, z drugiej chroniło ich łagodne półkole wysokiego wzgórza, na które nie tylko bydło, ale i człowiekowi trudno byłoby się wdrapać. Sklecieli obszerny szałas z gałęzi brzozy i świerczyny, wymościłi go na spanie paprocią i suchą trawą. Obok szałasu stał wóz z dobytkiem, skubały trawę rozkulbaczone konie. Dziadek Mitricz poszedł nad rzekę pomyśleć o rybkach na wieczorną ucę, ciocia Głasza czyściła grzyby, a chłopcy z Mańką postanowili coś upolować. Może akurat jakiś jarzábek pod lufę podejdzie.

Połazili, połazili, przysiedli odpocząc na fioletowym od wrzosowisk nasłonecznionym wzgórzu. Mieli stąd widok nie tylko na obozowisko, ale i na ciągnące się hen, hen w dal niezmiernie polacie rudej jesiennej tajgi, na wijącą się łagodnymi zakolami wielką zielonkawą rzekę. A cisza aż w uszach dzwoniła.

Staszek półleżąc leniwie sięga po czerwone kiście bruszniczy. Wańka wystawia twarz do słońca. Osłaniając oczy dłonią, rozgląda się po okolicy i proponuje:

- A gdybyśmy tak teraz z dwóch stron zesli, o tam, w kotlinę? Podoba mi się ten młody sośniaczek. Widzisz go, o tam, na skłonie? Może nawet jakiegoś drzemiącego koziołka wypłoszymy? A jarzábki tam murowane. Co ty na to?

- Można. Ale poczekaj chwileczkę. Słonko, bruszniczka...

- Przestań się pieścić, ruszamy. Ty w prawo, ja w lewo, spotkamy się w dolinie nad rzeką.

Ze wzgórza opadała ku rzece szeroka, porośnięta sosnowym młodnikiem kotlina. Jej łagodne zbocza łączyły się na dole w wąską rynnę. Wańka nie bez racji sądził, że w takim młodniku, do tego na solankowych wzgórzach, można na sarniuka trafić. Staszek wolno schodził w dół nasłonecznionym stokiem. Raczej się nie spodziewał, że cokolwiek trafi pod lufę starej berdanki, którą na tę okazję od cici Głaszy wypożyczył. Trzymał strzelbę niedbale przewieszoną przez ramię, lufą do dołu. I prawdę mówiąc pilniej rozglądał się za soczystymi jeżynami, niż jakiejś myśliwskiej zdobyczy wypatrywał. Rozkojarzony przygrzewającym słońcem, syty słodkich jeżyn, pomyślał, że idący przeciwnym stokiem Wania pewnie już schodzi ku rzece, więc nieco przyśpieszył. Mrużąc oczy, przedzierał się przez kępy gęstego, mocno pachnącego żywicą, zasnutego nitkami pajęczyn sośniaka. Wyszedł na skraj niewielkiej polanki. Otarł z twarzy łaskotliwe nitki pajęczyny, spojrzął przed siebie i... struchlał! Kilka kroków od niego ogromne rudobure niedźwiedzisko znęcało się zawzięcie nad wielkim kopcem mrowiska. Niedźwiedź rył w mrowisku mordą, gniewnie pomrukiwał, parskał i zawzięcie rozgrzebywał je przednimi łapami. Oniemiały Staszek czuł przyskające mu na twarz mrówki i grudki ziemi. Kwaśny zapach mrowiska i zgniły niedźwiedzi smród zapierały mu dech. Nim zdążył zebrać się w sobie i pomyśleć, co robić, niedźwiedź uniósł łeb i błysnął guzikowatymi ślepiami na niego. I w tym samym mgnieniu oka, jak na sprężynie, podrzucił potężne cielsko na tylne łapy, ryknął chrapliwie i zakręciwszy młynka, rzucił się do panicznej ucieczki. Wszystko to trwało liczoną w sekundzie chwilkę, która Staszekowi wiekiem się wydała. Wciąż stał jak wryty. Patrzył na przeorane mrowisko, czuł odór niedźwiedzi, słyszał chrzęst tłamszonego przez zwierza młodnika. „Jaki on wielki! I smród od niego jaki...”. Nagle pomyślał o Wańce i oprzytomniał. Przecież niedźwiedź biegnie w tamtym kierunku i może Wańkę zaskoczyć! Szarpnął strzelbę z ramienia i strzelił. Echo wielokrotnym odbiciem powtórzyło huk po taje. Kiedy ucichło, Staszek usłyszał gwałtowne ujadanie psa i głuchy niedźwiedzi ryk. Potem znowu odezwał się pies. Tym razem nie szczekał, tylko przeraźliwie kwilił. Niedźwiedź Mańkę dopadł... Cisza. Staszek biegł w tamtym kierunku bez opamiętania.

- Wańka! Wańka!

- Au! Tutaj jestem, tutaj.

Wańka, cały i zdrowy, stał obok ogromnej sosny i pokazywał zdyszanemu Staszekowi na wzgórze, gdzie jeszcze przed chwilą obydwaj leniuchowali na słońcu.

- Tam jest! O tam, między tymi dwoma cedrami! To ci dopiero niedźwiedzisko!

Niedźwiedź wdrapywał się na wysokie strome zbocze zwinnie i szybko. Na szczycie przystanął, spojrzął w dolinę i ryknąwszy krótko, już bez pośpiechu przewalając się z łapy na łapę, skrył się w tajdze.

- Sucho masz w portkach?

- Mało co brakowało. Taki potwór o dwa kroki przed tobą... Myślałem, bracie, że już po mnie.

- Żart żartem, ale miałeś szczęście. I co, strzeliłeś do niego, bo strzał słyszałem.

- Coś ty, do niego! Języka w gębie zapomniałem. Dopiero jak popędził w twoją stronę, strzeliłem na postrach i żeby ciebie ostrzec.

- To co innego. Zresztą, z czym my tu na niedźwiedzia, ze śrutem? Na takiego kolosa karabinu mało. Już widzę, jak Mitricz da nam popalić, tym bardziej, że „kosolapyj” Mańkę zahaczył.

- A co z nią?

- Uparta zaraza z tej Mańki. Przyczepiła się do niedźwiedzia jak ten rzep. Obszczekuje go, obskakuje, a ten, wyobraź sobie, ucieka i łapami się przed nią opędza. Zawadził ją chyba, bo zaskowyczała i poleciała do Mitricza na skargę.

Skonfundowani pośpieszyli do obozowiska. Dziadek Mitricz opatrywał poranioną Mańkę. Na ich widok ciocia Głasza złożyła ręce jak do modlitwy.

- Całe szczęście, że jesteście, bo tak się bałam. Widziałam go, widziałam. Strasznie ogromne niedźwiedzisko! Jak wy tam, jak wy tam? „Szatun” to pewnie musiał być... A my tu z Mitriczem z gołymi rękami.

Mitricz obwiązał szmatą poranioną, roztrzęsioną Mańkę, pogłaskał i wypuścił.

- Nic jej nie będzie, drasnął ją tylko. Niedźwiedź dla niej nie pierwszyna... Jaki tam z niego „Szatun”? Miszka „Szatun” to stary samotnik, taki „warnak” - brodiaga, który nie tylko nikogo i niczego się nie boi, ale i nikomu nie przepuści. „Szatun” to król tajgi, a kiedy zły, sam zaczepki szuka. A ten wasz musiał być młody, szczeniak jeszcze. Pewnie dopiero pierwszy raz człowieka zobaczył, no to wystraszył się i w nogi. Ogromny, ogromny! Strach też ma wielkie oczy. A że śmierdzi? Miszka do bani parzyć się nie chodzi. I widać taka jego niedźwiedzia uroda. A swoją drogą, miałeś chłopie szczęście, oj miałeś. I dobrze, żeś jak słup przed nim stanął, bo przed niedźwiedziem, stary on czy młody, zawsze poważnie zachować się należy. Młody był, bo gdyby starszy, a ty, jakbyś nie daj Boże wtedy się ruszył, krzyknął ze strachu czy zaczął uciekać, byłoby po tobie. Przed niedźwiedziem nie uciekniesz, szybszy jest, niż ci się zdaje, dogoni. Na drzewo wlezie i rzekę przepłynie. A skoro był to zwierz młody, do tego wystraszony, to długo w te strony nie wróci, do naszego obozowiska nie



podejdzie. Ale na wszelki wypadek dzisiejszej nocy dodatkowe ognisko nie wadzi rozpaścić.

Jesienny przegon bydła, nie licząc Staszkowej przygody z niedźwiedziem, zakończył się szczęśliwie. Co prawda ciocia Głasza musiała się gęsto tłumaczyć, czemu jeden byczek padł im po drodze. Na dowód, że go gdzieś nie przechachmęcili, padła tuskę do miasta przywieźli. I całe szczęście, bo miejscowy weterynarz stwierdził, że przygnieciona żmija musiała leżącemu byczkowi w czule miejsce jad wpuścić.

Zima. Nie dla wszystkich na miejscu w Borowince i w sowchozowych oborach starcza pracy. W zimie sowchoz dorabiał przy wyrębie tajgi. Organizowano brygadę do pozyskiwania masztowej sosny, którą na wiosnę spławiano Iją do tartaku. A jak już się jest na zimowisku w głębi tajgi, to i o leśną żywność trzeba się tam starać. Bo co tu kryć - z żywnością w sowchozie było krucho.

Dziadek Mitricz, choćby tylko jako doświadczony myśliwy, dla takiej leśnej brygady był nie do zastąpienia. A jak Mitricz, to i Staszek z Wańką ze swoimi mongolskimi konikami, pomocnymi w zimowej tajdze do zwłóczenia klocków na brzeg rzeki.

Brygada drwali! Śmiechu warta nazwa, bo nie licząc Mitricza i dwóch podrostków z mlekiem ledwie obeschłym pod nosem, Wańki i Staszka, same w niej baby. Na czele mocna jak tur Uliana, a pod jej komendą kapryśna krasawica Daria, nic sobie z życia nierobiąca, chichotlia Niurka, Walka jak mrówka pracowita, Anastazja, najstarsza i dzieciata, no i najmłodsza, dziewczę raczej jeszcze, ale już od niedawna nieszczęsna wojenna wdowa, Aniuta.

Z Borowinki na porębę w głąb tajgi daleko, na noc po robocie do domu wrócić się nie da. Nie ma rady, trzeba na ten czas urządzić w tajdze zimowisko. Tam się trzeba przespać, choć raz na dzień ciepłej stawy ugotować, przemoczone odzienie wysuszyć.

Tym razem urządzali się w opuszczonej myśliwskiej chatynce, na jaką w syberyjskiej tajdze zabłąkany myśliwy czy wędrowiec często natknąć się może. Z uporządkowaniem izbuszki baby uwinęły się migiem. Mitriczowi pozostało tylko palenisko poprawić i komin przeczyścić, żeby dym nie wracał i czadem nie dusił. Chłopcy chwoi nacięli, żeby na pryczach spać było miękko, a do tego pluskwa świeżej zieleniny nie lubi. Jeszcze tylko koniom zaciszny przypust sklecić, szczelnie i wysoko przed wilkami żerdziami zagrodzić.

Już pierwszego wieczoru w izbuszce zrobiło się ciepło, przytulnie; płomień w palenisku migotał i strzelał iskrami. Nasycili się gęstym krupnikiem, odpoczywali. Potem miejsca do spania na pryczach dzielili, kto z kim i obok kogo. Żarty przy tym, docinki.

- Mitricza bez walki wam oddaję - ogłosiła Daria - bo stary z niego pryk, brodą kłuje i do tego chrapie jak smok. Obok któregoś z chłopaków sobie legnę; młodziutkie to, ciepłutkie,

a może przy tej okazji czegoś jeszcze się przy mnie nauczą. No, co wy, chłopcy, na to?

- Tfu! Bezwstydnica jedna. Widzisz ty ją, nauczycielka się znalazła. Zostaw chłopaków w spokoju. Wystarczy ci, jak ja z tobą legnę. Nie bój się, ja cię też w razie czego ogrzać potrafię! - porządkowała sprawę Uliana.

- Słyszałyście, baby, od bezwstydnic mi wymyśla, a samej chleb na myśli. O, co to, Ulianeczko, to nie! Ja coś nie za bardzo w babskim grzaniu gustuję. A może ty odwrotnie? Zapomniałaś, jak mi w bani u Niurki nie tylko plecy chciałaś umyć? No co, Niurka, może nie tak było?

- Oj było, baby, było. I żeby tylko plecy - zarechotała Niurka.

Uliana złapała za leżące pod piecem polano. Baby głupawo żartowały, klęły i przekrzykiwały jedna drugą. Zdenerwowały Mitricza. Splunął i krzyknął:

- Nie wariujcie, baby! Wstydu nie macie czy co? - A do Staszka i Wańki: - Idziemy stąd, chłopcy, sprawdzimy, jak tam konie, bo coś niespokojne wieczorem mi się zdawały.

Sporo czasu im zeszło przy tych koniach, bo szalejąca zamieć zanosila śniegiem prowizoryczny przypust. Musieli dodatkowo naciać gałęzi świerczyny i jakoś temu zaradzić. Kiedy wrócili, w izbuszce było cicho, ogień w piecu przygasł, a baby już spać się pokładły. Nie wszystkie przysnęły, bo z głębi pryczy półgłosem odezwała się Uliana:

- Tu, od ściany, Mitricz, tobie z chłopakami miejsca zostawiłam. Ciasnowato, ale jakoś się tam pomieścicie. Może jutro coś tam...

- A śpij ty już, śpij, poradzimy sobie i bez ciebie - ofuknął dziadek Ulianę i posapując zzuwał przemokłe walonki. - Wielką łaskę nam robi, od ściany, mówi. Możemy i na podłodze, durne kwoki. Bliżej pieca walonki i mokre onuce ustawcie, tylko uważajcie, żeby wam się nie spaliły. Od ściany, od ściany! A my, dobrodziejko, i na podłodze możemy...

Pogderał Mitricz, pogderał, postępując pierwszy na pryczę się wgramolił i właśnie... od ściany się ułożył.

- Dobra jest. Jak spać, to spać. - Wańka ziewnął, aż mu szczęki w zawiasach strzeliły, i tak jak stał, tylko bez walonek, walnął się obok Mitricza i kufajkę na głowę naciągnął. Staszek wsunął się na miejsce obok niego. A z drugiej jego strony leży któraś z bab, tylko która? Ciemno, nie widzi. Żeby tylko nie ta Niurka, wariatka...

Z Niurką od pewnego czasu Staszek miał na pieńku, bo ta nie przepuściła okazji, żeby go sprośnym, aluzyjnym żartem nie zaczepić. A jak się dało, ocierała się, napierała na niego bujnym biustem, podszcypywała i niby to żartem dotykała go, gdzie nie trzeba. Raz w bani u niej, kiedy tylko we dwoje zostali, przyrodzenie w przygarście mu ułapiła. W zaćmionej gęstą parą bani, naga nagusieńka, przyparła go piersiami do osmolonej ściany, zaczęła się

przymilać i obmacywać go po całym ciele. „A co to takiego milutkiego pęta nam się między nogami? A nu dawaj, dawaj, zobaczymy, pomacamy to delikatniutko, oblaskawimy, utulimy”. I nie wiedzieć czemu, drząc cała jak osika, Niurka osunęła się przed nim na kolana i cap go łapskami za przyrodzenie. Staszek, choć wystraszony i zawstydzony, poczuł nagle, że zaczyna się z nim dziać coś dziwnego, słodka niemoc go ogarnia, a jego męskość nabrzmiewa i twardnieje... Chyba instynktownie wyrwał się Niurce, wybiegł z piekielnie gorącej bani i, jak to było w tutejszym zwyczaju, wskoczył na ochłodę do rzeki. Odtąd Niurki i jej bani unikał jak diabeł święconej wody, chociaż czasami w myślach nie był od tego, żeby do tej Niurczynej bani jeszcze kiedyś zaglądnąć. Ciekawiło go, co też ona chciała wtedy z nim zrobić. A i po tej bani Niurka, jakby nigdy nic, ze swoich zaczepki nie rezygnowała.

Ciemno. Ciasno na pryczy, ciało obok ciała. Słychać równe oddechy kobiet, któraś pomrukuje przez sen, inna pochrapuje. Miała rację Daria, dziadek Mitricz chrapie najgłośniej. Wańka, pewnie przez to dziadkowe chrapanie, co chwila wierci się z boku na bok. Staszek nie śpi. Nawet poruszyć się boi, żeby nie obudzić leżącej obok kobiety. Która to? Żeby tylko nie Niurka. A może ta obok też jeszcze nie śpi?

Chłopak zamienia się w słuch. Nie, chyba jednak śpi. Słyszy jej równy oddech. Leży odwrócona do niego plecami. Poruszyła się. Pewnie jej chłodno, bo szeleści nakryciem, czymś się otula. Staszek ani drgnie, bo kobieta przewraca się na drugi bok i odtąd leży z nim twarzą w twarz; blisko, bliźniutko, na dotyk prawie. Mało że słyszy, czuje jej ciepły, czysty oddech. Wślepia się w jej twarz i już wie, poznaje Aniutę. Aniuta! Odetchnął z ulgą. Dla Staszka jest Aniuta ze wszystkich bab, nie tylko tych na zimowisku, ale i w Borowince - najładniejsza. Ładniejsza nawet od krasawicy Darii. Staszek Aniutę nie tylko lubi, ale bardzo szanuje. Ta młodziutka żołnierka od zawsze była mu przyjazna. Nawet wtedy, kiedy wiadomość o śmierci męża na wojnie przejęła ją żalem i jej bujne, czarne włosy posrebrzyła. Aniuta nigdy Staszka nie ominęła. Zawsze przystanęła przywitać się, parę dobrych słów zamienić, zainteresować się, jak sobie z Tadkiem bez ojca radzą. Staszek rumienił się wstydliwą wdzięcznością, kiedy Aniuta przysłowiową ostatnią kromką potrafiła się z nim dzielić. Wzbraniał się, nie chciał przyjąć, a ta mówiła: „Niczewo, Staś, niczewo, mnie chwatit, a ty dla bratika woźmi”. I jak nie kromka chleba, to jakiś blin, gotowane jajko czy ziemniaczany placek... Nim wreszcie obok niej zasnął, długo jeszcze słuchał, jak Aniuta to oddycha równo, to jakby przez sen pochlipuje.

Wraz ze świtem zaczynał się roboczy dzień jak co dzień. Uliana wyprowadzała swoją brygadę na porębę. Szła pierwsza, torując ścieżkę w kopnym, często sięgającym pasa śniegu. Za nią, jak za panią matką, dreptały pozostałe baby. Potem Wańka ze Staszkiem prowadzili

swoje oszronione z nocy mongolskie koniki, a zamykał ten pochód dziadek Mitricz.

Na upatrzonym miejscu Uliana przystawała. Utrudzone brnięciem przez głęboki śnieg baby luzowały chusty, głęboko oddychały, znacząc kłębami pary każdy swój oddech i słowo.

- No i co ty na te sosenki, Mitricz?

Mitricz przyglądał się strojnym masztowym sosnom, które jakby świadome tego, co je za chwilę czeka, strachliwie strząsały ze swoich wierzchołków świeżo osiadły śnieg, chyba dla powagi gładził swoją oszronioną brodę i decydował:

- Może być. Sosna przygodna i rzadko rozsiana. Konie się nie namęczą i do rzeki blisko. Brzeg wysoki, na wiosnę kloce do wody łatwo będzie zwalić. Może być, Uliana, może być, sam bym lepiej nie wybrał.

- Słyszałyście, baby?

- Co nie miałyśmy słyszeć? - warknęła Daria. - Też mi wielkie odkrycie, sosny jak sosny, tylko spróbuj je człowieku powalić. Nic, baby, tylko przez takiego brygadzystę przyjdzie nam przy tej robocie ducha wyzionąć.

- Nie trać, Daria, czasu na głupie gadanie. To co, stajesz ze mną do piły? Jak brzytwa naostrzona, Mitricz specjalnie dla ciebie się starał.

- Akurat dla mnie ten stary cap by się postarał?!

Mitricz udał, że nie słyszy, wyjął siekierę z pasa i poszedł podrąbywać sosny od strony, na którą miały zostać zwalone. Chłopcy obcinali z powalonych sosen konary, odrzynali wierzchołki. A kiedy już powalonych i oczyszczonych sosnowych klocków się nazbierało, ściągali je końmi na brzeg rzeki. Tam kloce czekały do wiosny, kiedy zwali się je z wysokiego brzegu, zbije z nich tratwy i spławi rzeką Iją do Tułunu, a to i dalej.

Na zimowisku musiał się znaleźć czas, żeby w tajdze zapolować, skąpe zapasy świeżym mięsem uzupełnić. Na takie łowne wyprawy wybierał się Mitricz, chłopcy i Mańka. Ze zdobyczą różnie bywało, jak to na polowaniu. W zimie głodująca i nieustannie zagrożona przez jeszcze głodniejsze wilcze stada tajgowa łowna zwierzyna jest czujna i płochliwa. Toteż z rzadka udawało się Mitriczowi podejść i ustrzelić jakiegoś wyjątkowo zagapionego kozłaka. Do łosi dziadek nie strzelał.

- Dla nas na zimowisku żaden z takiego „sochatego” pożytek, za mało nas. A do tego mięso ma twarde jak chomonto, nie na moje zęby. Niech ta sobie gadzina pożyje. A potęga z niego jaka!

Polowali na jarzabki. Zakładali wnyki w sosnowych młodnikach, chętnie obgryzanych przez zające bielaki. I na Iję po ryby się wyprawiali.

- Na ryby w takie mrozy? Przecież tam woda chyba do samego dna przemarzła.

Za pierwszym razem Staszek nie mógł ukryć zdumienia. Mitricz gładził brodę i uśmiechał się tajemniczo.

- Oj Polak, Polak - wydziwiał za to Wańka - co ty o naszej tajdze wiesz! Nic ci więcej nie powiem, zaraz wszystko na własne oczy zobaczysz.

Ija, jak prawie wszystkie syberyjskie rzeki, zwłaszcza w górnym biegu dzika i nieżeglowna, wije się przez tajgę z południa na północ spod mongolskiej granicy. Z większych miejscowości mija Arszan, mija Tułun, by u ujścia złąć się z Ilimem i Angarą. Z wiosną gromem kruszy lód i rozlewa szeroko. W lecie wyraźnie leniwieje, przystaje w licznych zatokach, kręci głębokimi wirami i strome brzegi podmywa. Gdzie indziej mknie bez opamiętania między skalistymi brzegami, kipi i huczy na wodospadach. Dzika rzeka, ale rybna, przerybna. W lecie nawet stara baba, nie mówiąc już o dzieciakach, rybę z niej byle jak wyłowi. Co innego w zimie, kiedy mróz zamuruje rzeką grubą lodową skorupą i kopnym śniegiem przysypie.

Uzbrojeni w siekiery, szli po lodzie zamarzniętej, zaśnieżonej rzeki. Dziadek Mitricz podpierał się długą tyczką zakończoną żelaznym ościeniem. Co jakiś czas przystawał, oglądał się dookoła, lustrował brzegi, stukał ościeniem po lodzie i bez słowa szedł dalej. Najczęściej przystawał tam, gdzie Ija przyjmowała jakiś dopływ. Tam klękał, wymiatał śnieg do czystego lodu i czegoś tam wypatrywał. Staszek zaczynał wątpić w powodzenie tej wyprawy, zwłaszcza że czerwone zimowe słońce siadało już za pobliskie góry, a podwieczorny mróz szczypał siarczyście. Tak doszli do zacisznej zatoczki, gdzie z lewego, niższego brzegu wpadała niewielka rzeczka. Drugi brzeg zatoczki stanowiła wysoka, kilkunastometrowa granitowa skała. Można się było domyślić, że właśnie tutaj zlewające się dwa rzeczne nurty, zderzając się gwałtownie, tworzą spore wiry. Ciemniejszy, zielonkawy kolor odmiecionego lodu wskazywał, że rzeka tutaj nie zamarza tak mocno jak gdzie indziej. Mitricz popatrzył, postukał, przyklęknął, ucho niemal do lodu przytknął. Wstał z trudem, otrzepał kolana i tuż pod wysokim brzegiem obrysował na lodzie niewielki kwadrat. Odrzucił oścień, wyciągnął siekiere z pasa i z przyzwyczajenia splunął w rękawice.

- No, synkowie, dopomóż nam Bóg, tutaj pod lód zagłębniemy. Głębina jama tu jest, to i ryba musi w niej zimować.

Rąbali zawzięcie dzwoniący, pryskający ostrymi kruszynami lód. Dziesięć, dwadzieścia centymetrów, pół metra, metr. Woda! Czyszcza przeręble z lodowych okruchów. Woda z rzeki paruje na mrozie. Chłopcy klęczą nad przerębłą, w milczeniu wgapiają się w czarną toń. Wyczekują, wypatrują ryby, która - jeśli tu jest, musi zaraz wypłynąć, choćby po to, żeby łyk powietrza zaczerpnąć. Chwila wydaje im się godzinami. Jest! Jeden rybi

pyszczyk, drugi, trzeci! Nagle w niewielkiej przerębli zaczyna się kłębić, kotłować od ryb. Niektóre, większe i mocniejsze, pluskają, wyskakują do góry. Staszek nie wierzy własnym oczom.

- Ale tu ryba! Szkoda, żeśmy podbieraka nie wzięli. Czym my je teraz wyłowimy?

- Damy radę i bez podbieraka. Bo my te rybeczki, tylko te większe, ot tak! Ot tak!

Za każdym pogadywaniem zręczne dziabnięcie ościeniem trafia w rybę. Dziadek wyrzuca na lód półmetrowego szczupaka, niewiele mniejszego tajmienia i nawet sporą płoć czerwonopłetwą. Ryby trzepocą się po lodzie, ale prawie natychmiast stygną, martwieją na mrozie.

- No - mówi dziadek - starczy na dziś tego dobrego. Nie należy Boga chytrą głową gniewać. - I zdecydowanie odrzuca ościę.

W drodze powrotnej dziadek rozgadał się jak rzadko.

- Bo musicie wiedzieć, że ryba, choć istota wodna, bez powietrza nijak nie przeżyje. Zadusi się pod lodem, albo tam, gdzie na płyciznę trafi, w lodowy sopel się zamieni. Rozumie tam ona czy nie rozumie, dość, że chytra ci to sztuka, ryba. Bo jak tylko lód rzekę zetnie i coraz grubszy zaczyna się robić, powietrza nie dopuszcza, to ryba sobie głębin, jam przybrzeżnych szuka i dopiero tam zimuje. W dzisiejszych czasach ryby w naszych rzekach mało, niszczyje czegoś, a i zgłodniały człowiek najmniejszej rybinie nie przepuści. Ale dawniej! Pamiętam, kiedy takim chłopakiem jak wy byłem i ze swoim, świętej pamięci, ojcem rybnym jam chodziłem po Iji szukać. Bywało, że z jednej takiej przerębli ze dwie beczki ryby się wybierało. I to jakiej! Przez całą zimę ryba w domu była i jeszcze sąsiadom się rozdawało. A teraz...

Co jakiś czas, przeważnie raz w tygodniu, wyznaczona przez Ulianę dwójka bab brała pod uzdę jucznego konia i wędrowała do sowchozu po prowiant, i co tam jeszcze było trzeba. Przy tej okazji odwiedzały rodziny, kąpały się w bani, zbierały po wsi najnowsze plotki, a co najważniejsze - wracając przynosiły frontowe listy.

Od paru dni pogoda była paskudna. Trzymały krzepkie mrozy i snuły się śnieżne kurniawy. Uniemożliwiało to pracę na porębie. A skoro tak, Uliana posłała na bazę Walkę Koczetową i Nastkę Bięłych, obydwie przez gromadkę dzieci obsiadłe.

- Tylko tam i z powrotem, babeńki, bo pogoda z godziny na godzinę może się poprawić, a do wykonania normy nam jeszcze daleko. Chleb wyfasujcie, krupy i soli przywieźcie...

- I owsa dla koni! - dopominali się chłopcy.

- I listy, listy! - jednym głosem dopominały się pozostające kobiety.

Listy. Listy z frontu. Nie było w Borowince rodziny, żeby kogoś na wojnie nie miała. Na listonosza, którego raz w miesiącu po pocztę wysyłano, czekano niecierpliwie, z nadzieją pomieszaną z trwogą. List złożony w trójkącik, najczęściej skreślony na kartce z zeszytu, znajomym pismem zaadresowany, opieczętowany fioletową pieczętą wojennej cenzury, był szczęściem i radością. Natomiast list w prostokątnej kopercie z urzędowym nadrukiem zazwyczaj znaczył jedno: urzędowe zawiadomienie o śmierci żołnierza. „Pochoronka, pochoronka!”. W domu adresata jeden wielki szloch i czarna rozpacz.

Na zimowisku listów z frontu wyglądały wszystkie baby, dziadek Mitricz i Staszek. Tylko Aniuta i Wańka nie mieli już na co czekać. Aniuta pochoronkę otrzymała rok temu, do tego jako pierwsza we wsi. Co się wtedy w Borowince działo! Cała wieś, jak na prawdziwy pogrzeb, do domu Aniuty się zleciała. Głośny płacz, zawodzenie, wspominki i szklanka wódki na wieczną pamięć Griszki, poległego żołnierza i męża Aniuty. „Co też ona biednieńka pocznie sama na tym świecie bez Griszki swojego ukochanego... A młoda jaka, dzieciak jeszcze prawie... Pobrali się co dopiero, nawet małżeńskiej rozkoszy na dobre zażyć nie zdążyła...” - zawodziły, użalały się nad młodziutką wojenną wdową staruchy. I chyba nawet nie zauważyły, że Aniuty już dawno w żałobnej izbie nie było. Współprzymna wymknęła się stamtąd i biegła na ślepo przez tajgę, dopóki jej tchu starczyło, by w bezgłośnym szlochu rzucić się na ziemię i zanurzyć rozpaloną twarz w mech puszysty, zielony...

Do domu Wańki pochoronka też tej wiosny przyszła. Chłopak wciąż nie mógł dojść do siebie; z zadziory i wesołka na długo zrobił się milczek ponury. O ojcu nie wspominał. Staszek nie śmiał go pytać. Któregoś wieczoru, jeszcze na promie, wykąпали się w rzece, przysiedli na brzegu odetchnąć. Wańce chyba się o ojcu przypomniało, zagadał:

- Jeden jedyny list z wojny ojciec napisał. Może napisał więcej, ale do nas doszedł tylko ten jeden... Skąd? Tak sobie teraz myślę, że chyba spod Moskwy. Cenzura wojenna, nie mógł napisać, gdzie akurat był... A twój ojciec pisze?

- Też jeden list dopiero. I też nie wiem skąd. O jakiejś bitwie z Niemcami wspomina, no i, jak to w listach...

- Po polsku pisze?

- A jak inaczej. Tylko po rosyjsku mu ktoś zaadresował.

- No to sam wiesz, co w takim liście z frontu można napisać. Ojciec pisał, że jest zdrowy, żeby się o niego nie martwić, że biją Fryca, aż kurz leci, że zwyciężą, wróci do nas i wszystko będzie dobrze. Co tam u nas, pytał. Że nas wszystkich pozdrawia. I nawet specjalnie do mnie parę słów było. Pamiętam jak dziś... „A ty, Wania, pomagaj tam mamie. Tani nie krzywdź”. Tania to moja młodsza siostra. „Liczę na ciebie, boś tam w domu jedyny

mężczyzna. Trzymaj się, synu”. Właśnie tak napisał: „Synu...”. A po kilku dniach przyszła do nas pochoronka. - Wańka machnął ręką, zerwał się i ponownie wskoczył do parującej czarnej wody...

Pogoda się poprawiła. Bez dwóch bab i jednego konia robota na porębie kulała. Mijał dzień, drugi, a Walka z Nastką wciąż nie wracały.

- Po śmierć takie posyłać! - palnęła w złości Uliana. - Kokoszą się tam w ciepłutkich chałupach, dupy w bani parzą, a my tu za nich na mrozie grzbiety gniemy. Jeśli dziś do wieczora nie wrócą, to ja ich, to ja ich za bumelanctwo pod sąd oddam! Jest czas wojenny czy nie?

Kiedy pod wieczór zmordowani zwlekli się do izbuszki, czekała na nich Nastka. Wściekła Uliana niemal z pięściami się na nią rzuciła.

- No, jesteście nareszcie, bumelantki! A gdzie Walka? - Nastka nie odpowiadała. Stała z opuszczoną głową, coś tam pod nosem z drzeniem warg poszeptując. - Co z Walką, pytam?

Nastka ze szlochem rzuciła się Ulianie w ramiona. Speszona Uliana stała na baczność z opuszczonymi rękami, z których jeszcze nawet obmarzniętych rękawic zdjąć nie zdążyła. Podeszła do nich Daria, pogładziła Nastkę po włosach, cmoknęła w czoło.

- Co ci się stało, Nastieńka? Co się stało? No już dobrze, dobrze, uspokój się, rybeńko, uspokój.

Nastka przerzuciła ramiona na Darię i wciąż jeszcze dławiąc się płaczem, wykrztusiła:

- Walka... Walka... pochoronkę dostała. Przychodzimy do wsi, biegnie Walka do domu, tyle czasu dzieci nie widziała, a tam..., a tam... pochoronka. Nie mogę, baby, nie mogę!

Takiej długiej i trwożnej ciszy jeszcze w izbuszce nie było. A potem wszystkie baby w szloch. Mitricz bezmyślnie dłuwał patykiem w ledwie tłącym się ogniu. Wańka ze Staszkiem milczeli, a potem bez słowa wyszli na zewnątrz, zasypali koniom owsa, którego Nastka pół worka przywiozła. Milczeli. Wiedzieli, że Walentyna Koczetowa ma pięcioro dzieci, i to samego drobiazgu...

I nie była to dla ludzi z zimowiska ostatnia pochoronka. Na przedwiośniu, kiedy kwietniowe słończko wiesza pierwsze lodowe sopele na gontowych poddaszach syberyjskich chałup, a w tajdze grubą śnieżną pokrywę utwardza i do połysku poleruje, dziadek Mitricz i jego Anfisa dowiedzieli się, że ich jedyny syn, Piętka, nigdy z tej wojny nie wróci. Rychło potem załamana tą hiobową wieścią zległa dziadkowa Anfisa. Zległa i już się nie podniosła, zgasła równie cichutko, jak żyła.

Polubił Staszek dziadka Mitricza, bo był to człowiek dobry i mądry. A ileż to razy dodawał chłopakowi otuchy.



- Nie martw się tak, synku, wrócisz do tej swojej Polski, wrócisz. Trzeba tylko cierpliwie czekać, aż ta wojna przeklęta się skończy. A kiedyś przecież skończyć się musi. Człowiek nigdy nie powinien tracić nadziei. A myślisz, że mnie zły los po świecie nie ganiał? Ile to razy myślałem, że chyba już tej mojej tajgi, Wołczego Chutoru, nie zobaczę. A bywało nawet, że już się z tym padołem żegnałem. W czasie tamtej pierwszej wojny to było, jeszcze za cara batiuszki, kiedy nas Sybiraków na front przeciwko Niemcom i Austriakom pogonili. Nie uwierzysz, dokąd ja w tamtą wojnę zawędrowałem. Aż do twojej Polski! Do dziś pamiętam takie miasto, Pieremyszel się zowie. Słyszałeś może o takim mieście? No widzisz. Na górkach ono, kamienice czerwone, cerkwi, chramów Bożych nie zliczysz. A w dolinie niewielka rzeczka płynie. Nazwy już nie pomnę... Jak, jak? San, mówisz? Może i San. Krwawe boje myśmy z Austryjczakami o ten cały Pieremyszel toczyli.

- Pieremyszel, dziadku, to po polsku Przemyśl będzie. Przemyśl!

- Jak, jak? Psze, psze, tfuj, zaraza, nijak tego nie wymówię. Zresztą, jak go tam zwał, tak go zwał, a mnie tam ciężko raniło. Pop mnie już nawet wypowiadał i na tamten świat przysposobił. Pod samym sławnym generałem Brusilowem służyłem. Słyszałeś może o takim?

- Nie.

- No pewnie, stary dureń ze mnie; na świecie wtedy jeszcze ciebie nie było, skąd niby miałeś słyszeć.

- Ale o Austriakach, Rosjanach i pierwszej wojnie słyszałem. Mój dziadek w austriackim wojsku służył. Też był na froncie, a może nawet, tak jak i wy, pod tym Przemyślem? Opowiadał mi różności o tym swoim wojowaniu, ale mało mnie to wtedy obchodziło. Manierka bardziej mnie interesowała, którą dziadek z wojny przyniósł i na gwoździu nad łóżkiem sobie powiesił.

- No widzisz, synku, jak to się ludziom przez te wojny losy plotą. A może nawet z twoim dziadkiem przeciwko sobie na bagnety żeśmy chodzili, choć jeden drugiego nie znał i żadnej złości do siebie nie miał. Ale mnie wtedy odłamek szrapnela dziobnął, nie austriacki bagnet. Tak, tak, Jefim, myślałem sobie, leżąc w polowym lazarecie, przyjdzie ci tu zemrzeć w dalekim obcym kraju. Rodzinnego chutoru i rodziny swojej nie zobaczysz. Ale, jak widzisz, Bóg miłosierny, wykaraskałem się jakoś. Wojna się skończyła i ludzie, jak te wędrownie ptaki, do swoich rodzinnych gniazd zaczęli powracać. No i ja powróciłem. Tak i ty, synku, wcześniej czy później do Polski, do swoich wrócisz. A żyje jeszcze ten twój dziadek?

- Nie wiem. Żył, kiedy na Sybir nas wywozili.

- Wrócisz, synku, wrócisz, bo jak to mówią: „Tam życie miłe i mogiła, gdzie cię

matka porodziła”. Tak na porządnym świecie być powinno. I da Bóg, kiedyś będzie...

Marnie tej zimy na wyrębie tajgi im poszło. Pozyskanej sosny zaledwie na sklecenie jednej porządnej tratwy starczyło. Nie to, co przed wojną, kiedy z Borowinki po kilka tratw spławiano. Ale teraz, kiedy wojna wymiotła ze wsi wszystkich mężczyzn, nie miał kto spławem się zająć. Na porębie jeszcze pół biedy, piła i siekiera oprócz siły wielkiej wprawy nie wymagają. Ale już tratwę na wielkiej rzece zmontować, a potem nią retmanić, to naprawdę nie lada sztuka. I kto wie, jak by w Borowince z tegorocznym spławem było, gdyby znowu nie dziadek Mitricz. Śmierć żony i syna wyraźnie go załamały. Co prawda tratwę pomógł na rzece powiązać, ale iść na spław, retmanić kategorycznie odmówił. Bezradne baby ręce załamywały.

- A to uparty dziadyga! - złorzeczyła porywczą Daria. - Chyba chce, żebyśmy się na tym spławie potopiły. Niechby palcem na tratwie nie kiwnął, byle tylko nam poretmanił. Idziemy do niego, Uliana, jak trzeba, to padniemy przed starym na kolana.

Poszły i jakoś Mitricza uprosiły. Uliana kompletowała załogę. Wańka ze Staszkiem nachodzili Ulianę, żeby ich na spław zabrała.

- A dacie wy tam radę?

- Daliśmy radę na porębie? A u Stieszy kto na promie przez zeszłe lato pływał? Rzeki i roboty się nie boimy. Nie znasz nas czy co?

- Znać to znam. No dobra, ale pod warunkiem, że Mitricz się zgodzi.

W pogodny czerwcowy ranek odepchnęli się długimi bosakami od brzegu i popłynęli: dziadek Mitricz, Uliana, Daria, Nastka, Wańka ze Staszkiem, no i dziadkowa wierna psina Mańka, ma się rozumieć. Płynęli, dopóki dnia, na noc przybijali do brzegu. Sporo czasu schodziło na wyszukiwanie przystani, umocowywanie tratwy linami do drzew nadbrzeżnych, żeby jej w nocy nurt nie zabrał i nie pokręcił. Rozpalili ognisko, jakąś rybę próbowali złowić, kobiety warzyły coś do jedzenia, i spać. Spali, gdzie kto wolał, w szałasie, na tratwie albo przy ognisku. Dobrze, jeśli była sucha pogoda, gorzej, kiedy deszczem pokropiło.

Ija, jak każda tajgowa rzeka, jest z natury nieżeglowna i zdradliwa. Na szczęście dziadek Mitricz radził sobie w każdej sytuacji. Wiedział, gdzie tratwa może osiąść na mieliźnie i jak uporać się z kamienistym wodospadem. Szczęśliwie minęli Arszan, zostawili za sobą Ikej. I dopiero za tą miejscowością, tam, gdzie Ija zlewa się z jej prawobrzeżnym mocnym dopływem, wpadli w najcięższe tarapaty. Zderzające się wodne ciekły i wiry niby w diabelskim młynie miały tratwę od brzegu do brzegu. Zalewająca tratwę woda zmyła szałas, zabrała sporo z ich ubożego dobytku. Najważniejsze, że się wtedy nie potopili. Choć gdyby nie ich retman, dziadek Mitricz, to kto wie. A tak to nawet Mańka, przezornie przywiązana do

tratwy, dzielnie tę flisacką przygodę przetrwała.

Przed wojną tratwy z Borowinki spławiano daleko. Najpierw Iją do Angary, Angarą do Jeniseju i dalej Jenisejem aż do portu w Lesosybirsku. Ich tratwa miała dopłynąć tylko do tartaku w Tułunie. I dopłynęła. Przymocowali tratwę na przystani i Uliana zajęła się przekazywaniem spławionego drewna tartakowi.

- A nigdzie mi się nie rozłazcie, bo niedługo wracamy. Macie tu kartki do stołówki na obiad, a co dalej, to się zobaczy, jak wrócę. Teraz idę okazji na powrót do Borowinki szukać.

Tułun to spore miasteczko na trasie kolei transsyberyjskiej. Tak się złożyło, że Staszкови Tułun nie pierwszyzna. Ale nie za dobrze go wspominał. Tutaj, dwie zimy temu, konia z beczkowitzem w przerębli na Iji utopił i sam omal pod lodem nie utonął. To przez tego nieszczęsnego konia ojciec musiał przed milicją z Tułunu w głąb tajgi uciekać i w Borowince się zaszyć. Co było, minęło, tym bardziej że ojciec na wojnie. Staszka aż korciło, żeby po Tułunie połączyć i choć na chwilę wpaść na dworzec kolejowy. Ciągnęła go ta kolej jak magnes. Mieszkając w Tułunie, prawie codziennie biegał na stację ot tak, byle tylko tam pobyć. Pobyć, popatrzeć na tłum podróżnych, powciągać w nozdrza czadzący dym z parowozów, które z charakterystycznym rykiem mijały stacyjne perony i mknęły na zachód. Na zachód, na zachód! A przecież gdzieś tam na zachodzie jest Polska! To nic, że z Tułunu o tysiące kilometrów. Staszкови zdawało się czasem, że wystarczy tylko ucho do dudniącej szyny przyłożyć, żeby tę wytęsknioną Polskę usłyszeć. I marzyło mu się, wyobrażało, jak to on kiedyś zabierze małego Tadka, wsiaią do pociągu zmierzającego na zachód i pojedą do Polski!

Niestety, tym razem ani połączyć po Tułunie, ani wpaść na stację mu się nie udało. Musiał się zadowolić nasłuchiowaniem dolatujących aż na przystań porykiwań stacyjnych parowozów. Wracali śpiesznie, bo Uliana złapała okazję jak rzadko - pustą ciężarówkę jadącą do Arszanu. Mieli szczęście, bo gdyby przyszło im taki szmat drogi pieszo przemierzyć, to chyba ze dwa tygodnie by im zeszło. Ale już z Arszanu do Borowinki nie mieli co na jakąkolwiek okazję liczyć; tajga, wiosenne roztopy i bezdroża. Rada w radę postanowili w dalszej drodze trzymać się brzegów Iji. Może to i dalej, bo rzeka swoimi meandrami wędrówkę wydłuża, ale za to do samej Borowinki ich doprowadzi. Do tego jeszcze jakąś rybką pożywi, bo i z prowiantem było dość krucho.

Już prawie tydzień przez tajgę wędrowali. Wlekli się wolno, użerając się z chmarami muszek i komarów. A głównie dlatego, że dziadek Mitricz coraz wyraźniej trudów pieszej wędrówki nie wytrzymywał. Owego dnia z tego właśnie powodu zatrzymali się na noc wcześniej niż zwykle. Wlokący się z nogi na nogę Mitricz ciężko przysiadł i oparty o sosnę

odpoczywał z przymkniętymi powiekami. Nieodstępująca go Mańka legła u jego stóp z pyskiem na przednich łapach i też zadrzemała. Chłopcy rozpalili ogień, umocowali nad nim okopcony kociołek. Zmartwione baby naradzały się po cichu, czym by tu dziadka pokarmić, żeby sił mu przybyło. Wybór miały niewielki. Uradziły, że gęstą jaglaną kaszę omaszczą mu olejem, pożywną herbatą z malinowych łodyg go napoją. Nastka nawet kawałek cukru, który dla dzieciaków jako gościniec chowała, dla dziadka odżałowała. Daria, jak to Daria - z Mitriczem nie tylko posprzeczać się, ale i pożartować umiała; trąciła drzemiącego w ramię.

- No jak tam, Mitricz, odpoczywasz? Tylko nie zaśnij mi tu, bo zaraz tłuścieńką kaszką cię pokarmimy. Czujesz, jak pachnie?

- Słaby, Daria, całkiem słaby w nogach się zrobiłem. Nie wiem, jak ja się do domu dowlokę. Same kłopoty tylko ze mną macie.

- Nie opowiadaj mi tu takich rzeczy. Kłopoty, słaby. Ty jeszcze niejednego młodego przeskoczysz. Co byśmy bez ciebie na szałwie zwojowali? Zaraz ciepłutkiej kaszy ci przyniosę, posilisz się, przez noc odpoczniesz, a rano będziesz jak nowo narodzony. A do Borowinki już niedaleko.

- Kiedy ja, córciu, nijakiego apetytu nie czuję. A na kaszę to już patrzeć nie mogę. Jedzcie tam sobie, a o mnie się nie kłopotcie. Niegłodnym. Tylko o Mańce nie zapomnijcie.

- A może uchy ci ugotujemy? Chłopcy o rybę migiem się postarają. Zjesz, dziadku, uchy?

- Same kłopoty ze mną macie. Ale tak, po prawdzie... to gorącej uchy parę łyżek może bym spróbował.

- Słyszycie, chłopcy?

Słyszeli. Nie bardzo im się chciało, ale dla dziadka Mitricza - proszę bardzo. Mieli swoje sposoby na ryby. Wystarczyło przejść brzegiem, popatrzeć, gdzie toń, i wygrzebać robaka. A po chwili żarłoczne okonie topiły szałwik raz za razem. Była więc tego wieczoru pachnąca dymem ucha, której dla wszystkich z dolewką starczyło. Dziadek Mitricz uchy ze smakiem posiorbał. Słodkim malinowym czajem popił, babom podziękował i rychło położył się spać na paprociowym posłaniu, które mu przy ognisku wymościł.

Ognisko płonęło, baby gadały, cicho nuciły, śmiały się, to znów popłakiwały. Chłopcy dokładali do ognia. Ale wszystko ma swój czas; przygasało ognisko, szumiąca tajga i czarna noc sprowadziły na wszystkich mocny sen.

Bładym świtem pierwsza zerwała się Uliana.

- Wstawajcie, wstawajcie, Mitricz nam umarł!

I długo jeszcze potem opowiadała w kółko to samo: „Coś mnie jakby tknęło nad

ranem, rozbudziło. Pomyślałam, że to może zły sen jakiś. Jeszcze nawet powiek nie odkleiłam, a tu słyszę, jak Mańka wyje. I to jak wyje! Nie, nie, broń Boże, żeby głośno, tylko tak żałośnie jakoś, jakby ta psina płakała. Mówię wam, baby, aż serce mi od tego wycia zaćmiło. No to wstałam... I wtedy patrzę, a tu, Bożeż ty mój!”

Umarł dziadek Mitricz cichutko. Wieczorem zasnął, i już się nie obudził. Do Borowinki jeszcze daleko. Tajga dookoła, bezdroża, żadnego osiedla w pobliżu. A z dnia na dzień coraz cieplej, upał prawie. Nie mieli wyjścia. Postanowili dziadka Mitricza tu, gdzie umarł, nad brzegiem Iji pogrzebać. Tymczasowo, wmawiali sobie, na chwilę. No bo niby jak teraz trupa do Borowinki przetransportować. Wrócą do sowchozu, zameldują, opowiedzą naczalstwu, jak i co, i będą im głowę suszyć, dopóki dziadka z tajgi nie zabiorą i na cmentarzu godnie nie pochowają.

Wybrali suche miejsce na wysokim brzegu Iji, pod cedrem wiekowym. I dół kopać zaczęli. Metr, pół metra, szło jako tako, ale potem trafiła się twardsza od skały wieczna zmarzlina. A jeszcze większy kłopot był z trumną. No bo jak to bez trumny wrzucić dziadka do dołu i tylko ziemią przysypać? Trzeba mu jakąś trumnę zmaistrować. Zrąbali przydatną sosnę. Klinami rozpołowili ją wzdłuż i łupali dranice. Nie mieli gwoździ. Sklecieli więc dranicową skrzynię wrębami, podobnymi do tych, jakimi na węglach drewniane chałupy się mocuje. Spłakane baby dziadkowi chustą brodę podwiązały, oczy zaśniedziałymi kopiejkami przyłożyły i wycalowały go na pożegnanie, jak tutejszy cmentarny obyczaj nakazuje. Zakopali trumnę głęboko, obłożyli mogiłę skalnymi kamieniami, żeby dziki zwierz jej nie wygrzebał.

Zebrani do drogi, przystanęli jeszcze chwilę nad dziadkową mogiłą. A wtedy Mańka przysiadła na ogonie, pysk w górę zadarła i długo, długo, przejmująco zawyła.

- Całkiem jak zeszłej nocy - ocknęła się Uliana. - No i jak ty teraz, Mańka? Nie dość, że ślepa prawie jesteś, to jeszcze sierotą zostałam.

- Sierotą, sierotą! - gniewnie warknęła Daria. - Nie martw się, Mańka, zabieram cię do siebie. I to zaraz. Teściowa gdera mi całymi dniami, na piecu się wyleguje, to przynajmniej Mańką się zajmie. Chodź tu, Mańka, nie bój się mnie, no chodź. - I wzięła psa na rękę.

Tymczasem Staszekowi wciąż w tym pochówku jakby czegoś brakowało. Nie wytrzymał i wyrwał się niespodziewanie:

- Chyba dziadkowi krzyż na grobie należałoby postawić... U nas, w Polsce, na grobach zawsze krzyże się stawia.

Baby spoglądały jedna na drugą.

- A no niby tak. Staszek ma rację. Pamiętajcie, i Mitricz swojej Anfisie osobiście krzyż

z brzozy zmajstrował i na mogile postawił, to pewnie chciałby, żeby i jemu... Tylko że jak teraz taki krzyż, na oczekaniu... Ale zaraz, baby, zaraz... - to mówiąc, Uliana szarpnęła zza pasa siekierę, podeszła do modrzewia i wyrąbała na nim trójramienny prawosławny krzyż.

Smutno im się bez Mitricza wracało. Wlekli się w milczeniu, tylko co chwila któraś z bab głęboko i głośno wzdychała. Nastka nie mogła pogodzić się z tym, że zwłok dziadka ze sobą do Borowinki nie zabrali.

- Gorąc taki, parę dni drogi przed nami, jak ty sobie to wyobrażasz? Na plecach byś umrzyka taszczyła?

- Jakby trzeba było, to bym taszczyła. Brezentem by się go owinęło i na wołokuszy ciągnęło, co chwila zimną wodą polewając. A nie tak, żeby Mitricza w tajdze zostawić, nie przymierzając jak psa pod drzewem zakopać.

- To ty się lepiej zimną wodą polej. A Mitricza nikt tam na zawsze nie zostawił. Przyjdzie zima, lód na rzece stanie, przyjedziemy i zabierzemy go na cmentarz w Borowince, koło Anfisy po ludzku go się pochowa. Nie martw się, już moja w tym głowa - obiecywała solennie Uliana.

A do tego jeszcze z Mańką same kłopoty po drodze. Dopóki Daria niosła psinę na rękach, wszystko było w porządku. Ledwie ją opuściła, to ta w biegi i to takie, że chłopaki nie mogli jej dogonić. Wracała zdyszana psina do kamiennej mogiły dziadka Mitrycza i kładła się przy niej warować. Parę razy im tak uciekła, wreszcie przywiązali ją i prowadzili na sznurku. Ale i wtedy nie chciała iść, zapierała się i co chwila popatrywała do tyłu. Baby na upartą i wierną Mańkę nie psioczyły.

- Niby to głupia psina, a przeżywa śmierć Mitricza bardziej niż my tu wszystkie razem - z wymówką w głosie chwaliła Mańkę naburmuszona Nastka.

Staszki też Mańki było szkoda. Gdyby mógł, chętnie by ją za swoją przygarnął. Ale jak tu jeszcze z psem sobie radzić, kiedy on sam stałego miejsca nie ma, po barakach się tuła, na łasce i niełasce obcych ludzi. Lubił psy. Od kiedy pamiętał, w ich domu psów nie brakowało. O Mańce baby mówią, że wierna. A taki nasz Trot z Kalinowej, czy Nero z Worwolińców, to wierne nie były? Jeszcze jak! Albo ten wyżeł leśniczego z Borszczowa, który w czasie wywózki po śladach swojego pana chyba ze sto kilometrów po torach za pociągiem gonił.

Często, bardzo często, wracały do Staszka takie bliskie sercu domowe wspomnienia. Tak jak choćby w tej chwili. Wlókł się tajgowym bezdrożem, niby wszystko, co się wokół niego działo, widział i słyszał, ale myślami był daleko stąd. Pewnie, że i z tej Mańki wierna psina nad podziw, myślał, ale taki nasz Trot albo Nero to ci dopiero były psy!

„Bystreje, bystreje!”, poganiali zerwanych z nadranego snu Dolinów sowieccy żołnierze w obcych polskiemu oku długachnych szarych szynylach, w dziwacznych stożkowatych czapkach czerwoną gwiazdą oznaczonych.

„Bystreje, bystreje!”, przynaglali wymachując karabinami z długimi szpikulcami graniastych bagnetów. Sanie stały przed gankiem. Wzięty na podwodę znajomy Ukrainiec z sąsiedniej Karolówki z zimna, a może kryjąc zmieszanie, zamiast Dolinie pomóc, objął boki rękawicami. Ojciec rzucił na sanie tobół, do którego zagarnął, co mu w pośpiechu pod rękę wpadło. Mama, trzymając za rękę trzyletniego Tacka, też z jakimś węzełkiem pod pachą gramoliła się na zaśnieżone sanie. „Bystreje, bystreje!”. Staszek dźwigał jakieś nieporęczne kartonowe pudło. Pośliznął się i mało nie spadł z oblodzonych schodów. Wtedy zauważył Nera. Ich pies, Nero, leżał na boku, ze sztywno wyciągniętymi łapami. Leżał obok schodów, w kałuży stygnącej krwi, rażącej czerwienią na tle bielizny zmrożonego śniegu.

- Nero! - Staszek rzucił pudło i skoczył ze schodów. - Nero, Nero, piesku, co ci się stało, co?

Lamentował i przez łyzy szukał u ojca pomocy...

Staszek lubił psy. Dokąd sięgała jego pamięć, zawsze widział psy wokół siebie. Ledwie jako tako łązić się nauczył, co tam było dla niego wleźć do psiej budy i przysnąć tam sobie, ku utrapieniu poszukującej go mamy. Podrastał, i już do psich budek się nie chował, ale bez Burka czy Trota nigdy nie ruszał nad Strug czy do Pikorowego lasu.

W pogoni za lepszą chłopską dolą rodzina Dolinów przeniosła się z Kalinowej aż pod Zaleszczyki, na Podole. Wraz z nią cała gospodarska chudoba i dwa psy - Nero z Trotem.

Trot był psem podwórkowym, najczęściej krótko u budy wiązany. Gdzie mu tam w psiej głowie świtały jakieś dalekie podróże? Uwiązany na postronku za wozem w drodze na rzeszowską stację kolejową, przerażony Trot uszedł od swojej budy może z pół kilometra, nie dalej, i zaciągnął się wisielczą sobaczą pętlą. Mama Staszka, która, podobnie jak Trot, też nie za bardzo chciała rodziną Kalinową opuszczać, w wisielczej śmierci wiernego psa niedobry znak na przyszłość wieszczyła. „Psisko widocznie coś złego czuło, bo z domu ruszyć się nie chciało. A może z tego żalu serce mu pękło?”. Pod Zaleszczyki, do ich nowego gospodarstwa w Worwolińcach, dotarł tylko bywały w świecie Nero.

Nero był wilczurem. Chyba nawet rasowym, szkolonym do służby w policji. Kiedy trafił do Dolinów, był już na psiej emeryturze. A ściślej, na rencie inwalidzkiej, bo lekko okulał na przednią łapę, postrzelony w Debrzy przez jakiegoś zdesperowanego kłusownika z Matysówki. Opiekował się Nerem litościwy posterunkowy z Tyczyna. On też Nera Dolinie podarował. „Jak ty Dolina tam, na te ukraińskie dzikie pola, bez porządnego psa pojedziesz?

Nero to dobry i dzielny pies, przed każdym zbójem cię obroni. To nic, że odrobinę kuleje. Mądrzejszy on, chłopie, od niejednego człowieka. A jak się do ciebie przyzwyczai, to wierniejszego nie znajdziesz”. Wszystko zgadzało się co do joty. Wabił się Nero, ale umaszczenie miał jasne, typowo wilcze. I potężną posturę. Od pierwszej chwili podporządkował się ojcu, jakby zrozumiał, że to jego nowy pan. Od mamy, łaskawie pomierdując ogonem, przyjmował pożywienie. Małym Tadkiem wyraźnie się opiekował. Staszka natomiast z widocznym lekceważeniem tolerował. Na początku nie było mowy, żeby Nero mu się podporządkował, choć na komendę ojca posłusznie wykonał wszystko: od „waruj”, „zostań”, „siad”, „stój” do szukania i czołgania się włącznie. Nero był do przesady „małomówny”, głos podawał na rozkaz, albo jeśli uznał, że trzeba gospodarzy przed czymś ostrzec lub coś ważnego zasygnalizować. Ale nawet ojcu za nic nie pozwolił przytroczyć się do budy. Jako wykształcony policyjny pies pewnie traktował to jako zniewagę i upokorzenie. Ojciec się nie upierał. „Dobrze, nie chcesz przy budzie, nie chcesz po podwórku biegać po drucie, to masz mi tu całą noc pod drzwiami na ganku warować. Zrozumiano?”. Widać tak, bo Nero pomierdał ogonem. Całymi dniami chodził luzem i trzymał się obejścia. Chyba że na wyraźną komendę towarzyszył swemu panu, a z czasem i Staszce. A wieczorem, kiedy w domu układano się do snu i w drzwiach do sieni szczekała zasuwa, Nero, zgodnie z nakazem, zajmował na ganku pozycję nocnego stróża.

Nowy dom Dolinów w Worwolińcach, jeszcze nie całkiem wykończony, stał blisko szosy wiodącej z Tłustego do Zaleszczyk. Stał samotnie pośród pszenicznych pól, łąnów dorodnej kukurydzy i młodego sadu.

Dnia 1 września 1939 roku - wojna! W ciągu paru dni obejście Dolinów zaroilo się od uciekinierów z głębi kraju, a zwłaszcza mężczyzn, ciągnących za wojskiem odchodzącym ku rumuńskiej granicy. W sobotę, 17 września, nowy grom z jasnego nieba: od strony niedalekiego granicznego Zabrucza wkraczają do Polski Sowieci. Dolinowie i stłoczeni w ich domu uciekinierzy nie wiedzieli, co począć, uciekać do Rumunii, czy poddać się losowi. Szczególnie bezradnych było kilku oficerów-lotników, którzy cudem uszli z życiem z rąk ukraińskich siczowców, grasujących w tej okolicy.

W niedzielę, pod wieczór, od strony Tłustego pojawił się na pobliskim wzgórzu pierwszy konny patrol czerwonooarmistów, ale zaraz zawrócił. Nastąpiła noc pełna oczekiwania i grozy. Zaleszczycka szosa trzęsła się od jazgotu czołgów: Sowieci wkraczali na polskie Podole całą swoją niepoliczoną ludzką masą.

W domu Dolinów nikt nie zmrużył oka. A wyraźnie niespokojny Nero nie odstępował swego pana na krok.



Skoro świt, jeszcze przed wschodem słońca, taranując łąn kukurydzy, stanął przed domem ogromny sowiecki czołg z czerwoną gwiazdą na wieżycze. Lufa działka groźnie celowała w ganek. Wraz z tym ze wszystkich stron otoczyli obejście żołnierze w spiczastych czapkach i długich szarych szynelach. „A nu, choziain, wychodi!”. Dolina wyszedł na ganek. Nero, w pozycji „siad”, przywarł do jego lewej nogi. Staszek wyglądał zza uchylonych drzwi. Ku gankowi podszedł oficer z naganem w rękę, ubezpieczany przez dwóch żołnierzy. „Ruki wwierch!”, krzyknął na Dolinę oficer, potwierdzając to żądanie wymachem uzbrojonej ręki. I stało się! Przy tym ruchu Nero, nie czekając komendy, śmignął z przysiadu, capnął oficera za uzbrojone ramię i obalił go na schody. Trzymał zdobycz martwym chwytem i popatrywał na Dolinę. Ubezpieczający oficera żołnierze odskoczyli na boki, nie bardzo wiedząc, jak się zachować; nie mogli strzelać do psa, bali się trafić komandira. Dolina nie stracił zimnej krwi: „Zostaw, Nero! Noga...”. Pies zrobił to, co mu pan kazał.

Speszony oficer wstał i długo otrzępywał się z kurzu. Starszawy był, może dlatego nieporywczy. Uśmiechnął się nawet kwaśno. „Charoszaja sobaka”, pochwalił. Ale zażądał, żeby ojciec zrobił z tym psem porządek. Ojciec zamknął zdeorientowanego Nera do komórki. Co było dalej? Żądanie wydania broni, rewizja, odprowadzenie Doliny i wszystkich mężczyzn pod konwojem na zaleszczycką szosę, do sztabu sowieckiej jednostki. Skończyło się na tym, że rannych lotników Sowieci zabrali do niewoli, cywilnych uciekinierów i Dolinę zwolniono. Na krótko zresztą, bo samotny dom Dolinów przy zaleszczyckiej szosie nie zaznał odtąd ani chwili spokoju. Nękały go nieustanne rewizje i patrole ciągnących tędy coraz to nowych i nowych sowieckich oddziałów. I narastające z dnia na dzień zagrożenie napaścią przez rozzuchwalone ukraińskie siczowe bojówki.

W końcu nadszedł taki dzień, a właściwie ciemna wrześnieja noc, kiedy Dolinowie, żeby ujść z życiem, musieli z własnego domu uciekać. Jakaś zbójcka banda ostrzelała okna i podpaliła im bróg ze zbożem. Z Kolonii przedarli się jarami do Worwolińców, gdzie w pobliżu dworu rozlokowało się gęstą zabudową kilka polskich domostw. I tam, przytuleni przez gościnną rodzinę Niskich, trwali niepewni swego losu aż do owej feralnej, nie tylko dla Nera, lutowej nocy.

Nero na nowym miejscu też nie czuł się u siebie. Nie bardzo wiedział, co tutaj należy do jego obowiązków i gdzie jest jego miejsce. Pies Niskich, jak wszystkie podwórkowe Burki, w ciągu dnia drzemał przy budzie i co najwyżej leniwie obszczekiwał kury wałęsające się w jego pobliżu. Dopiero w nocy szorował łańcuchem po drucie rozwieszonym przez podwórko. Nero tolerował szczekliwego kolegę, ale się z nim nie bratał. Pilnował swojego pana, czasami Staszekowi na pastwisku towarzyszył.

Domy polskich kolonistów pod Zaleszczykami budowane były nowocześnie i podobnie. Dom państwa Niskich miał więc identyczny ganek jak opuszczony dom Dolinów. Widocznie Nero dobrze to zapamiętał, bo i tutaj każdej nocy na ganku pod drzwiami się mościł. Nadeszła zima, a zima z trzydziestego dziewiątego na czterdziesty rok była wyjątkowo sroga. Staszek co wieczór ocieplał psu legowisko w zacisznym ganku starą derką.

Co się zdarzyło z Nerem w noc wywózki, można się było tylko domyślać, bo nikt z mieszkańców uspiętego domu niczego przecież nie widział. Z twardego nadranego snu wyrwały ich odgłosy strzelaniny, a zaraz potem gwałtowne łomotanie do drzwi. Przerażeni myśleli, że to znowu napad siczowskiej bojówki. Ale tym razem było to NKWD i wywózka na Sybir. „Bystreje, bystreje, bystreje...”. Kto w takiej chwili miał głowę, żeby myśleć o psie czy innej gospodarskiej żywinie? To wszystko przyjdzie do nich później, ale teraz...

Dopiero kiedy Staszek lamentując przypadł do Nera i ojciec go od zakrwawionego psa ledwie odciągnął, zorientowano się, że Nero został zastrzelony.

Po drodze na stację w Worwolińcach rozgadał się z Dolinami woźnica, znany im Hryćko z Karolówki. Najpierw usprawiedliwiał się wstydliwie, że na tę podwodę milicja wzięła go przymusem, a potem tak opowiadał:

- Sołdaty i nasi milicaje podeszli do waszego ganku, żeby do drzwi postukać. A tu nagle jak ten wasz wilczur na nich nie wyskoczy, jak capnie jednego sołdata za szynel, jak szmyrgnie nim w śnieg. Warczy i nie puszcza. Inny sołdat z karabinu na postrach wystrzelił. Ale pies nic, tylko dalej tamtego trzyma. Wtedy ten ich starszy z NKWD wyjął nagan, przystawił psu do łba i wystrzelił. Martwy dopiero puścił. A ten sołdat, jak wstał, to pewnie z mściwości zaczął waszego psa sztykiem dziobać, aż go ten oficer odgonił.

Wlecze się Staszek przez upalną tajgę, ciągnie zrezygnowaną Mańkę na powrózku, muszki odgania i pot wyciera, ale w myślach wciąż jest gdzie indziej, daleko stąd, daleko...

Szepietówka. Już na pierwszy rzut oka wszystko tu jakieś inne, obce. Nie dziwota zresztą, bo są już za polską granicą. Z Szepietówki w głąb ZSRR prowadzą też inne niż w Polsce, szerokie tory kolejowe, nasze wagony do nich nie pasują. Stąd potrzeba przeładowania zesłańców z polskich wagonów do radzieckich. Dopiero przy tej okazji, w ścisłej obstawie konwoju NKWD, pierwszy raz od paru dni pozwolono im wyjść na zewnątrz, zaczerpnąć wiaderko wody i łyknąć odrobinę świeżego powietrza. Konwój konwojem, ale zawsze znajdzie się okazję, żeby się z innymi wagonami porozumieć, o krewnych i znajomych popytać.

Staszek zeskoczył na peron. W ciasnym przesmyku pomiędzy transportami ludzie przenosili się do rosyjskich wagonów. Nieco na uboczu - tłumek wokół czegoś czy kogoś. Co

się tam dzieje? Staszek zanurkował w tym tłoku i wysunął się do przodu. I wtedy zobaczył.

Na zmrożonym peronie klęczał mężczyzna w mundurze gajowego i tulił do siebie psa. Trzymał jego łeb, głaskał i przemawiał do niego czule. Pies cicho skomlał, lizał gajowego po rękach i ciągnął się ku jego twarzy. Do dziś Staszek gotów jest przysiąc, że widział, jak temu gajowemu łyzy z oczu kapały.

A stłoczeni wokół ludzie naszeptywali: „Cieszy się psina, bo nareszcie swojego pana odnalazła!”. „Jak to, odnalazła?”. „A tak to, bo wyobraź sobie pan, że ten pies doganiał nasz transport tak długo, aż dogonił”. „To niemożliwe! Człowieku, policz tylko, ile kilometrów myśmy od Zaleszczyk ujechali, chyba ze sto, a to i więcej będzie”. „Jakby tam nie było, ale pies przecież tu jest, co, nie widzisz go pan?”. „Wierzyć się nie chce, żeby taka psina tyli szmat drogi za pociągami przyleciała”. „Ledwie żyje, biedaka, a jak się łąsi!”. „I co z tym psiakiem teraz będzie?”.

Wieść o tym niecodziennym zdarzeniu migiem obleciała cały transport. Tłum wokół psa i gajowego gęstniał. Zjawił się komendant transportu. Stał nad gajowym. „Co tu się dzieje? Czemu utrudniacie przeładunek, obywatelu?”. Gajowy wstydliwie otarł rękawem mimowolne łyzy, spojrzął na komendanta i bez słowa, jedna po drugiej, pokazywał mu pokrwawione, opuchnięte psie łapy. A właściwie to już nie były łapy, tylko pokiereszowane kikuty. Pies cicho popiskiwał i wciąż ciągnął pysk, żeby polizać swego pana. Komendant poprawił futrzaną czapkę, podrapał się za uchem i spytał: „Twoja sobaka?”. Gajowy potwierdził: „Moja. Od samego domu, tyle kilometrów po torach! Panie naczelniku, niech mi go pan pozwoli zabrać”. „Kakoj ja tiebie pan. Jeszcze mi tu jakiegoś psa brakowało”. Ale machnął zrezygnowany ręką i rozkazał konwojentowi: „Czort z nimi. Niech sobie weźmie tego psa do wagonu. A teraz, obywatele, nie robić mi tu zbiegowiska, rozejść się do wagonów. A nu bystreje, bystreje!”.

Ludzie z transportu długo jeszcze niestworzone historie o gajowym i jego psie sobie opowiadali. Natomiast gajowy, który nazywał się Adamowski i jechał w sąsiednim z Dolinami wagonie, opowiadał tak:

- Gajowym to ja byłem z początku u księżnej Lubomirskiej, tej z Czerwonogrodu, niedaleko Thustego. Gajowy bez dobrego myśliwskiego psa? No to jakieś parę lat temu wystarałem się u kolegi, leśniczego z Borszczowa, o tego wyżła. Od szczeniaka jak własne dziecko go prowadziłem i jak o własne dziecko dbałem. Rasowy był i z metryki wabił się Morus. Ale niuch miał, panie! Wyżły w ogóle na niuch są najlepsze, to prawda, ale ten mój! Kiedy dziesiątego lutego przyszli Sowietci nas wywozić, to przyznam się do grzechu: głowy do Morusa mi zabrakło. Przypomniał mi się sam, na stacji w Worwolińcach, kiedy byliśmy

już w wagonie. W ślad za saniami na stację przyleciał. Po drodze go nie widziałem. Zresztą śnieżna zadyma wtedy była. Tak czy tak, jak mnie Morus w drzwiach wagonu zobaczył, poszczekuje z radości, podskakuje i do mnie się prosi. Ech, myślę sobie, co mi tam, każę mu, niech wskoczy. Ale akurat podbiegł żołdat, walnął psa kolbą, aż zawył, szurnał drzwiami wagonu i transport ruszył... No, myślę sobie, Morus, ostatni raz cię widziałem, co ty tam teraz, biedaku, beze mnie zrobisz, gdzie ty się podziejiesz... Aż tu, w Szepietówce, tak jak wszyscy wychodzę na peron, objam się pośród ludzi. Naraz słyszę jakieś poszczekiwanie, psie popiskiwanie, ale przez myśl mi nie przeszło, że to może być mój pies. Przystanąłem, rozglądam się i mało mi serce nie zamarło. Mores czołga się ku mnie po peronie, dopada i zaczyna lizać mnie po butach. Chryste Panie!...”.

Dalej gajowy nie musiał opowiadać, bo wszyscy w transporcie wiedzieli, że wierny pies i jego pan długo się sobą nie nacieszyli.

Wyczerpany do cna nieprawdopodobną, wielodniową pogonią za pociągiem, ze straszliwie okaleczonymi łapami, Morus zakończył swój żywot w zesłańczym wagonie jeszcze tej samej nocy. Ale u boku swojego pana...

Wspomnienia, wspomnienia: Trot, mama i Kalinowa, Nero, ojciec i Worwolińce, gajowy i Morus... Ale oto i Borowinka. Nareszcie! Gdyby nie śmierć dziadka Mitricza, powracająca ze spławu brygada Uliany nie miałaby powodu do narzekań. Tratwę spławili szczęśliwie, nie tylko dla sowchozu, ale i dla siebie parę dodatkowych rubli zarobili. Gdyby nie śmierć dziadka Mitricza... Nie dość, że cała Borowinka spokoju im nie dawała, dopytywała się, jak to się stało, to jeszcze dyrektor Abramow urzędowo ich przesłuchiwał. Wzywał każdego osobno, przepytował i mozolnie coś w swoim zeszycie zapisywał. „Tylko prawdę mówcie, bo to dla milicji będzie. Bo co wy sobie myślicie, śmierć człowieka to sprawa urzędowa! A jak mnie pytają, gdzie się taki i taki obywatel Pankratow podział, to im zeszyt pokażę, ot, proszę, świadkowie są, tak i tak o jego śmierci opowiadają”. I solennie obiecał, że jak tylko Ija pierwszym lodem stanie, specjalną podwodę wydzielili i Uliana, z kim będzie chciała, po zwłoki Mitricza pojedzie, żeby je w rodzinnej Borowince godnie pogrzebać.

Lato się zaczynało, sianokosy. Po spławie brygada Uliany się rozleciała, każdy czekał, jaką nową robotę Abramow mu przydzielili. Niedługo po powrocie Nastka pochoronkę dostała, została sama z dwójką dzieci. Wańce nie dość, że ojca na wojnie zabili, to jeszcze teraz matka mu ciężko zaniemogła. Staszкови też nie bardzo się szczęściło: listu od ojca jak nie ma, tak nie ma; co z nim - żyje, nie żyje? Całe szczęście, że Bronia Barska, tak jak ojcu przyrzekła, małym Tadkiem się opiekuje. Lżej Staszкови z tą świadomością, kiedy całymi dniami, a to i

tygodniami, jak ostatnio na sławie, w chacie na Wołczym Chutorze go nie ma. Dziadka Mitricza często wspomina. Wspólnej z nim pracy żałuje, choćby wypasania sowchozowego bydła. Ile to razy Mitricz przymykał oko, kiedy Staszek z butelką mleka, którego dojarki też po kryjomu mu nie żałowały, biegł po nocy z dalekiej pasterskiej zagrody na Wołczy Chutor, żeby je zanieść Tadkowi i Broni, choć odrobinę ich tym podratować. I jeszcze tej samej nocy wracał, by wraz ze wschodem słońca wygonić krowy na pastwisko.

Ostatecznie Abramow przydzielił Staszka do brygady wyprawiającej się w tajgę na sianokosy. „Tam najbardziej się przydasz. I robota w sam raz dla ciebie. Weźmiesz swojego Sierka i wołoską będziesz tam siano pod sterty zwłóczył. I co ci tam Sobolicha każe, bo ją na brygadzystkę wyznaczyłem”.

Wyruszyli kosić siano na daleką Kozacką Polanę. Szło ich sześcioro: wspomniana Maryna Sobolewa - Sobolichą zwana, Fiokła Muraszkina, Katia Stieblowa, chromy dziadek Mikiszka, Staszek i... Aniuta! Z obecności w brygadzie Aniuty Staszek prawdziwie się ucieszył, tym bardziej że dziadka Mikiszkę i pozostałe baby znał słabo i nigdy jeszcze z nimi razem nie pracował.

Od powrotu z zimowej poręby Aniutę widywał rzadko. Na sławie jej też nie było. Kiedy Uliana brygadę na sław kompletowała, spytał, czemu Aniuty nie bierze.

- Bo myślałem, że jak razem z nami na porębie była...

- Na porębie to na porębie. Bóg jeden wie, co takiej do łba może strzelić. A niech mi z tratwy do wody skoczy albo do tajgi ucieknie? Coraz bardziej jakby rozum traci ta nasza Aniuta, to się śmieje bez przyczyny, to znów płacze nie do uspokojenia, do tajgi ucieka. I weź tu taką na sław, same kłopoty tylko.

Wrócili ze sławu. Aniuta z matką mieszkała w Borowince, Staszek na odległym Wołczym Chutorze. Spotykali się przypadkowo, na sowchozowym obejściu, na drodze przez wieś, rzadziej w dorywczej pracy. Aniuta nie tylko go poznawała, ale zawsze przystanęła, czasami nawet z uśmiechem, pogadała chwilkę. A gdy byli sami, to nawet dłużej. Tyle że nawet w takich pogaduszkach była wyraźnie nieuważna, plątała wątki i myśli, nie kończyła zdania. Smutna. Z podpuchniętymi, fioletowo podkrążonymi oczami. To wpatrywała się Staszekowi w oczy z takim napięciem, że chłopak mimowolnie wzrok opuszczał, to znowu błędziła oczami po bokach albo milkła w pół słowa i długo wpatrywała się w niebo. Żegnała się ciepło. „Do zobaczenia, Staś”, to znów raptownie odchodziła bez słowa. I coś tam przy tym pewnie sobie rozmyślała, bo Staszek widział, jak odchodząc gestykułuje, jakby z kimś rozmawiała.

Przed wyprawą na sianokosy zbierali się przed sowchozową kancelarią. Aniuta

przyszła na czas, po swojemu na czarno odziana. Niegadatliwa, trzymała się na uboczu. Na Staszkowe powitanie odkloniła się bez słowa, ale śpiesznie pogrzebała w swoim tobołku, odłamała kawałek podpłomyka i bez słowa mu go podała. Spłonął wstydem, tym bardziej że to przy babach, próbował odmówić:

- Nie nada, spasibo, jadłem dopiero.

- Kuszaj, Staś, kuszaj - powiedziała łagodnie, wetknęła mu placek do ręki i odeszła na bok. Ni to zaraz go jeść, ni na potem do kieszeni schować.

Prowadził dziadek Mikiszka, najkrótszą drogę przez tajgę wytyczał. Za nim szły baby, a na końcu Staszek, prowadzący konia za uzdę. Wszyscy, od konia poczynając, obławowani byli kosami, prowiantem, słowem tym, co im na sianokosach mogło się przydać.

Tajga omdlewała w upale. Zapachy żywicy i bujnych traw mieszały się z senną wonią rozpanoszonej nad brzegiem rzeki okwitającej czeremchy. Im głębiej zanurzali się w tajgę, tym zacieklej atakowały ich nieprzebrane chmary muszek i komarów. Całe szczęście, że mieli siatki na głowach. Najbardziej cierpiał Sierko, który nie dość, że objuczony ponad miarę, oprócz ogona przed tym żarłocznym gadaństwem nie miał żadnej obrony. Staszek oganiał mu mordę paprotnikiem, co jakiś czas przystawał i wycierał cierpliwemu koniowi zalepione muszką, pocięte do krwi oczodoły.

Na Kozackiej Polanie stała stara chałupa - „zimowie” - w której rokrocznie zatrzymywali się sowchozowi kosiarze, a w zimie zabłąkani w te strony myśliwi. Baby, jak to zwykle, krzątały się przy porządkowaniu izbuszki. Dziadek ze Staszkiem grodzili żerdziami przypust dla konia. W odróżnieniu od milkliwego Mitricza, dziadek Mikiszka lubił sobie pogadać.

- Bab nie chciałem na zapas straszyć, ale ty musisz wiedzieć, że Miszka Toptygin lubi tę polanę, oj, jak lubi. A nie daj Boże, jakby tu się niedźwiedzica z małymi zjawiała. A jak jej jeszcze do łba strzeli koninką się pożywić, twojego Sierka zaatakować? Czy to wiadomo, co takiemu niedźwiedziewi do łba strzeli? Trzeba będzie nocami konia pilnować. Berdanę breneką się załaduje i oba na zmianę powartujemy. A strzelnąć ty w razie czego potrafisz? Wiem, wiem, o tym niedźwiedziu, co ciebie kiedyś postraszył, baby po całej Borowince rozповідаły. Tak sobie, dla porządku, spytałem; nietutejszy jesteś, nie z tajgi. Niedźwiedź niedźwiedziem, a rosomachę w tajdze spotkałeś? No i nie daj ci Boże, żebyś ją spotkał. Rosomacha to nie zwierz, tylko czort wcielony. A z wyglądu paskuda jaka! A najgorsze, ubijesz taką, a ona do niczego ci nieprzydatna: mięso nie do zjedzenia, skóra i futerko też funta kłaków niewarte. Ni to kot, ni to pies, ni to do małego niedźwiadka podobne. Ma ci taka rosomacha z metr długości, wagi ze dwa pudy, niskie to jest i przysadziste. A zwinne, bystre i

skoczne jakie! Parę razy na własne oczy widziałem, jak rosomacha jelenia czy łośia dogoniła, na grzbiet mu wskoczyła i jak mu zębiska w kark wbiła, to tylko krew sikała! Strzeliłem raz taką, a sochatego dobiłem, po co ma w męczarni zdychać. Ledwie ubitą rosomachę od niego oderwałem, tak mu się ta zaraza kłami wczepiła. Maści jakiej? Czarnobura, do niedźwiedzia trochę z koloru podobna. Z czoła, na mordzie, takie pręgi ma nieco jaśniejsze. I z tyłu, przy ogonie, takie same. Ale ta jej mordą, mordą, synu! Jak ci się kiedyś, nie daj Boże, sam czort przyśni, to tak właśnie okrwawiona mordą rosomachy wygląda. Wyobrażasz sobie, jakby taka rosomacha naszego Sierka w nocy dopadła? W okolicy Kozackiej Polany rosomachę często spotkasz. Ona takie tereny lubi, nadrzeczne chaszczce i szuwary to dla niej w sam raz. W dzień się w nich chowa, a dopiero w nocy poluje. Na wszystko poluje, bo to już taka zaraza. Na człowieka? Człowieka chyba się trochę boi, unika. Nie słyszałem, żeby rosomacha człowieka zaatakowała, ale kto ją tam wie. Pewnie, że pies by nam się tu przydał. Człowiek w tajdze bez psa to jak bez ręki. Ale co tu poradzisz, kiedy minionej zimy wilki w nocy pod samą chatę podeszły i z mojej łajki tylko kłaki zostały. Z wiosną o szczeniaka się postarałem, ale nim taki tajgi się nauczy... Zostawiłem go z babką w chałupie, bo co tu z takiego za pożytek?

Pogoda kosiarzom sprzyjała. Wstawali o bladym świcie i wszyscy, nie wyłączając Staszka, łapali za kosy. Po rannej rosie najlepiej się kosi. Pierwszy w rzędzie szedł dziadek Mikiszka, za nim baby, jak się tam która ustawiła. Staszek na końcu. A że bez doświadczenia, a może z bezsily, nie zawsze nadażał. Baby się z niego dobrotliwie podśmiewały. Tylko Aniuta brała go w obronę, co jeszcze bardziej jątrzyło jego ambicję. Dłonie miał całe w piekących bąblach, pod wieczór ledwie nogami powłóczył. Mikiszka był wytrzymałym staruchem. Trzymał ich na pokosie do samego południa. Dopiero kiedy na trawie wyschła ostatnia kropla rosy, a kosiarze nie mogli się opędzić przed chmarami muszki, odkładano kosy.

- Patrzcie ino, jakie delikatne, muszka im przeszkadza - dogadywał babom Mikiszka i przy lada okazji powtarzał porzekadło: „Sibir błagaja, tolko maskara złaja i zdiesznije baby durnyje”<sup>10</sup>. Wot, co ja wam powiem!

- Sam ty stary durak! Gieroj mi się znalazł. Kończymy, baby! - komenderowała podenerwowana Sobolicha.

I dopiero wtedy był czas, żeby coś przegryźć i w cieniu odpocząć. Potem wracali na pokos, przewracali, suszyli skoszoną trawę. Pod wieczór rozpalano ognisko i baby warzyły w kotle jakąś strawę, najczęściej jęczmienną kaszę. Rzadziej uchę z rybiej drobnicy, którą

---

<sup>10</sup> Syberia ponętna, tylko muszka natrętna i tutejsze baby głupie.

Staszek wyciągał z zastawionego na rzece, zmyślnie wyplecionego wiklinowego kosza. A kiedy Mikiszce udało się upolować kaczkę albo jarząbków parę, wtedy dopiero była ucztą! W ciągu dnia dożywiali się okazjnie poziomkami albo „kłubniką” - dzikimi truskawkami, których w tym roku na Kozackiej Polanie nie brakowało. Nie brakowało im też czosnkowej „czeremszy” i na koczach cybuchów dzikiej cebuli. Tylko chlebnych sucharów z dnia na dzień im ubywało.

Wieczorami baby myły się w rzece, prały swoje fatałaszkę. Staszek płał Sierka i sam nie był od tego, żeby w wieczornej ciepłej wodzie popływać. Baby długo potem siedziały przy ognisku, plotkowały, żartowały i popłakiwały, oddając się wspomnieniom. Często ładnie, na głosy podśpiewywały:

*Rozlitaś Wołga szeroko,  
Miłyj moj tiepier' daleko...*

Albo te, gdzieś tam od kogoś zasłyszane, najmodniejsze, wojenne: *Na pozycyju diewuszka prowaiiała bojca*. Albo smutną z najsmutniejszych: *Wiotsa w tiomnoj pieczurkie ogoń, na polenach smoła kak śloza*.

Nad Kozacką Polaną unosił się miodny zapach schnącego siana. Skończyli koszenie. Pora grabić, zwłóczyć siano i złożyć je w wielkie stogi. Rozrzucone po łące siano nakładano na brzozowe włóki - wołokusze - i Staszek zwoził je koniem pod stertę. Siano należało ułożyć, udeptać mocno i jeszcze żerdziami umocnić, żeby wichry sterty nie rozwiały, jesienne deszcze nie zamoczyły. Stogi siana na Kozackiej Polanie miały doczekać zimy, bo dopiero wtedy, sanna drogą po zmarzniętej rzece, można było je do sowchowu przewozić.

W środku którejś nocy zbudziła Staszka Sobolicha.

- Słyszysz, jak twój koń wariuje? Mało ściany kopytami nie rozwali. Mikiszka już tam ze strzelbą poleciał.

Wybiegli wszyscy. Noc była jasna, księżycowa. Ujrawszy ludzi, Sierko powoli się uspokajał. Mikiszka ze strzelbą w pogotowiu rozglądał się dookoła.

- No i co to było? - dopytywały się zaspane baby.

- A czort go wie. Cisza, niczego nie widać.

- To czemu koń tak wariował?

- Przestraszył się. Fakt. Może niedźwiedź, a może ta zaraza rosomacha?

- Baby! A może to duch jaki?

- Przestań, głupia, i bez tego się boję, a ta jeszcze: duch!

Postali chwilę, postali, Staszek konia uspokoił, nic się nie działo, no to wrócili pospać



jeszcze chwileczkę.

Rano nocna tajemnica się wyjaśniła. Ślady i spustoszenie na pokosie nie budziły wątpliwości, kto tak konia w nocy przestraszył. Niedźwiedź! W złości czy dla zabawy, porozwalał kilka stogów siana, zniszczył brzożową wołokuszę, którą Staszek siano zwłóczył, rozniósł w strzępy kufajkę, którą Aniuta pod kopką siana zapomniała. Mikiszka pochodził śladami, podumał i orzekł bezapelacyjnie, że na Polanie grasowała niedźwiedzica z małymi.

- Czego ona tu szukała?

- Zgłodniała widać. Nie tylko człowiek, jak głodny, to zły. A może pogonić nas stąd chciała, bo jej przeszkadzamy.

- A żeby ją! Tyle przez nią roboty! Dzisiaj mieliśmy skończyć, a tu... masz ci los.

Dwa tygodnie mijały, baby stęskniły się za domem, za dzieciakami. Staszekowi też już się tu dłużyło. Myślał o Tadku, jak mu tam z Bronią. Co tam z ojcem, może nareszcie list od niego przyszedł. Byle tylko, nie daj Boże, ta, ta... Bał się nawet tym słowem pomyśleć, a co dopiero je wymówić. A tu przez tego niedźwiedzia jeszcze jeden dzień albo i dłużej na Polanie zmitręzą.

Tak jak w zimie na porębie, tutaj też wszyscy spali na jednej pryczy. Dziadek Mikiszka od ściany, Staszek obok, a tuż przy nim Aniuta. Sama sobie pierwszego wieczora to miejsce wybrała i tak już zostało. Staszekowi w to graj, bo wolał mieć obok Aniutę, którą lubił i do której jeszcze w zimie się przyzwyczał.

Wymęczony całodzienną harówką Staszek kładł się spać i prawie natychmiast zapadał w kamienny sen. Noce były ciepłe. Spało się bez przykrycia. Aniuta leżała późno, kiedy Staszek już się z boku na bok przekręcał. A kiedy świtem się budził, Aniuty już nie było: swoim zwyczajem biegła raniutko nad rzekę, myła się tam i przynosiła w wiaderku wodę na poranną herbatę. Ale zdarzyło się ze dwa razy, że Staszek budził się w nocy pod przemożnym wrażeniem, że ktoś mu się przygląda. Ostrożnie uchylał powieki i widział nad sobą nisko pochyloną Aniutę. Leżał bez drgnienia, słyszał jej przyśpieszony oddech, bał się, nie wiedział, co o tym myśleć. Trwało to tylko chwilę. Aniuta cicho wzdychała i układała się na swoim legowisku. Staszek nie spał już do świtu. Na sianokosach Aniuta Staszka nie unikała ani też specjalnie go nie wyróżniała. Może tylko, wierna swojemu, stale podsuwała mu coś do zjedzenia. Lubiała się przysłuchiwać, kiedy przy wieczornym ognisku baby wypytywały go o Polskę. Często pracowała z nim w parze przy zwłóczeniu siana. Któregoś wieczoru, kiedy wypławił konia i ten popasał na rosistej trawie, siedział sobie na brzegu, gapiąc się w szemrzącą rzekę. Nie dosłyszał, jak ktoś podkradł się od tyłu i zasłonił mu rękami oczy. Lekko przestraszony, poznał jednak od razu.

- Aniuta!

Uśmiechnięta, co rzadko się zdarzało, przysiadła i nałożyła mu na głowę wianek z żółtego mlecza.

- Ładnie ci!... A jak poznałeś, że to ja?

- No... po twoich dłoniach.

Zaczęła przyglądać się swoim dłoniom, przekręcała je tak i siak.

- A co w nich takiego, dłonie jak dłonie; zaniedbane, spracowane.

- Małe są, inne...

- Ciekawe, to i innym dłoniom też tak się przyglądasz? Siedzisz tu tak sam, myślisz...

O czym?

- Bo ja wiem? Ot tak, o wszystkim.

- Ja też tak zamyślam się czasami, do normalności trudno potem wrócić. A o tej swojej Polsce myślisz?

- Myślę... O Polsce chyba najczęściej.

- I co ci się wtedy polskiego widzi?

- Co widzę? Różnie... Ale najczęściej widzę sad. Śni mi się często. W Polsce u mojego dziadka był wielki, stary sad. Wszystko tam było, wiśnie, czereśnie, śliwki, gruszki. A jakie jabłka!

- A ja jeszcze żywego jabłka na oczy nie widziałam, a co dopiero, żeby spróbować... Tyle co na obrazku. Ech, zresztą!

Wstała gwałtownie, szarpnęła chustkę z głowy i szybko odeszła. Staszek chciał ją doganiać, może zawołać, ale zrezygnował. Poszedł po konia. Sierko zarżał, uniósł łeb i mokrymi wargami szarpnęła wianek, który dotąd tkwił na Staszkowej czuprynie, i schrupał go smakowicie. „Całkiem o wianku zapomniałem, dopiero baby by mnie wyśmiały”.

Nim wszystkie szkody narobione przez niedźwiedzie usunęli, zeszło im jeszcze parę dni. W te ostatnie noce Mikiszka na zmianę ze Staszkiem czuwali ze strzelbą na zewnątrz, żeby w razie ponownego najścia próbować niedźwiedzia odstraszyć.

- A ty, chłopcze, w razie czego, jak tylko Miskę z daleka zobaczysz, nie czekaj, tylko strzelaj! Na postrach pał, do góry. Powinien odejść. Bo gdybyś, nie daj Boże, go trafił, a nie zabił, no to koniec z nami; chałupę rozwali i nas pozabija.

Staszek zagrzebał się w siano i czuwał. Słyszy, jak Sierko spokojnie przeżuwa siano. Noc ciepła. Księżyc na nowiu, ciemnawo. Ta ciemność Staszka peszyła, bo jeszcze niedźwiedzia na czas nie dostrzeże. Liczył na konia, na jego słuch i węch. Sto razy przemyślał, jak się zachowa, kiedy w ciemności jakiś zwierz się wyłoni. A jakby tak

rosomacha? Przesuwał strzelbę bliżej i wślepiał się w ciemność. W izbuszce już dawno wszyscy posnęli. Nawet tutaj słychać głośne chrapanie dziadka Mikiszki. Staszek mimo woli zdrzemnął się chyba, a może tylko zamyślił? Parsknął koń, zaszeleściło siano. Niby biała zjawą wyłoniła się przed nim... Aniuta!

- Przestraszyłeś się? A to ja, posuń się odrobinę.

Wsunęła się do siennego legowiska. Z rozpuszczonymi na noc włosami, w białej koszuli. Współleżeli ciasno. Staszek czuł jej gorące, prężne ciało. Co jej do łba strzeliło, czego tu chce?

- Spać jakoś nie mogłam. Pomyślałam, pójde do Staszka, razem tego niedźwiedzia przypilnujemy, pogadamy, i noc jakoś zleci. Nie gniewasz się, że przyszłam?

- Coś ty, na ciebie? A zresztą, o co mam się gniewać?

Milczeli. Ułożyła się wygodniej, patrzyła w niebo, po którym przemykały lekkie chmury. Biło od niej gorąco. Czuł się dziwnie. Przysiadł, żeby choć tym sposobem stłumić męskość, która nagle zaczynała mu o sobie przypominać. Byłe zagadać, coś zrobić...

Sięgnął po strzelbę.

- Mikiszka radził, żeby w razie czego najpierw na postrach strzelać. Ale ja to prosto w niedźwiedzia, trach! I już go nie ma.

- Daj spokój z tym niedźwiedziem. Popatrz lepiej na niebo. Przejaśnia się, gwiazda spada. Pewnie znów jakiś człowiek umarł. Tak mówią, kiedy gwiazda spada. Ile tych gwiazd naspadało, a wciąż ich bez liku na tym ciemnym niebie. Gwiazda spada, człowiek umiera...

Aniuta łagodnie ujęła go pod brodę.

- Staś, ile ty masz lat właściwie?

- No, no, siedemnasty mi idzie.

- Szesnaście miałam, kiedy mnie dwa lata temu za Grizzkę wyswatali... Dwa lata temu, Griszka... A teraz?... To dzieciak z ciebie jeszcze, Staś...

- Dzieciak!? Niedługo, może nawet jeszcze tego lata, na wojnę pójde. W wojenkomacie byłem...

Przerwała w pół słowa, dłonią mu usta przysłoniła.

- Cicho, ani słowa więcej. Ja ci dam wojnę! Nie waż się przy mnie więcej tak mówić: „Na wojnę pójde”. Patrzcie go! On pójdzie na wojnę! Wypluj te słowa. Nie dam cię na wojnę, nie pozwolę, nie dam!

Objęła go i mocno przytuliła. Pachniała piołunem, świeżym mlekiem i tą całą parną nocą. Staszek słyszał bicie jej serca, czuł twardość piersi. Wpiła mu się w usta. Całowała go po twarzy, czuł jej gorące wargi na szyi. Jej niecierpliwie dłonie zdzierały z niego koszulę,

stopami zdrapywała mu spodnie. Oddychała szybciej i szybciej. Czułe słowa przeplatała słonymi, łzawymi pocałunkami.

- Śmierć na wojnie, śmierć... kuleczka w białe czółko trafi, serduszko bić przestanie... rączkę, nóżkę oderwie... zabiją cię na wojnie, kochaniutki... życie ci dopiero pisane... co mamy z tego życia, jabłuszko ty moje niespróbowane...

Zaskoczony, półprzytomny z wrażenia, Staszek nie kontrolował swojego ciała, które do skurczu w lędźwiach prężyło się jak struna, to znów bezwolnie wtapiało się w jej objęcia. Po omacku błędził po jej twarzy, szukał ust i niezdarnie próbował oddawać pocałunki. Kiedy rozebrała go do naga, zdarła z siebie koszulę, a jej gorąca dłoń dotknęła jego przyrodzenia, od dawna było już twarde i gotowe. Splątani w jedno, gwałtownie szukali siebie. A kiedy Aniuta wprowadziła wreszcie jego nabrzmiałą i pulsującą męskość pomiędzy szeroko rozwarte uda i ścisnęła ją gorącą, wilgotną otuliną, dla Staszka świat przestał istnieć...

Obudził się półprzytomny, zagrzebany w siennym barłogu. Poraził go jasny świt. Przetarł oczy, czuprynę, wypluwał paprochy siana. Aniuty obok nie było. Wracała świadomość minionej nocy. Głupio, niepewnie, a nawet strachliwie. Chyba mi się to wszystko przyśniło, pomyślał. Ale nie. Był nagi i dziwnie obolały. W pośpiechu, bojąc się, że lada chwila ktoś wyjdzie z izbuszki i takim go zobaczy, wyszukiwał i naciągał odzienie. Mocował się z koszulą, kiedy wyszedł dziadek Mikiszka pokaszując i tuż za węglem załatwiał poranną potrzebę.

- No, jak tam noc? - spytał Staszka. Nie czekał odpowiedzi, tylko przysłonił ręką oczy i patrzył na wschodzące słońce. - Czerwono wschodzi. W sam raz wczoraj skończyliśmy, bo jak nic, tylko patrzeć, jak lunie. Może nawet jeszcze dzisiaj wieczorem. Najwyższy czas zbierać się do domu.

Zaczęły wylazić zaspane, poziewujące baby.

- Co, Aniuta wody jeszcze nie przyniosła? Herbaty bym się napiła.

- Pewnie myje się tam, czyścioszek.

Mikiszka krzątał się przy rozpalaniu ogniska. Staszek wyprowadził Sierka z zagrody.

- Jadę konia napoić.

- To pośpiesz tam Aniutę z tą wodą!

„Pośpiesz, pośpiesz”... Po takiej nocy Staszek nie mógł sobie wyobrazić pierwszego tego ranka spotkania z Aniutą. Noc nocą, dzień dniem - co jej powiedzieć na powitanie, jak spojrzeć w oczy?

Rzeka dymiła poranną mgłą. To tu, to tam pluskały ryby. Na drugim zamglonym brzegu popiskiwały kuliki, kwakały awanturujące się kaczory. Aniuty nad rzeką nie było.

Może po drodze się minęli? I nawet z tego się ucieszył. Koń pił wodę długo, na kilka zachodów. Staszek zdjął koszulę i umył się do pasa. Wargi miał spuchnięte, przygryziony język. „Żeby tylko baby czegoś po mnie nie wyczały”.

Wrócił, a baby z pretensjami pytają o Aniutę.

- Nie ma jej tam nad wodą. Myślałem, że inną ścieżką wróciła.

Któraś z bab zauważyła na pryczy porzucone odzienie Aniuty.

- A to ci wariatka! Tylko w samej koszuli poleciała.

- I bez wiaderka!? To gdzie ona jest?

- Widać znowu ją nosi, wariować zaczyna. Pewnie po tajdze lata.

- Biedna i tyle, co na to poradzisz.

- Żeby tylko szybko wróciła, bo niedługo do domu wyruszamy...

Czekali na Aniutę do południa. Potem już naprawdę zaniepokojeni zaczęli jej po okolicy szukać i głośno nawoływać. Dziadek Mikiszka prawie wszystkie naboje wystrzelał. Aniuta zniknęła, jakby pod ziemię się zapadła. Dwa dni i dwie nieprzespane, trwożne noce jeszcze Aniuty na Kozackiej Polanie czekali. W nocy wielkie ognisko podsycali. W dzień szukali i nawoływali. Wszystko bez rezultatu.

- No cóż, baby, nie ma rady, zbieramy się do domu. W tajdze różnie z człowiekiem się zdarza. A bywa, że już nigdy o nim się nie dowiesz. Czasami dopiero po latach, tak i z naszą Aniutą być może. Może jeszcze żyje gdzieś tam? Może sama do Borowinki wróci? A jeśli nie ma jej już wśród żywych, to my jej i tak już pomóc nie zdołamy, świeć Panie nad jej duszą. Ruszamy, baby, ruszamy!

Półprzytomny i pełen poczucia winy Staszek ujął objuczonego konia za uzdę i powlókł się za babami. I przez całą długą drogę aż do Borowinki co chwila odwracał głowę z nadzieją, że ujrzy doganiającą ich Aniutę.

O dziwo, w Borowince nikt się specjalnie zaginięciem Aniuty nie przejął. Tylko Abramow, podobnie jak po śmierci dziadka Mitricza, brygadę z Kozackiej Polany przepytał i coś tam w swoich papierach zanotował.

- Na wszelki wypadek - jak mówił. I dogadywał optymistycznie: - Wróci, wróci. Mało to razy w tajdze na parę dni zniknęła, ale zawsze wracała? A potem jej się nie dopytasz, gdzie była i co tam robiła. Z upadłymi na rozumie tak bywa. A w tajdze kogoś szukać to gorzej niż igły w stogu siana.

Podobnie o zniknięciu Aniuty myślała i plotkowała cała wieś. Tylko stara matka nad losem jedynej córki beznadziejnie popłakiwała.

I Staszek bezustannie myślał o Aniucie. Czas płynął, a on wciąż nie mógł się z jej

zniknięciem pogodzić. Nosił w sobie poczucie winy, karmił się za to, że jak mógł wtedy tak mocno zasnąć, wtulony w jej objęcia, i nie wyczuć, jak się ona z tych objęć wyplątuje i odchodzi. Czemu tak postąpiła, co sobie myślała, dokąd poszła i co ze sobą zrobiła? Wbrew temu, co ludzie mówili, Staszek nie wierzył, że Aniuta była wariatką. Tyle razy z nią rozmawiał i nigdy czegoś takiego nie wyczuł. A to, że zdarzało jej się zamyślić, zgubić wątek w rozmowie czy w niebo się zagapić? A z kim tak nie bywa? Tamtej nocy na Kozackiej Polanie, nim zdarzyło się między nimi to, co się zdarzyło, wszystko, co wtedy Aniuta mówiła, słowo w słowo mógł powtórzyć, wszystko u niej miało sens i porządek. Nawet już po tym szalonym upojeniu, kiedy bezsilnego i rozedrganego z emocji tuliła go do siebie i czule obcałowywała.

- Stało się, Staś, stało... Przytul się do mnie mocniej, przytul. Czuję, jak ci serce mocno bije. Nie przejmuj się, nie wstydz. Może tylko tyle na tym świecie naszego... O tak, tak, jeszcze mocniej się przytul, żebym całego cię czuła. No już dobrze, dobrze, uspokój się, miły, odpocznij...

Tulił się do niej mocno, dobrze mu było, ale słowa potrzebnego na tę chwilę znaleźć i wypowiedzieć nie potrafił. Aniuta była pierwszą kobietą w jego życiu, z którą spełniła się do końca jego dojrzewająca męskość. Czy ona się tego domyślała? Jeśli nawet, to nie dała mu tego odczuć. Aniuta, Aniuta! Nie ma już Aniuty, przepadła, zagubiła się w tajdze. A może tylko pełna burzliwych wirów Ija zna jej ostateczną tajemnicę? A może...

Znowu jesień! Która to już jesień w tajdze i na Sybirze? Staszekowi nie tylko liczyć, ale nawet myśleć o tym już się nie chce. Smutno mu, ma żal do całego świata. Czarna beznadzieja. Gdyby nie ta przemożna wiara i chęć powrotu do Polski, zupełnie źle by z nim było. Żeby tylko ta wojna, tak od Sybiru zda się daleka i nieznana, nareszcie się skończyła. I żeby jego ojciec na tej wojnie ocalał, wrócił tu po nich na Sybir i do Polski zabrał. Żeby chociaż dał jakiś znak o sobie...

Jesień. Tajga zmieniała barwę z ciemnej mrocznej zieleni na złocisty brąz. Jeśli stanąć na wzgórzu, to jak okiem sięgnąć widzi się brązowozłote czupryny modrzewi, cedrów, brzoźowych przylasków i drżącej osiki. Gdźieniedzie tylko, jakby dla kontrastu, zielone plamy świerczyny i jodły. Na starych pogorzeliiskach, pośród osmolonych pni, kępy ostrej, wysokiej ponad człowieczą miarę usychającej trawy. A tam, gdzie słońce częściej przez korony drzew przyświeca, fioletowe wrzosa, gęsty dywan mchów przysypany opadającymi sosnowymi igłami. Na takich polanach dojrzewa brusznica. I grzybów w jesiennej tajdze zatrzęsienie: dorodne borowiki, płaczące krwistorude rydze i ich biała odmiana, zwana przez miejscowych „gruździami”. Na skraju licznych w tajdze błotnych topieli, usianych

brodawkami „koczek”, pod złudnym dywanem posiwiąłego mchu, ukrywającego zdradliwą toń dla wszystkiego, co żywe, granatowią się krzewy „klukwy” - błotnej kwaśnej borówki, płoży się rubinowa żurawina - „moroszka”. Nasłonecznione skłony tajgi oblubował sobie „bagulnik”-rokitnik i przyciąga wzrok złotobrazowymi jagodami. To jagody bagulnika tutejsze wróżebne staruchy - znachorki uważają za najlepsze lekarstwo na wszystkie możliwe ludzkie przypadłości i choroby. No i skarb nad skarby jesiennej wschodniosyberyjskiej tajgi - cedrowe orzechy!

W tajdze już jesień. Wieczorem nagrzone za dnia rzeczne doliny zaciąga gęsta mgła, która utrzymuje się do następnego ranka, a to i do południa. Wielkie tajgowe rzeki też inaczej niż w lecie, nie mówiąc już o wiosnie, się prezentują - woda w nich czysta, przejrzysta, a nurt spowolniony i leniwy.

I ptactwo dalekosieżne wczesną jesienią do ciepłych krain odlatuje: dzikie gęsi, strojne klucze żurawi, sygnalizujące swój odlot charakterystycznym klangorem. Ileż to razy Staszek, spozierając spod ręki na te podniebnie lecące na zachód ptaszyska, zazdrościł im w duchu. Gdyby tak mógł, jak one, zerwać się i polecieć, kiedy i dokąd mu się chce...

Jak tylko w sowchozie wolny dzień im się zdarzył, Staszek z Wańką wyprawiali się po cedrowe orzechy. Jeśli na urodzajny cedrowy zagajnik trafili, szybko napychali worki dorodnymi szyszkami i taszczyli je do domu. Tutaj wysuszone w piecu, wyluskane orzechy wielkości ziarnka kawy smakowały oleście słodko i często pierwszy głód tłumili.

Na taką wyprawę Wańka zbroił się w ojcowską strzelbę i przepawali się łódką-dłubanką na drugi brzeg Iji. Raz nawet u Darii wyprosili Mańkę, sierocą psinę po dziadku Mitriczu, bo strzelba strzelbą, ale z psem w tajdze jeszcze różniej. Mańka z radości merdała ogonem, bo dawno już w tajdze nie była. Ale stara już, półślepa psina wyraźnie przeliczyła się z siłami; ciężko dyszała i zamiast psim zwyczajem biec na przedzie, wlokła się w tyle. „Starość nie radość”, skostatowali chłopcy, i w drodze powrotnej, oprócz worków z szyszkami, na zmianę speszoną Mańkę dźwigali.

Na drugim brzegu Iji tajga wspinała się na wzgórza, opadała w rozległe jary i wąwozy. Tam, w kierunku na dalekie góry Sajany, przez Buriatów Czarnymi Górąmi zwane, krzewiło się najwięcej cedrowych mateczników. Akurat chłopcy przecinali rzadko używany dukt prowadzący do Arszanu, jak usłyszeli, że chyba ktoś nadjeżdża. Klekot kół po korzeniach, parskanie konia i pogłosy rozmowy.

I chyba nawet kobiecy śmiech ich doleciał. Wciąż pod wrażeniem zagubionej Aniuty, Staszek aż drgnął: „Kobieta! A może to ona?”. Zmilczał tę niedorzeczność w sobie.

Z nieznanymi ludźmi w tajdze, podobnie jak z dzikim tutejszym zwierzem, nie

zawadzi być ostrożnym. Mieli co prawda strzelbę, ale co tam dla zdesperowanego „warnaka” albo zbiega - strzelba. Zeszli z drogi na pagórkowate pobocze. Zza zakrętu wyłonił się jednokonny wóz, półkoszkowata platforma. Powoził siwobrody staruch. Obok niego na snopku słomy leżał żołnierz, co było poznać po szynelu i czapce pilotce z czerwoną gwiazdą. Żołnierza podtrzymywała, a może akurat obejmowała czy coś przy nim poprawiała, młoda, rozumieniona kobieta. Koń zastrzygł uszami, parsknął, bo pierwszy chłopaków wyczuł.

- Prry!

Stary skrócił lejce, wóz przystanął.

- Priwiet, riebiata! Nie podpowiecie czasem, czy po tych zesłodniowych deszczach przejadę przez Borowińskie Błota? W tamtą stronę jechałem za pogody, i to ledwie, ledwie...

Nim zdążyli odpowiedzieć, odezwał się żołnierz:

- Kogo pytasz? Tatku, a o które błota ci chodzi, o Borowińskie? Grobla tam była wysoka, pamiętam... A ty dokąd, Marusia?

Młódka właśnie zeskakiwała z wozu.

- Tutaj, na kroczek tylko, Mitieńka. Borówek tu akurat zatrząsienie, nazbieram ci garstkę, skosztujesz, kwaskiem pragnienie ugasisz.

Dopiero teraz, kiedy żołnierz odwrócił się do nich, zauważyli, że jego oczy przysłania czarna opaska. Żołnierz był ślepy!

- No to jak, chłopcy, przejadę tamtędy? Bo jeśli nie, to trzeba nam będzie drogi wzdłuż Iji nadłożyć.

- Przejedziecie, dziadku, przejedziecie, groblę sponad wody widać.

- No i chwała Bogu. Dzięki za informację. A dokąd wy tak, jeśli nie tajemnica?

- Na orzechy, a gdzieżby indziej.

- No to szczęście wam Boże! Tym bardziej, że w tym roku cedr wyjątkowo obrodził.

Ślepy żołnierz ponownie się ożywił.

- Skoro jesteśmy blisko Borowińskich Błot, to wiecie chłopcy, gdzie tu najlepsze cedrowe mateczniki? W stronę Sajanów cały czas idźcie i jak się takie trzy pagórki minie, wiecie gdzie? No, to zawsze się stamtąd workami cedrowe orzechy przynosiło. Marusia, Marusia, gdzie jesteś? Zostaw te jagody, ruszamy już...

- Jestem, Mitiusza, jestem, mój drogi, jestem.

Z jagodami w podołku, łyskając białymi udami, rumianolica młódka zręcznie wdrapała się na podwodę. Staruch trzepnął lejcami, wóz ruszył i po chwili skrył się za drzewami. Słyszeli jeszcze, jak młódka i żołnierz głośno się śmieją.

- Ślepemu to chyba najgorzej na świecie...



- Nawojował się. Już bym wolał, żeby mnie od razu zabili.

- Nie wiem, Staś, co sobie o tym myśleć. Ale ja na przykład wolałbym, żeby mój ojciec, choćby i ślepy, bez ręki, bez nogi, ale żeby był. Po prostu był z nam i już.

- A myślisz, że ja nie? Byle tylko żył... A z tym zabiciem... tak jakoś głupio mi się palnęło.

Jeszcze tego samego popołudnia, tak jak im ślepy żołnierz podpowiedział, trafili na urodzajny cedrowy matecznik. Piękne, strojne to drzewo, syberyjski cedr! Zgrabnym, prostym słupem pnie się wysoko, przykryty kędzierzawą czupryną zielonych, a teraz, na jesieni, już lekko rudawych igieł, dłuższych niż jodłowe i delikatniejszych niż modrzewiowe. Syberyjska cedrowa limba nie lubi się pospolitować z innymi tajgowymi sąsiadami. Sobie tylko znanym sposobem wynajduje nasłonecznione zbocza, tam rozsiewa się, kiełkuje, wyrasta i owocuje. Tam trzyma się w mateczniku licznej cedrowej rodziny.

Wracając z workami cedrowych szyszek, już w Borowince spotkali zarządcę Abramowa. Zatrzymał ich, popróbował orzeszków na ząb i pochwalił:

- Słodkie i oleiste jak rzadko, widać, że lato było suche. Możecie i mnie trochę szyszek odsypać, lżej wam będzie. No dobra, ale widzę, chłopcy, że bez konkretnej roboty wam się nudzi, a ja darmo płacić wam nie zamierzam. Od jutra bierzecie swoje konie i suche wiatrołomy z tajgi na opał będziecie ściagać. Jesień jesienią, a zimy tylko patrzeć. Rano zgłóście się do nowego brygadiera, Astafiew się nazywa. Wiecie? No i dobrze. Frontowiec, a nie jakaś tam baba, będzie odtąd waszym brygadierem. Już on was porządnej roboty nauczy, nie tylko orzeszków wam się odechce.

Staszek Astafiewa nie znał, wiedział tylko, że jako jeden z pierwszych frontowców niedawno do Borowinki z wojny wrócił. Kontuzjowany ciężko, oślepiony na jedno oko, do dalszej wojaczki się nie nadawał. Wańka mieszkał z nim po sąsiedzku i więcej o nowym brygadziście wiedział.

- Z moim ojcem razem na front poszli, ale później gdzieś się na tym froncie pogubili. Mama zwlokła się z łóżka i zaraz do Astafiewa pobiegła. Miała nadzieję, że może coś o ojcu słyszał, bo pochoronka pochoronką, a mama wciąż nie może uwierzyć, że ojca zabili. Niestety, Astafiew też nic nie wiedział. A ten cały Abramow niech nas Astafiewem nie straszy, bo to chłop porządny, nie jakiś tam pijanica, jak ten cały nasz przewodniczący.

No to dobywali z Wańką w tajdze smolny susz, zwozili go pod stołówkę i piekarnię. I drzewo na zimę było, a i dla nich, zwłaszcza dla Staszka, dodatkowy pożytek z tej codziennej bliskości z piekarnią i stołówką. Pracujące w piekarni kobiety zawsze jakiś zdeformowany, niedopieczony kawałek chleba mu odżałowały. A i w stołówce choćby tylko na dodatkową

chochłę gęściejszej zupy można było liczyć.

Nowy brygadier, Iwan Astafiew, wcale takim surowym się nie okazał. Już pierwszego dnia znalazł czas, żeby Staszka o jego losy i o ojca na wojnie wypytać. A w najbliższą niedzielę pozwolił Staszce wziąć konia i nawieźć sobie na Wołczym Chutorze drzewa na zimę. A zima była tuż, tuż...

Zimowy syberyjski świt budzi się znacznie później niż ludzie wstający do roboty. Jeszcze po ciemku, nie łyknąwszy nawet wrzątku - „kipiatku”, szczękając zębami na tężejącym o poranku mrozie, śpieszył Staszek z Wołczego Chutoru na bazę sowchozu w Borowince. Tam przydzieloną mu parę koni należało oporządzić i przygotować do zaprzęgu. W zimie najczęściej wozili siano składowane od sianokosów w wielkich, zasypanych śniegiem stertach aż na Kozackiej Polanie. To znów ściągali z pobliskiej tajgi suche wiatrołomy na opał. Każdego ranka, oporządziwszy konie, biegło się na wyprzódki do sowchozowej stołówki, żeby wlać do przysychającego z głodu żołądka miskę gorącej zalewajki. Najczęściej była to postna kartoflanka albo równie jałowy i rzadki krupnik. Bez kromki chleba, bo chleb na kartki fasowało się dopiero wieczorem, po robocie. A było tego chleba dla takiego robotnika jak Staszek - pół kilograma, a dla niepracujących, tak jak mały Tadek, tylko 250 gram i ani okruszyny więcej. Ze stołówki szło się do kantoru, gdzie brygadzysta wyznaczał robotę na ten dzień. Brygadzystą był już Iwan Astafiew. Starszy, stateczny i wyrozumiały człowiek. Z równowagi mógł go wyprowadzić tylko notoryczny obibok albo taki, kto nie dbał o konie. Bo koniarz z Astafiewa był przedni i nic, co końskie, nie było mu obce. Widział, jak Staszek z koniem się obchodzi i pewnie dlatego spoglądał nań łaskawszym okiem, co lepsze konie mu przydzielał. Chyba czuł sentyment do Polaków w ogóle, bo często-gęsto zagadywał Staszka o Polskę. Interesował się, czy Staszka ojciec z frontu daje znać o sobie. „Polaki, Polaki... Z jednym takim Polakiem, Sawickij mu było, jeszcze przed wojną w Bodajbo złoto myłem. A z innym znów, jak on się nazywał?... Kazimir, Kazimir Stanisławowicz, chyba tak. W Kijowie, w wojennym lazarecie leżałem. Mnie rękę, a jemu nogę urwało. Mnie okaleczyło podczas forsowania Dniepru. Jego też pod Kijowem, tyle że w Darnicy. Kazimir był zenitczykiem - artylerzystą, ja «caryca pól» - piechota. Mnie wcześniej do domu wypisali, on w szpitalu został. Co z nim teraz, nie wiem... To mówisz, że już dawno listu od ojca nie masz? Pewnie, że przykro ci i niespokojnie... Ale z frontowymi listami różnie bywa, miesiącami dojść nie mogą, albo giną przez jakiegoś niedbałego sukinsyna. Nie ma się co na zapas zamartwiać”.

Tego ranka Astafiew wszystkim robotę przydzielił, został tylko Wańka Woronin i Staszek.

- A dla was, orły, mam specjalne zadanie. Konie, uprząż, sanie macie w porządku? Tak też myślałem. No to pojedziecie najpierw na Kozacką Polanę i naładujecie cztery sanie siana. Sianko ma być suchuteńkie, nieprzygniłe, słowem - pierwszy sort! Rozumiemy się? Wróćcie z tym sianem na bazę, zostawicie załadowane sanie na noc, a jutro raniutko powieziecie siano do Tułunu! Zdziwieni? Nie ma co. Dacie radę? Ja też tak myślę. Siano zdacie tam magazynierowi na bazie. Kluszkini się nazywa. My mu siano, a on nam sól pastewną i słonecznikowe makuchy dla naszego bydełka wyfasuje. Jasne? No to wio, chłopaki, po to siano.

I znowu tak pamiętna dla Staszka Kozacka Polana. Tyle tylko, że teraz zimowa, ponura, kopnym śniegiem po pas zasypana. I ta ciemna tajga na otaczających ją wzgórzach. Kozacka Polana, Aniuta... Nie, takich przeżyć rychło się nie zapomina. A może nigdy nawet.

Wydzierając siano ze stogu i nakładając je na sanie, Staszek mimo woli lęklivo ozierał się dookoła, na czarną ścianę tajgi popatrywał, jakby kogoś albo czegoś stamtąd się spodziewał...

Nazajutrz rano wieźli siano do Tułunu. Dzień wydał się ładny, słoneczny i nawet niezbyt mroźny. Chłopcy radzi byli tej odmianie w ich monotonnym sowchozowym życiu. W końcu z tajgi do miasta jadą! Nie byli tam od lata, kiedy to odwozili do rejonowego spichlerza wymłócone zboże. Teraz, w zimie, przez tajgę rychlej można było do miasta się dostać. W Tułunie Wańka miał ochotę na kino. Staszek chciał skoczyć na tamtejszą stację kolejową.

- Po co ci ta stacja akurat? I tak do tej swojej Polski jeszcze nie pojedziesz.

- Pojadę, nie pojadę, ale choć na pociągi sobie popatrzę. Dowiem się może czegoś albo znajomego spotkam.

- A co chcesz wiedzieć? Kiedy ta wojna się wreszcie skończy? Jak się skończy, to cały świat się dowie. A jakich to znajomek możesz mieć w tym Tułunie?

- Mieszkało się tam jakiś czas, przed Borowinką. Polaków tam sporo. Tamtejsza „szpana” z bazaru... Znało się tam paru sprytnych chłopaków.

Wańka pokręcił głową.

- Zobacz się. Jak nas ten Kluszkini szybko załatwi, to tu i tam zdążymy, najpierw na stację, a potem do kina.

Staszekowi jak rzadko zależało, żeby pojutrze wieczorem wrócić do Borowinki. Wigilia. Zaganiany, byłby o tym zapomniął, ale Bronia mu przypomniała.

- Wigilia w sobotę, Stasiu, Boże Narodzenie. A ciebie, biedaku, akurat w taką daleką drogę posyłają. Zdążycie wrócić? Postaraj się. Umówiłam się z Szajnami, Grubami,

Balikową, zejdziemy się razem, co się da na ten wigilijny stół i zbierzemy, pokoledujemy. Wigilia to przecież. Że też, biedaku, musisz akurat w taką drogę...

Nie znosił, kiedy się nad nim ktoś użalał, a zwłaszcza Bronia. „Biedaku, biedaku!”. Samą malaria telepie, żółta jak cytryna, ledwie na nogach się trzyma. Lepiej o sobie by pomyślała. Jak mógł o wigilii zapomnieć? Astafiew na pewno by go z tego wyjazdu do Tułunu zwolnił.

- Jak dobrze pójdzie, to powinniśmy zdążyć. Ale specjalnie na mnie nie czekajcie.

- Postaraj się, Stasiu, postaraj. Poczekamy, poczekamy. Wigilia to przecież, w taki wieczór razem być trzeba.

Biegł Staszek z Wołczego Chutoru do Borowinki, a w głowie mu nie tajga, nie mróz siarczasty, nie wilki, których na tej drodze nie raz się strachał, nawet głodu nie czuje, nic nie widzi, niczego nie słyszy, nogi same znaną śnieżną tropę wyszukują, a on wspomnieniami przy wigilijnym stole. Mieszają mu się te wigilijne wspomnienia niby w kolorowym, odpustowym kalejdoskopie. Rodzinna Kielnarowa, podolskie Worwolińce... Strojna choinka, świece, złotoskrzydłe papierowe anioły, rozpryski zimnych ogni. Stół, stół wigilijny Staszek widzi. Stół białym obrusem przykryty, opłatek wstążką przepasany, sianko pod obrusem i jadła, jadła na nim, jedz, nie przejesz. Na wigilijnej wieczerzy dwanaście potraw musowo. Od samego ich wyliczania, smakowania w myślach, aż się człowiekowi w głowie kręci. Biegnie Staszek przez tajgę zaśnieżoną i widzi, kolorowo widzi te polskie wigilijne stoły. I mamę, taką uroczystą w ten wieczór i roześmianą widzi... Mama, mamusia... Zmarła tu, na Sybirze, już pierwszej wiosny... A na pierwszą, już bez mamy, zesłańczą wigilię w Kaluczem Kajenie, zamiast opłatkiem, skórka chleba z ojcem i Tadkiem się dzielili...

Do miasta dotarli pod wieczór. Zajechali pod sowchozową bazę i jeszcze dobrze brama się nie otwarła, jak wybiegł im na spotkanie wspomniany Kluszkina, tamtejszy magazynier, kierownik czy coś takiego; starszy, ruchliwy jak rękaw, rudowłosa i lekko kulejący. I pewnie przez tę chromość nie był na wojnie. A może już z wojny wrócił?

- Tak, tak, młody rebiata! Wszystko wiem, wszystko wiem - powtarzał w kółko, obiegając sanie naładowane sianem. Z każdych wyrwał po garści, pomiał w rękę, powąchał. - To chyba będzie najlepsze, nawet koniczynka się trafia. Jak myślicie, chłopcy, które będzie najlepsze? - Ale na naszą odpowiedź nie czekał, tylko sam zdecydował: - Tak, znaczy się. Te sanie zostawicie pod bramą. Później wam powiem, co z nimi dalej. A tymi trzema wjeżdżamy pod stajnie i tam sianko zwałamy. No to do roboty, chłopaki, do roboty, im szybciej się uwiniecie, tym lepiej. A Kluszkina nie taki... Jak trzeba, dziękuję powie i o poczęstunku nie zapomni.

Siano zwalili sprawnie. Do tego pomagał im jakiś dziadek, jak się potem okazało - nocny stróż. Potem Kluszkina rozporządził:

- Więc teraz tak, Pietrowicz. - To do stróża. - Wyprzęgniesz konie i obroku im założysz. My nie mamy na to czasu. Chłopców zabieram ze sobą, po takiej drodze coś ciepłego na ruszt im się przyda. A jak tu wrócą, miejsce do spania im przygotuj. U ciebie w stróżówce chyba, co? Ciepło tam i miejsce na pryczy się znajdzie. A jutro rano załadujemy im, co tam trzeba, i wracają. Zrozumiałeś, Pietrowicz?

Stary wzruszył ramionami.

- A czego tu nie zrozumieć?

- Za mną, chłopcy. To siano spod bramy gdzie indziej pojedzie. Miasta nie znacie, dokąd jechać, pokażę.

I utykając potruchtał za bramę.

- „Za mną, chłopcy”! Komandir się znalazł, kuternoga - kłął Wańka pod nosem. Był wściekły. Żał mu było, że po takiej męczącej drodze, kiedy inne konie pałaszują obrok w zacisznej stajni, jego Bielanka, głodna i oszroniona, musi jeszcze dokądś tam ciągnąć obładowane sanie.

Na szczęście daleko nie było. Wjechali w boczną uliczkę, niedaleko stacji kolejowej, którą Staszek miał taką ochotę odwiedzić. Ale na razie chciwie nastawiał uszu na charakterystyczny ryk lokomotyw i dudnienie po złączach szyn przelatujących przez stację pociągów. Dobrze, że do stacji tak blisko. Jak zwalimy siano, to może Wańka da się namówić, a jak nie, to sam tam skoczę, zobaczę, postanowił. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedział, co tam chce zobaczyć. To było silniejsze od niego. Pociąg, stacja kolejowa - ciągnęły go jak magnes. Z Polski na Sybir - pociągiem. To i z Sybiru do Polski... W lecie, kiedy byli w Tułunie na splawie, podejść na stację mu się nie udało, ale tym razem, żeby nie wiem co, to tam pójdzie.

Stara chałupinka, za wysokim płotem z desek. Ładowne sianem sanie ledwie zmieściły się w dawno nieotwierane, owiane zaspami wrota. Z oszronionych drzwi ganku buchnęło parą. Na schody wybiegła urodziwa młódka, odziana tak, jak się tutaj po domu chodzi. Co tam dla niej taki mrozik!

- O! Wasilij Wasiliewicz, nie spodziewałam się was tak szybko... O tutaj, tutaj zwalcie siano. A to się moja żywicielka ucieszy, bo już ostatnie zmiotki biedula zlizywała, a do wiosny daleko. Ja tu o niej, a ona jakby wiedziała, słyszycie?

I rzeczywiście, w rozwalającej się, przytulonej do chałupy stajence porykiwała krowa.

- No i niech sobie porykuje. A ty, Awdotia, do domu uciekaj, bo się przeziębisz. Bez

ciebie tu sobie poradzimy. Nastaw lepiej samowar i coś na ząb przygotuj, bo sama widzisz, że chłopcy z drogi. No i starają się, jak trzeba.

- Widzę, widzę, Wasiliewicz. Już leczę, szczy gorących, samowar nastawię. Zapraszam do domu, zapraszam.

Kluszkin gospodarzył na podwórku jak na swoim. Zwalili siano, upchali je pod dach stajni. Kluszkin, rzuciwszy przygarść porykującej krowie, otrzepał ręce, wyraźnie zadowolony.

- No, riebiata, koniec na dzisiaj. Spisaliście się chwacko. Teraz na gorące szczy, skoro gospodyni prosi... I żeby była jasność: Awdotia Nikiforowna żołnierką jest, wojenną wdową. Minionej wiosny pochoronkę dostała. Na naszej bazie w buchalterii pracuje. A my, takim jak ona, czym możemy, pomagamy. Bez tego siana jej krowina-żywicielka wiosny by nie doczekała, a jej sieroty mleczka by nie popiły. Idziemy, chłopcy, idziemy, bo nam szczy wystygną. - I Kluszkin, otupawszy walonki, skrył się za drzwiami.

Wańka wciąż jeszcze użalał się nad swoją Bielanką, wyjął jej wędzidło i podrzucił garść siana.

- Za durniów nas chyba ma ten cały Kluszkin, ruda jego morda. Pewnie sowchoz okrada, siano na lewo spuszcza, a nam tu jeszcze we łbie maci. A zresztą, czort z nim... Idziemy, Staszek, na te szczy. Ale z tej Awdotii baba, co?

Obszerna, buchająca ciepłem izba. U wejścia wielki ruski piec, palenisko żarzy się, połyskuje płomieniem. Naftowa lampa na półeczce. Na ścianie dywan, na nim wiszą jakieś wyblakłe rodzinne fotografie.

- Zdejmijcie kufajki, chłopcy, i do stołu, do stołu, bo to i wymarziliście pewnie i narobiliście się. Do stołu, do stołu. - Wyciągnęła widelkami z pieca osmolony żeliwny garnek - „czugunok” - omotała ścierką, żeby rąk nie sparzyć, i postawiła na skraju stołu. Charakterystyczny zapach kapuśniaku zakręcił w nozdrzach. Nalała gęsto, po kraj talerza. - Jedzcie, kochaniutcy, jedzcie. Na takim mrozie od samego rana, przemarziliście chyba do kości - nie przestawała się nad nimi użalać.

Kapuśniak był tłusty i gęsty. Pałaszowali w milczeniu. Staszek wiosłował już prawie po dnie, kiedy podnosząc łyżkę do ust, mimowolnie unióś powieki i spojrzał w kierunku pieca. A tam zderzył się ze wzrokiem leżących na piecu i patrzących ku stołowi dzieciaków: wpatrywały się w jedzących jak przysłowiowa sroka w kość. Co jak co, ale takie głodne patrzyenie, którego ukryć niepodobna, Staszek nauczył się rozpoznawać bezbłędnie. Mało się ostatnim łykiem nie zakrztusił. Odłożył łyżkę. Wańka poszedł za jego wzrokiem i zrobił to samo. Dopiero teraz zauważyli, że i Awdotia też z nimi nie jadła. Krzątała się, rozdmuchiwała

węgielki w dużym, połyskującym miedzią samowarze. Ale jak na gospodynię przystało, spozierała ku stołowi.

- Komu jeszcze dolewka, komu?

Kluszkin otarł pot z czoła, oblizał łyżkę i pierwszy podsunął swój talerz.

- Dolej mi, Dusia, dolej; szczy u ciebie sama smakowitość, jeść i objeść się nie możesz. I chłopakom dolej. Nie krępować się, chłopaki, podsuwać talerze, podstawiać.

Dziękowali, mówili że już nie są głodni, odsuwali talerze.

- Nie smakuje? A może już za chłodne? Bo chłodne szczy do niczego, zaraz podgrzeję ociupinkę. - Dopiero niosąc czugunek do pieca, zauważyła pewnie to samo co oni. Skarciła dzieciaki: - A wy czemu mi jeszcze nie śpicie, co? Co ja wam mówiłam? Nakryć mi się z główkami i spać mi tu zaraz. No już, już.

Kluszkin nie był całkiem nieczuły, bo użalił się nad dziećmi.

- Duś, a skoro już nie śpią, to niechaj złączą z tego pieca i siorbną z nami po łyżce.

Jeszcze Kluszkin nie skończył, jak z pieca zeskoczył kilkuletni malec, a za nim zsunęła się w matczyne objęcia malutka dziewczynka.

- Tylko wstyd mi przed gośćmi robicie - gderła dobrotliwie Awdotia, sadowiąc dzieciaki na ławie i nalewając im kapuśniak do jednej miski. Dzieciaki, pociągając nosami, pośpieszały łyżkami na wypródki. - Jak te wróble nienasycone, a przecież karmiłam je całkiem niedawno.

- Dolej, dolej chłopakom, Awdotia, nie odmówią, z grzeczności się wymawiają. I sięgnij no po jakieś stakańczyki, bo, jak to mówią, szczy bez łyka wódeczki to tak, jakby je pies jadł.

- Przepraszam cię, Wasia... Wasilij Wasiliewicz, ale u mnie z wódeczką, jakby to powiedzieć...

- Nie martw się, gospodyni. Od takich spraw to ja tu jestem. Dawaj stakańczyki, o resztę niech cię głowa nie boli.

Kluszkin wyszedł do sieni, skąd wrócił z flaszką wódki.

- Dopiero teraz będzie jak Bóg przykazał. - Nalał wszystkim po pół szklanki. - No to, riebiata, za zdrowie naszej gospodyni. Wasze zdrowie, Awdotia Nikiforowna!

Łyknął wódkę jednym haustem, powąchał skórkę razowego chleba i usiadł. Awdotia wzięła głęboki oddech, wypila i zaczerpnęła łyżkę gęstego kapuśniaku. Tylko chłopcy, patrząc jeden na drugiego, nie bardzo wiedzieli, co zrobić. Znali się od dawna, przeżyli razem niemało, ale nie zdarzyło się, żeby razem po wódkę sięgali. Co prawda Staszek nie był bez tego grzechu; zeszłego lata Niurka napoiła baby jakąś jagodową bragą, jego też poczęstowała

i potem przez dwa dni głowa mu pękała.

No i co teraz? Pić - nie pić? Kluszkina ponagla. Awdotia zachęca, unosząc pustą szklankę, pomyśli jeszcze, że gówniarze z nich całkiem. Spojrzeli po sobie i niemal równocześnie unieśli szklanki. Wańka się zakrztusił. Staszek, naśladowując Kluszkina, powąchał skórkę chleba.

- Nie przymuszam, nie przymuszam, ale wypada i na drugą nogę. Wasze zdrowie, riebiata!

- Wasze, wasze, robotniczki boże! Co ja bym biedna bez waszego sianka zrobiła. - Wyraźnie podochocona Awdotia stuknęła szklanką o szklankę klejącego się do niej Kluszkina. - Za ich zdrowie, Wasia! Przeszła z Kluszkim na ty, chłopców się więcej nie krępowała i tym razem pełną szklankę wychłęptała drobnymi łydkami niby wodę. - Wot tak! No a wy, chłopcy?

Zarumieniła się, zaświeciła oczami, rozpięła uwierając ją pod brodą kwiecistą bluzkę, odepchnęła natarczywego Kluszkina, przytuliła płowowłosą córeczkę łaszącą się do matki.

- Bóg tylko wie, jak wdzięczna wam jestem za to sianko dla naszej karmicielki. I wam, chłopcy. I tobie, szanowny Wasiliju Wasiliewiczu za twoją opiekę nad biedną wdową i jej sierotkami. O, gdyby wasz tatuś na wojnie nie zginął, nie zostawił nas sierotami...

Trysnęła łzami, cmoknęła córeczkę we włosy, wstała chwiejnie od stołu i zaniósła dziecko na zapiecek. Chłopczyk wspiał się na piec sam.

- Spijcie, moje okruszynki, śpijcie. - I pochlipując wróciła do stołu.

Kluszkina, rozgrzany alkoholem, rozebrany do koszuli, z twarzą jak burak poczerwieniała, chciał ją objąć, pocieszyć.

- Nie płacz, Dusia, serca nie rań. Dopóki ja tu...

- Daj spokój, Kluszkina! Nalej mi jeszcze, raz się na tym świecie żyje. A co, może nie mam racji?

Nie czekając na nikogo, przechyliła szklankę, stawiając ją, przewróciła, wtuliła głowę w dłoń i rozsłochała się. A w ślad za matką rozplakały się dzieciaki.

Do bazy chłopcy wracali sami. Kluszkina został z Awdotią. Niezwyczajnie przyćmieni alkoholem, jakoś głupio się czuli. Wańka się wściekał.

- Ale z nas gieroje, nie ma co! Sowchozowe siano na lewo opylili, pojedli, popili... W co nas ta ryza morda, ten cały Kluszkina wmanewrował? Złodziei chce z nas zrobić, za durni nas ma, czy co?

- Daj spokój, Wania. Pies mu mordę lizał, ty lepiej o Awdotii i jej dzieciakach pomyśl. Krowina im w zimie nie zdechnie, dzieciaki mleko na wiosnę będą miały. Kopki siana ci



szkoda?

- Szkoda - nie szkoda, ale z tego Kluszkina to kawał sukinsyna i już. Nie dość, że sam schlał się jak świnia, to jeszcze Awdotię i nas upijał. Co, nie widziałeś, jak się do niej dobierał, łapę jej pod spódnicę wsadzał? Gdyby nie te dzieciaki, to ja bym temu zarazie...

Stróż czekał.

- Spać będziecie w stróżówce. Miejsca na pryczy wystarczy, tylko przykryć się nie ma czym.

W stróżówce było ciepło, smrodliwie i półciemno. Tylko żeliwny piecyk rozpalony do czerwoności pobłyskiwał płomyczkami przez niezbyt szczelne drzwiczki. Ciemności - pół biedy, oczy się przyzwyczajają, ale ten fetor, tak charakterystyczny dla starych, wilgotnych, zakurzonych i niewietrzonych pomieszczeń. I coś jeszcze nietypowego w tym zaduchu było, coś, co przypominało Staszкови smród przesyconych krezolitem podkładów kolejowych. Chłopcy stali u progu, oswajając się z ciemnością.

- Ale tu smród! I ciemno jak u Murzyna... - gderał wciąż jeszcze podenerwowany Wańka.

- Smród, smród! Też mi hrabia się znalazł. Od smrodu jeszcze nikt nie umarł. Smród... Nafty od dawna nie ma, a i karbid się skończył - obruszył się stróż, otworzył drzwiczki piecyka i pogrzebał w nim haczykiem. Zrobiło się nieco jaśniej.

- A prycza jest tam, przy ścianie. Legajcie, a ja tu sobie przy piecyku pokimam, ciepelka przypilnuję.

Sklecona z desek prycza ciągnęła się wzdłuż ściany. Już chcieli się na niej rozlokować, gdy wypatrzyli, że tam już ktoś śpi. Jakiś wciśnięty w kąt, zwinięty w kłębek osobnik nieregularnie pochrapywał. Mało tego, wystarczyło mocniejszego pociągnięcia nosem, żeby pojąć, skąd w stróżówce ten charakterystyczny fetor krezolitu. Po cichu wycofali się do stróża.

- Ale tam już ktoś śpi!

- A śpi. Już parę nocy tu kima. Kluszkina z litości go przyjął, miał mi niby w stajni pomagać. Ale jaki tam z niego pomocnik, „dochodiaga”, ledwie na nogach się trzyma. A do tego nieruski jakiś, po ludzku trudno się z nim dogadać.

- To od niego taki smród wali, że...

- A ten znowu z tym smrodem zaczyna! Jak ci tu śmierdzi, to na mróz wynocha! - Stróż chyba naprawdę się zdenerwował. - Śmierdzi, śmierdzi, prycza szeroka, nie musisz się do niego przytulać. Nie marudźcie, tylko kładźcie się spać.

Dziadka udobruchali, przynieśli ze stajni naręczę słomy i umościli sobie legowisko na

podłodze, w pobliżu piecyka.

Staszek spał twardo. A kiedy się ocknął w półśnie jeszcze, z nawyku sięgnął pod głowę; zawiniątko z chlebem, który jeszcze w Borowince dostali na drogę, było na miejscu. Odetchnął z ulgą. „Oszczędzę, ile się da, do domu przyniosę”. Przypomniawszy sobie o wigilii, Bronia prosiła, żeby wcześniej wrócił. Zobaczy się, ale chlebem na pewno się ucieszą. I Bronia, i Tadek. Wigilia! Trzeba wstawać. Przysiadł, rozejrzał się. Stróża nie było.

W piecyku się paliło, bulgotał czajnik z gotującą się wodą. Już chciał zbudzić śpiącego obok Wańkę, gdy nagle zamienił się w słuch. Nie, to niemożliwe, chyba mu się zdawało... Wsłuchał się pilniej, rozejrzał po stróżówce. W szarości świtu dojrzał obok pryczy klęczącego człowieka. Chyba to ten dochodiaga... Nie rozróżniał dobrze jego twarzy, sylwetkę tylko, no i słyszał! To nie było złudzenie. Ten klęczący półszepcetem się modlił. I to modlił się po polsku!

- Zdrowaś Mario... Módl się za nami... Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

I po polsku, raz tylko, się żegna. Polak? To jest Polak! Człowiek klęczący obok pryczy skończył się modlić i próbuje wstać. Z trudem mu to idzie, wspomaga się, opierając dłonie o pryczę. Przysiadł, sucho zakasłał i sapiąc jak miech, z trudem łapał powietrze. Staszek zległ ponownie, przymknął oczy, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Słyszy pokasływanie i ciężkie człapanie. Przesunięcie czajnika, syk rozchlapanej wody na rozpalonych fajerkach. I ciche, polskie:

- A niech to!

Nie było co dalej udawać, Staszek przysiadł na posłaniu. Obok piecyka stał, dmuchając na poparzone palce, obszarpaniec, jakiego Staszek jeszcze w życiu nie widział. Przysłowiowy strach na wróble, wysoki i przeraźliwie chudy. Pergaminowa, brązowego odcienia skóra z dawno niegolonym, posiwiałym zarostem, obciągała twarz kościotrupa. Tylko oczy, gorejące niezdrowym blaskiem, wielkie i wybałuszone. Te oczy niepewnie wpatrywały się w Staszka. Chłopak odważył się i ni to stwierdził, ni to spytał.

- To pan jest Polakiem?!

Mężczyzna, pewnie też polską mową zaskoczony, potracił czajnik i omal znowu się nie poparzył.

- Boże drogi, to pan też Polak. Tylko rosyjską mowę słyszałem, nawet wczorajszego wieczoru...

- Podśluchałem, jak się pan modlił. Jaki tam ze mnie pan, Staszek mam na imię.

- Nowak, Nowak się nazywam. Gdzieżbym się spodziewał, że rodaka tu spotkam.

Staszek wstał, pomógł Nowakowi nalać wrzątku do okopconej aluminiowej miski i

zaniósł mu na pryczę. Ten wygrzebał z węzła szczyptę soli, posolił wrzątek i próbował popijać. Staszкови zrobiło się go szkoda, wrócił na legowisko i odłamał kawałek swojego chleba.

- Proszę, niech pan przegryzie.

- A pan, a pan, to chleb przecież... - To mówiąc, prawie mu ten chleb wyrwał i od razu łapczywie wciskał go do ust. Ale jakby się opamiętał. Z zażenowaniem, jeszcze nieprzeżuty okrwawiony chlebowy miąższ wypłuł do miski. - Przepraszam. Nie mogę niczego ugryźć. Szkorbut. Ostatnie zęby palcami wyjmuję. Przepraszam, nawet za chleb nie podziękowałem. Człowiek już całkiem dziczeje.

- Pokruszył chleb do wrzątku, siorbał głośno przez kraj miski. - Zwierzęciem człowiek się staje i jak zwierzę się zachowuje. Miesiąc temu z Tajszetłagu mnie wypuszczono. Nie słyszał pan o takim? - Uparcie tytułował Staszka panem. - Tajszetłag to skrót, bo tak nazywa się tajszeckie łagry. No i w samej rzeczy jest to łagier specjalny. To, że teraz wyglądam, jak wyglądam, pół biedy, ale ten łagrowy smród, którym mnie tam nasączono... Podkłady kolejowe gołymi rękami nasycaliśmy kreozolitem, smołą i dziegciem. Nawet wszy i pluskwy od tego smrodu uciekają, a co dopiero ludzie... Słyszałem, jak wczoraj wieczór nie chcieliście się obok mnie położyć na pryczy. Na waszym miejscu ja bym też...

Buchnęło zimnem, w drzwiach zakłębiła się para. Wrócił stróż. Już od progu głośno nawoływał:

- Wstawać, chłopcy, wstawać! Kluszkini już się o was pytał. O konie przed drogą zadbać trzeba, co, myślicie może, że ja za was to zrobię?

Z twardego snu zerwał się Wańka i poziewując przecierał zaspane oczy.

- To ty już wstałeś? - dziwił się Staszкови. - Nie wyspałem się, łeb mi pęka.

- Trzeba było wczoraj tyle wódki nie żłopać!

Wańka zamachnął się walonkiem:

- Trudno, idziemy do koni. I zeżreć by coś trzeba, mają tu chyba jakąś stołówkę. Dziadku, a pojeść tu u was gdzieś można?

- Pojeść, pojeść, jeszcze dobrze oczu nie otworzył, a już by jadł. Nie ma u nas co pojeść. Wody gotowanej na czaj ci nie pożałuję. A on mi tu pojeść, pojeść.

- Masz rację, dziadku. „Jesz woda, piej woda, srać nie budzisz nikogda” - tu Wańka zerknął w stronę pryczy. - Popatrz, a ten „dochodiaga” coś tam sobie wpieprza.

- Wpieprza, bo kawałek chleba mu dałem.

- Czyś ty zwariował?! Sam prawie z głodu zdycha, a innym chleb rozdaje. A wiesz ty choć, co to za jeden? Może „warnak”, bandziuga jakiś albo jeszcze gorzej - zmierzając do

wyjścia, Wańka wymawiał mu to coraz gniewniej.

- Przestań się tak wściekać. A jak ci powiem, że ten cały „dochodiaga” to też Polak, tak jak ja?

- O, jolki pałki! - Wańka omal nie potknął się o próg. - Ale ci się ziomek trafił! To Polak, mówisz? No i co teraz?

- A niby co ma być? Dałem głodnemu człowiekowi kawałek chleba i tyle. Mało to Polaków po tym waszym Sybirze się włóczy? A zresztą, ani to mój swat, ani brat...

Choć wyraźnie przepity i zblazowany przehulaną nocą, Kluszkina rządził na bazie od samego rana. I trzeba przyznać, że o chłopakach nie zapomniał. Kazał im wydać z magazynu na śniadanie puszkę konserw, bochenek chleba i w ciepłym kantorze gorącą herbatą ich napoił.

- A z tym sianem, chłopaki, to tak raczej żeby między nami zostało. Sowchoz nie zbiednieje, a żołnierskim wdowom pomagać trzeba. To, że tak powiem, nasz obywatelski obowiązek. Rozumiemy się? No to i dobrze. A teraz, co się tyczy waszego powrotu do Borowinki. Pobierzcie z magazynu wszystko, o co mnie Astafiew prosił. Jak dla przyjaciela się starałem, a powiem wam, że łatwo nie było. A jeszcze na dodatek zawieziecie mu dwa worki wapna, bo naprzykrza mi się o to wapno i naprzykrza. O, czort to bierz! Jeszcze o jednym na śmierć bym zapomniał. Prosił mnie wasz brygadier, żebym mu tu w mieście jakiegoś dobrego mechanika poszukał. „Ratuj, mówi, Wasia, bo wiosna idzie, traktory mam, nawet kombajn jest, ale stoi ta moja mechanika, rdzewieje, bo nikt jej naprawić nie potrafi”. No, znalazłem mu takiego specjała, że hej. Nie jakiegoś tam zwykłego mechanika, inżyniera nawet. A że to człowiek wolny i akurat mam go pod ręką, to przy okazji go ze sobą zabierzecie. Troszkina! - krzyknął Kluszkina na kogoś akurat zaglądnącego do kancelarii. - Skocz no, Troszkina, na koniusznie, poszukaj tego Polaka, no wiesz, tego naszego dochodiagę, i przyslij go tu do mnie. Tylko na jednej nodze...

Chłopcy spojrzeli po sobie nie bez zdziwienia, choć nie mieli już wątpliwości, kogo za chwilę zobaczą...

„Dochodiaga” wszedł, stanął u progu, zdjął zaszmelcowaną czapkę uszankę i w tym nagłym cieple zaniósł się suchym kaszlem.

Kluszkina odczekał.

- Wot tak pan Polak. Widzisz tych młodych ludzi? No, to pojedziesz z nimi do ich sowchozu, co Borowinka się nazywa. I tam z mojej poręki zostaniesz głównym mechanikiem. Mój przyjaciel tam wszystkim komenderuje i powiedz, że ja ciebie przysyłam. Tylko żebyś mnie nie zawiódł. Chyba z kombajnem i traktorami sobie poradzisz?

- Jestem... ja... inżynier, grażdanin naczelnik - próbował swojej ruszczyzny „dochodiaga”.

Kluszkin zwycięsko spojrział na chłopaków.

- Słyszeliście? Inżynier! Wot tak, inżynier, zaraz stosowne skierowanie ci wypiszę. Zabieraj swoje manatki i szykuj się do drogi.

- Dobrze... charaszo, grażdanin naczelnik. - Włożył czapkę, odwrócił się chwiejnie i z trudem pokonał próg.

Po jego wyjściu Wańka nie wytrzymał.

- I to ma być inżynier!? Dochodiaga, ledwie na nogach się trzyma.

- Młody człowieku - rezonował Kluszkin - nigdy nie sądz człowieka po wyglądzie. Licho wygląda, no i co z tego? Do wiosny odkarmicie go tam w Borowince, ubierzecie, odpocznie i będzie jak znalazł. Najważniejsze, że to inżynier, fachowiec.

I gadaj tu z takim. Trudno, zabrają, jak kazał, tego dochodiagę do Borowinki, a tam już Astafiew niech się nim kłopotce. Wydębili jeszcze od Kluszkina suchy prowiant na drogę, bochenek chleba i dwie konserwy „swinoj tuszonki”. Wyszli z kantoru i szykowali się do powrotnej drogi. Wańka wciąż kłął Kluszkina, ile wlezie.

- A to ruda morda! Jeszcze na odjezdne takiego dochodiagę nam wtrynił. Też mi z niego inżynier. Widział ktoś jego papiery? Staszek, a jak po waszemu, no po polsku, będzie „dochodiaga”?

- Nijak.

- Jak to?

- A tak to. W Polsce nie ma dochodiag, to i takie słowo nam niepotrzebne.

- Breszesz jak pies. „Nie ma w Polsce dochodiag, to i słowa takiego nie potrzeba”. Co bym ciebie o tę Polskę nie zapytał, to ty zawsze odpowiadasz mi, jak ci najlepiej pasuje, byle tylko dobrze.

- Wierz mi albo nie wierz, mówię prawdę: dochodiag w Polsce nie uświadczysz. No to jak ci go mam po polsku nazwać?

- No już dobrze, jak go tam zwał, tak go zwał. Ale „pan” to jest po polsku? *Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany* - zanucił.

- Po polsku... Ty też przestań co chwila wyzłośliwiać się „polskimi panami i psami atamanami”.

- Żartuję. A tak na serio, to skoro już ten dochodiaga z nami się zabiera, to weź go na swoje sanie. Przynajmniej po polsku sobie pogadacie, bo co ja tam z takim, a do tego jeszcze panem.

Szczypiący krzepkim mrozem ranek wydał się pogodny i cichy. Tych, którzy się na tutejszej aurze znali, mogło niepokoić czerwono wschodzące słońce, zazwyczaj zwiastujące zawieje i śnieżne zamiecie. Podmiejska droga przetarta. Wypoczęte konie truchają raźnie, nie trzeba ich poganiać. Tułun zostaje w tyle. Cichną miejskie odgłosy, nawet porykiwanie parowozów przestaje dolatywać. Im bliżej czarnej ściany tajgi, tym rzadziej mijają się z saniami jadącymi do miasta. Konie ciągną sanie rzędem, jeden za drugim. Wańka powozi na pierwszych i on ze swoją Bielanką nadaje tempo. Staszek, ze swoją parą koni, zamyka ten czterosanny orszak. Dla dochodiagi znaleźli miejsce na ostatnich saniach. Już na odjeździe stróż podrzucił mu starą dochę - wyliniałe futro z psich skór.

- Ogrzejesz się w drodze, człowieku, bo inaczej sopel lodu z ciebie.

Po drodze Staszek co jakiś czas doskakiwał do Nowaka, żeby sprawdzić, jak mu tam. Inżynier nie narzekał. Był wyraźnie ożywiony, wypytywał Staszka i sam mu się zwierzał.

Nowak pochodził z Czortkowa na Podolu. Z zawodu inżynier cukiernik, pracował przed wojną w rozległych włościach księżnej Marii Lubomirskiej z Czerwonogrodu. Na wrześnie wojnę nie zdążono go zmobilizować. Weszli Sowieci. W zimie 1939 roku wśród Polaków rozeszły się słuchy o szykującym się w Czortkowie powstaniu. Konspiratorzy, w większości harcerze i wojskowi rezerwiści, mieli plan rozbicia sowieckiego garnizonu, zawładnięcia pociągiem i przedarcia się przez zaleszczycki most na Dniestrze do pobliskiej Rumunii. Zamiar się nie powiódł, nastąpiły masowe aresztowania. Były wyroki śmierci, wywózki i zesłania na Sybir. Podejrzany o udział w tym buncie Nowak dostał 25 lat łagru o najsurowszym reżimie odbywania kary, bez prawa do korespondencji i kontaktów z rodziną. Żona z dwójką małych dzieci została w Czortkowie. Od tamtego czasu nie miał z nimi żadnego kontaktu, nie wiedział, co się z nimi dzieje. Tak trafił na Sybir, ostatnio do Tajszetłagu. Najdłużej karczował tajgę na budowie linii kolejowej do Bracka nad Angarą. A już do ostateczności wyniszczył go tajszecki łagier, produkujący podkłady kolejowe. To tutaj, oprócz nieposilnego trudu, odbierał więźniom zdrowie trujący kreozolit, którym więźniowie bez ochronnych masek nasycali podkłady kolejowe.

- To przy tej robocie zatruli nas tym odrażającym smrodem, którego chyba do końca życia człowiek się nie pozbędzie. To tam, w tajszeckim łagrze, stałem się, jak tu mówią, najprawdziwszym łagiernym dochodiagą, takim, jakim mnie w tej chwili widzisz. I wcale się nie obrażam, kiedy tak o mnie mówią czy na mnie wołają. To cud, kawalerze, że w ogóle jeszcze żyję. Generał Sikorski, amnestia dla Polaków? Owszem, dowiedziałem się o tym, tyle że kiedy? Wtedy już na wszystko było za późno. Kto to wie, może po dziś dzień bym tam siedział, albo najpewniej już dawno by mnie na tym świecie nie było, gdyby do naszego

Łagpunktu nie zjechała jakaś komisja z Irkucka czy z Krasnojarska. Wizytowali szpitalny barak, bo tam akurat litościwy felczer mnie na parę dni umieścił. Gadali ze wszystkimi, no to i ze mną zagadali. „Polak? Polak. A co wy tu jeszcze robicie? No niczego, niczego, poprawiajcie się, poprawiajcie”. I odeszli. Na drugi dzień wezwał mnie komendant i powiedział, że obejmuje mnie amnestia dla Polaków, więc mnie zwalnia. Świstek o zwolnieniu wypisali i tak jak stałem, wypuścili mnie zza drutów.

I co tu począć w głuchej tajdze z tą nagłą wolnością? Ani co zjeść, ani dachu nad głową, sił brakuje. To już nawet lepiej mi w tym łagrze było. Z takimi myślami dowlokłem się jakoś do Tajszetu, a tam na dworzec kolejowy. Przynajmniej „kipiatok” miałem tam za darmo, coś tam do zjedzenia wyszperałem czy ktoś litościwy jakiś kęs mi ofiarował. Tam też od milicjanta, który mnie z tego dworca przeganiał, usłyszałem, że podobno w Tułunie jest jakieś polskie przedstawicielstwo. Sam nie wiem, jak mi się udało do tego Tułunu w pociągu przemycić. Pytam w Tułunie o to polskie przedstawicielstwo, ale gdzie tam, albo nikt o takim nie słyszał, to znów, że kiedyś było, a teraz już go nie ma. Zima się robi. Z dworca nawet na noc mnie wyganiają. Któregoś wieczoru, już całkiem bezsilny i bezwolny, przycupnąłem w zaciszu pod jakimś płotem. Zdrzemnąłem się... I wtedy natknął się na mnie Panczenko, ten stróż z bazy. Dobry człowiek, Ukrainiec chyba. O, nawet teraz na odjezdne te psie skóry mi podrzucił. Wtedy bramę wyszedł zamknąć. Zabrał mnie do ciepłej stróżówki, gorącym czajem napoił, przespać się na pryczy pozwolił. No a następnego dnia rano ten kierownik Kluszkina wziął nas w obroty. Najpierw stróża zrugał, ale potem ze mną pogadał, o wszystko wypytywał i zdecydował: „Będiesz w stajni pomagał, a później to się zobaczy”. I jeszcze specjalnie go zaciekawiło, że inżynierem jestem. No i tak tam do dzisiaj wegetowałem...

Zaczerwienione, lekką mgiełką przyćmione słońko zdążyło już na zachodnią stronę przewędrować, kiedy chłopcy postanowili zrobić krótki popas, dać odetchnąć koniom. Wybrali pośród tajgi zaciszną polankę. Koniom u pysków worki z przygarścią owsa przywiesili. W kopnym śniegu sposobny krąg wydeptali i rozpalili ognisko. Zawsze to przyjemniej w jego ciepелku odpocząć i coś tam przegryźć, choćby kromkę chleba przypiec, bo już zdążył im zamarznąć na kość. Tak samo jak konserwa „swinoj tuszonki”, nad której otwarciem Wańka teraz majstrował. Staszek topił w kociołku śnieg na herbatę, a Nowak dorzucał suszu do ognia i z widoczną przyjemnością grzał przy nim nienaturalnie brązowe i kościste dłonie. Wańka, z początku tak do dochodiagi nieufny, powoli oswajał się z jego obecnością. Przysłuchuje się, jak Staszek z inżynierem rozmawiają po polsku, kręci głową, bo niewiele z tego rozumie, a że i Nowak po rosyjsku mówi słabo, więc Staszek tłumaczy. Wańkę najbardziej interesuje, czy ten inżynier naprawdę potrafi traktory i kombajny

naprawiać. Potrafi. A jak już naprawi, to czy potrafi je obsługiwać? Potrafi. Wańka kręci głową z podziwem i pyta dalej.

- A kogoś na traktorzystę wyuczyć potraficie?

- Można wyuczyć, czemu nie.

- A na szofera, takiego, co samochodem kieruje?

- I na szofera można.

- Słyszysz, Staszek? Tylko szkoda, że akurat u nas w Borowince żadnego samochodu nie ma! Trudno, na początek może być traktor. No, a teraz woda się gotuje, chleb się podgrzał, tuszonka otworzona, czas coś podjeść.

Chleb i konserwę podzielili sprawiedliwie. Inżynier Nowak piastował przydział w swojej osmolonej misce niby skarb największy. Do jedzenia zabierał się powolutku; chleba odrobinę ukruszył, maznął palcem konserwy i włożył do ust. Pociamkał niezdarnie, ale porażone szkorbutem bezzębne dziąsła znów boleśnie zakrwawiły. Odwrócił się plecami do chłopców, wypluł zawartość do miski. A potem, uśmiechnąwszy się, bezradnie rozłożył ręce. Przykucnął przy ognisku, pokruszył w misce wszystko razem i zalał wrzątkiem. Dopiero wtedy mógł sobie z jedzeniem poradzić. Zapominając się, siorbał zachłannie; wylizał miskę do czysta.

Przykro było na to patrzeć. Chłopcy odeszli, bo i tak musieli konie przygotować do drogi.

- Ale się człowiek doprowadził... Staszek, a nie mówił ci czasem, za co siedział?

- Mówił.

- No i?

- A za nic.

- Jak to: „za nic”? Za nic się nie siedzi.

- A on siedział... I jak już koniecznie chcesz wiedzieć, to tylko za to, że jest... Polakiem. NKWD zesłało go na Sybir i trzymało w łagrze aż do amnestii.

- Bzdur ci naopowiadał! Za to, że jest Polakiem? Akurat! Ty jesteś Polakiem, ilu waszych w Borowince, na Wołczym Chutorze mieszka i jakoś w łagrze nikt was nie trzyma.

- Teraz już nie trzyma. Ale i nas trzymali. A co ty myślisz, że może ja, że myśmy wszyscy na ten twój Sybir dobrowolnie przyjechali? W Polsce dom miałem, wszystko...

Speszony Wańka machnął ręką.

- A chyba tylko jeden czort was, tych wszystkich Polaków, pojmie. I ciebie też. Lepiej ruszajmy, bo nas tu noc zastanie.

W miarę jak słońce zbliża się ku zachodowi, tajga staje się coraz mroczniejsza.



Opatulony psim kożuchem Nowak zagaduje.

- Daleko jeszcze?

- Sporo. Noc nas w drodze zastanie. A tak obiecywałem swoim, że postaram się wcześniej wrócić. Wigilia dzisiaj przecież.

- Przepraszam, nie przesłyszałem się? To dzisiaj jest wigilia?

- Wigilia, Boże Narodzenie...

- Boże Narodzenie, wigilia... A tu człowiek...

- Wigilia. Na Wołczym Chutorze kilka polskich rodzin mieszka. Wspólnie wigilię urządzamy. Spóźnimy się pewnie trochę, ale, jak to w wigilię, na pewno do późna będą siedzieć. To wie pan co? To ja pana do nas zapraszam.

- Chłopcze drogi... Wigilia, mówisz, dzisiaj, wigilia... Dziękuję ci, ale to kłopot taki... Wigilia...

I znowu spory kawałek drogi za nimi. Konie szły dziarsko, nawet się jeszcze nie spociły. Wańka na pierwszych saniach coś tam sobie podśpiewywał. Staszek myślał o swoim, a w pewnym momencie przyszło mu nawet do głowy, żeby spróbować wypatrzyć pierwszej gwiazdki, tej wigilijnej właśnie. Spojrzał w niebo. Nie, chyba nie da się żadnej gwiazdki wypatrzyć. Z minuty na minutę nad tajgę napłynęły nisko kłębiące się, brzemienne śniegiem chmury, śmignęły pierwsze zwiastuny wichury. Drzemiąca dotąd w dostojnej ciszy tajga najpierw z cicha zaszemrała, zaszumiała, by wraz z coraz silniejszymi podmuchami wiatru wzburzyć się, zahuczeć groźnie i ponuro. Na gęstą śnieżycę nie trzeba było długo czekać. Zapadła nieprzenikniona ciemność. Śnieżna, mroźna pod wieczór wichura zapierała dech, ślepiła konie i ludzi. Nieprzetartą drogę śnieżnymi zaspami zanosi. A przeczekać śnieżycy nie ma jak i gdzie. Rada w radę zdecydowali, że choć nawet krok po kroku, będą się do Borowinki przedzierać. Ile im tej drogi zostało, kilkanaście, kilka kilometrów? Nie pobłądzą, bo droga przez tajgę jest tylko jedna; konie stajnię czują i nawet w ciemnościach z niej nie zбочą. Wańka dyrygował:

- Pójdę pierwszy. Białkę za uzdę poprowadzę. Ty idź na końcu i na wszystko pozostałe uważaj.

Z początku, kiedy śnieżycą się zerwała, Nowak rwał się do pomocy, ofiarował się nawet konia pod uzdę poprowadzić. Ale po paru krokach przykucnął w kopnym śniegu. Teraz siedział na saniach wciśnięty zawietrznie między bele sprasowanego makuchu, z głową opatulony w psią szubę, zasypany śniegiem. Ale się zagrzebał, pewnie ciepła tam sobie nachuchał. Staszek nachylił się, żeby coś tam przy ładunku poprawić i mimo wycia wichury usłyszał jakby pojękiwanie. Potrząsnął inżyniera za ramię. Ten uchylił kożucha.

- Stało się coś?

- Nie, nic mi nie jest. Żołądek trochę pobolewa, ale miałem już tak. Nie martw się, zaraz mi przejdzie.

- A nie zimno panu, bo mróz krzepnie?

- W porządku. Da się wytrzymać. Daleko jeszcze?

- Niedaleko, niedługo dojedziemy. Konie przystanąły, muszę lecieć, zobaczyć.

I rzeczywiście. Jadący na przedzie Wańka musiał przystanąć przed zwałonym wichurą, zagradzającym drogę suchowiejem wiekowej sosny. Przeszkoda nie do pokonania. Dreptali w śniegu po pas, szukali objazdu, a do tego śnieżycy coraz gęstsza.

- Nie da rady objechać, tajga na poboczu i śnieg za głęboki, całkiem ugrzęźniemy. A niech to!

- No to co robimy? Musimy tę zawalidrogę usunąć.

- Ty wiesz, ile przy tym roboty? Gruba jak słonisko. Dobrze, że nam się na łeb nie zwaliła. Nie ma wyjścia, wyciągamy piłę i do roboty...

Piła, siekiera, mocny sznur, zapalki - bez tego nikt z Sybiraków, zimą czy latem, do tajgi nie wyruszy. Jak długo zajęło chłopakom usuwanie tego zatoru? Można się domyślać, bo oni czasu nie liczyli. Nie wystarczyło obrąbać rozłożyste gałęzie i w paru miejscach grubą sosnę przepiłować, należało jeszcze to z drogi odwalić.

Nareszcie! Umordowani, spoceni, ale i zadowoleni, że sobie poradzili, pozbiali siekiery, piłę, otrzepali porzucone w trakcie roboty kufajki i przysiedli na kłocu.

- Ale nam się przydarzyło.

- Jak na złość niedaleko domu. Czekają tam pewnie, Astafiew się denerwuje.

- Żeby tylko Astafiew... - Staszкови mignęła w myśli Bronia, mały Tadek, wigilia i... inżynier Nowak. Wańce chyba też.

- Sprawdźmy zaprzęgi i jazda! I co z tym twoim dochodiagą zobacz. Nawet dupy nie ruszył, żeby nam pomóc.

- Moim, moim. Słaby jest, brzuch go rozbolał, mówił.

Staszek szedł od sań do sań i sprawdzał wszystkie po kolei.

Oszronione, oblepione śniegiem konie na widok woźnicy cicho rżały, parskwały; zastane i zmarznięte, rwały się do drogi. Poklepał Sierka po szyi, otarł mu soople z brody. „Ruszamy zaraz, ruszamy, niedługo w stajni owsa sobie pochrupiesz”. Bo rzeczywiście do Borowinki już całkiem niedaleko. Byle tylko wdrapać się szczęśliwie ostrą stromizną na Niedźwiedzią Górę, a stamtąd susem w dół, po lodzie przez rzekę, i już Borowinka. Tylko jak ja się teraz po nocy z tym Nowakiem z Borowinki na Wołczy Chutor dostanę? - myślał. Może

Astafiew świeżego konia odżałuje?

Nowak siedział na swoim miejscu szczelnie opatulony z głową, grubo przyprószony śniegiem. Staszek z lekka odchylił kożucha, buchnęło smrodliwym ciepłkiem. Wyła wichura, zacinała śniegiem. Ciemno. Przeszło mu, zdrzemnął się pewnie w tym ciepłku, nie będą go budził, postanowił. Wrócił do koni, z trudem wdrapujących się na stromiznę. Ale ze szczytu już tylko w dół. Normalnie trzeba iglaki ciąć, gałęzie pod płozy na hamowanie rzucać, lecz dzisiaj, przy takiej śnieżycy, świeżo nawiane zasy zjazd hamują. Wichura nie wichura, Wańka drze się na cały głos, wyśpiewuje... *I na Tichom Okieanie swój zakończyli pochod!* Staszekowi też chce się wrzeszczeć, podskakiwać z radości, bo widzi w dolinie mdławe, płochliwie migające światełko. Borowinka!

Z fasonem podjeżdżają pod kantor, bo tylko tutaj się świeci. Szczekają psy. Z kantoru wychodzi Astafiew, przyświecając sobie wysoko uniesioną naftową latarnią.

- No, nareszcie! Mołodcy riebiata! Bo prawdę mówiąc, jak ta wichura zakreśliła... No jak tam, wszystko w porządku?

- Porządeczek - zuchowato chwali się Wańka.

- A jak tam Kluszkina się spisał? Wszystko załatwił?

- Wszystko. A jeszcze na dodatek parę worków wapna i mechanika wam przysłał.

- Wapno, rozumiem... Ale jaki tam znów mechanik?

- Kluszkina mówił, żeście go kiedyś o mechanika prosili. Podobno nie byle jaki mechanik, bo inżynier nawet, w Polsce się wyuczył.

- W Polsce?

- No bo to Polak, tak jak Staszek.

- To gdzie jest ten cały wasz mechanik?

- Chyba się jeszcze z sań nie wygramolił. Na ostatnich saniach siedzi. Staszek, dawaj tego swojego pana tutaj.

Brygadier nie wytrzymał i podszedł do sań razem z chłopakami. Staszek trącił Nowaka w ramię. Co jest z nim, śpi czy wstać nie może?

- Panie inżynierze, jesteśmy na miejscu. Panie inżynierze...

Bez ruchu i bez odzewu. Staszek odchylił oszronioną szubę. Astafiew poświecił latarnią. Cofnęli się gwałtownie, bo oto patrzyły na nich wyłupiaste, szeroko otwarte, martwe oczy... Astafiew długo milczał. Parę razy pochylał się nad trupem inżyniera, oświetlał go z bliska latarnią, chwycił za puls, dotykał twarzy, jakby bez reszty chciał się upewnić, czy nie żyje.

- No tak, to już z nim koniec. Zamarzł.

Tylko tyle z siebie wydusił. Spróbował jeszcze przykryć mu powieki. Nie dało rady. Z podręcznego magazynku przyniósł stary brezent, żeby zwłoki na noc przed pochówkiem owinąć.

- To jak on się nazywał?

- Mówił, że Nowak - odpowiedział Staszek. - Ale na pewno nie wiem.

- Dobra, tu Kluszkini pewnie w tej bumażce pisze. Nu i Kluszkini! Kluszkini, słowa nie powiesz, to ci dopiero mechanika mi przysłał, taki kłopot mi na łeb zwałił.

Astafiew zamknął magazynek z trupem na klucz i zarządził:

- A teraz, chłopcy, co się stało, to już się nie odstanie. Konie do stajni, obroku im nałożyć, a sami marsz do domu i spać. Nu i Kluszkini, nu i Kluszkini, ale mnie urządził...

Kiedy Staszek dobrnął na Wołczy Chutor, długa zimowa noc się kończyła. „Wigilia, wigilia”, żałośnie kołatało mu w myślach. Jaka tam wigilia, byle dobrnąć do chaty i spać, spać. Ale troskliwa, dobra Bronia czekała. Niepokoiła się o niego, całą noc podsycala ogień. Pomogła mu ściągnąć zmrożoną kufajkę i walonki. Tadek spał. Postawiła na stole miskę gorącego owsianego barszczu z grzybami.

- Wigilijny, Stasiu... A ta skóreczka chleba zamiast opłatka. Martwiłam się, czy ci się tam coś nie stało.

Oczy kleiły mu się do snu w tym domowym ciepłe. Zaczął coś tam Broni o panu Nowaku opowiadać. Bronia popłakiwała. Staszek skórka chleba z Bronią się podzielili, ale barszczu nie dojadł. Pólsenny wdrapał się na ciepły ruski piec, położył się obok brata i zaraz zasnął.

Wiosna w tajdze! Powoli, z wyraźnym mozołem zwycięża długą zimę. Gdzieś tak od połowy kwietnia, a czasami jeszcze bardziej spóźniona, pierwsze sygnały zimowej tajdze posyła. Zwiastuje swoje nadejście dniem wydłużonym i promieniami ocieplającego słoneczka. Delikatnym wilgotnym wiatrem strząsa z drzew śnieżne zimowe czapy i lodowe łzawe sople, gdzie się tylko da, rozwiesza. A już najpewniejszym znakiem, że wiosna na dobre do tajgi przyszła i odstępować nie zamierza, jest pora, kiedy niedźwiedzie ze snu zimowego się budzą. Wygrzebują się z gawry leniwie, wychudłe i złe, bo zabiedzone i głodne. Wiosna jakby i o tym pamięta. Nie pozwoli niedźwiedziom po wiosennej tajdze głodnymi łązić. Na najbliższym nasłonecznionym wzgórkulubiony ich przysmak - „czeremsza” - nie darmo niedźwiedziom czosnkiem zwana, zdążyła już przebić iglastą ściółkę, bujnie zakielkować i całą polankę zazielenić. Śnieg w tajdze topnieje w oczach. Podśnieżna woda coraz mocniejszymi strumykami w doliny ku rzekom spływa i szerokimi rozlewiskami na lodzie staje. Ale grube lody ani myślą ruszać. Niekiedy do połowy maja trzeba czekać,

żeby z trzaskiem i hukiem popłynęły. Jednak i te chwilowe, wczesnowiosenne rozlewiska wystarczą, żeby na nich lądowały stada powracających kaczek. Wracają ptaki z ciepłych krajów. Białe polarne lisy rudzieją, zające bielaki na powrót stają się szarakami. Delikatnie pączkują liściaste drzewa, a strojne białokore brzozy nabrzmiewają słodkim pożywym sokiem. Delikatną zielenią wykluwa się trawa, rozkwitają pierwiosnki - wiosenne kwiaty. Wiosna w tajdze! Nareszcie, bo wszyscy mają już dość surowej zimy - i tajga, i zwierzęta, i ptaki, i ludzie. A ludzie w szczególności.

No, ta wiosna to już na pewno ostatnia nasza wiosna w tajdze i na Sybirze... Polacy z Wołczego Chutoru nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. Bo była to wiosna 1945 roku.

Który to już raz tak sobie wróżyli Polacy z nadzieją na wszelkie możliwe znaki na ziemi i niebie. Choćby jak babka Szajnina parę lat temu w Kajenie sumitowała się wszystkim, że zamiast zorzy polarnej Matkę Boską na niebie dojrzała, a która jej tylko miała objawić, że powrotu do Polski tylko patrzeć. Odwoływali się ludziska do wieszczych proroków i przepowiedni o losach Polski, Wernyhory nie pomijając. Jeszcze inni karty układali, miejscowych buriackich szamanów o swoje zesłańcze losy pytali. Ale „sen mara - Bóg wiara”; o ten najrychlejszy powrót do Polski wszyscy modlili się gorliwie. „Mówię wam, ludzie, że jeszcze w tym roku, i to jeszcze na Wielkanoc nawet, a już na Boże Narodzenie to na pewno, w Polsce będziemy”. „Daj Boże, daj nam panie Boże”, przytakiwali zgodnie słuchający i pragnący tego samego. A co bardziej świadomi tego, co się na świecie dzieje, dodawali: „W tym roku? Całkiem to możliwe, bo Hitler w piętę goni i tylko patrzeć, jak ta przekłeta wojna nareszcie się skończy. A jak się wojna skończy i Polska spod Hitlera się wyzwoli, to wtedy i my do niej powrócimy”.

Na Wołczym Chutorze czekano na frontowe listy z coraz większym zniecierpliwieniem, a z jeszcze większym niepokojem. Bywało i tak, że listy od kolegów czy znajomych, którzy razem na wojnę poszli, wyprzedzały oficjalną, urzędową pochoronkę. Ludzie! przecież wojna się kończy, nie daj Boże w ostatniej chwili im zginąć... A ilu swoich dotąd oplakiwali? Zaczęło się od Czulaka, który jeszcze w jesieni 1943 roku w bitwie pod Lenino zginął. Potem polegli bracia Kurylakowie, Jasiek ze Staszkiem, Janek Byrski, Ziemniak, Atlas, Ilnicki, Bialer... A Julek Stanisław i Edek Musiał, jak to się oficjalnie mówiło, na froncie „przepadli bez wieści”. A rannych, okaleczonych, to już nawet nie zliczysz. Jan Dolina też od dawna wieści o sobie nie podawał. To byli ci, którzy walczyli w armii Berlinga. A co z tymi, którzy zdążyli dostać się do Andersa i teraz gdzieś tam na Zachodzie wojują - żyją, nie żyją? Z nimi od początku żadnego kontaktu nie ma, listu nie napiszą, wieści o sobie nie podadzą.

Jak tylko list od któregoś z frontowców na Wołczy Chutor dotarł, do adresata zlatywali się wszyscy, żeby choć kątem ucha jakąś wieść pochwycić i być może o swoich czegoś się dowiedzieć.

Tym razem napisała Hela Wiśniewska, ta, co za Franka Szajnę jeszcze w Jakubówce na Podolu, i to przed samą wywózką na Sybir, się wydała i razem z nim z Wołczego Chutoru na wojnę poszła. Wiadomo, że z wojenną cenzurą liczyć się musiała, wszystkiego napisać nie mogła, ale zawsze coś tam zrozumiałego przemyciła. Z listu Heli wynikało najważniejsze: ona, i nasi żołnierze sybiracy z Kaluczego, Kajenu i z Wołczego, nie tylko już są w Polsce, w Warszawie nawet, ale dalej, na Berlin idą! Pisała jeszcze Hela, kogo tam ze znajomych spotkała, kto został ranny, a kto niestety...

Bronia wróciła od Szajnow późno i widać było po niej, że list od Heli specjalnie jej nie pocieszył. Choć Hela o niej pamiętała, pozdrowiła ją serdecznie i zaciekała się nawet, czy Bronię malaria dalej trzyma, bo ją jeszcze w Polsce ta zaraza trzęsie. I że w Polsce też innego lekarstwa oprócz chininy na malarię nie ma.

- Ale o Janie, to znaczy o waszym ojcu, nie wspomniała ani słowem. Chociaż, gdyby wiedziała, że coś złego, nie daj Boże, mu się tam stało, to by pewnie, tak jak o Ziemniaku, którego pod Warszawą zabiło, o tym napisała. Wzięłam adres polowej poczty, napiszę do niej, konkretnie ją o waszego tatę zapytam. Ale kiedy taki list dojdzie? Bądźmy dobrej nadziei, Stasiu, czekajmy cierpliwie, bo co nam innego pozostało.

Staszek tylko głowę w milczeniu opuścił...

Późny majowy wieczór, ciepły i tym przyjemniejszy, że jeszcze meszka z tajgi się nie wyroiła i komary w koczkach przysypiają. Umordowani całodzienną robotą w polu Staszek z Wańką wprowadzili konie do stajni. Nagle, gdzieś chyba od strony sowchozowej kancelarii, usłyszeli wystrzały. Jeden, drugi, i jeszcze! Ki diabeł? Pobiegli tam, ile sił w nogach. Przed kancelarią milicjant na spienionym koniu, ten sam, który niedawno Pogrebichina aresztował. Wierci tym koniem w kółko, wędzidłami szarpie, przystaje w strzemionach, strzela w powietrze i drze się bez opamiętania. Upił się czy co?

- Ludzie! Oficjalnie mnie do Borowinki przysłali, żebym radosną nowinę wam ogłosił. Ludzie, wojna się skończyła! Wojna, wojna się skończyła! - I znowu z pistoletu trach-babach w górę. I znowu zdziera głos, aż do chrypoty: - Ludzie, czy wy rozumiecie, co ja do was mówię? Wojna, wojna się skończyła!

Wokół milicjanta gęstnieje tłumek, ludzie zlatują się ze wszystkich stron. Z początku milczą w zdumieniu, a potem, kiedy zorientowali się, że milicjant nie jest pijany, ściskają jeden drugiego, śmieją się i płaczą. Astafiew ściąga milicjanta ze spienionego konia i zabiera

go na chwilę do kancelarii. Staszek z Wańką stoją na uboczu.

- Słyszałeś, Wania? Wierzyć mi się nie chce, że to nareszcie koniec.

- Słyszałem... Lecę do mamy. Lepiej, żebym to ja pierwszy jej o skończonej wojnie powiedział, bo zaraz tatę wspomni i zapłacze mi się na śmierć.

- To i ja pędzę na Wołczy, do swoich.

Biegł Staszek przez zalane wiosennymi roztopami topiele, z koczki na koczke przeskakiwał, śmiać i śpiewać mu się chciało. Może nawet coś tam głośno zakrzyknął, bo mu tajga echem odpowiedziała. „Wojna się skończyła! Wojna się skończyła!”. Te słowa najczęściej w głowie mu się kołatały. Słońce już zaszło, kiedy wpadł do izbuszki zziębnięty i po czubki włosów ochlapany błotem. I wrzasnął od progu:

- Mamo! Nie uwierzysz! Ty mi nie uwierzysz!

Bronia, nękana akurat malarycznym atakiem, zsunęła boscie nogi z postania.

- Jezus, Maria, Stasiu, a co się znowu stało?

- Mamo! Wojna się skończyła! Wojna się skończyła! Teraz to już na pewno my niedługo do Polski...

Nie dokończył i rzucił się jej w ramiona; rozplakali się oboje. Mały Tadek patrzył na nich z rozdziawioną gębą, nie bardzo rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. A Staszek, dopiero ochłonawszy nieco, uświadomił sobie, że pierwszy raz nazwał Bronię... mamą.

Nie spał tej nocy Wołczy Chutor. Radość, że wojna się skończyła, żal i płacz po tych, którzy z tej wojny już nigdy, przenigdy nie wrócą. A wraz z tą wieścią wymarzoną i wymodloną wśród tutejszych Polaków emocje były takie, jakby to już jutro mieli zbierać swoje liche manatki i wracać, wyjeżdżać do Polski.

Borowinka też tamtej nocy nie spała. I podobnie jak na Wołczym, w jednej chałupie radość do upojenia, a w drugiej, gdzie pochoronka wieść o zakończeniu wojny poprzedziła, tym większy żal i beznadzieja. Ale wszędzie radość czy wspominkowy żal, jak tutejszy obyczaj każe, potwierdzano wzniesieniem napelnionej czarki. I żeby tylko jednej.

Następnego dnia nikt nie miał głowy do roboty. Astafiew nie miał wyjścia, a może nawet świadomie i chętnie z okazji takiego święta wszystkim pofolgował. Dopilnował tylko, żeby dojarki krowy wydoiły, a dziadek Mikiszka popasł je chwilę na pobliskiej łące. Staszek, jak co rano, zgłosił się do koni. Wańka już tam był.

- Nie wiesz, co dzisiaj robimy?

Wańka był smutny, przygaszony jakiś. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kto tu ma dzisiaj głowę do roboty, od wczoraj pijani łążą.

Nadszedł Astafiew.

- Nad czym się tak naradzacie, robotniczki boże?

- A tak sobie. Co dzisiaj robimy, orzemy, bronujemy?

- A to się dopiero zdziwicie. Nic! Nic dzisiaj nie robicie. Wojna się skończyła! Taki dzień jak zakończenie wojny, niech ją piekło na wieki pochłonie, w waszym życiu już się pewnie nie zdarzy. I oby się nie zdarzył. Tego wam, chłopcy, z okazji dzisiejszego święta życzę. A teraz daję wam wolne, zmykajcie stąd i róbcie, co chcecie. - Odchodząc, nerwowym ruchem poprawił czarną piracką opaskę na pustym, okaleczonym wojną oczodole. Po paru krokach przystanął.

- Tylko mi jeszcze o konie zadbajcie jak trzeba. No i pod wieczór w klubie was widzę. Wszyscy się tam zbieramy, zakończenie wojny świętować. Jasne!?

Dbalości o konie nie trzeba było im przypominać, zawsze o nie dbali. Dzień zapowiadał się ładny, słoneczny.

- To co teraz robimy? - zastanawiał się Wańka. - A wiesz co, skoczę po wędki i nad wodą posiedzimy. Złapiemy coś, nie złapiemy...

Z pobliskiej Zołotuszki, rzeczki niewielkiej, ale zdradliwej i bystrej, lody dopiero co spływały, więc niosła wodę wysoką, zamuloną i mętną. Co w takiej wodzie za łowienie, do tego jeszcze na wędkę? Może gdyby tak niewód zarzucić, ssakiem zaczerpnąć i wodę precedzić... Wydłubali z trudem glist parę i w cichej zatoczce wędki na grunt zarzucili. Wystawiali twarze do wiosennego słoneczka i więcej milczeli, każdy w swoich myślach pogrążony, niż pogadywali.

Staszku o rychłym powrocie do Polski się myślało. Myśli skakały jedna przez drugą, bo trudno mu było ten powrót sobie wyobrazić. Nie dość, że bez mamy, to teraz jeszcze, co z ojcem, nie wiadomo. A i ta Polska, jak tam po tej wojnie teraz? Dokąd z Sybiru z Tadkiem wrócą? Pewnie pod Zaleszczyki, do Worwolińców - stamtąd ich wywieźli, tam jest ich ziemia, dom i całe gospodarstwo. A co będzie, jeśli w swoim domu obcych ludzi zastaną, bo na pewno pusty przez te lata nie stał i ktoś tam teraz mieszka. No i co wtedy? Bronia i cała jej rodzina z pobliskiej Podśniatynki pochodzą. Ziemniaki, Gruby i Szajny z Jakubówki, Stanisze... Razem sobie w Polsce na swoim poradzą. Przy Broni na wieść o ojcu z Tadkiem poczekają. A jak co, to weźmie Tadka i w rzeszowskie do Kalinowej, do dziadków pojedą...

Wańka jakby wyczuł, o czym Staszek myśli.

- Wojna się skończyła, to pewnie i ty niedługo do tej twojej Polski zaczniesz się zbierać.

- Gdyby to ode mnie zależało, to nawet jutro jadę.

- Jasne. Tajgi w Polsce nie ma, sto razy mi to mówiłeś, ale jakąś przyzwoitą rzekę i las



chyba masz tam w pobliżu?

- Tajgi nie ma, ale lasy i rzeki są. W pobliżu mojego domu? Dniestr choćby. Pewnie, że nie tak ogromny jak twoja Ija czy Birusa, ale dla mnie wystarczy.

- A co ty tam będziesz robił?

- Jak to co? Własne gospodarstwo tam mamy, dom, ziemię, konie, krowy... Na swoim gospodarzyć będziemy.

- Jak to: na swoim? To kolchozów, sowchozów tam u was w Polsce nie ma?

- A nie ma.

- Dziwna ta twoja Polska: tajgi nie ma, sowchozów nie ma. To ty chyba kułak jakiś byłeś czy co?

- Kułak nie kułak, ale u nas tak jest, że każdy chłop na swoim gospodarzy. A jak ojciec się odnajdzie i z tej wojny wróci, to może jeszcze w jakiejś szkole poduczę się trochę...

- Ja też sobie planowałem, że jak mój ojciec z wojny wróci, to ja do Tułunu, do zawodówki pójdę i na szofera, a może nawet na kombajnistę się wyuczę. Ale teraz...

Wańka zerwał się, zaczął wędki szarpać i z wody bez potrzeby wyciągać.

Nawet najgłupszego okonka nie złowili. Zresztą i tak musieli przerwać tę zabawę, bo po Wańkę przybiegła zapłakana jego młodsza siostra, Tania, żeby wracał do domu, „bo mamie znowu gorzej”.

- A co wieczorem z tym klubem?

- Sam widzisz, jaki tam klub... Nie idę. A ty Tańka przestań beczeć, nie widzisz, że wędki zwijam? Jakby się Astafiew o mnie pytał, to mu powiedz.

- To ja sam chyba też nie pójdę. Poczekam, aż sklep otworzą, chleb wyfasuję i wracam na Wołczy.

Chleb wydawano dopiero późnym południem, czekać było długo. Na Wołczy Chutor za daleko, żeby biec tam i z powrotem. Na wsi Staszek nie miał co robić. Został nad wodą, polegiwał i czekał. Zresztą całkiem przyjemnie tu było; woda szemrała, tajga na drugim brzegu szumiała, słoneczko przygrzewało, a i myśleć też miał o czym. Dawno już tak w roboczy dzień nie leniuchował. I chyba nawet zdrzemnął się nieco, bo wystraszył go bliski tętent kopyt i porykiwanie krowiego stada śpieszącego do wodopoju. Dziadek Mikiszka zaganiał rozbrykane stado do obór i nie bardzo sobie z tym radził. Po starej znajomości Staszek zaczął mu pomagać. W oborze też znajome dojarki: Daria, Niurka.

- Staś! A co ty tu robisz? Co, znowu do Mikiszki za pomocnika cię przydzielili?

- A to ci dopiero! No, to w przyszłym tygodniu razem na letnie pastwiska wyjeżdżamy  
- ucieszyła się Niurka.

Nieporozumienie szybko się wyjaśniło, a Daria przy okazji napiła go świeżodojnym mlekiem. Czas mu było do sklepu po chleb. Tam uradował się podwójnie, bo pomimo ogólnego świętowania sklep był czynny, a do tego przewodniczący zarządził, żeby z tej okazji porcje chleba zostały zwiększone. Wychodząc ze sklepu, Staszek ścisnął pod pachą bochenek razowego chleba. I mimo głodnej pokusy, żeby choć kawałtka z niego odłamać, nie odłamał: „Niech się Bronia z Tadkiem choć raz całym bochenkiem nacieszą”.

Droga na Wołczy prowadziła go prawie przez całą Borowinkę. Po obydwu stronach drogi, za wysokimi, poczerniałymi od starości płotami z dranic, drewniane chałupy z lichymi gospodarskimi przybudówkami. Na wsi ruch niezwykajny. Ludzie szli do klubu na wieczornicę z okazji zakończenia wojny. A każda z kobiet coś tam na wspólny stół niosła. Kogo Staszek znał, temu grzecznie mówił „Zdrowstwujić”, i jemu z uśmiechem podobnie odpowiadano. Z daleka minął stojący na wzgórku klubowy barak, przed którym już spory tłumek się zgromadził i skąd dolatywały głośne śmiechy i czastuszkowe przyśpiewki. Co tu udawać, Staszekowi trochę żal się zrobiło, że go tam nie będzie. Że też Wańce akurat dzisiaj musiało się takie coś przy trafić! „We dwóch na pewno byśmy na tej wieczornicy byli, a samemu niezręcznie jakoś. Nie pójdę tam i już”, postanowił.

Przycisnął mocniej chleb pod pachą i zdecydowanie przyśpieszył kroku. A to się Bronia z Tadkiem ucieszą, pomyślał, kiedy im na stole c a ł y bochenek chleba położy. Razem sobie zakończenie wojny poświęćmy.

Zbliżał się już do opłotków Borowinki, kiedy z furtki ostatniej zagrody wyszedł dziadek Mikiszka ze swoją staruchą. Obydwoje niecodziennie wyelegantowani: dziadek w białej, wypuszczonej na spodnie, paskiem przepasanej koszuli, babka w staromodnym pluszowym sarafanie, w kwiecistej chustce na głowie. Babka niosła coś w „tujasku” z brzozy kory, Mitricz oburącz przyciskał do piersi litrową flaszkę pełną mętnobiałego płynu. Staszek nie miał wątpliwości, dokąd dziadkowie zmierzają. Pozdrowił ich i chciał ominąć. Nie dało rady. Mikiszka zastopował babkę za ramię i pokazał na Staszka.

- Poczekaj, starucho, to jest właśnie ten chłopak. No ten, nie z naszych, Polak, znaczy się, o którym ci opowiadałem.

- A-a-a-a...! - wyraziła swoje zdziwienie babka. - Kto, kto mówisz? - I trąbką przyłożyła dłoń do ucha.

- Głucha jak pień się zrobiła. - Mikiszka pokręcił głową i podniósł głos. - Polak, mówię ci po rusku. Polak!

- A-a-a-a... - Babka pokiwała rozumiejąco głową i bezzębnie uśmiechnęła się mile. - Polak, mówisz, Polak. - I przyglądała się Staszekowi ciekawie.

- Ten sam. Na Kozackiej Polanie na sianokosach był razem ze mną, kiedy nam Aniuta zaginęła.

- Biedna, biedna Aniuta, świeć, Panie, nad jej duszą. - Babka przeżegnała się, wznosząc oczy do nieba.

- A nawet jeszcze dzisiaj w południe pomagał mi krowy do stajni zagonić, bo rozbrykały się te zarazy niemożliwie. A teraz, chłopcze, to niby dokąd tak zmierzasz?

- Na Wołczy idę, dziadku, do domu.

- Jak to, do domu? A czemu nie do klubu, jak wszyscy? Święto przecież. I to jakie! Ja nawet na tę okazję staruchę z pieca ściągnąłem. Nie mówił ci Astafiew, że wszyscy co do jednego mamy tam być?

- Mówił. Ale tam na Wołczym na chleb czekają.

- Jak parę godzin zmitręzysz, z głodu nie umrą. Nie ma gadania, zawracaj i razem z nami idziesz do klubu.

- Ale ja... prosto z roboty, nieubrany jestem, chleb niosę.

- A to ci się z tym chlebem uparł! Dawaj mi go tu, w domu położę, a jak wrócimy z klubu, to go sobie weźmiesz. Nieubrany, nieubrany. A co to, dziś do ślubu cię wiodą czy co? Zakończenie wojny, synu, świętujemy, żeby ją piekło na wiek wieków pochłonęło. Nieubrany, nieubrany, kto tam na twoje odzienie uwagę będzie zwracał? Najważniejsze, synu, żeby w takim dniu być razem, poległych wspomnieć i żywym się pokłonić.

W klubie tłoczno i szumnie. Ludzie ciasno obsiedli zsunięte, zastawione jadłem stoły. Staszek nie pamiętał takiej obfitości. Astafiew na tę okazję sowchozowego wieprzka kazał zaszlachtować, ziemniaków i chleba dodatkowo przydzielił. I wódki nie pożałował. Do tego baby, co która mogła, z domu przyniosła i na wspólny stół postawiła. Ścieśnili się, dziadkowi z babką miejsca zrobili, a przy nich i Staszek na skraju ławki przycupnął. Dziadek wyczekał na stosowną chwilę, żeby sąsiedzi widzieli, i honorowo flaszkę ze swoją siwuchą na stole postawił. Przy prezydialnym stole ktoś długo bębnił w jakieś szkło, nim sala jako tako się wyciszyła. Do mównicy dorwała się Zinka, która partyjnym sekretarzem w sowchozie była, ale ledwie parę zdań powiedziała, jak baby, które Zinki nie lubiły, taki rejwach podniosły, że jak niepyszna na swoje miejsce wróciła. Sala w jeden głos dopominała się, żeby przemówił Astafiew, bo nie tylko, że on tu przewodniczący, ale jedyny frontowiec w tym gronie.

Staszek poczuł, że ktoś się do niego na ławce przyciska i jak walec go do dziadka Mikiszki przesuwają. Niurka! No, jeszcze tylko jej mi tu brakowało, nie zdążył dobrze pomyśleć, jak Niurka, łaskocząc go włosami, naszeptywała mu do ucha:

- Posuń się, Staś, ociupinkę. Ot tak, wystarczy, zmieścimy się, w ciasnocie nie w

krzywdzie, jak to mówią. Daria tam miejsce dla mnie blisko prezydium trzyma, ale gdzie się tam teraz będę przez całą salę przeciskać, no nie? Lepiej się do ciebie jeszcze bliżej przycisnę. Co, może nie? Cha, cha, cha! Bliźniutko się przycisnę, żeby nóżka nóżkę poczuła, cha, cha, cha! No nie bój się tak, nie bój, chwilkę tylko cię przygniotę, a potem do Darii podejść, bo się jeszcze obrazi. Przez tego mojego malca się spóźniłam, nim go uśpiłam. Spocona cała jestem. Uff, jak mi gorąco. Zimniutkiemu bym czegoś łyknęła.

Sięgnęła po dzbanek z kwasem. Niosło od niej wonią mocnego potu. Puciołowata twarz Niurki poczerwieniała, bo chyba dla okrasy podmalowała sobie policzki buraczkową bibułą. I węglem swoje konopne brwi poczerzyła. „Krasawica!” Staszek czuł się głupio i gdyby mógł, natychmiast by od niej uciekł. Tymczasem Niurka, popiwszy kwasu, znowu rozszczebiotała się nad jego uchem. Dopiero siedzące naprzeciwko baby ją uciszyły, bo właśnie Astafiew przemawiać zaczął.

Nie mówił długo. W ciszy wrócił do stołu, napełnił szklankę, uniósł wysoko i zaproponował pierwszy wspominkowy toast na wieczną pamięć o tych, którzy na wojnie polegli. Wszyscy wstali, unieśli szklanki i nie stukając się, nie przepijając jeden do drugiego, jak to się przy towarzyskiej okazji zwykło czynić, tylko w milczeniu i ze swoimi myślami ten toast spełniali. Staszek nie zauważył, kto mu szklankę wódką napełnił. Stał tak jak wszyscy, trzymał w ręku szklankę i nie bardzo wiedział, na co się zdecydować; przecież tyle wódki naraz nie wypije. Tymczasem Niurka opróżniła swoją szklankę jednym duszkiem. Mikiszka pił do końca drobnymi łyżkami, jak źródlaną wodę. Odwrócił pustą szklankę dnem do góry, chrząknął i grzbietem dłoni musnął wąsa. Wtedy spostrzegł, że Staszek wciąż jeszcze swojej wódki nie wypił.

- Nie godzi się tak, chłopcze. Wielki to grzech pamięci zmarłych nie uszanować, a co dopiero tych na wojnie poległych. Trza to wypić. I do kropelki.

I Staszek wypił. Nawet się nie zakrztusił. Ale jak mu się to udało, nie umiał sobie wytłumaczyć.

- Wot mołodiec! - pochwaliła Niurka. - Ale zagryźć musisz koniecznie. Zaraz świniuki i kiszzonego ogórka ci podam.

Nie bronił się przed jadłem, bo właściwie od świtu, poza mlekiem, którym dojarki w południe go napoiły, niczego w ustach nie miał. Jadł z początku łapczywie, ale po chwili niedobrze zaczynało mu się robić. A w głowie mętno i błogo. Wypiłem, no i co, że wypilem, myślał. I nawet jeszcze mogę wypić. Szkoda, że Wańki tutaj nie ma. A co, nie piliśmy z nim razem w Tułunie, u tej tam, co jej zawieźliśmy siana? Mikiszka nie skąpił ze swojej flaszki. Niurka piła jak smok i o Staszku nie zapominała. A zresztą, kto tego wieczoru na tej sali nie

pił? Toasty, przemówienia, płacz na przemian ze śmiechem. I śpiewy, śpiewy. Staszekowi raz smutno, to znów wesoło. Jakaś mgła zaciąga wzrok, to znów podwójnie widzi. Niurka wygląda jak na rozdartej fotografii, widzi dwie brody dziadka Mikiszki, który akurat nurkuje nad miską z grzybami i nijak nie może ich wyłowić. Niurka szklanką Staszekowi po zębach dzwoni, kiszonego ogórka do ust mu wpycha. Objęła go za szyję, przyciska, do całowania się bierze. Staszek ją odpycha, ale ta śmieje się i dalej swoje. A potem na cały głos czastuszkę zaczyna.

*Mój milonok kak tielonok,  
tolko wienieczki żewać...*

Sąsiedzkie baby głosy dołączają. Cała sala śpiewa. Na scenę ktoś podsadza Pawlika, chłopczynę mikrogo, sadowi go na taborecie i podaje mu harmonię guzikówkę. Pawlik wygląda mikro, ale harmonista z niego nielada. Zaczyna grać *Barynię*. Baby w tany. Białymi chusteczkami wymachują i suną tanecznym korowodem. Pawlik tnie melodię za melodią, cała sala miota się w tanecznym transie. Tańczą nawet dzieciaki, dotąd podpierające ściany i łakomiące się tym, co im dorosli ze stołu podali. Dziadek Mikiszka próbuje czeczotki. Niurka łapie Staszka za rękę i wciąga go w taneczny krąg. „Zwariowała, ja i do tańca! W życiu...”. Niurka szarpie, wywija nim w prawo, w lewo, dookoła, to znów przyciska go tak, że ledwie dech łapie. W głowie mu się kręci, wiruje cała sala i sufit nad głową. Robi mu się niedobrze, czuje, że jeszcze moment i... Ostatkiem trzeźwości wrywa się Niurce i wybiega na powietrze.

To, co się potem z nim działo, Staszek pamiętał jak przez mgłę, albo nie pamiętał wcale. Rwało z niego do gorzkiej żółci. Pijany nurkował w burzanach, podnosił się, to znów walił się z nóg. Coś tam mamrotał. Jedno w pijanej pamięci mu wracało, że zaraz wstaje i idzie na Wołczy. Ale zamiast tego ponownie się przewracał, a w głowie znów wirowała pijana karuzela. Nie pamiętał, jak i gdzie odszukała go Niurka. Coś tam gadała i prawie wlokła go pod ramię. Wrywał się, nie chciał z nią iść. „Sam sobie poradzę. Na Wołczy idę, puść, ja sam!”. Puściła, a on znowu nosem w trawę zarył. Jakaś mroczna i duszna izba... Od tej chwili nic już więcej w Staszekowej świadomości nie zostało, tylko czarna, pijana noc.

Przebudził się. Nim otworzył oczy, słyszał tykanie ściennego zegara. A z każdym „tik-tak” łeb mu pękał. Chyba jakiś dzieciak gaworzył. Zerknął spod oka. Niurka w rozchełstanej koszuli siedziała na ławie pod piecem i obfita jak dynia piersią karmiła dziecko. Widać ściągnął jej wzrok, bo uśmiechnęła się i puściła do niego oko.

- Zbudziłeś się, bohaterze. A on wczoraj nic, tylko „na Wołczy pójde, na Wołczy pójde...”. Doszedłbyś, akurat. Zamiast teraz w ciepłym łóżeczku sobie leżeć, pewnie w topieli na Wołczych Roczkach trzeba by było cię szukać. Co, łeb ci pęka? Wiem, z przepicia tak zawsze, a do tego jeszcze jak człowiek niezwyčajny, tak jak ty. Całkiem prawiczek z ciebie jeszcze. A co, może nie? Cha, cha!... No już dobrze, dobrze, na żartach się nie znasz? Poczekaj, zaraz coś na ból głowy poradzimy, niech tylko małego nakarmię. Niemożebnie żarłoczny ostatnio się zrobił. Widzisz, jak smok ciągnie? A jak jeszcze głodny, albo mu cycka źle podasz, to jeszcze ci go przygryzie. Dzisiaj w nocy też go pokarmić musiałam. Oj chłopcy, chłopcy, co ja się z wami naużerałam. A to jednemu piersi daj pocycykać, to znów drugiemu cukiereczka spróbuj. Pobaw się z nimi, popieść, bo ci nie usną i spokoju nie dadzą, dopóki im się dobrze nie zrobi. A co, może nie tak, moje ty złotko nienasycone?

Niurka odstawiła dzieciaka od piersi, wycalowała i ułożyła w kołysce. Co ona bredzi?! Staszek dopiero teraz poczuł, że leży w łóżku nagi, nagusieńki. Głupio mu. Zerwać się i wiać stąd jak najprędzej!

- A gdzie moje ubranie?

Niurka szperała na kuchennych półkach, pobrzękiwała szkłem, coś tam nalewała.

- Nie bój się, nie zginęło. A zresztą, gdzie ci się tak śpieszy, dzisiaj sowchoz też nie pracuje, jak święto, to święto. Masz, wypij to i zaraz głowa przestanie cię boleć.

- Co to, wódka? Za skarby świata!

- Brażka, głupi. Ale po przepiciu od wódki nie gorsza. Dobrze ci zrobi. Wypij, wypij, nie marudź.

Wypił. Ugasił pragnienie, gardziel przeczyścił, jakby mu nieco ulżyło.

- To gdzie to moje ubranie, boja zaraz muszę...

- Na taborecie, wystarczy ręką sięgnąć. Poczyściłam po wczorajszym, koszulę ci nawet wyprałam, suszy się teraz przy piecu, to i tak na nią poczekać musisz... - To mówiąc pochyliła się nad nim tak nisko, że jej dyniowate białe piersi laskotały go po twarzy, drażniły sterczącymi brodawkami, skraplającymi resztki nieskarmionego mleka. Dyszała krótko, naszeptywała z nagłą chrypką w głosie: - Nie śpiesz się tak, Staś, nie śpiesz... Odpocznij, w ciepłym łóżeczku odrobinę poleż... A może i ja się przy tobie jeszcze z minutkę pogrzeję, bo ziąbko mi się jakoś zrobiło...

Słowa nie zdążył wypowiedzieć, jak Niurka wśliznęła się do łóżka i jeszcze szybciej wyłuskała się z koszuli.

- O tak, o tak... Nie bój się, sami jesteśmy. Małego armatą nie zbudzisz, a matkę parę dni temu okazją do Arszanu wysłałam, do ciotki w odwiedzinie. O tak, milutki, o tak, już mi

cieplej, cieplutko. Ummm!... A teraz dawaj, o tak, delikatniutko, delikatniutko sprawdzimy, jak się tam mój „cukiereczek” czuje. Czy nie zmęczony aby za bardzo. Bo w nocy był taki twardziutki, słodziutki, słodziuteński jak miodzik. Ummm, nic tylko mniem, mniem...

I w ślad za dłonią gmerającą mu w kroku, nurnęła z głową pod derkę. Zwariowała, co ona ze mną wyrabia, pomyślał, ale zaraz zrobiło mu się gorąco, przyjemnie i bezwolnie. A jeszcze po chwili było mu już wszystko jedno...

Z trudem wymknął się Niurce dopiero o zmierzchu. Jak złodziej omijał wieś opłotkami, kierując się na Wołczy Chutor. Z niemocy ślaniał się na nogach, czuł się podle i gdyby mógł, to sam przed sobą ze wstydu pod ziemię by się zapadł. Rychło w czas, rychło w czas! Nie dość, że jak świnia się upiłem, to jeszcze ta Niurka... Chleb miałem do domu przynieść. Tadek głodny czeka, Bronia... Bronia pewnie się denerwuje, martwi. Co ja jej powiem, czym się wytłumaczę? Umarłaby chyba, gdyby się prawdy dowiedziała. A ja im chleba miałem przynieść...

Chleb. Cały bochenek chleba! Wolałby nie teraz, ale przecież musi do dziadka Mikiszki po ten chleb wstąpić. Że też wczoraj musiał tego dziadygę na swojej drodze spotkać. A pełną szklankę samogonu to kto mu wmusił? „Nie godzi się, synu, trza to wypić”. Wszedł przez furtkę w bramie i do siennych drzwi zakołatał. Raz, drugi. Cisza.

A to pech, śpią już chyba... Zajrzał do okna. Płomień migotał w piecu. Zabębnił palcami w szybę. Po chwili przylepiła się do niej babka. I pewnie go poznała, bo pokiwała głową, dała znak, że idzie otworzyć. Domyśliła się, po co przyszedł, bo już w progu podała mu bochenek chleba i jeszcze jakieś szmaciane zawiniątko.

- Serka świeżutkiego kawałeczek. Bierz, synu, bierz, bo pewnie się wam na tym Wołczym nie przelewa.

- Dziękuję, babciu, dziękuję.

Staszek cmoknął babkę w rękę, a ta, nienawykła do takich zwyczajów, omal się nie wystraszyła.

- Coś ty, coś ty, nie trzeba.

- A jak tam dziadek? O dziadka pytam! - prawie krzyknął, bo pamiętał, że babka jest przygłucha.

- Nie drzyj się tak, słyszę. Stary grzyb! Spił się wczoraj w klubie jak bela i tylko wstydu mi narobił. Ledwo kulawca do chałupy dowlokłam. Wyleguje się teraz i jęczy na piecu. Wszystką maślanek wypił, co chwila kwas z kapusty żłopie i jeszcze o „pochmielie” się dopomina. Już ja mu dam się „pochmielić”, ja mu dam. - I trzasnęła ciężkimi drzwiami Staszekowi przed nosem.

Majowe dni długie, a tu już się prawie ciemno zrobiło, a przed nim jeszcze przeprawa przez koczki Wołczego Błota. W dzień tędy przejść trudno, a co dopiero o zmierzchu. Dwa razy dziennie Staszek tędy chodził, wiedział, gdzie omijać topiele, umiał z koczki na koczkę przeskakiwać. Ale dzisiaj czuł się tu jakoś inaczej. Im głębiej zanurzał się w te ponure błota, porośnięte chaszczami, z pognitymi omszałymi pniami obumarłych drzew, tym trwoźliwiej mu było. Czegoś takiego jeszcze nigdy tu nie doświadczył. Huknie przyczajona na świerku sowa, a on płochnie ogląda się, wpatruje w ciemność. To znów zdawać mu się zaczęło, że ktoś obok niego idzie, słyszy, jak woda chlupie. Do tego jeszcze, nie wiedzieć czemu, Aniuta mu się w pamięci przyplątała. Widzi ją teraz w strachliwej wyobraźni jako błędną zjawę w tajdze zagubioną. „Aniuta, Aniuta, Aniuta”, powtarza bezgłośnie i przyspiesza kroku, byle się jak najprędzej z tych moczarów wydostać. Wreszcie jest! Przed nim obszerna polana, dalej zakos starej tajgi, a tuż za nim Wołczy Chutor. Odetchnął z ulgą. Zjawa Aniuty zniknęła z wyobraźni. Księżyc pyzată pełnią podświetla widoczność na polanie. Człap, człap... Wyraźny plusk wody, może rzadkiego błota? Strach ponownie podciął mu nogi i zatrzymał w miejscu. Nasłuchując, ostrożnie obejrzał się do tyłu... Z moczarów na łąkę, wolno, majestatycznie wyczłapał potężny łos, uniósł łeb do góry, wielkie łopaty rogów na kark odrzucił i głośno siorbnął nozdrzami powietrza. A zaraz potem spokojnie podszedł do zagajnika i zaczął pogryzać dopiero co zazielenione listki brzeziny...

Malutkie okienko izbuszki migotało sinawą poświatą lampy, a może w piecu się paliło. Widomy znak, że Bronia nie śpi. Kiedy stanął w drzwiach, wystraszony i nieswój, Bronia z Tadkiem siedziała przy stole i pewnie mu coś tam opowiadała.

- O! Staszek!

Tadek zerwał się, dopadł do brata.

- Pokaż, przyniosłeś nam coś? O jejku, mamó, zobacz, Staszek cały bochenek chleba nam przyniósł. Cały, calusieńki, ze skórką.

Uniósł bochenek do góry i podskakiwał, radował się nim jak opętany. Bronia, wciąż jeszcze po męczącej ją malarii, z trudem podniosła się z ławy, jej twarz rozjaśniła się smutnym uśmiechem.

- No, Stasiu, nareszcie! Bo już się zaczęłam o ciebie bać, czy coś ci się tam złego nie przytrafiło. Wczoraj wieczorem miałeś być, a tu cię nie ma i nie ma. Ale, chwała Bogu, jesteś. Co się stało, może znowu gdzieś cię niespodzianie z sowchozu posłali?

- Nic wielkiego się nie stało, przepraszam... I nigdzie mnie nie posłali. Tylko że ja... - Żeby mieć chwilkę na ostateczne zebranie myśli, podał Broni zawiniątko z serem. - To taka jedna babuszka, żona dziadka Mikiszki, nam dała. Sera kawałek...



- Mamy ser, mamy ser i cały bochen chleba! Mogę sobie kawałeczek odłamać? - podskakiwał, wyśpiewywał Tadek.

- Możesz, Tadziu, możesz. No i co, Stasiu, dalej, opowiadaj.

- Nigdzie mnie nie wysłali, cały czas w Borowince byłem. Tylko że na zakończenie wojny Astafiew taką wieczornicę w klubie urządził i wszyscy musieli na niej być. Byłem tam z Wańką, a potem u niego nocowałem. Ale, ale... ja się tam upiłem.

- Chryste Panie!

Bronia zachwiała się, doskoczył, żeby ją podtrzymać, choć poradziła sobie sama i ciężko usiadła na ławie. Staszek stał przed nią z opuszczoną głową, nie śmiąc spojrzeć jej w oczy.

To wszystko mało, bo oprócz wyrzutów sumienia, wstydliwego powrotu na Wołczy Chutor i świecenia oczami przed Bronią, Staszek nie mógł sobie wyobrazić spotkania z Niurką. Jak spojrzy jej w oczy, co jej powie, jak Niurka na jego widok się zachowa? A jak go przy babach, a jeszcze gorzej, przy Wańce, obśmieje i wszystko wygada?

Zaraz po tym świętowaniu Astafiew wiosenny siew zarządził, wszystkich na pola pogonił. Wańka ze Staszkiem końmi siewniki obsługiwali. Baby ziarna do siewników dosypywały, pilnowały, żeby równo się siało. Kiedy Staszek na polu Niurkę pośród bab zobaczył, niewesoło mu było. No i co teraz będzie? Nic nie było. Nic, o czym myślał i czego tak się obawiał. Baby, a wśród nich Niurka, zachowywały się tak jak zwykle, o czymś tam pogadywały, żartowały. Odpowiedziały na Staszkowe powitanie, żadna go nie zaczepiła, wróciły do ożywionej rozmowy. A Niurka ani w tym momencie, ani potem, nawet mrugnięciem oka czy najmniejszą aluzją nie wracała do tamtej zwariowanej nocy. Staszek odetchnął z ulgą. A to ci dopiero Niurka, pomyślał o niej ciepło i chyba nie bez wdzięczności. Raz tylko tego pierwszego ranka, kiedy pomagał jej z ciężkiego worka wsypywać ziarno do siewnika, a byli sami, troskliwie spytała:

- No jak tam, Staś, wszystko u ciebie w porządku?

- W porządku.

- No i sława Bogu. Dura ze mnie, ot co, wybacz, proszę.

Nie podtrzymał rozmowy, wytrzepał worek i zeskoczył z siewnika...

Skończyła się wojna. Tymczasem w Borowince, zamiast lepiej, zaczęło się dziać coraz gorzej. A takiego trudnego i głodnego przedwiośnia chyba nawet w najcięższych wojennych latach nie było. Nastąpiło w sowchozie ogólne obezwładniające rozprężenie, a przecież na polach i w tajdze czekała taka sama robota do zrobienia. Dopóki trwała wojna, kobiety, starcy i dzieci nawet, chciały czy nie chciały, wypruwały resztki sił, w myśl

obowiązującego hasła: „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!”. Nie darmo w chwilach wisielczego humoru Borowińskie baby wyśpiewywały popularną wtedy czastuszkę:

*Ja i loszad’*

*Ja i byk,*

*Ja i baba,*

*Ja, muzyk...*

Wszystkie one, nawet te, które na froncie mężów potraciły, spodziewały się, że kiedy nareszcie wojna się skończy, to i one choć odrobinę odetchną. Nie wszystkich chłopów wybito, niech no tylko ci, którzy ocaleli, do Borowinki wrócą. Dziwić się tu babom, że pijane, nie tylko radością, tak hucznie wieść o zakończeniu wojny odświętowały?

Czas leci. Maj, czerwiec, pół roku od zakończenia wojny mija, a w Borowince zmian na lepsze nie widać. A co najdziwniejsze, chłopcy z wojny nie wracają. Kapią te ich powroty jak krew z nosa. A co który wróci, to przez te frontowe lata fizycznie, a co gorsza psychicznie, poraniony, poobijany i nie tylko do roboty, ale nawet do rodziny, do własnej baby jakby od nowa przyzwyczajając się musi. Do tego prawie wszyscy nie tylko że piją jak smoki, to na oferowaną im sowchozową pracę nosy marszczą, miejscowym naczelnikom się stawiają. „Co ty, mnie, frontowcowi, będziesz rozkazywał! Ty? Kiedy ja tam na froncie krew przelewałem, to ty tutaj z naszymi babami się gziłeś. I taki do rozkazywania mi się bierze! O, tu mi możesz skoczyć!”. Może tylko przed Astafiewem, też przecież frontowcem, a do tego wojennym inwalidą, jaki taki respekt czuli.

Do tego w lecie tegoż 1945 roku dotarła do tajgi wiadomość, że tak naprawdę to wojna jeszcze się nie skończyła. A nie skończyła się, bo jeszcze tego samuraja, krzywookiego Japońca, na Dalekim Wschodzie trzeba dobić. Tego to już naprawdę baby z Borowinki nie tylko znieść, ale i zrozumieć nie potrafiły. „To co, dotąd Japońca nie pobito? Przecież jeszcze przed wojną z Hitlerem śpiewaliśmy, że nad tym Amurem *Tri tankista, tri wiesiołych druga* zdrowego łupnia tym samurajom dali i wojnę im na wsze czasy z głowy wybili. Baby wiedziały swoje, a w realnej rzeczywistości syberyjskie dywizje, zamiast do demobilizacji, prosto spod Berlina mknęły na japoński front. Co to dla stęsknionych bab za wiadomość, że Armia Czerwona z Japończykami „w tri miga” się rozprawi. Tym bardziej że i Amerykańcy za tych skośnookich się wzięli i jakąś piekielną bombę atomową, o jakiej dotąd nie słyszano, na nich zrzucili. Co to za pocieszająca dla bab wiadomość, kiedy do Borowinki znowu złowieszcze „pochoronki” zaczęły nadchodzić. Już dwie takie listonosz przywiózł z tego

nowego japońskiego frontu.

Na szczęście japońska wojna rzeczywiście trwała krótko i na tych dwóch „pochoronkach” w Borowince się skończyło. Wkrótce też w okolicznej tajdze, nad Iją, Birusą i Pojmą, zaroilo się od japońskich jeńców. Zadrutowani w naprędce zorganizowanych obozach, zagonieni zostali do wyrębu tajgi, wydobywania węgla i rudy. Mało kto się nad Japończykami litował. Wieść gminna niosła, i ci, co z Japończykami wojowali, też potwierdzali, że jak tylko samuraje radzieckiego żołnierza dopadli, to zamiast wziąć go do niewoli i niech by go tam tylko o chlebie i wodzie trzymali, to oni bez litości mieczem w brzuch i to swoje harakiri mu robili. No to niech choć teraz mają w tajdze za swoje.

*Nad Amurom  
pod Ujgurom  
pojмали Japońca,  
dryn mu w żopu wkołotili,  
pust' wojet do solnca...*<sup>11</sup>

I jak tu się nad Japońcami litować? Tym bardziej, że na takiego odmieńca ani to popatrzeć, ani go zrozumieć...

Dla uczczenia zwycięskiej wojny jesienią 1945 roku w ZSRR ogłoszono amnestię. Nie dla wszystkich. Nie było zmiłowania dla wrogów politycznych i zdrajców radzieckiej ojczyzny, choćby takich jak ci, co się Niemcowi albo Japończykowi do niewoli poddali. Tak czy tak, sporo ludzi z tej amnestii skorzystało, a wśród nich i Sańka Pogriebichin z Borowinki. A Sańkę już po powrocie z wojny skazano za to, że nie mogąc patrzeć na głodujące dzieci, sowchozową jałówkę na mięso zaszlachtował.

Powitano go z tego kryminału podług tutejszego obyczaju, jaki powracającemu przystoi. Już pierwszego wieczoru Sańka spił się jak bela, co nie przeszkodziło mu sprać swojej Mańki, ot tak, na wszelki wypadek, choć tym razem cała wieś mogła przysiąc, że Mańka w czasie jego kryminału jak zakonnica się prowadziła, dzieciom smarki i tyłki podcierała. Do tego widać Sańka podwójnym bohaterem w Borowince się poczuł, no bo kto oprócz niego nie dość, że na froncie krew przelewał, to jeszcze w kryminale siedział.

Może nawet spodobało mu się w tym kryminale, a może tylko takiego chojraka zgrywał, bo przechwalał się wszystkim, jak go tam więzienna brać szanowała i za „pachana”

---

<sup>11</sup> Nad Amurem, pod Ujgurem złapali Japońca, kolek w dupę mu wsadzili, niech wyje do słońca.

uznawała. Snuł Sańka nieprawdopodobne łagrowe opowieści, podpity knajackie ballady ochryple wyśpiewywał, a zwłaszcza tę swoją ulubioną:

*Po szyrokoj moskowskoj dorogie  
Kuczerenko szagał mołodoj.  
Woorużonnyj naganom i finkoj,  
I takuju on pieśniu pojot.  
Sidiet ja w Irkuckie,  
A tiepier w Rieszotach.  
Mama maja, mamoczka,  
Mnie świata nie widać...*<sup>12</sup>

A na dobre rady, żeby się wreszcie ustatkował i wziął do jakiejś roboty, Sańka cwaniacko strzykał śliną przez zęby, radzących na chuj posyłał i filozoficznie konkludował: „Tak czy tak, gaspada, świat bardak, a ludzi bładzi”. Bywało, że już fest pijany zaczynał takie zbereźnictwa wyśpiewywać, że nawet najwierniejsi jego trunkowi kompani czmychali w popłochu. A Sańka wydzierał się na cały głos, aż się echem w pobliskiej tajdze odbijało:

*Sańka i Mańka sidiat za stałom,  
Towariszcz Stalin pobieg za winom...  
Nietu ni piwa, nietu i wina,  
Samagon piejtie, pokamiest wojna!*<sup>13</sup>

Już za samo słuchanie czegoś takiego parę lat łagru murowane! Pijanemu, wiadomo, różne wariactwa do głowy przychodzą, ale żeby tak towarzysza Stalina w czastuszkach poniewierać, że niby to on ma Sańce z Mańką usługiwać i moczymordom niedopitym po wódkę biegać... Inny to by się nawet o czymś takim pomyśleć nie ośmielił, a ten mordę na całą Borowinkę rozdziera. No i w końcu Sańka się dośpiewał. Ktoś doniósł, gdzie trzeba, i po Sańkę przyjechało aż dwóch milicjantów z Tułunu. Ręce do tyłu mu związali, bo i z nimi awanturować się zaczął, w pierś się walił, frontowymi medalami pobrzękiwał, i wsadzili na podwodę. Ludzi zleciało się sporo. Mańka Pogriebichina ze swoimi dzieciakami lamentowała,

---

<sup>12</sup> Moskiewską drogą szeroką młody Kuczerenko wędruje. Zbrojny w nóż fiński i nagan, tak sobie podśpiewuje. Siedziałem w Irkucku, a teraz w Rieszotach. Mamo moja, matuś, już świata nie zobaczę...

<sup>13</sup> Sańka z Mańką siedzą przy stole, Towarzystwo Stalin po wino pobiegł. „Nie ma piwa ani wina, Samogon pijcie, póki wojna trwa!

na kolanach milicjantów błagała, żeby jeśli nie nad tym pijaczną, to nad nią i dziećmi się ulitowali. Ale co im tam, kiedy swoje musieli zrobić.

O dziwo, Sańka, to prawda, że podchmielony, bo kto go kiedy trzeźwego widział, siedział teraz na wozie spokojnie, wyorderowaną pierś dumnie wypinał i popatrywał na ludzi z miną Napoleona. A Mańka „gołosiła”:

- Sania ty mój, Sanieczka, znowu mnie niepokieszoną z tymi twoimi sierotkami zostawiasz. Jak ja tu sobie bez ciebie poradzę, umrę chyba z tego żalu i za tobą z tęsknoty...

Chyba te ostatnie słowa Sańkę zdenerwowały, bo ze srogą miną przywołał żonę do porządku.

- Nie rycz tak, nie drzyj się, Mańka, siebie i mnie przed narodem nie ośmieszaj. O tęsknocie będzie mi tu opowiadała, wywłoka jedna. A dzieci pilnuj, to fakt, bo gdyby co, to jak wrócę, nogi ci z dupy powyrywam! Nie rycz, powiedziałem!

- Oj, oj - ale już ciszej pochlipowała Mańka - nie krzywdź nas tak, ojczulku nasz drogi, mężu mój kochany. Oj, żebym to ja wiedziała, kiedy znów ciebie ujrzymy.

Sańka jakby na moment spowaźniał. Wzruszył ramionami, kiwnął głową w stronę milicjantów.

- Nie mnie, ich lepiej, tych „legawych” spytaj... Chociaż co oni tam wiedzą. Tak czy inaczej, żegnajcie, dobrzy ludzie, NKWD!

- NKWD - zaszeptano. Już sam ten skrót wywoływał grozę. Pewnie, że NKWD się nim zajmie. A to dureń z tego Sańki, żeby tak z towarzysza Stalina się naśmiewać... I Mańka do reszty struchlała.

- Broń cię Boże, Sanieczka: NKWD! A niby za co aż na NKWD? To co, milicja już na ciebie nie wystarczy?

- Ot dura ty, Mańka, ot dura. Od razu widać, żeś nigdy w kryminale nie siedziała. Milicja swoją drogą. „Błatnyje” skróty trzeba rozumieć. U nas, w Rieszotach, kiedy na pożegnanie mówi się NKWD, to trzeba tak rozumieć: „Nie znaju, Kogda Wiernuś Domoj”<sup>14</sup>. Jasne? No! To jeszcze raz, żegnajcie dobrzy ludzie i Sańki źle nie wspominajcie: NKWD!

Sańka skłonił głowę, a zaraz potem tak głośno wrzasnął swoją ulubioną *Po szerokiej maskowskiej drodze*, że koń się wystraszył, szarpnął powózką i pogalopował.

Wojna już dawno się skończyła, a polscy zesłańcy nadal wegetowali na Sybirze. Rozproszeni po tajdze syberyjskiej niezmierzonej, wciąż jeszcze nie mogli wrócić do Polski. Dlaczego? Nie mogli tego zrozumieć. Wojna się skończyła i Polska jest znowu wolna. Nasi

---

<sup>14</sup> „NKWD” - „Nie wiem, Kiedy Wrócę Do domu”.

na tę wojnę poszli, rodziny, małe dzieci na Sybirze zostawili i na wszystkich frontach o tę wolną Polskę walczyli. Razem z Armią Czerwoną do Berlina doszli! To co my jeszcze tutaj w syberyjskiej tajdze robimy? Już dawno nam czas do Polski, do naszych domów wracać. Jak długo jeszcze mamy się tutaj męczyć? Jeśli czas tęsknotą mierzyć, to miary temu nie ma. Tęskniącemu dzień miesiącem zdaje się, a miesiąc rokiem...

Niewielkie skupisko Polaków na Wołczym Chutorze od zakończenia wojny żyło w gorączkowym oczekiwaniu i niepokoju. O niczym innym nie myślano i nie mówiono, jak tylko o rychłym powrocie do Polski. Kiedy, kiedy, kiedy? W tej atmosferze skłaniano ucho ku każdemu i każdej plotce chciano wierzyć. Kiedy, kiedy, kiedy? Może nawet w przyszłym tygodniu, a za miesiąc to już na pewno. „O Boże, żeby tylko o nas nie zapomnieli! Mało nas tu, w samym gąszczu tajgi siedzimy. Trzeba coś robić, jechać gdzieś, popytać. Może do Tułunu, albo do Irkucka nawet. Bo my sobie tak tu spokojnie siedzimy, czekamy, a podobno nasi z Tułunu i z Tajsztetu już dawno do Polski wyjechali. Jezusie, a może naprawdę o nas zapomnieli. I tak z dnia na dzień spodziewane „Już jutro, jutro!” zamieniało się w dotychczasową, zda się nigdy niekończącą, ponurą rzeczywistość.

W Borowince też nic się nie zmieniało, a jeśli coś, to chyba nawet na gorsze. Doszło do tego, że tej wiosny ani jedna tratwa Iją do Tułunu nie spłynęła. Jak nigdy opóźniły się siewy, nie było kogo posłać na sianokosy. Zmordowane wojną baby, spodziewające się, że kiedy chłopcy z wojny wrócą, to ich życie na lepsze się odmieni, nie tylko że się zawiodły, ale opuściły się na duchu, przysłowiowe ręce im opadły. A co dopiero Polacy mieli powiedzieć, co robić, jak się w tej sytuacji zachować, kiedy lada chwila liczyli na powrót do Polski i na tobołkach siedzieli. Niecierpliwi z nich korzystali z byle okazji, żeby z głębi tajgi wywędrować w pobliże transsyberyjskiej kolei. Tak na wszelki wypadek, żeby kiedy zaczęły się powroty do Polski, o nich, broń Boże, nie zapomniano. Polacy z Wołczego Chutoru szansy na przenosiny bliżej kolei nie mieli: same tu kobiety, starcy i dzieci. Nie miała takiej szansy nękana malarią Bronia, mały Tadek i Staszek Dolina.

Wojna, czy teraz już po wojnie, „wsio rawno”, codzienny Staszkowy tryb życia ani na jotę się nie zmienił. Nadal jak wszystkich obowiązywał go przymus pracy, bo inaczej pod sąd. Pół kilograma chleba na dobę i miska zupy w sowchozowej stołówce. Tak jak zawsze świt go do roboty wyganiał, zmrok przyganiał. A jeśli coś się zmieniło, to chyba sam Staszek powolutku się zmieniał. Mimo głodu i biedy krzepł fizycznie, dorastał i dojrzewał psychicznie. Coraz częściej zdarzało mu się zamyślać nad sobą, osądzać swój los, dumać nad postępkami. Wiele w ostatnim czasie się na to złożyło. Choćby nawet te, chciane przez niego czy niechciane, okazje wypróbowania własnej, dotąd zaledwie mgliście wyobrażanej

męskości. To gwałtowne poznanie, fizyczny smak obcowania z kobietą: Aniuta, Niurka... Smak pożądania, którego przed tym sobie nie uświadamiał, a po tym, a teraz, na samo wspomnienie suszy go w gardle, pobudza męskość i nęka nocnymi majakami. Aniuta, Niurka... I kto wie, czy w takich chwilach, gdyby obok siebie poczuł chętnie, rozpalone namiętnością kobiece ciało, znowu by o całym świecie nie zapomniał. Aniuta, Niurka, one najczęściej zakłócały mu sen i pojawiały się w pożądliwych fantazjach. Ale nie tylko one. Pamiętał o Ździśce z Kajenu, o Ricie, tej Niemce pszenicznowłosej. Czy już nawet stąd, z Borowinki, o Lubce, z którą nie tylko konie pasł w noc księżycową, a która, niestety, nagle do Irkucka wyjechała. Były to dziewczęta mu rówieśne, w których szczenięco się podkochiwał, a wszystkie zdarzyły mu się przed Aniutą i Niurką... Gdzie one teraz? Czy go jeszcze pamiętają i wspominają czasem, tak jak on je teraz wspomina?

Aniuty od dawna nie było, Borowinka prawie o niej zapomniała. Ale Niurka była. W sowchozie spotykał ją codziennie, często razem z nią pracował. Najtrwoźniejsze dla Staszka było spotkanie z Niurką nazajutrz po tamtej pijanej nocy. Ku jego uldze, minęło, jak gdyby nigdy nic. Od tamtego czasu Staszek się zmienił. Ale i Niurka jakby już nie ta sama. Zwłaszcza że zaczęły się na nią sypać same nieszczęścia: zmarła jej stara matka, ciężko chorował synek, którym oprócz niej nie miał się kto opiekować. Dotąd uchodząca za śmieszkę i niczym nieprzejmującego się lekkoducha, Niurka nie tylko spoważniała, ale i na wygląd postarzała się o lata. Staszкови było jej żal. I podobnie jak wtedy, przy pierwszym spotkaniu, nie tylko słowem czy nieprzystojnym gestem, ale nawet spojrzeniem nie dawała mu powodu rumienić się i myśleć o minionym.

Czego tylko Staszek już po wojnie w sowchozie nie robił? Imał się wszystkiego, czego mu kazano. Ale żeby w tajdze dziegieć wytapiać, to mu na myśl nie przyszło. Nie miał o tym bladego pojęcia, choć co prawda jeszcze w Rajenie słyszał, że stary Stanisław ze swoimi synami, Staszkiem i Julkiem, wytapianiem dziegiu i smoły się zajmowali. Pamiętał, jak wracali do baraku, nie dość, że osmoleni jak kominiarze, to jeszcze tym dziegiem na kilometr śmierdzieli i domyc się nie mogli.

W Borowince zabrakło dziegiu. A jedynym specjalistą, który umiał go wytapiać, był dziadek Mikiszka. No, może jeszcze Sańka Pogriebichin, ale ten w kryminale siedział. Nie bardzo dziadkowi się chciało, kwękał, stękał, ale ostatecznie Astafiew go uprosił. Przydzielił mu do pomocy kilka bab, głównie wdów-żołnierek, bo te wyjątkowo, nawet po wojnie, nie miały ze swojej biedy wyjścia i jeszcze go jako tako słuchały, a wśród nich Niurkę. I jeszcze Staszka z koniem w pojedynkę, bo trzeba było drewno na dziegieć do mielerza dowlec.

Mikiszka wiedział, dokąd prowadzić i gdzie w tajdze najporęczniej mielerz ulokować.

Wybrał dzielankę brzóz strojnych, białokorych, otoczoną smukłymi, tryskającymi żywicą sosnami. Pochodził między drzewami, to to, to tamto siekierą dziobnął, żywicę powąchał, bielutką, gładką brzozową korę pogłaskał i jednego tylko głośno pożałował:

- Szkoda, że brzoza już za sucha. Przyłgnęła kora do pnia jak ludzka skóra do mięsa, za nic jej nie zedrzesz. A nie ma lepszego dziegiu niż z brzozowej kory. A jakby tak wcześniej, to jeszcze brzozowego soczku by się popiło: słodziuteńki i zdrowy!

No i bardzo dobrze, że suche, pomyślał Staszek, bo lubił brzozy i zrobiło mu się ich szkoda. Miał przed oczami często napotykaną w tajdze dzielankę dorodnych brzóz, oszpecone bezlitośnie, wczesną wiosną ze skóry odarte, ociekające niby łzami brzozowym sokiem.

Z tydzień im przy tej czarnej robocie zeszło. Najpierw trzeba było spory dół pod mielerz wykopać i beczkę, do której wytapiany dziegieć będzie kapał, odpowiednio umocować. Potem brzóz i sosen nazwalać, na klocki przepiłować. A kiedy i z tym się uporali, trzeba było to drewno przemyślnie w mielerzu ustawić i zabudować. A w tym była już głowa majstra Mikiszki. Tak zbudowany mielerz miał kształt spiczastego mrówczego kopca. Mikiszka smolakami zapalił go w środku i wycofał się z mielerza na czworakach.

- A teraz zasypujemy go ziemią. Grubą warstwą do samej góry. Tylko szybko, baby, szybko. Nie ma strachu, nie zgaśnie pod ziemią, będzie się tlił, kurzył, dopóki dziegiu nie wytopi. Jak będziemy wiedzieć, że gotowe? Oj baby, baby, dobry dziegieć to nie przymierzając jak perfuma, zaraz go poczujecie.

I rzeczywiście niedługo charakterystyczny smród dziegiu poczuli. Mikiszka coś tam jeszcze pokombinował i nakazał wygorzały mielerz rozbierać, żeby beczkę z dziegiem spod niego wydostać. No i dopiero wtedy się zaczęło; gorąc, popiół, dym, kurz i smród! Kiedy skończyli, nie dość, że śmierdzieli dziegiem i dymnym czadem, to najbardziej ciemnoskóry Murzyn uchodziłby przy nich za albinosa.

Wieczorem wracali do Borowinki. Staszek prowadząc swojego Sierka za uzdę szedł z tyłu, ale słyszał, jak baby umawiały się z Niurką na „baniu”. Nie było to dziwne, bo Niurka banię miała naprawdę przyzwoitą, do tego najbliższej rzeki. Niurka poczekała na Staszka.

- A ty, Staś, gdzie się wykąpiesz? Na Wołczym bani nie macie. Może byś tak u mnie, razem z babami?

- Nie, dziękuję, już się wcześniej z Mikiszką umówiłem. Do domu od niego bliżej.

- No, jak tam wolisz, bo ja sobie pomyślałam... A zresztą! - Machnęła ręką, chustkę pod brodą poprawiła i pośpieszyła za babami.

A dziadek Mikiszka wcale Staszka do bani nie zapraszał. Skłamał Niurce na poczekaniu, bo wołał nie wystawiać się diabłu na pokuszenie.



Zresztą naprawdę spieszo mu było na Wołczy, bo ponad tydzień w domu go nie było. Bronia wciąż chorowała, z malarii wyjść nie mogła. Nie chodziła do pracy, mniej chleba na kartki dostawali. Coraz częściej nie było co do gęby włożyć. Na przedwiośniu zbierali na sowchozowym pozimowym kartoflisku zgniłe ziemniaki. Suszyła je Bronia w ruskim piecu, tłukła w stępie i piekła z nich placki; czarne, wonięjące zgnilizną, ale dawały się zjeść i głód oszukiwały. I znowu, jak parę lat temu w Kajenie, zaczęło się zbieranie szczawiu po łąkach, gotowanie pokrzywy i lebiody. I znów cała nadzieja w tym, że lada chwila, nie dziś, to jutro, los się nad nimi zlituje i nareszcie do Polski wyjadą.

Tymczasem minęła wiosna, lato zbliżało się ku końcowi, a oni wciąż z Wołczego się nie ruszali. Staszku się nie wiodło. Choroba Broni i głód. Ojciec nadal znaku życia nie daje. A tu jeszcze z dnia na dzień z Wańką przyszło mu się pożegnać. Wańce mama umarła. Ojciec jego, wiadomo, na wojnie zginął. Wańka z młodszą siostrzyczką Tanią zostali sierotami i w Borowince nikogo bliskiego nie mieli. Astafiew zaczął przemyśliwać nawet, czy ich, a Tani na pewno, do domu dziecka nie oddać. Na szczęście znalazł się ich wujek. Mieszkał w Arszanie, niedawno z wojny wrócił. Postanowił siostrzeńcami się zaopiekować i zabrać ich do siebie. Staszek miał nadzieję, że Astafiew wydzieli im podwodę, a wtedy on poprosi, żeby mógł Wańkę do tego Arszanu odwieźć. Ale zdecydowano inaczej: tratwą popłyną. Bo to i wygodniej, i koni przez tajgowe bezdroża gnać nie trzeba. Lato, Ija o tej porze spokojna, a i sposobną na przewóz tratwę związać żadna sztuka. Kiedy przyszedł czas odpływu, to prawdę mówiąc, Staszek z Wańką nawet porządnie pożegnać się nie potrafili. Wszystko to spadło na nich tak nagle. Więc tylko ręce sobie po męsku podali i jeden po drugim niby echo powtórzył:

- No to trzymaj się, Wania!

- No to trzymaj się, Staś!

Wańka wskoczył na tratwę, wujek odepchnął ją bosakiem od brzegu i popłynęli. Wańka i naśladująca go Tania długo jeszcze do Staszka wymachiwali na pożegnanie. Staszek odpowiadał tym samym. Patrzył tratwie w ślad, dopóki nie zniknęła za rzeczonym zakrętem. Dopiero wtedy sobie uświadomił, że nie tylko tratwę, ale i Wańkę już chyba na zawsze z oczu traci...

„Wiosna, lato, jesień, zima...” to nie taka sobie przedszkolna wyliczanka do łatwiejszego zapamiętania kolejnych pór roku. To wyliczanka, po której Polakom z Wołczego Chutoru wszystkiego się odechciewało. Wierzyć im się nie chciało, że była to już ich siódma syberyjska zima. A do tego była to zima przełomu roku 1945 na 1946, całego roku, który już właśnie mijał od zakończenia wojny! Cały świat pomału o minionej wojnie zapomina, Polska

wolna, a oni nadal męczą się na Sybirze. A może Polska ich nie chce? Może naprawdę o nich zapomniała?

Któregoś zimowego wieczoru Staszek wracał przez koczki na Wołczy Chutor. Niebo było czyste, gwiazd mrowie i księżyc w pełni nad tajgą wisiał. Bezwietrznie i cicho, cichutko. Chyba o takiej ciszy mówi się, że dzwoni! Tym głośniejszy zmrózony śnieg chrzęści pod stopami. W głębi tajgi strzelają pękające od mrozu drzewa. Odbijające się od śnieżnej bieli światło księżyca sprawia, że widno jak w dzień. Może uciążliwość tego marszu i zmęczenie, bo za dnia Staszek naharował się setnie przy wywlekaniu drzewa z tajgi, a może skręcający kiszki głód sprawiały, że wstrząsały nim zimne dreszcze. A może jakiś podświadomy lęk go płoszył? Dość, że co parę kroków chłopak podbiegał, byle prędzej znaleźć się na chutorze, do ciepłej izby dopaść. Do tego głodny jak wszyscy diabli nie mógł zapomnieć, że za pazuchą chroni przed mrozem pół bochenka chleba. Niesie do domu codzienny przydział. Powstrzymuje się, żeby ani okruszyny nie uskubać, bo jak skubnie, spróbuje... A tam na chutorze Tadek, Bronia... „Niedaleko już, wytrzymam”. Szybciej, szybciej! Wybiega z tajgi, przed nim jeszcze tylko puste zaśnieżone pole, a tam już chutor!

Nagle ogarnia go dziwny niepokój. Zdaje mu się, że ktoś go dogania, ktoś za nim idzie. „Aniuta! Dureń ze mnie”. Ale przystanął, obejrzał się dookoła, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nic. Cisza. Słyszał tylko spłoszone kołatanie własnego serca. „E tam, zdawało mi się”. Zerwał się do biegu, ale raz zasiany niepokój nie ustępował. Znowu przystanął i obejrzał się lekliwie. I znowu nic, cisza. Zwolnił kroku, zostawił tajgę w tyle i wyszedł na zaśnieżone pole. Odetchnął z ulgą, bo w oddali widział już zarysy chutoru. „Jeszcze tylko trochę i już jestem w domu. Ale ze mnie głupi tchórz! Aniuta, akurat, Aniuta... Tak jak wtedy, kiedy mnie w tym samym miejscu łoś przestraszył”. Poprawił chleb pod kufajką i bezwiednie jeszcze raz się obejrzał. A tam... A tam, zaledwie kilkanaście kroków za nim, po jego śladach dreptał wilk! Staszek struchlał. Na tyle już znał wilcze łowcze nawyki, by wiedzieć, że gdyby teraz spróbował uciekać, to zwierzę zacznie na niego polować. Wilk też przystanął, by po chwili przyjąć psią postawę „siad”. Gapił się na chłopaka, a chłopak na niego. I chyba obydwaj nie bardzo wiedzieli, co dalej. „A może to nie wilk? Może zwykły pies, jakiś wilczur zabłąkany?”. Mała nadzieja. Staszek znał wszystkie miejscowe psy. Były to wyłącznie charakterystyczne syberyjskie łajki, żadnego wśród nich wilczura. Czas płynie, a chłopak i wilk nadal trwają w niezmienionej pozycji. Krzepnący mróz przenika Staszka do kości. Chleb! - mignęła mu zbawcza myśl. Może na chleb ta bestia się skusi. Zgrabiała ręką sięgnął powoli za pazuchę.

Zaniepokojony tym ruchem wilk czujnie wstał na cztery łapy. Chłopak skubnął

kawałeczek chleba, wolno przykucnął i położył go na ścieżce. Wilk, jakby szykując się do skoku, cofnął się nieco, ale znów przysiadł. Uniósł pysk i chyba węszył. Nie spuszczać z niego wzroku, Staszek wolniutko wycofywał się tyłem w stronę chutoru. Wilk również wolniutko, wciąż utrzymując dystans, ruszył jego śladem i ku radości chłopaka kłapnął paszczką, zlizął chleb ze ścieżki. Dobra nasza! Z następnym kawałeczkiem było to samo. Taka ceremonia między wilkiem a chłopakiem powtarzała się prawie do samego chutoru. Dalej, za opłotki, wilk podejść się nie odważył. Gdy Staszek zatrzasnął za sobą drzwi izbuszki, był spocony ze strachu. A najgorsze, że skarmił chleb do okruszyny. Bronia kiwała głową ze zrozumieniem, tylko mały Tadek żałośnie rozplakał się... z głodu.

Wilki. Na Syberii było ich sporo i zwłaszcza w zimie włóczyły się całymi sforami. W tajdze miały swoje władcze ogromne terytoria. Pokazywały się niechętnie, w lecie pod ludzkie sadyby raczej nie podchodziły. Co innego w mroźne zimy, wtedy wygłodniałe zjawiały się tam w nadziei na okazyny łup i po nocach wyły ponuro. Tak było w Kaluczem, Kajenie, tak było i tutaj, nomen omen, na Wołczym Chutorze. Wśród miejscowych krążyły o wilkach niesamowite opowieści. A to, jak któreś zimy te wygłodniałe bestie wpadły do sowchozowego cieleńnika i nie dość, że wszystkie cieleńta wycięły, to i stróż ledwie z życiem uszedł i nawet strzelba mu nie pomogła. Albo jak to pewien samotny chłop w zimie na Kozacką Polanę po siano pojechał i nie wrócił. Dopadły go wilki i z chłopca, jego konia, a nawet z uprzęży, tylko krwawe strzępy na śniegu zostały. Albo jak to wygłodniała wilcza sfora nawet samego cara tajgi, ogromniastego Miskę Szatuna, z zimowej gawry wydrapała i dała mu radę. Albo jak to wilki nawet takiego potwora jak ta czortowa rosomacha się nie boją. Albo, zwłaszcza na przedwiośniu, kiedy przygrzewające słończko kopne śniegi z wierzchu w lodową skorupę zamieni, jak to zmyślnie całą sforą na łosie, sarny i jelenie polują.

Ludzie tajgi nie lubili wilków i przy każdej okazji tępil je bez litości. W latach wojny, kiedy w tajdze zabrakło mężczyzn i prawdziwych myśliwych, wilki rozpleniły się w nadmiarze i rozzuchwalone coraz natrętniej dawały się we znaki ludziom i domowym zwierzętom. W Borowince też, nie dalej jak zeszłego lata, wilki zbłąkaną krowę dziadkowi Mikiszce rozszarpały.

Pewnie dlatego dziadek Mikiszka był pierwszym, który w Staszkową opowieść o spotkaniu z wilkiem skłonny był uwierzyć. Choć i on miał niejaki wątpliwości.

- Wilk, mówisz, to był? Może i wilk, ale coś mi się zdaje, że to chyba mieszaniec jakiś. Bywa, że wilczyca w rui znajdzie okazję i z jakimś domowym psem się zapomni. Rzadko, ale bywa. Wtedy ma takiego bękarta w przychówku. Wyjdzie z takiego ni to pies, ni

wydra, a już na pewno nie rasowy wilk, i wtedy wilczyca, niby wyrodna matka, takiego szczeniaka porzuca. A kiedy ten mimo wszystko przeżyje, nikt się do niego nie przyznaje, ani wilki, ani psy. Łazi ci potem taki odrzutek samotnie, w tajdze za bardzo sobie nie radzi i ani do wilków, ani do ludzi się nie nadaje. Słowem, marny los go czeka. Tak i z tym twoim mogło być. Jakoś też nie słyszałem, żeby prawdziwy wilk na chleb albo na kartofla się połasił.

Wilk, nie wilk... Staszka bardziej ciekawiło, czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Rano i wieczorem, przemierzając tą samą ścieżką tajgę, bacznie za tym nocnym „wilkiem” się rozglądał. Nie było go dzień, drugi, i chłopak poczuł się nieco zawiedziony. Miał rację Mikiszka, przybłęda to pewnie jakiś był, nie wilk, a takiego stracha mi napędził, myślał. Aż tu nie wieczorem, tylko któregoś wczesnego ranka, kiedy śpieszył do pracy, go dostrzegł. Na tej samej polanie, kilkadziesiąt kroków od ścieżki, stał stóg siana, teraz śniegiem przysypany. Wilk zawięcie grzebał u podnóża stogu, pewnie na myszy polował. „Chyba ten sam? Nawet mnie nie widzi, taki zajęty. Gwizdnę na niego, co mi tam. Najwyżej spłoszy się i ucieknie. A jak do mnie skoczy? Eee tam”. Gwizdnął cichutko przez zęby. Wilk gwałtownie przysiadł, uszy w szpic i ustawił się mordą do chłopaka. „Zachciało mi się gwizdać. A jak mnie pogoni? Nawet kawałeczka chleba przy sobie nie mam. A może jeszcze inne tam są?”. Nie skoczył. Nie uciekł. Jeszcze chwileczkę popatrzył w jego stronę i znów zajął się energicznym grzebaniem w stogu. A to ci dopiero! Staszek z podziwem pokręcił głową i oglądając się przez jakiś czas, pobiegł do roboty.

Ale wieczorem wilk jakby tylko na niego czekał. Pojawił się w tym samym miejscu i tak jak za pierwszym razem, włókł się za Staszkiem o kilkanaście kroków. Zabawa się powtórzyła: wilk przysiadł, kłapał zębami i zlizywał skąpo kruszony chleb. O nie, bracie, tym razem wszystkiego ci nie dam, postanowił Staszek. Wilk znów odprowadził go do opłotków chutoru.

Od tego czasu Staszek widywał tego dziwnego wilka często. Zauważył też, że wilk szczególnie sobie ów samotny stóg siana upodobał i chyba nawet legowisko tam sobie wymościł. Jeszcze kilka razy Staszka na chutor wieczorem odprowadzał, okruszyny chleba wypraszał. Na śmietniku obok stołówki chłopak solidną kość z nogi łosia wypatrzył. W sam raz dla ciebie, pomyślał. Nie będziesz się moim chlebem opychał.

Ostrożnie podchodził z tą kością do stogu, bo wilka na ścieżce nie widział. Ale tam był. Zaskoczony, śmignął z legowiska na bezpieczną odległość. Przysiadł. Patrzył.

- Masz tu kość, nie bój się mnie, nie bój.

Nie podszedł, ale też nie uciekał. Staszek zostawił mu kość i wycofał się na ścieżkę.

Dopiero wtedy wilk skoczył, capnął kość i oglądając się, potruchtał do pobliskiej tajgi.

Pod koniec zimy Dingo pozwalał Staszкови zbliżyć się na parę kroków. Chłopak mógł przyjrzeć mu się z bliska. Był to potężny zwierzak, z wyglądu i szaroburego umaszczenia prawdziwy tajgowy wilk. Tylko biało podpalane łaty na piersi i puszysty, po psiemu zwijany ogon przypominały mieszańca, chyba z łajką. A dlaczego Dingo? Bo tak go sobie Staszek nazwał. Jeszcze ze szkolnej polskiej czytanki pamiętał opowieść o takich dzikich australijskich psach Dingo. A skoro ten jego wilk też był takim zdziwałym psem, tyle że syberyjskim, to imię Dingo pasowało do niego jak ulał.

Z czasem Dingo tak się do Staszka przyzwyczaił, że już nie tylko spotykał go na ścieżce, ale odważnie wchodził z nim za opłotki chutoru. A z wiosną znalazł sobie nowe legowisko na skraju tajgi, przylegającej do Staszkowej chałupy. Nigdy nie szczekał. Czasami w nocy smętnie zawył. Podrażniony warczał i łyskał groźnymi klami. Zrywał się skoro świt i odprowadzał Staszka aż do koczek. Tam chyba przez cały dzień polował, by wieczorem znów na niego czekać.

Coraz częściej reagował nie tylko na swoje imię, ale i na komendę: „Dingo, noga, noga!”. Podchodził ostrożnie, ale nie bliżej niż na dwa, trzy kroki. Dobre i to, cieszył się Staszek, Nera z niego nie zrobię, ale to już coś... Nigdy nie dał mu się pogłaskać, nie wziął pokarmu z ręki. Co jakiś czas Dingo zniknął w tajdze na parę dni, by zjawić się niespodzianie wieczorem na tej samej ścieżce albo raniutko przed chałupą. Wtedy Staszek chwalił go pieszczotliwie. „Jesteś, Dingo, jesteś! Dobry pies, dobry”. I zawsze coś tam z kieszeni wygrzebał. Na widok innych ludzi Dingo uciekał. Nawet do małego Tadka nie chciał się przyzwyczaić.

Był maj 1946 roku. Do Polaków z Wołczego Chutoru, i to dosłownie z dnia na dzień, dociera wieść, której czekali jak zbawienia. Wracają do Polski! I to bez zwłoki. Pojutrze rano sowchoz podstawia im podwozy i w drogę do Tułunu, bo tam już wagony na nich czekają. I do Polski, do Polski, do Polski!

Wniebowzięty Staszek ganiał po sowchozie, żegnał się ze wszystkimi i z każdym z osobna. Nawet z Niurką, którą z rozpędu na pożegnanie w rękę pocałował. Ta rozryczała się jak bóbr. „Staś, prosti mienia, duru, nie wspominaj lichu”. Dopiero wieczorem przypomniał mu się Dingo. Wracął z Borowinki, z kością wyproszoną u kucharki, pewny, że jak zwykle zastanie wilka na ścieżce albo na chutorze. Zmartwił się, bo już pod chutor dochodził, a Dinga wciąż nie było. Gwizdnął raz, drugi, przystawał, czekał. I Dingo się zjawił, bezszelestnie się z tajgi wynurzył. Staszek położył mu kość.

- Masz, Dingo, na pożegnanie. Jak ty tu sobie beze mnie poradzisz? Znowu samotnie

po tajdze jak ten brodiaga będziesz się włóczył. Nie mogę cię wziąć ze sobą, ani tu z tobą zostać.

Dingo przywarował z kością przy pysku i poklepywał po ścieżce ogonem.

Nazajutrz skoro świt na Wołczy zajechały podwody. Do jednego wozu zaprzężony Sierko, koń jakby do Staszka przez cały ten sowchozowy czas przypisany. Całe szczęście, że Daria nim powozi, ta krzywdy nie da mu zrobić. Wyruszyli. Wołczy Chutor pustoszeje, zostaje w tyle. Mijają koczki i błota, Dinga nigdzie nie widać. Stary drewniany most na pełnowodnej Zołotuszce i wąska droga, skalistym wąwozem zagłębiająca się w tajgę. Borowinka i odprowadzający Polaków ludzie zostają w tyle. Staszek idzie za wozami. Przystaje, żeby ostatni raz spojrzeć na Borowinkę. Omiata wzrokiem okolicę. I wtedy zauważył Dinga. Nieruchomy niby posąg, Dingo siedział na skale wąwozu i patrzył w jego stronę.

- Dingo! Piesku ty mój! A jednak jesteś. No chodź tu, chodź, pożegnaj się ze mną. Do nogi, Dingo, do nogi.

Olbrzymi wilk uniósł się wolno, wolniutko, sprężył grzbiet, jakby się wahał, czy skoczyć w dół, posłuchać człowieka. Ale nie posłuchał. Nie skoczył. Zrobił wolno w tył zwrot i ze spuszczonego łbem powłókł się w głąb tajgi.

Staszek go nie zawołał... Stał jeszcze chwilę i zapatrzył się w tajgę. Ze wzgórza, jak okiem sięgnąć, od horyzontu po horyzont widział zielone morze, nieprzeniknioną ścianę wiekowych sosen, cedrów i modrzewi. Ranek był cichy, bezwietrzny, ale tajga po swojemu szumiała. Wschodzące słońce ogromną czerwoną kulą wytaczało się ponad wierzchołkami drzew. W dolinie wielkiej rzeki kłębiła się gęsta poranna mgła i falami rozlewała się po leśnej gęstwinie.

„TAJGA! Tajga, tajga”... Staszek patrzył i bezgłośnie powtarzał to słowo. Miał świadomość, że nie tylko Dinga, ale i tajgę ostatni raz widzi. A to czerwono wschodzące, ogromne słońce przypominało mu inny poranek sprzed lat, kiedy to pierwszy raz w życiu tajgę zobaczył. Tyle że wtedy był to zimowy, siarczysty mroźny poranek w pobliżu Kańska. Długi konwój sań z polskimi zesłańcami zbliżał się do ściany ciemnego, zaśnieżonego boru, sięgającego od horyzontu po horyzont. „Tajga! Tajga!” - z trwogą w głosie powtarzali Polacy to nieznanemu chłopcu, tajemnicze słowo. Teraz, po sześciu latach zesłania, nie trzeba już Staszekowi tego słowa tłumaczyć. Sybiracy mają rację: „Tajga, tajga, krugom tajga, końca i kraja nie widać”. To prawda, że tajga i dzisiaj wydaje mu się tak dziewiczo dzika i bezkresna, jakby oprócz niej niczego więcej na tej ziemi nie było. Ale nieprawda to przecież. Jak wszystko na tym świecie, tak i tajga gdzieś się zaczyna i gdzieś się kończy. A tam, choćby to

miało być stąd za siedmioma górami i siedmioma rzekami, jest taki przecież kraj, który nazywa się POLSKA.

Moja rodzinna, wytęskniona Polska! Żegnaj, tajgo. Bo choć dzika, groźna i mroźna, nie zawsze macochą mi byłaś. Żegnaj. Ale wybaczone, nie powiem ci: „Do zobaczenia...”.

Staszek odwrócił się gwałtownie i pobiegł doganiać oddalające się podwody.

Rzeszów-Kielnarowa, 2005-2006 rok.